

W powieści Fabera
nic nie jest tym, czym się wydaje.

„The Times”

Michel Faber

POD SKÓRĄ

W
ab
1999

MICHEL FABER

POD SKÓRĄ

UNDER THE SKIN

Przełożył Maciej Świerkocki



W czasie kręcenia filmu "Pod skórą" Scarlett Johansson naprawdę podjeżdżała do obcych mężczyzn z pytaniem "Czy jesteś samotny? Co robisz dziś wieczorem?" i oferując im podwiezienie. Żaden z nich nie był wynajętym aktorem i część tych scen trafiła do filmu.

1.

Isserley zawsze za pierwszym razem mijała autostopowicza, by zyskać na czasie i dobrze mu się przyjrzeć. Szukała potężnych mięśniaków: pociągającej góry mięsa na dwóch nogach. Nie interesowały jej osobniki wątłe i kościste.

Wbrew pozorom na pierwszy rzut oka było jednak trudno odróżnić mięśniaka od chuchra. Wydawałoby się, że samotnego autostopowicza na odludnej szosie nie można nie zauważyć, niby mającego w oddali pomnika albo silosa zbożowego, i że nadjeżdżając z daleka, da się go spokojnie oszacować, rozebrać w myślach i otaksować z dużym wyprzedzeniem. Ale Isserley już dawno przekonała się, że to nieprawda.

Sama jazda po drogach Gór Kaledońskich była zadaniem wymagającym od niej koncentracji – bowiem zawsze działało się tu więcej niż na pocztówkach z tych stron. Nawet w opalizującej ciszy zimowego świtu, choć nad polami po obu stronach szosy wisały jeszcze mgły, nie można było się łudzić, że trasa A9 pozostanie pusta przez dłuższy czas. Tu i ówdzie asfalt zalegały futrzaste trupki niezidentyfikowanych leśnych stworzeń. Każdego ranka pojawiały się nowe, a wszystkie upamiętniały te zamrożone w czasie chwile, kiedy jakiejś żywej istocie szosa pomyliła się z jej naturalnym środowiskiem.

Również Isserley często wypuszczała się w trasę w tej porze przedhistorycznej ciszy i spokoju, gdy jej samochód można było wziąć za pierwszy automobil na ziemi. Miała wtedy wrażenie, że wylądowała w świecie, który został stworzony tak niedawno, że góry wciąż jeszcze będą się tu wypiętrzały, a lesiste doliny zaleje, być może, ocean.

Mimo to, zwykle już po zaledwie kilku minutach, kiedy wyjeżdżała swoim autkiem na opustoszałą, lekko parującą drogę, pojawiał się za nią sznur zdążających na południe

pojazdów. W dodatku samochody te nie pozwalały, by dyktowała im tempo niby owca-przewodniczka, prowadząca stado wąską ścieżką; jeśli więc nie przyspieszyłaby w takiej sytuacji, musiałaby zjechać na pobocze i dać się wyprzedzić trąbiącym na nią przeraźliwie kierowcom.

Na dobitkę trasa A9 była główną arterią, więc trzeba było uważać na wszystkie łączące się z nią żyłki drugorzędnych dróg. Tylko kilka skrzyżowań miało dobre oznakowanie, jakby za sprawą doboru naturalnego – pozostałe kryły się za drzewami. Nie należało lekceważyć tych skrzyżowań, chociaż na wszystkich miała pierwszeństwo przejazdu – bo na każdym z nich mogła kryć się mechaniczna pułapka w postaci niecierpliwie terkoczącego ciągnika, który – gdyby nagle zjechał jej drogę – sam nie ucierpiałby zbyt wiele wskutek nieuwagi, ona natomiast skończyłaby gdzieś w rowie.

Najbardziej rozpraszały ją jednak powaby okolicy. Lśniące deszczówka na poboczu, stadko mew latających za siewnikiem po gliniastym polu, błysk deszczu za dwoma albo trzema wzgórzami, a nawet samotny ostrzygojad na niebie mógł sprawić, że zapominała niemal, po co wyjeżdża w trasę. Miała tak jechać, oglądając wschód słońca i odległe farmy, których zabudowania zaczynały się właśnie złocić, aż do czasu, gdy gdzieś, znacznie bliżej, jakiś cienisty kształt zmieniał się nagle z gałęzi albo kupy śmieci w mięsistego dwunoga z wyciągniętą ręką.

I wtedy wracała jej pamięć, choć czasem dopiero wtedy, kiedy go mijała, ocierając się niemal o palce autostopowicza, które mogłaby zmiażdżyć, gdyby były choć o kilka centymetrów dłuższe.

Gwałtowne hamowanie nie wchodziło w rachubę. Nie, Isserley spokojnie trzymała stopę na pedale gazu i nie wyłamywała się z kolumny samochodów. Usiłowała tylko zarejestrować w pamięci wizerunek autostopowicza jak fotografię, kiedy śmigała obok pośród innych aut.

Czasami, gdy jadąc dalej, analizowała w myślach

zapamiętany obraz, rozpoznawała w rzekomym autostopowiczu osobnika płci żeńskiej. Ale nie interesowała się samicami, a w każdym razie nie w ten sposób. Niech je podwożą inni kierowcy.

Jeżeli autostopowicz był płci męskiej, zazwyczaj starała się przyjrzeć mu ponownie, chyba że już na pierwszy rzut oka okazywał się cherlakiem. Uznawszy jednak, że zrobił na niej odpowiednie wrażenie, zawracała, gdy tylko mogła bezpiecznie wykonać ów manewr – oczywiście poza zasięgiem jego wzroku, nie chciała bowiem, aby domyślił się, że jest nim zainteresowana. Potem, jadąc przeciwnym pasem drogi na tyle wolno, na ile pozwalał jej ruch na szosie, taksowała samca wzrokiem po raz wtóry.

Bardzo rzadko, ale jednak zdarzało się, że nie mogła potem odnaleźć „swojego” autostopowicza, co oznaczało, że jakiś mniej ostrożny albo mniej wybredny kierowca zatrzymał się i zabrał go, kiedy zawracała. Mrużyła wtedy oczy, wpatrując się w punkt, gdzie, jak się jej wydawało, stał przedtem samiec, widziała jednak tylko pusty skraj wysypanego żwirem pobocza. Jej wzrok przesuwał się następnie z szosy na pola albo w zarośla, sądziła bowiem, że mógł się w nich ukryć, aby oddać mocz. (Autostopowicze często tak robili.) Wydawało się jej niepojęte, jak mógł zniknąć tak szybko. Miał dobre – a nawet doskonałe, wręcz idealne ciało – dlaczego zatem zmarnowała okazję? Dlaczego nie zabrała go od razu?

Czasami było jej trudno pogodzić się z porażką i wtedy po prostu jechała dalej całymi milami w nadziei, że ten, kto zabrał jej autostopowicza, wysadzi go gdzieś po drodze. Krowy popatrywały na nią głupkowato, kiedy pędziła szosą w mgiełce spalin zmarnowanej benzyny.

Zazwyczaj jednak autostopowicz stał dokładnie tam, gdzie minęła go za pierwszym razem, czasem tylko nie trzymał już ręki tak wysoko jak wcześniej, a jego ubranie (szczególnie jeśli zaczynał padać deszcz) było bardziej łaciate. Nadjeżdżając z przeciwnej strony, mogła przez moment przyjrzeć się jego pośladkom albo udom, lub też zobaczyć, czy ma dobrze

umięśnione ramiona. Umiała ponadto dostrzec w jego postawie coś, co zdradzało pyszałkową pewność siebie dorodnego samca.

Przejeżdżając obok, patrzyła wprost na niego, aby zweryfikować swoje pierwsze wrażenie i upewnić się ostatecznie, że nie wyolbrzymia jego sylwetki siłą wyobraźni.

Jeśli faktycznie wydawał się odpowiedni, zatrzymywała samochód i zapraszała autostopowicza do środka.

Robiła to od lat. Niemal codziennie wyjeżdżała swoją sfatygowaną czerwoną toyotą corollą na trasę A9 i krążyła po szosie. Nawet kiedy miała za sobą serię udanych zbliżeń i jej samoocena była chwilowo wysoka, martwiła się, że autostopowicz, którego właśnie zabrała, może okazać się z perspektywy czasu ostatnim naprawdę dorodnym samcem: że może w przyszłości żaden mu nie dorówna.

Prawdę mówiąc, wyzwanie, które podejmowała, dostarczało jej dreszczyku uzależniającej jak narkotyk emocji. Bywało, że tuż obok niej siedziało w samochodzie wspaniałe zwierzę, głęboko przekonane, że jada do niej do domu, ona zaś potrafiła w takich sytuacjach myśleć już o następnym trofeum. Nawet kiedy podziwiała autostopowicza, przyglądając się elipsom jego muskularnych ramion albo rozpychającej jego koszulkę klatce piersiowej, i rozkoszowała się myślą, jak wspaniałe będzie się prezentował nago, kątem oka śledziła skraj szosy na wypadek, gdyby usiłował zatrzymać ją samiec rokujący jeszcze większe nadzieje.

Dzisiejszy dzień nie zaczął się pomyślnie.

Przejeżdżając wiaduktem nad torami kolejowymi w pobliżu sennej wsi Fearn, jeszcze zanim wjechała na trasę, usłyszała stukot dobiegający znad przedniego lewego koła. Wsłuchiwała się w ten dźwięk, wstrzymując oddech i dumając, co maszyna próbuje jej powiedzieć w tym swoim osobliwym, obcym języku. Czy stukot jest prośbą o pomoc? Objawem chwilowego złego humoru? Przyjacielskim ostrzeżeniem? Nasłuchiwała jeszcze przez chwilę, usiłując wyobrazić sobie, w jaki sposób mogą się

porozumiewać samochody.

Czerwona corolla nie była jej najlepszym autem – najbardziej tęskniła za szarym nissanem kombi, na którym nauczyła się prowadzić. Reagował gładko i spokojnie, pracował niemal bezdźwięcznie i był przestronny z tyłu – można w nim było zmieścić nawet łóżko. Musiała jednak pozbyć się go zaledwie po roku.

Od tamtej pory dysponowała kilkoma mniejszymi samochodami, ale dodatkowe wyposażenie, przeniesione z nissana, sprawiało w nich czasem kłopoty. Czerwona corolla prowadziła się sztywno i bywała nieco narowista. Niewątpliwie bardzo chciała być dobrym samochodem, miała jednak swoje ograniczenia.

Zaledwie kilkaset metrów przed zjazdem na szosę A9 Isserley natknęła się na zarośniętego młodzieńca wędrującego wolnym krokiem poboczem wąskiej drogi. Próbował zatrzymać samochody, unosząc kciuk w proszącym geście. Przyspieszyła, kiedy go mijała, on zaś leniwie wyrzucił ramię w górę, wyprostowując jeszcze dwa palce oprócz kciuka. Znała młodzieńca z widzenia, tak jak on ją. Oboje należeli do mieszkańców tych okolic, choć nigdy nie spotkali się osobiście, nie licząc takich właśnie przelotnych chwil jak ta.

Isserley z zasady omijała miejscowych jak najszerszym łukiem.

Wjeżdżając na A9 w Kildary, sprawdziła zegar na tablicy rozdzielczej. Coraz wcześniej robiło się jasno: dochodziła dopiero ósma dwadzieścia cztery, a słońce weszło już wysoko nad horyzont. Niebo, przesłonięte watą nieskalanych, białych, kłębiastych chmur, było fioletowe niczym siniak i różowe jak mięso, co wróżyło, że wkrótce stanie się lodowato przejrzyste. Nie spadnie śnieg, ale szron będzie się skrzyć godzinami, a powietrze nie zdąży się nagrzać przed nocą.

Z punktu widzenia Isserley taki jasny, pogodny dzień jak ten sprzyjał bezpiecznej jeździe, nie był jednak zbyt korzystny, jeśli chodziło o ocenę autostopowiczów. Szczególnie zahartowane

okazy mogą wprawdzie paradować w samych koszulach, żeby chełpić się swoją tężyzną fizyczną, ale większość będzie otulona płaszczami i paroma warstwami wełnianych tkanin, co utrudni taksację. Bo przecież nawet głodomór może sprawiać wrażenie mięśniaka, jeśli się grubo ubierze.

Na razie nie widziała w lusterku wstecznym żadnych samochodów, więc nadal sunęła z prędkością czterdziestu mil na godzinę, poniekąd także po to, by sprawdzić, czy znad przedniego koła wciąż dobiega stukot. Doszła do wniosku, że usterka zniknęła. Było to, oczywiście, myślenie życzeniowe, mogące jednak podnieść na duchu kogoś, kto wyruszył na poranną wyprawę po całej nocy uporczywego bólu, koszmarnych snów i niespokojnej, przerywanej drzemki.

Głęboko, z wysiłkiem wciągała powietrze do płuc przez wąskie, małe, ledwie rozwarte nozdrza. Było świeże, ostre i z lekka upajające, jak czysty tlen albo eter podawany przez maskę. Jej świadomość tkwiła na rozdrożu między hiperaktywną jawą a powrotem w sen i Isserley nie wiedziała, którą drogę ostatecznie wybierze, jeśli coś nie pobudzi jej wkrótce do działania.

Mijała różne miejsca, gdzie ustawiali się zwykle autostopowicze, ale dookoła nie było żywej duszy. Tylko szosa i pusty, szeroki świat.

Kilka zabłakanych kropli deszczu rozbiło się na przedniej szybie wozu, a wycieraczki rozmazały dwie ohydne, monochromatyczne tęcze na wysokości jej oczu. Isserley wycisnęła płyn ze spryskiwacza – wydawało się, że strumień bił o szkło bez końca, zanim widok za oknem stał się znów wyraźny. Ta czynność w pewnym sensie jeszcze bardziej pozbawiła ją sił, jak gdyby podczas jej wykonywania musiała na nią zużyć własne płyny ustrojowe.

Usiłowała wybiec myślami naprzód, wyobrażając sobie, że już zaparkowała gdzieś samochód, a obok niej siedzi smakowity, młody autostopowicz, którego owiewa jej ciężki oddech, a ona gładzi po głowie i obejmuje samca w pasie, żeby

ułożyć go w odpowiedniej pozycji. Tego rodzaju rojenia nie wystarczały jednak, by mogła powstrzymać opadające powieki.

Kiedy zaczęła już szukać odpowiedniego miejsca, gdzie mogłaby zjechać i zdrzemnąć się przez chwilę, zauważyła zarys jakiejś postaci tuż poniżej linii horyzontu. Ocknęła się natychmiast, ostrożnie rozwarła powieki i poprawiła przekrzywione okulary. Badawczo przyjrzała się w lusterku swojej fryzurze i twarzy. Wydęła na próbę wargi, czerwone niczym szminka.

Mijając autostopowicza po raz pierwszy, stwierdziła, że jest płci męskiej, stosunkowo wysoki, szeroki w barach i niedbale ubrany. Próbował zatrzymać samochody, używając zarówno kciuka, jak i palca wskazującego, choć nieco bezradnie, jak gdyby czekał na okazję całe wieki. Ale może po prostu nie chciał wydawać się zbyt natarczywy.

Gdy zawróciła, spostrzegła, że autostopowicz jest jeszcze całkiem młody, a włosy ma przycięte bardzo krótko, niczym pensjonariusz któregoś ze szkockich zakładów penitencjarnych. Jego ubranie było szarobrązowe, jak błoto. To, co kryło się pod spodem, obiecująco wypychało jego kurtkę, ale czy były to mięśnie, czy też tłuszcz, mogło się dopiero okazać.

Zbliżając się ku niemu po raz ostatni, zauważyła, że samiec jest nieprzeciętnie wysoki. Wpatrywał się w jej samochód, być może uświadamiając sobie, że widział go już kilka minut wcześniej, bo ruch na drodze był niewielki. Mimo to wcale nie gestykulował energiczniej niż przedtem, po prostu trzymał wciąż leniwie wyciągniętą rękę. Tacy jak on nie zwykli się napraszać.

Zwolniła i zatrzymała się dokładnie na wprost niego.

– Wskakuj – powiedziała.

– Dzięki – odparł filuternie, wślizgując się na fotel pasażera po jej lewej ręce.

Już z tego jednego słowa, które wypowiedział bez uśmiechu, choć musiał uruchomić odpowiedzialne za uśmiech mięśnie twarzy, Isserley dowiedziała się o nim tego i owego. Należał do

ludzi, którzy uchylają się od podziękowań, jak gdyby wdzięczność stanowiła jakąś pułapkę. W oczach tego autostopowicza nie mogła zrobić dla niego nic, co uczyniłoby go jej dłużnikiem; przyjmował wszystko z dobrodziejstwem inwentarza. Zatrzymała się, żeby go podwieźć – no, to doskonale. Czemu nie? Robi dla niego za darmo coś, za co zapłaciłby majątek, gdyby wziął taksówkę, a on kwituje jej uprzejmość jednym słowem: „dzięki”, jakby była jego kompanem od kieliszka, który wyświadczył mu właśnie jakąś banalną, nieistotną przysługę, podsuwając, na przykład, popielniczkę.

– Nie ma za co – odpowiedziała Isserley, jak gdyby jednak szczerze jej podziękował. – Dokąd się wybierasz?

– Na południe – powiedział, patrząc na południe.

Minęła długa sekunda, po czym autostopowicz przeciągnął pas bezpieczeństwa przez pierś, niechętnie przyznając w ten sposób, że dopiero teraz mogą ruszyć.

– Tak po prostu, na południe? – zagadnęła, spokojnie włączając się do ruchu i pamiętając, jak zawsze, żeby uruchomić kierunkowskaz, a nie światła, wycieraczki albo urządzenie tłoczące ikpatuę.

– Hmm... To zależy – powiedział. – A ty dokąd jedziesz?

Przeprowadziła w myślach szybką kalkulację, a potem spojrzała mu w twarz, zastanawiając się, jaką wyznaczyć mu rolę w swoich planach.

– Jeszcze nie wiem – odparła. – Na początek chyba do Inverness.

– Jeśli o mnie chodzi, może być Inverness.

– Ale chciałbyś pojechać gdzieś dalej?

– Aż do końca.

Nieoczekiwanie w lusterku wstecznym pojawił się samochód, Isserley musiała więc odgadnąć intencje obcego kierowcy – a kiedy ponownie odwróciła się do autostopowicza, jego twarz miała znów nieprzenikniony wyraz. Czy ta ostatnia uwaga była wyrazem szelmowskiej arogancji z jego strony? Aluzją

seksualną? Czy może tylko zwyczajną konstatacją?

– Długo czekałeś? – zapytała, żeby go rozdrażnić i ponownie pobudzić jego intelekt.

– Słucham?

Zamrugał, bo zaskoczyła go, kiedy rozpinał suwak kurtki. Czy jego umysł nie potrafił poradzić sobie z zadaniem polegającym na rozpięciu zamka i jednoczesnym zrozumieniu prostego pytania? Prawą brew autostopowicza przecinała rysa wąskiej, czarnej szramy, niemal już zagojona: czyżby przewrócił się gdzieś po pijanemu? Białka jego oczu były bez skazy, włosy mył ostatnio w niezbyt odległej przeszłości, nie śmierdział – czy zatem był po prostu głupi?

– Chodzi mi o miejsce, z którego cię zabrałam – wyjaśniła. – Pytałam, czy długo tam stałeś?

– Nie wiem – odpowiedział. – Nie mam zegarka.

Zerknęła na nadgarstek jego bliższej, prawej ręki. Był szeroki i mocny, porośnięty drobnymi, złocistymi włoskami. Z przegubu wybiegały dwie niebieskawe żyły, ciągnące się dalej grzbietem jego dłoni.

– Jasne, ale czy wydawało ci się, że długo czekasz?

Przez chwilę zastanawiał się nad tym pytaniem.

– No.

Uśmiechnął się szeroko. Jego uzębienie nie było w najlepszym stanie.

Na zewnątrz, na tamtym świecie, promienie słoneczne rozgorzały z gwałtownie zwiększoną energią, jak gdyby przedstawiciele odpowiedzialnej za pracę słońca agencji zauważyli przed chwilą, że gwiazda wykorzystuje zaledwie połowę zalecanej mocy. Deska rozdzielcza rozbłysła niczym świetlówka, zalewając Isserley i autostopowicza promieniami ultrafioletowymi oraz czystym ciepłem, z którego zgrabnie odfiltrowano kęs chłodu. Ogrzewanie w samochodzie włączone było na cały regulator, autostopowicz zaczął więc po chwili wiercić się na fotelu, usiłując zdjąć kurtkę. Obserwowała go ukradkiem, przyglądając się mechanicznej pracy bicepsów i

tricepsów, i grze muskulatury barków samca.

– Mogę to położyć z tyłu? – zapytał, mnąc kurtkę w szerokich dłoniach.

– Jasne – odpowiedziała, spostrzegłszy, jak fale mięśni rysują się pod koszulką autostopowicza, kiedy odwrócił się, by rzucić kurtkę na jej leżący na tylnym siedzeniu skafander. Ma dość wydatny brzuch – pomyślała. To piwo, a nie zwały mięśni – ale nie budzi większego obrzydzenia. Za to wypukłość w jego dżinsach wyglądała całkiem obiecująco, chociaż zapewne tworzyły ją przede wszystkim jądra.

Autostopowicz wreszcie usadowił się wygodnie na fotelu i błysnął zębami, posyłając jej uśmiech okraszony resztkami paskudnego, szkockiego żarcia, którym żywił się przez całe życie.

Odwzajemniła uśmiech, zastanawiając się, czy użębienie naprawdę jest takie istotne.

Wyczuwała, że jest bliska podjęcia ostatecznej decyzji. Właściwie, szczerze mówiąc, była już zdecydowana i dlatego zaczynała dyszeć.

Próbowała powstrzymać wypływ adrenaliny, śląc samej sobie uspokajające sygnały i odbierając je. W porządku, owszem, jest niezły: w porządku, tak, chce go mieć, najpierw jednak musi dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Nie może sobie pozwolić na upokorzenie i nie powinna angażować się przedwcześnie, by uwierzywszy już, że z nią pojedzie, nie dowiedzieć się później, że ma żonę albo dziewczynę, która na niego czeka.

Gdyby tylko zaczął z nią rozmawiać. Dlaczego jest tak, że atrakcyjni autostopowicze zawsze siedzą w milczeniu, a pokraki gładzą jak najęte bez żadnej zachęty z jej strony?

Spotkała kiedyś jedno takie nędzne stworzenie, które zdjawszy obszerną kurtkę, odsłoniło wrzecionowate ramiona i kurzą pierś, by już po kilku minutach opowiedzieć jej całe swoje życie. A muskularne samce patrzą zwykle przed siebie albo rzucają bardzo ogólnikowe uwagi o świecie, odparowując

pytania na tematy osobiste ze zręcznością i refleksem sportowców.

Mijały minuty, a jej autostopowicz najwyraźniej nie miał ochoty, żeby przerwać milczenie. Jednak starał się przynajmniej na nią zerkać, w szczególności zaś interesowały go jej piersi. Ba, ponieważ zerkając w bok, napotykała jego ukradkowe spojrzenia, skłonna była przypuszczać, że wolałby pewnie, aby patrzyła wprost przed siebie, wtedy bowiem mógłby ją obrzucać pożądanymi spojrzeniami dyskretnie, nie zdradzając się z niczym. No, to w porządku: niech się jej dobrze przyjrzy, a wtedy zobaczymy, czy to coś zmieni, czy nie. Poza tym zjazd w Evanton i tak był już niedaleko, musiała więc skupić się na sytuacji na drodze. Pochyliła się nieco do przodu, prowadząc z miną znamionującą przesadną koncentrację, i pozwoliła, żeby autostopowicz dokładnie ją sobie obejrzał.

Natychmiast poczuła na całym ciele jego rozogniony wzrok, palący niby promienie ultrafioletowe z innego niż słońce źródła, chociaż z nie mniejszą mocą.

Zastanawiała się, och, była strasznie ciekawa, jak on ją teraz postrzega w swojej prostodusznej, obcej nieświadomości. Czy zauważył, ile zadaje sobie dla niego trudu? Wyprostowała się, podając do przodu pierś.

Autostopowicz spostrzegł jej wysiłki, bez dwóch zdań.

Ma fantastyczne cycki, ale Boże mój, poza tym ledwo ją widać. Jest maleńka – jak dzieciak, który wygląda przez szybę znad kierownicy. Ile może mieć wzrostu? Na stojąco najwyżej metr pięćdziesiąt. Zabawna rzecz, że kobiety z najładniejszymi cyckami są na ogół bardzo niskiego wzrostu. A ta dziewczyna najwidoczniej wie, że ma dojrzałe piersi, bo ślicznie je odsłania w wycięciu mocno wydekoltowanej bluzki. To dlatego w tym samochodzie jest gorąco jak w piecu, no, oczywiście – żeby mogła prowadzić w takiej kusej, czarnej bluzeczce i wietrzyć te swoje bufory na oczach wszystkich – na jego oczach.

Poza tym wygląda jednak dość dziwnie. Długie, chude ramiona i potężne, sękaty łokcie – nic dziwnego, że nosi bluzkę

z długimi rękawami. Ma też sękaty nadgarstki i duże dłonie. Mimo to, z takimi cycami...

Tak, ręce tej dziewczyny jednak naprawdę wyglądają dziwnie. Są większe, niż można by sądzić po innych częściach jej ciała, a przy tym chude niby... kurze łapki. I pokryte zrogowaciałą skórą, jak gdyby ciężko pracowała fizycznie, może w jakiejś fabryce. Nie widać dobrze jej nóg, ale nosi takie ohydne spodnie-dzwony w stylu lat siedemdziesiątych, które ostatnio znów stały się modne – spodnie w kolorze fosforyzującej zieleni, na litość boską – i buty, wyglądające na martensy, ale jednak w żaden sposób nie da się ukryć, że nogi ma króciutkie. Choć, mimo wszystko, jej cyci... Są jak... Jak... Nie wiedział, do czego mógłby je przyrównać. W każdym razie wyglądały zajebiście przyjemnie, przytulone do siebie w świetle wpadającego przez przednią szybę słońca.

Mniejsza o cyci: a twarz? No tak, teraz jej dobrze nie widział; nosiła taką fryzurę, że musiałaby się odwrócić, aby mógł zobaczyć twarz dziewczyny. Miała grube, proste, puszyste włosy mysiego koloru, które zasłaniały nawet jej policzki, kiedy patrzyła przed siebie. Kusiło go, żeby wyobrazić sobie piękną buzię, skrytą za tymi włosami, twarz piosenkarki albo aktorki, wiedział jednak, że niczego takiego nie ujrzy.

Ba, kiedy odwróciła się do niego, widok jej oblicza właściwie go przeraził. Była to mała buzia w kształcie serca, przypominająca twarzyczki elfów z ilustracji w bajkach dla dzieci, o idealnie ukształtowanym nosku i fantastycznie pełnych, łukowatych ustach supermodelki. Miała przy tym jednak pulchne policzki i nosiła okulary o najgrubszych soczewkach, jakie zdarzyło mu się w życiu widzieć: szkła powiększały jej oczy do tego stopnia, że wydawały się dwukrotnie większe od oczu normalnego człowieka.

Tak, naprawdę osobliwa z niej dziewczyna. Trochę laska ze *Słonecznego patrolu*, a trochę mała, zasuszona staruszka.

I prowadzi dokładnie jak staruszka. Jedzie najwyżej pięćdziesiąt na godzinę. A ten tandetny skafander na tylnym

siedzeniu – po co jej coś takiego? Na pewno ma nierówno pod sufitem. Na pewno jest stuknięta. W dodatku mówi z dziwnym akcentem – to cudzoziemka, na bank.

Czy chciałby ją zerznąć?

Pewnie tak, jeżeli nadarzyłaby się po temu okazja. Pewnie pieprzyłaby się o wiele lepiej niż Janine, szkoda gadać.

Janine. Chryste, to zdumiewające, że już na samą myśl o niej stracił humor. Do tej pory był przecież w świetnym nastroju. Dobra, stara Janine. Pamiętaj, jeżeli zbyt cię ponosi radość, wspomnij tylko Janine. Jezu... Czy nie może po prostu o niej nie myśleć? Wystarczy spojrzeć na cycki tej dziewczyny, świecące w słońcu jak... Teraz już wiedział, jak wyglądają jej piersi: przypominały księżyc. Właściwie dwa księżycy.

– Co robisz w Inverness? – zapytał nieoczekiwanie.

– Prowadzę interesy.

– Czym się zajmujesz?

Isserley zadumała się na chwilę. Milczeli już tak długo, że zapomniała, za kogo postanowiła podać się tym razem.

– Jestem prawnikiem.

– Żartujesz?

– Nie żartuję.

– Takim jak w telewizji?

– Nie oglądam telewizji.

W pewnym sensie była to prawda. Zaraz po swoim przyjeździe do Szkocji niemal nie wyłączała telewizora, ale teraz oglądała już tylko wiadomości i od przypadku do przypadku fragmenty różnych programów, kiedy ćwiczyła.

– Prowadzisz sprawy karne? – podsunął autostopowicz. Przelotnie spojrzała mu w oczy. Kryła się w nich iskierka, którą może warto było rozdmuchać.

– Czasami – wzruszyła, a raczej spróbowała wzruszyć ramionami. Wzruszyć ramionami, prowadząc samochód, było w ogóle zdumiewająco trudną sztuczką, szczególnie jeśli miało się tak duże piersi jak ona.

– Jakieś pikantne przestępstwa? – dopytywał się.

Zmrużyła oczy, patrząc w lusterko wsteczne, i zwolniła, żeby mógł ją wyprzedzić volkswagen ciągnący przyczepę kempingową.

– A co to dla ciebie znaczy „pikantne przestępstwo”? – zapytała, kiedy volkswagen łagodnie wślizgnął się przed nią.

– Bo ja wiem... – autostopowicz wydał z siebie westchnienie, które zabrzmiało boleśnie i figlarnie zarazem. – Na przykład gościu zabija swoją żonę, która kręci z innym facetem.

– Może i prowadziłam kiedyś podobną sprawę – odpowiedziała niezobowiązująco Isserley.

– I co, załatwiłaś go?

– Jak to, czy go załatwiłam?

– Dostał dożywocie?

– A dlaczego zakładasz, że go nie broniłam? – uśmiechnęła się z przymusem.

– Och, wiesz, jak to jest: kobiety kontra mężczyźni...

Powiedział to dziwnym głosem: przygnębionym, rozgoryczonym nawet, a jednak flirciarskim. Łamała sobie głowę, jaka odpowiedź byłaby w tej sytuacji najlepsza.

– Nie mam nic przeciw mężczyznom – powiedziała w końcu, w zamyśleniu zmieniając pas. – Szczególnie przeciw takim, którym kobiety wyrządzają krzywdę.

Miała nadzieję, że teraz się otworzy.

Ale autostopowicz milczał, a nawet oklapł nieco i osunął się na siedzeniu. Zerknęła na niego kątem oka, nie nawiązał z nią jednak kontaktu wzrokowego, jak gdyby pogwałciła pewną umowną granicę poufałości. Zadowolona się więc lekturą napisu na jego koszulce: brzmiał AC/DC, a niżej, większymi, wypukłymi literami, BALLBREAKER[1]. Nie miała zielonego pojęcia, co to może znaczyć, i nagle poczuła, że nie nadają na tych samych falach.

[1] Ballbreaker (ang.) – tu: kat, tyran, tytan, człowiek stawiający sobie i innym wyjątkowo trudne, herkulesowe zadania; to samo słowo oznacza jednak także kobietę,

negującą lub unicestwiającą męskość mężczyzny, herod-
babę, pałającą żądzą kastracji.

Doświadczenie nauczyło ją, że w takich okolicznościach nie należy robić niczego innego, jak tylko wysyłać jeszcze silniejsze sygnały.

– Jesteś żonaty? – spytała.

– Byłem – oświadczył głucho. Na czole, poniżej jego przyszytych na jeża włosów, lśnił pot. Autostopowicz wsunął kciuk pod pas bezpieczeństwa, jak gdyby się dusił.

– To pewnie nie przepadasz za prawnikami – domyśliła się Isserley.

– Było w porządku – powiedział. – Czysta sprawa.

– Więc nie mieliście dzieci?

– Sąd przyznał dzieci żonie. Życzę jej powodzenia – powiedział takim tonem, jak gdyby jego małżonka była jakąś odległą i niepokorną krainą, gdzie próby wprowadzenia bardziej cywilizowanych obyczajów nie mają żadnego sensu.

– Nie chciałam być wścibska – powiedziała Isserley.

– W porzo.

Jechali dalej. To, co wydawało się narastającą między nimi bliskością, zastygło w obopólnym skrzępowaniu.

Słońce wzniosło się ponad dach samochodu, oblewając przednią szybę ostrą, jednolitą falą bieli, której blask mógł się okazać dokuczliwy. Las po prawej stronie drogi przerzedził się. Zastąpił go stromy nasyp porośnięty gęsto pnączami i przebiśnigami. Napisy w kilku nieznanym Isserley językach przypominały obcokrajowcom, by poruszali się właściwą stroną drogi.

Temperatura w samochodzie podniosła się na tyle, że nawet Isserley, która dobrze znosiła ekstremalne warunki, poczuła duchotę. Okulary dziewczyny zaczynały pokrywać się mgiełką pary, ale nie mogła ich teraz zdjąć: autostopowicz nie powinien zobaczyć jej nieosłoniętych oczu. Lepka, wąska strużka potu spłynęła powoli z szyi na mostek Isserley i zastygła na krawędzi dekoltu, ale autostopowicz zdawał się tego nie widzieć. Bębnił

chaotycznie dłońmi w wewnętrzną część ud, wybijając rytm melodii, której nie potrafiła rozpoznać, a kiedy zdał sobie sprawę, że na niego patrzy, przerwał nagle i splótł bezwładne ręce na kolanach.

Co mu się stało, u licha? Co spowodowało tę przerażającą przemianę? Właśnie kiedy nabrała przekonania, że ich spotkanie zapowiada się bardzo obiecująco, autostopowicz zaczął karleć w jej oczach – nie był tym samym samcem, którego zaprosiła do samochodu przed dwudziestoma minutami. Czyżby należał do tych niedowartościowanych dupków, których seksualna pewność siebie znika, kiedy przypomnieć im o prawdziwych kobietach? Czy może to była jej wina?

– Otwórz okno, jeśli chcesz – zaproponowała.

Skinął głową, bez słowa.

Isserley wdepnęła energicznie pedał gazu w nadziei, że w ten sposób sprawi mu przyjemność. Ale autostopowicz westchnął tylko i usadowił się głębiej na siedzeniu, jak gdyby niezauważalne z jego punktu widzenia przyspieszenie przypominało mu jedynie, że jadą wolno donikąd.

Może nie powinna była podawać się za prawniczkę. Może sprzedawczyni albo przedszkolanka skłoniłaby go do bardziej osobistych wynurzeń. Ale ona wzięła go po prostu za czerstwego twardziela; myślała nawet, że ma za sobą kryminalną przeszłość, o której jej w końcu opowie, aby ją rozdrażnić albo sprawdzić. Może naprawdę bezpiecznie mogłaby się poczuć przy nim tylko jako gospodyni domowa.

– A twoja żona... – podjęła na nowo temat, siląc się na krzepiący, kumpelski, męski ton, jakiego mógłby się spodziewać po kompanie od kieliszka. – Czy jej przyznano dom?

– Tak... Nno... Nie... – Odetchnął głęboko. – Musiałem go sprzedać i oddać jej połowę pieniędzy. Potem wyjechała do Bradford, a ja zostałem tutaj.

– Tutaj, czyli gdzie? – zapytała, ruchem głowy wskazując rozpościerającą się przed nimi drogę, aby przypomnieć mu, jak

daleko tymczasem go wywiozła.

– W Milnafua... – zachichotał, jak gdyby wstydził się nazwy tej miejscowości.

W uszach Isserley słowo „Milnafua” brzmiało zupełnie zwyczajnie – prawdę mówiąc, zwyczajniej niż Londyn czy Dundee, bo miała niejake trudności z wymówieniem tych ostatnich nazw. Spodobało się jej jednak, że zdaniem autostopowicza Milnafua leży na końcu świata.

– Nie można tam znaleźć żadnej roboty, co? – podsunęła z nadzieją, że poruszy w nim swobodną, męską strunę współczucia.

– Wiem coś o tym – zamruczał. A po chwili, zdumiewająco piskliwie podnosząc głos, dodał: – Ale trzeba się starać, co nie?

Przyglądając mu się z niedowierzaniem, potwierdziła swoje przypuszczenia co do postawy, jaką usiłuje przyjąć autostopowicz: jego słowa były wyrazem żalosego optymizmu i trafiał nimi jak kulą w płot. Uśmiechał się nawet, a na jego twarz wystąpiła lśniaca warstewka potu – zapewne uznał nagle, że niebezpiecznie jest przyznawać się do nadmiernej gnuśności, jak gdyby bał się wyjawic, iż jest na zasiłku, ponieważ mogłoby to mieć dla niego poważne konsekwencje. Może to jej wina, bo powiedziała mu, że jest prawniczką? Czy przestraszył się, że Isserley może przysporzyć mu jakichś kłopotów albo że pewnego dnia okaże się, iż sprawuje nad nim coś w rodzaju urzędowej kurateli? Czy mogłaby teraz przeprosić go ze śmiechem za ewidentne kłamstwo i zacząć wszystko od początku? Powiedzieć, że handluje oprogramowaniem komputerowym albo odzieżą dla puszystych pań?

Duży zielony drogowskaz na skraju szosy powiadał, ile mil dzieli ich jeszcze od Dingwall i Inverness: niewiele. Po lewej stronie ziemia osuwała się, odsłaniając połyskliwy brzeg Cromarty Firth. Był odpływ, woda obnażyła skały i piasek. Na jednej ze skał, tęsknie niczym rozbitek, siedziała samotna foka.

Isserley przygryzła wargę, powoli godząc się ze swoim błędem. Prawniczka, sprzedawczyni, gospodyni domowa: nie

ma żadnej różnicy. Jest dla niej nieodpowiedni i tyle. Poderwała niewłaściwego faceta. Który to już raz?

Tak, teraz było oczywiste, co zamierza ten wielki, drażliwy zabijaka. Jedzie do Bradford odwiedzić żonę, a w każdym razie dzieci.

Z jej punktu widzenia stanowiło to poważne ryzyko. Dzieci mogą wszystko strasznie skomplikować. Choć bardzo pragnęła go mieć – dopiero teraz zaczęło do niej docierać, jak bardzo przywykła już do myśli, że go chce – to nie życzyła sobie żadnych komplikacji. Będzie musiała dać sobie z nim spokój. Będzie musiała wysadzić go gdzieś po drodze.

Do końca podróży siedzieli oboje w milczeniu, zrozumiawszy zapewne, że są wzajemnie sobą rozczarowani.

Ruch gęstniał ze wszystkich stron; ugrzęźli w zdyscyplinowanej kolejce samochodów, przejeżdżających przez kilkupasmową, zawieszoną wysoko niby cyrkowa lina nitkę mostu Kessock. Isserley zerknęła na autostopowicza i poczuła ukłucie zdumienia, ujrawszy, że odwrócony od niej samiec wpatruje się w majaczące daleko w dole fabryki Inverness. Upiornemu, przypominającemu dziecięcą zabawkę miastu, zbudowanemu z prefabrykowanej szpetoty, przyglądał się z taką uwagą, z jaką jeszcze nie tak dawno podziwiał jej piersi. Małeńkie ciężarówki znikające w fabrycznych paszczach: oto, co go teraz interesowało.

Trzymała się lewego pasa, jadąc szybciej niż dotąd. Po pierwsze, zmuszały ją do tego inne pojazdy, a po drugie chciała jak najszybciej mieć go z głowy. Zmęczenie powróciło ze zdwojoną siłą; marzyła o jakimś cieniściej parkingu, gdzie mogłaby oprzeć głowę o siedzenie i zdrzemnąć się chwilę.

Po drugiej stronie zatoki, gdzie most już stykał się z ziemią, skoncentrowała się z autentycznym wysiłkiem, aby pokonać rondo, nie utknąć wśród zjeżdżających do miasta samochodów i nie dać się zapędzić z ich stadem do Inverness. Nie próbowała nawet ukryć grymasu niepokoju w trakcie tego manewru: i tak już przecież straciła pasażera.

By jednak przerwać ciszę kilku ostatnich, wspólnie spędzonych chwil, zaproponowała mu coś na małą, pożegnalną pociechę.

– Podwożę cię kawałek dalej, za zjazd na Aberdeen. Wtedy będziesz miał przynajmniej pewność, że wszystkie samochody jadące tamtą drogą zmierzają na południe.

– Dobra, fajnie – powiedział beznamiętnie autostopowicz.

– Kto wie? – próbowała mu się przypochlebić. – Może zdążysz do Bradford jeszcze dzisiaj wieczorem?

– Do Bradford? – zmarszczył brwi, odwracając się, żeby odpowiedzieć. – A kto ci powiedział, że jadę do Bradford?

– Nie jedziesz zobaczyć się z dziećmi? – przypomniała mu.

Nastąpiła niezręczna pauza.

– Nie widuję swoich dzieci – oświadczył po chwili bez ogródek. – Nie wiem nawet dokładnie, gdzie mieszkają, poza tym, że właśnie gdzieś w Bradford. Janinę, moja była żona, nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Jeśli chodzi o nią, po prostu nie istnieję. – Patrzył przed siebie, jak gdyby próbował obliczyć, ile tysięcy miejscowości leży na południu, i z ich sumą porównywał liczbę, do której można było sprowadzić jego osobę.

– Do Bradford Janinę przyjechała zresztą wiele lat temu... – powiedział. – Nie byłbym zdziwiony, gdyby wyprowadziła się już stąd na jebanego Marsa.

– No to... Dokąd chciałbyś się dzisiaj dostać? – zapytała Isserley, zmieniając bieg tak niezdarnie, że w skrzyni rozległ się okropny zgrzyt.

Autostopowicz wzruszył ramionami.

– Może być Glasgow – oznajmił. – Mają tam niezłe puby.

Zauważywszy, że Isserley patrzy ponad jego głowę na znaki, które zapowiadały zbliżające się nieuchronnie parkingi, zorientował się, iż dziewczyna zamierza go jednak wysadzić. Szybko zdobył się więc na ostatni i całkiem niestosowny przyływ konwersacyjnego animuszu, którego źródłem było rozgoryczenie.

– Lepiej siedzieć w pubie niż w Commercial Hotel w Alness z

bandą starych pierdzieli, którzy słuchają, jak jakiś kretyń śpiewa pieprzoną *Copacabanę*.

– A gdzie będziesz nocował?

– Znam w Glasgow paru facetów – powiedział, popadając znowu w przygnębienie, jak gdyby ostatnia erupcja jego energii rozplynęła się tymczasem w powietrzu. – Muszę się tylko na nich natknąć i tyle. Na pewno gdzieś się kręcą po mieście. Świat jest mały, no nie?

Isserley patrzyła przed siebie na ośnieżone szczyty gór. Wydawało się jej, że świat jest wielki.

– Mmmh... – powiedziała, niezdolna, by dzielić jego wyobrażenia o tym, jak może przywitać go Glasgow. Autostopowicz wyczuł, o czym myśli, i w prostym, rozpaczliwym geście otworzył swoje atletyczne dłonie, by zademonstrować, że nic w nich nie ukrywa.

– Z drugiej strony znajomi mogą zawsze człowieka zawieść, co nie? – powiedział. – Dlatego trzeba mieć jakiś plan awaryjny.

Raptownie przełknął ślinę, a jabłko Adama zagrało pod jego skórą, jakby prawdziwe jabłko uwięzło mu w przełyku.

Isserley skinęła potakująco głową, usiłując nie okazywać emocji. Była cała zlane potem, strużki chłodu spływały jej po plecach jak prąd elektryczny, a piersi drżały od uderzeń bijącego mocno serca – jednak opanowała się na tyle, by wziąć pojedynczy głęboki oddech, zamiast oddychać szybko, ale płytko. Trzymając mocno kierownicę prawą dłonią, zerknęła w lusterko wsteczne, na drugi pas ruchu, na szybkościomierz, i w końcu na autostopowicza.

Wszystko ułożyło się doskonale, wszystko wskazywało, że powinno się to stać właśnie teraz.

Widząc jej podniecenie, uśmiechnął się do niej niepewnie, w gwałtownym geście unosząc ręce z kolan, jak gdyby zbudził się, oszołomiony, zdając sobie sprawę, że chyba czegoś się jeszcze od niego oczekuje. Isserley odwzajemniła jego szeroki uśmiech, dodając mu otuchy i niemal niepostrzeżenie kiwając głową, jak gdyby chciała w ten sposób powiedzieć: „tak”.

Potem środkowym palcem lewej ręki przesunęła niewielką dźwignię poniżej kierownicy.

Mógł to być przełącznik świateł, kierunkowskazów albo wycieraczek, ale nie obsługiwał żadnego z tych urządzeń, była to bowiem dźwignia mechanizmu tłoczącego ikpatuę i uruchamiająca igły w siedzeniu fotela pasażera, które wyskakiwały bezszelestnie z przypominających pochwy bruzdek w tapicerce.

Autostopowicz drgnął, kiedy igły przebiły jego dzinsy – poczuł po jednym ukłuciu w każdy pośladek. Patrzył przypadkiem w lusterko, wyrazu twarzy samca nie widział jednak nikt prócz Isserley. Najbliższym pojazdem była olbrzymia ciężarówka z napisem PRODUKTY ROLNE, jednak znajdowała się wciąż daleko, a siedzący za przydymioną szybą kierowca wydawał się nie większy od owadziej główki. W każdym razie wyraz zdumienia pojawił się na twarzy autostopowicza tylko na chwilę, gdyż dawka ikpatuy, jaką otrzymał, wystarczyłaby na obezwładnienie znacznie cięższego samca. Stracił przytomność, a głowa opadła mu na wyściełane wgłębienie zagłówek.

Drżącymi nieznacznie palcami Isserley przesunęła inną dźwignię, a łagodne tykanie kierunkowskazów wyznaczało teraz rytm jej oddechu. Samochód zjechał z drogi i sprawnie zjechał na parking. Strzałka prędkościomierza opadła do zera; wóz stanął; silnik zakrztusił się i zgasł, choć może wyłączyła go sama Isserley. Było po wszystkim.

Jak zawsze w takich chwilach, widziała samą siebie jakby z lotu ptaka: obserwowała z góry swoją małą, czerwoną toyotę, zaparkowaną w asfaltowych nawiasikach parkingu. Ciężarówka z napisem PRODUKTY ROLNE przemknęła obok po prostej.

Potem, jak zawsze, Isserley zaczęła spadać, z zawrotnej wysokości. W końcu jej duch wstąpił z powrotem w ciało i uderzyła głową o zagłówek, o wiele mocniej niż przedtem autostopowicz. Dygocząc na całym ciele, wciągała gwałtownie powietrze do płuc. Dyszała ciężko, trzymając się kierownicy,

jakby broniła się przed dalszym upadkiem, w same trzewia ziemi.

Zawsze potrzebowała trochę czasu, by wydostać się z powrotem na powierzchnię. Liczyła wdechy, powoli spowalniając je do sześciu na minutę. Potem rozluźniła chwyt na kierownicy i położyła ręce na brzuchu. Zawsze dziwnie ją to uspokajało.

Kiedy fala adrenaliny nareszcie opadła i Isserley uspokoiła się nieco, powróciła do swoich przerwanych zajęć. Z obu stron słyhać było szum przejeżdżających pojazdów, lecz nie widziała ich, tylko słyszała, bo za naciśnięciem odpowiedniego przycisku na desce rozdzielczej wszystkie szyby w samochodzie przybrały ciemnobursztynową barwę. Nigdy nie pamiętała chwili, w której wciskała ten guzik – musiała to czynić w przypiływie adrenaliny. Pamiętała tylko, że na tym etapie, kiedy wracała do siebie, szyby zawsze były już przyciemnione.

Drogą przejechał jakiś masywny pojazd – zadrżała ziemia, a po samochodzie Isserley przesunął się czarny cień. Oczekała, aż zniknie.

Następnie otworzyła schowek w desce rozdzielczej i wyciągnęła z niego perukę – męską, ale o kędzierzawych, jasnych włosach. Odwróciła się do zastygłego w bezruchu autostopowicza, po czym starannie włożyła mu ją na głowę. Wygładziła parę niesfornych loków nad uszami i ostrymi paznokciami skubnęła skraj peruki, by wciągnąć ją samcowi na czoło. Odsunęła się nieco, krytycznie oceniając efekt swoich wysiłków, i dokonała kilku korekt. Autostopowicz przypominał już do złudzenia wszystkich innych samców, jakich zdarzyło się jej podwieźć, a potem, bez ubrania, będzie wyglądał niemal identycznie jak tamci.

Później wygarnęła ze schowka garść okularów w różnych oprawkach, wybrała odpowiednią parę, po czym wsunęła ją autostopowiczowi na nos i za uszy.

W końcu sięgnęła po leżący na tylnym siedzeniu skafander, zrzucając kurtkę samca na podłogę. Skafander, jak się okazało,

miał tylko przód; plecy zostały wycięte. Okryła więc pierś pasażera tą obszytą futerkiem atrapą kurtki, wsuwając mu brzegi rękawów pod ramiona i otulając kark przepołowionym kapturem.

Był gotów do dalszej podróży.

Wcisnęła przycisk i bursztynowy odcień zniknął z szyb, niczym przebiegające wstecz zjawisko dyspersji światła. Na zewnątrz wciąż był chłodny, pogodny dzień. Ruch nieco zmalął. Ma przed sobą dwie błogie godziny, zanim ikpatua przestanie działać, ale od domu dzieli ją zaledwie pięćdziesiąt minut jazdy. W dodatku dochodzi dopiero dziewięćdziesiąt pięć. Mimo wszystko idzie jej całkiem dobrze.

Przekręciła kluczyk w stacyjce. Kiedy silnik zaskoczył, dał się znów słyszeć stukot, który zaniepokoił ją już wcześniej.

Będzie musiała się tym zająć, kiedy wróci na farmę.

2.

Następnego dnia krążyła w deszczu i śniegu całymi godzinami, zanim trafiła na odpowiedniego osobnika. Wyglądało na to, że kiepska pogoda zatrzymała w domach wszystkich atrakcyjnych samców.

Chociaż wypatrywała przez szybę autostopowiczów w takim skupieniu, że zaczął ją hipnotyzować ruch wycieraczek, długo nie dostrzegała na drodze niczego poza upiornymi tylnymi światłami zalewanymi deszczem aut, wlokących się szosą w popołudniowym zmierzchu.

Nie było co marzyć o autostopowiczach, skoro jedynymi przechodniami, jakich widziała rankiem, było dwóch pulchnych, ostrzyżonych na zapalkę młodzieńców z plastikowymi plecakami na ramionach, którzy chlapali się wodą na ulicy przy przejściu podziemnym w pobliżu Invergordon. Spóźnialscy uczniowie albo wagarowicze. Odwrócili się, kiedy ich mijała, i wykrzyknęli coś z tak ciężkim miejscowym akcentem, że nie zrozumiała ich słów. Przemoczone głowy chłopaków przypominały obrane ze skórki ziemniaki, polane na czubkach kleksami brązowego sosu. Mogło się wydawać, że na dłoniach mają rękawiczki z jasnozielonej folii – ale były to opakowania chipsów. Widziała w lusterku wstecznym, jak ich rozkołysane ciała oddalają się i zamieniają w kolorowe plamy, które połknęła w końcu szara zupa deszczu.

Przejeżdżając po raz czwarty koło Alness, nie mogła uwierzyć, że i tam nikogo nie ma. Zwykle było to najlepsze miejsce, bo bardzo wielu kierowców niechętnie zabierało autostopowiczów, których podejrzewali o to, że pochodzą z Alness. Dlaczego – wyjaśnił jej kiedyś z wdzięczności pewien autostopowicz: powiedział mianowicie, że Alness bywa określane mianem „Małego Glasgow” i ma w okolicy „złą sławę”.

Z łatwością można było się tu zaopatrzyć w różne nielegalne farmaceutyki, toteż nic dziwnego, że w mieście wybijano szyby wystawowe, a kobiety rodziły wcześniaki. Isserley nie była nigdy w Alness, choć leżało tylko o milę w bok. Omijała miasto, jadąc prosto szosą A9.

Dziś przejeżdżała tędy tam i z powrotem w nadziei, że jakiś miejscowy potępieniec w skórzanej kurtce pojawi się wreszcie na drodze, unosząc kciuk, aby złapać okazję i wyjechać w lepsze strony. Nikogo jednak nie zauważyła.

Zastanawiała się, czy nie pojechać dalej, przez most, i nie spróbować szczęścia za Inverness. Prawdopodobnie trafiłaby tam na lepiej zorganizowanych i bardziej zdeterminowanych autostopowiczów niż ci, którzy czekali na okazję bliżej swojego miejsca zamieszkania. Zapewne byłiby wyposażeni w termosy i kartoniki z napisem ABERDEEN albo GLASGOW.

Zazwyczaj nie miała nic przeciwko dalekim podróżom w poszukiwaniu tego, na czym jej zależało. Nierzadko zawracała dopiero w Pitlochry, dziś jednak zabobonnie obawiała się oddalić zbytnio od domu. Właściwie wszystko mogło pójść nie tak podczas deszczowej aury. Nie chciała gdzieś ugrzęznąć, nasłuchując słabego terkotu silnika wśród odgłosów potopu. A zresztą, kto powiedział, że codziennie musi przywozić do domu jakiegoś samca? Każda racjonalnie myśląca istota ludzka powinna zadowolić się jednym osobnikiem tygodniowo.

Około południa poddała się i zawróciła na północ, bawiąc się myślą, że jeśli dość stanowczo przyzna się przed światem, iż utraciła wszelką nadzieję, to być może coś się jej w końcu trafi.

I rzeczywiście, w okolicach billboardu, zapraszającego kierowców do odwiedzin malowniczych nadmorskich wiosek na trasie B9175, zauważyła nędznie wyglądającego dwunoga, wyciągającego w wilgotnym powietrzu kciuk przed jadącymi sznurem pękatymi pojazdami. Stał po drugiej stronie drogi, widoczny w światłach aut mijających go w rozpędzonej procesji. Nie miała wątpliwości, że kiedy zawróci, zastanie go w tym samym miejscu.

– Halo! – zawołała, otwierając z rozmachem lewe boczne drzwi.

– Dzięki Bogu – wykrzyknął autostopowicz, wspierając się jedną ręką na ich krawędzi i wsuwając ociekającą deszczem głowę do wnętrza samochodu. – Już zaczynałem myśleć, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

– Jak to? – zapytała Isserley.

Dłonie miał lepkie od brudu, ale duże i kształtne. Doczyści się je ładnie detergentem.

– Bo ja zawsze podwożę autostopowiczów – stwierdził, jak gdyby odpowiadał na złośliwe oszczerstwo. – Zawsze. Nigdy nie przejeżdżam obok obojętnie, jeżeli tylko mam dość miejsca w furgonetce.

– Ja też – zapewniła go Isserley, zastanawiając się, jak długo zamierza tak stać, wpuszczając deszcz do wnętrza samochodu. – Wskakuj.

Wsunął się do środka, sadowiąc swój wielki, przemoczony tyłek na fotelu, niby boję. Jeszcze nie zamknął drzwi, a już zaczął parować – niewyszukane ubranie autostopowicza było przemoczone do nitki i zaskrzypiało jak derma, kiedy siadał.

Był starszy, niż początkowo sądziła, ale w dobrej formie. Czy zmarszczki mają jakieś znaczenie? Chyba nie powinno się przywiązywać do nich większej wagi: ostatecznie występują wyłącznie naskórkowo.

– A co się dzieje, kiedy pewnego cholernego razu ja znajduję się w takiej sytuacji, że potrzebuję, żeby mnie ktoś podwiózł? – mówił dalej ze złością autostopowicz. – Leżę pół pieprzonej mili do głównej drogi w tym zasranym deszczu, i co? Myślisz, że chociaż jeden sukinsyn się zatrzymał?

– No... – Isserley uśmiechnęła się. – Ja się przecież zatrzymałam, nie?

– Taa, tylko że twój samochód był dwa tysiące pięćdziesiątym z kolei, możesz mi wierzyć, kurde – powiedział, popatrując na nią koso, jak gdyby nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Liczyłeś? – rzuciła mu sportowe wyzwanie.

– Taa – westchnął. – Znaczący, wiesz, z grubsza, w myślach. – Potrzęsnał głową, strącając krople dżdżu z krzaczastych brwi i bujnej grzywki. – Możesz mnie podrzucić gdzieś pod Tomich Farm?

Isserley przeprowadziła w myślach obliczenia. Miała zaledwie dziesięć minut, i to powolnej jazdy, żeby dowiedzieć się czegoś o autostopowiczu.

– Jasne – odpowiedziała, podziwiając stalową konstrukcję jego karku i szerokość barów, zdecydowana, by nie dyskwalifikować go wyłącznie ze względu na wiek.

Pasażer rozsiadł się wygodnie, zadowolony, ale po kilku chwilach na jego obliczu, przypominającym porośnięty szpiczakiem szpadel, pojawił się przebłysk zdumienia. Dlaczego nie jedziemy?

– Pas – przypomniała mu Isserley.

Zapiął się z taką miną, jak gdyby poprosiła, żeby po trzykroć pokłonił się wskazanemu przez nią bożkowi.

– Pas to śmiertelna pułapka – zamruczał pogardliwie, kręcąc się niespokojnie w rzadkich miazmatach pary, jaką wydzielało jego ciało.

– To nie moje widzimisię – zapewniła go Isserley. – Po prostu nie mogę sobie pozwolić, żeby zatrzymała mnie policja.

– Ach, tak, policja – powiedział drwiąco, jakby przyznała, że boi się myszy albo choroby wściekłych krów. W jego głosie nie było jednak ukrytego tonu protekcyjnej pobłażliwości. Tytułem eksperymentu zaczął nawet poruszać ramionami w jedną i drugą stronę, demonstrując w ten sposób, że mimo więzów jest mu całkiem wygodnie.

Isserley uśmiechnęła się i uprowadziła autostopowicza, opierając ręce wysoko na kierownicy, by odsłonić przed nim piersi.

Powinna na nie uważać, pomyślał autostopowicz. Inaczej wpadną jej do miski z owsianką.

Swoją drogą, tej dziewczynie należy się coś od życia, nosi

takie grube szkła i nie ma wcale podbródka. Nicki, jego córka, także nie jest urodziwą perłą, a ściśle mówiąc, nie wykorzystuje umiejętności nawet tych walorów, którymi obdarzył ją los. Ale jeżeli rzeczywiście studiuje prawo w Edynburgu, a nie przepija kieszonkowego od ojca, to może jeszcze kiedyś mu się przydać. Znajdując, na przykład, kilka kolejnych luk w prawie Unii Europejskiej.

A jak ta dziewczyna zarabia na chlebuś? Ręce ma jakieś dziwne. Nie, są po prostu kompletnie nienormalne. Może zniszczyła je kiedyś ciężką, fizyczną pracą. Była za młoda i za głupia, żeby się poskarżyć. Skubała kurczaki. Albo sprawiała ryby.

Na pewno mieszka nad morzem. Pachnie świeżą, morską wodą. Może pracuje dla któregoś z miejscowych rybaków. Wiadomo, że na przykład Mackenzie zatrudnia kobiety, jeżeli są dość silne i nie sprawiają kłopotów.

Czy ta dziewczyna może sprawiać kłopoty?

Jest twarda, to jasne. Dziewczyna o tak dziwnym wyglądzie przeszła z pewnością piekło, dorastając w jakimś nadmorskim miasteczku. Balintore. Hilton. Rockfield. Nie, w Rockfield nie. W Rockfield wszystkich zna.

Ile ma lat? Może osiemnaście, ale jej dłonie skończyły co najmniej czterdziestkę. Prowadzi samochód, jak gdyby holowała rozklekotaną przyczepę z sianem po wąskim moście. A siedzi wyprostowana, jakby kij połknęła. Gdyby była jeszcze odrobinę niższa, musiałyby sobie podkładać poduszki pod dupę. Może powinien podsunąć jej ten pomysł – a może ona odgryzie mu głowę, jeśli to zrobi. Zresztą poduszki pewnie są wbrew prawu. Przepis kodeksu drogowego numer trzy miliony sześćdziesiąt. Bałaby się powiedzieć policjantom, gdzie mogą sobie wsadzić taki przepis. Wolałaby cierpieć.

I widać, że cierpi. Dziwnie porusza rękami i nogami. Włączyła ogrzewanie na cały regulator. Na pewno kiedyś nieźle narozrabiała. Spowodowała wypadek? W takim razie ma jaja, skoro po wypadku ciągle prowadzi samochód. Twarda z niej

laseczka.

Czy może tej dziewczynie jakoś pomóc?

Czy może tę dziewczynę jakoś wykorzystać?

– Mieszkasz nad morzem, mam rację? – zapytał.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Isserley. Nie zagajała jeszcze rozmowy, zakładając, że autostopowicz potrzebuje więcej czasu, by przyjrzeć się jej figurze.

– Zapach – oświadczył bez ogródek. – Twoje ubranie pachnie morzem. Dornoch Firth? Moray Firth?

Zaniepokoiło ją, że trafił w dziesiątkę. Nigdy by się tego po nim nie spodziewała – miał na poły uśmiechnięte, na poły szydercze spojrzenie stworzenia słabego na umyśle. Na rękawach jego wyświechtanej, poliestrowej kurtki widniały czarne plamy oleju silnikowego. Ogorzała twarz samca usiana była bladymi bliznami, jak niedokładnie zmasane ze ściany graffiti.

Z dwóch domysłów autostopowicza wybrała ten chybiony.

– Dornoch – powiedziała.

– Nigdy cię tam nie widziałem.

– Przyjechałam dopiero parę dni temu.

Dogoniła już procesję pojazdów, które przedtem mijały ją obojętnie. Długi szlak gasnących świateł ciągnął się w dal. To dobrze. Zredukowała bieg i wlokła się na jedynce, zwolniona z obowiązku szybkiej jazdy.

– Masz robotę? – zapytał.

Umysł Isserley pracował teraz na najwyższych obrotach, bo monotonne tempo właściwie nie wymagało od niej koncentracji. Wydedukowała, że taki gość jak on zapewne zna przedstawicieli wszelkich możliwych zawodów, a przynajmniej takich, którymi nie pogardza.

– Nie – odpowiedziała. – Jestem bezrobotna.

– Żeby dostać zasiłek, trzeba mieć stały adres zamieszkania – zauważył, szybki jak błyskawica.

– Nie wierzę w zasiłki. – Wreszcie zaczęła go rozszyfrowywać, podejrzewała więc, że ta odpowiedź przypadnie mu do gustu.

- A szukasz pracy?
- Tak - odparła, zwalniając jeszcze bardziej, by wpuścić w kolumnę samochodów połyskliwie białego minimorrisa.
- Ale nie jestem dobrze wykształcona. Ani zbyt silna fizycznie.
- Próbowowałaś kiedyś zbierać trąbiki?
- Trąbiki?
- Trąbiki. Robię różne interesy, między innymi handluję trąbikami. Zbierają je dla mnie tacy ludzie jak ty, a ja sprzedaję je dalej.
- Zastanawiała się chwilę, próbując ocenić, czy ma dość danych po temu, by kontynuować rozmowę.
- Co to są trąbiki? - zapytała w końcu. Uśmiechnął się poprzez mgiełkę pary, jaką wydzielało jego ciało.
- W zasadzie to mięczaki. Na pewno je widziałaś, skoro mieszkasz tam, gdzie mieszkasz. Ale tak się składa, że mam jednego przy sobie. - Wypiął mięsisty pośladek w jej stronę, gmerając w prawej kieszeni spodni. - Oto i on - powiedział, trzymając jednolicie szarą skorupkę na wysokości oczu Isserley.
- Zawsze noszę jednego w kieszeni, żeby w razie czego móc go zademonstrować.
- To bardzo przewidujące z twojej strony - skomplementowała autostopowicza Isserley.
- Pokazuję zbieraczom, jakiej wielkości trąbików szukamy. Niektóre są maciupieńkie, drobniutkie, wielkości ziarnka grochu, i takich nie warto brać. Ale te duże okazy są w sam raz.
- Więc tak po prostu mogłabym je zbierać i dostałabym za to pieniądze?
- Nie ma nic prostszego - zapewnił. - Dornoch to dobre miejsce na zbiór trąbików. Są ich tam całe miliony, jeżeli pójść na plażę o odpowiedniej porze.
- Co to znaczy „odpowiednia pora”? - spytała Isserley. Miała nadzieję, że autostopowicz zdejmie w końcu kurtkę, on jednak najwyraźniej wolał prażyć się i parować.
- Najlepiej zaopatrzyć się w księgę przyptywów i odpływów -

powiedział. – Kosztuje jakieś siedemdziesiąt pięć pensów, a można ją kupić w biurach Straży Przybrzeżnej. Potem sprawdzasz tylko, kiedy jest odpływ, idziesz na brzeg i możesz je zbierać grabiami. Jak uzbierasz tyle, ile trzeba, dryndniesz do mnie, a ja przyjadę i zabiorę je.

– Ile są warte?

– We Francji i Hiszpanii sporo. Sprzedaję je dostawcom, którzy zaopatrują restauracje. Nigdy nie mają ich dosyć, zwłaszcza w zimie. Bo ludzie na ogół zbierają je tylko latem, rozumiesz?

– W zimie jest za zimno dla trąbików?

– Dla ludzi. Ale dasz sobie radę. Podpowiem ci tylko, że trzeba nosić gumowe rękawiczki. Takie cienkie, jakie kobiety wkładają do zmywania naczyń.

Isserley o mało nie zaczęła nalegać, żeby powiedział raczej, jakie korzyści ze zbierania trąbików mogłaby mieć ona, a nie on – ale miał dar perswazji i niemal ją przekonał, żeby zastanowiła się nad kompletnie absurdalną ewentualnością zaopatrywania go w mięczaki. Dlatego musiała sobie przypomnieć, że chce przecież dowiedzieć się czegoś o tym samcu, a nie o sobie.

– Ten trąbikowy interes... To znaczy, że z niego żyjesz? A masz rodzinę?

– Robię różne rzeczy – odpowiedział autostopowicz, przeczesując gęste włosy metalowym grzebieniem. – Sprzedaję opony samochodowe właścicielom silosów. Kreozot. Taką farbę. Moja żona wyrabia koszyki wędkarskie na homary. Co prawda homarów już, kurwa, nie ma. Ale jeżeli koszyki są ładnie malowane, kupują je amerykańscy turyści. Mój syn sam trochę zajmuje się zbieraniem trąbików. Naprawia też samochody. Zlikwidowałyby ci ten stukot w nadkolu bez najmniejszego problemu.

– Pewnie nie byłoby mnie na to stać – odparła Isserley, znów zbity z tropu bystrością jego obserwacji.

– Mój syn jest tani. Tani i szybki. Jeżeli chodzi o auta, to przede wszystkim płaci się za robociznę, rozumiesz. A przez

warsztat mojego syna przepływa ciągle strumień samochodów. Jedne przyjeżdżają, inne wyjeżdżają. Chłopak ma złote ręce.

Isserley nie była zainteresowana. Jednego mężczyznę o złotych rękach miała już na farmie. Zrobiłby dla niej wszystko i trzymał łapy przy sobie – choć powściągliwość przychodziła mu z ogromnym trudem.

– A twoja furgonetka? – zapytała.

– Och, ją też naprawi. Jak tylko się do niej dobierze.

– Gdzie stoi?

– Jakieś pół mili od miejsca, z którego mnie zabrałaś – zasapał, rozbawiony. – Byłem już w drodze do domu z wielkim ładunkiem trąbików i nagle zgasł mi pierdolony silnik. Ale mój chłopak da sobie z tym radę. Jest lepszy niż fachowcy ze Związku Motorowego. Jak jest trzeźwy.

– Masz może przy sobie wizytówkę syna? – zapytała uprzejmie Isserley.

– Chwileczkę – stęknął autostopowicz.

Znowu wypiął swój mięsisty zad, któremu ostatecznie nie była pisana iniekcja ikpatuy. Wyciągnął z kieszeni garść wygniecionych, pozaginanych i zmatowiałych kartoników, które zaczął tasować jak karty. Wybrał dwa spośród nich i położył na desce rozdzielczej.

– Jedna jest moja, druga mojego syna – powiedział. – Jeżeli masz ochotę pozbierać trochę trąbików, skontaktuj się ze mną. Przyjadę po każdą ilość powyżej dwudziestu kilo. Może nie zbierzesz tyle w jeden dzień, ale dwa powinny ci wystarczyć.

– A one się nie psują?

– Zdychają gdzieś po tygodniu. W zasadzie dobrze jest trochę je przetrzymać, bo oddają wtedy nadmiar wody. A, i zawiąż worek, inaczej wypełzną i wejdą ci pod łóżko.

– Będę o tym pamiętać – obiecała Isserley. Deszcz nie był już tak rześisty, mogła więc wreszcie zmniejszyć szybkość pracy wycieraczek. Przez szarość zaczynało sączyć się światło. – Dojeżdżamy już do Tomich Farm – oświadczyła.

– Jeszcze dwieście jardów i wysiadam – odpowiedział

trąbikowy ogier, odpinając pas. – Dzięki. Jesteś małą samarytanką.

Zatrzymała wóz w miejscu, które wskazał, i samiec wysiadł, ścisnąwszy ją czule za ramię swoją wielką dłońią, zanim zdążyła się zorientować, co zamierza zrobić. Jeśli wyczuł, jak twarda i chuda jest jej ręka, nic nie dał po sobie poznać. Odchodząc wolnym krokiem, pomachał na pożegnanie, ale nie odwrócił się.

Odprowadziła go wzrokiem, a ramię zaczęło piec ją nieprzyjemnie. Kiedy zniknął, marszcząc czoło, spojrzała w lusterko wsteczne, szukając luki w kolumnie samochodów. Zapomniała już o autostopowiczu, zapamiętała tylko, że postanowiła zawsze myć się i wkładać świeże ubranie po powrocie z porannego spaceru nad zatoką.

Rozległo się tykanie kierunkowskazu i Isserley wjechała z powrotem na drogę. Patrzyła wprost przed siebie.

Drugi autostopowicz czekał na nią całkiem blisko domu, tak blisko, że musiała się dobrze zastanowić, czy nie widziała go już kiedyś. Niskiego, prawie zbyt niskiego wzrostu, był młody, miał krzaczaste brwi i włosy ufarbowane na tak jasny kolor, że wyglądały jak białe. Pomimo zimna i uporczywego kapuśniaczku ubrany był tylko w koszulkę z wizerunkiem celtyckiego krzyża i wojskowe spodnie typu moro. Jego szczupłe, ale silne przedramiona zniekształcały niewyraźne tatuaże: znów pomyślała, że to jedynie naskórkowa skaza, niesięgająca głębiej.

Już zawróciwszy, jadąc od strony południa, uznała, że z całą pewnością nie zna tego samca, i zatrzymała się, żeby go zabrać.

Kiedy tylko wsiadł, wyczuła, że będzie miała z nim kłopoty. Pomyślała, że jego obecność zakłóca prawa fizyki – jak gdyby elektrony zaczęły nagle wibrować w powietrzu coraz szybciej, odbijając się od ścianek ciasnego wnętrza niczym oszalałe, niewidzialne owady.

– Walisz gdzieś na Redcastle? – uderzył ją kwaśny odór alkoholu.

Isserley potrząsnęła głową.

– Do Invergordon – powiedziała. – Więc jeśli ci nie po drodze...

– A skąd, jest git – zachnął się i zabębnił nadgarstkami o kolana, jak gdyby w rytm muzyki emitowanej przez wbudowany w jego ciało walkman.

– Dobrze – powiedziała Isserley, wyjeżdżając na drogę.

Żałowała, że ruch nie jest większy: to był zawsze zły znak.

Ponadto zauważyła, że instynktownie ścisła kierownicę w taki sposób, by opuszczonymi nisko łokciami zasłonić piersi. To także był zły znak.

Mimo to spojrzenie autostopowicza przepalało tę osłonę na wylot.

Kobiety nie ubierają się w ten sposób, pomyślał. Chyba że chcą się ruchać.

Tylko niech sobie nie myśli, że on jej zapłaci. Jak tamta zdzira w Galashiels. Postawić takiej drinka, to zaraz się jej wydaje, że może człowieka naciągnąć na dwadzieścia funtów. Nie wygląda chyba na frajera?

Na drodze w Invergordon, koło Akademii. To dobre miejsce. Ciche. Tam będzie mu mogła obciągnąć. Wtedy nie będzie musiał patrzeć na jej paskudny pysk.

Cycki tej dziwki będą zwisać między jego nogami. Pomaca je trochę, jeżeli się dobrze spisze. Będzie się starać, to widać. Już dyszy, jak suka w rui. Nie jak tamta zdzira w Galashiels. Ta zadowolony się tym, co dostanie. Jak każda brzydula, co?

Nie żeby był facetem, któremu trafiają się wyłącznie brzydkie kobiety.

Rozchodzi się tylko o to, że siedzą tu teraz, razem. To coś jak... zew natury, nie? Jebane prawo dżungli.

– Powiedz mi, co cię wyгнаło dziś w trasę? – zapytała pogodnie Isserley, Zacząłem dostawać pierdolca od siedzenia w chałupie.

– Straciłeś pracę i szukasz nowej posady?

– Tu nima roboty. Żadnej, kurwa, nic.

– Mimo to władze oczekują, że będziesz się starał o jakąś pracę, prawda?

Ten wyraz empatii nie zrobił na autostopowiczu większego wrażenia.

– Chodzę na taki jeden jebany kurs – rozzłościł się. – Gadają: znajdź jakichś starych pierdzieli, wstaw im jebany kit, namów na centralne ogrzewanie, a my powiemy władzom, że już nie bierzesz zasiłku. Taki szantaż, kurwa. Kumasz?

– Do dupy – zgodziła się Isserley w nadziei, że to określenie wyda mu się trafne.

Atmosfera w samochodzie stawała się nie do wytrzymania. Każdy centymetr sześcienny dzielącej ich przestrzeni wypełniał cuchnący oddech autostopowicza. Musiała szybko podjąć jakąś decyzję. Świerzbiły ją palce, by uruchomić przełącznik, zwalniający igły z ikpatuą. Za wszelką cenę powinna jednak zachować spokój. Działać pod wpływem impulsu znaczyło ściągać na siebie kłopoty.

Wiele lat temu, na samym początku, zrobiła zastrzyk autostopowiczowi, który nie więcej niż dwie minuty po wejściu do samochodu zapytał ją, czy lubi mieć po grubym ptaku w obu dziurach. Nie знаła wtedy jeszcze dobrze angielskiego, więc zrozumienie, że nie mówi o hodowli drobiu ani o sporcie, zajęło jej dłuższą chwilę, a samiec tymczasem obnażył już swój członek. Spanikowała i zrobiła mu zastrzyk. Była to jednak bardzo niedobra decyzja.

Policja szukała go całymi tygodniami. Zdjęcie autostopowicza pokazano w telewizji i opublikowano nie tylko w gazetach, ale i w specjalnym piśmie dla bezdomnych. Scharakteryzowano go jako osobnika, który z łatwością mógł paść ofiarą przemocy. Jego żona i rodzice prosili o wiadomość wszystkich, którzy mogli go widzieć. Po kilku dniach, chociaż łudziła się, że nikt nie widział, jak autostopowicz wsiadał do jej samochodu, uwaga policji skupiła się na szarym nissanie kombi, prowadzonym prawdopodobnie przez kobietę, więc Isserley musiała przycząić się na farmie i siedzieć tam całą

wieczność. Wierny samochód dostał się w ręce Ensela, który rozebrał go na części, by przystosować do jej potrzeb następny w kolejności najlepszy wóz na farmie, koszmarnego potworka o imieniu Łada.

– Każdy może popełnić błąd – pocieszał ją Ensel, mżoląc się nad autem, by mogła znowu jeździć. Ramiona miał upačkane czarnym smarem, a oczy przekrwione od płomienia spawarki.

Isserley wstydziła się jednak tak bardzo, że nawet teraz nie mogła myśleć o tamtej porażce bez mimowolnego, pełnego udręki stęknienia. To się już nigdy nie powtórzy: nigdy.

Wjechali na odcinek drogi A9, który przebudowywano na dwupasmówkę. Hałaśliwe, mechaniczne dinozaury i ludzie w kombinezonach roboczych kręcili się po obu stronach szosy pośród kopców ziemi. W pewnym sensie ich krzątanie dodała jej otuchy.

– Nie jesteś z tych stron, prawda? – spytała, podnosząc nieznacznie głos, by nie zagłuszył go chrzęst tnących ziemię wielkich ostrzy.

– Założę się, że to bardziej moje strony niż twoje – odparował.

Puściła szyderstwo mimo uszu, zdecydowana trzymać się tej nitki konwersacji, która mogłaby doprowadzić do jego rodziny, gdy nagle autostopowicz wystraszył ją, gwałtownym ruchem otwierając okno.

– Hee-eej, Doug-eee! – wrzasnął w deszcz, machając przez okno zaciśniętą pięścią.

Zerknęła w lusterko. Na mgnienie oka zauważyła przysadzistą postać w jasnożółtym, odblaskowym skafandrze, stojącą przy walcu drogowym i machającą niepewnie w odpowiedzi.

– Mój kumpel – wyjaśnił autostopowicz, zakręcając szybę.

Isserley odetchnęła głęboko, usiłując uspokoić rozkołataną serce. W tej sytuacji oczywiście nie mogła wziąć go ze sobą – zaprzepaściła okazję. To, czy autostopowicz ma żonę i dzieci, stało się w jednej chwili nieistotne. W gruncie rzeczy wołała już

tego nie wiedzieć, nie chciałyby bowiem usłyszeć, że nie jest żonaty.

Musi przestać dyszeć i pozbyć się go zaraz z samochodu!

– Prawdziwe? – zapytał.

– Słucham? – odpowiedziała tylko jednym słowem, bo inaczej nie złapałaby tchu.

– Te zderzaki, co ci sterczą z przodu – wyjaśnił. – Twoje cycki.

– Nie jadę dalej... – powiedziała Isserley, zjeżdżając na środek drogi i włączając kierunkowskaz. Z łaski opatrności znaleźli się już w zasięgu krzepiącego, choć szkaradnego widoku stacji Donny's Garage w Kildary. WITAMY – głosił szyld.

– Gadałaś coś o Invergordon – zaprotestował autostopowicz, ale Isserley skręcała już przez przeciwległy pas ruchu, kierując się między budynek stacji obsługi i dystrybutory paliwowe.

– Coś mi stuka w nadkolu – powiedziała. – Nie słyszysz? – Mówiła chrapliwym i łamiącym się głosem, ale teraz nie miało to znaczenia. – Ktoś powinien rzucić okiem na wóz. Może to coś poważnego.

Silnik zgasł. Za zastawioną najrozmaitszymi artykułami szybą wystawową buzowało coś w rodzaju życia: było słychać obce głosy, skrzypienie drzwi wielkich lodówek i brzęk butelek.

Isserley zwróciła się do autostopowicza, po czym łagodnym gestem wskazała za siebie, na trasę A9.

– Tu pewnie będziesz miał szczęście – poradziła. – To dobre miejsce. Kierowcy przejeżdżają tędy dość powoli. Ja muszę oddać samochód do mechanika. Jeżeli będziesz jeszcze stał, kiedy skończy naprawę, to może cię znów zabiorę.

– Łaski bez – odpowiedział drwiąco autostopowicz, ale wysiadł. A potem odszedł, naprawdę, poszedł sobie.

Isserley otworzyła drzwi i nie bez trudu wysunęła się z auta. Wyprostowała grzbiet, a jej kręgosłup przeszył ból. Opierając się o dach samochodu, rozprostowała kości, obserwując, jak krzaczastobrewy człapie na drugą stronę drogi. Zimny, przenikliwy wiatr osuszał jej spocone ciało i wdmuchiwał

wprost do nosa tlen.

Teraz już nic złego się nie stanie.

Wyciągnęła z uchwytu dystrybutora pistolet paliwowy, niezgrabnie manipulując jego wielką lufą, którą trzymała w wąskiej, szponiastej dłoni. Nie brakowało jej sił, ale rozpiętość palców miała za małą. Musiała posłużyć się obiema rękami, żeby wprowadzić końcówkę pompy do baku. Baczenie śledząc skomputeryzowany licznik, wycisnęła z dystrybutora benzynę o wartości dokładnie pięciu funtów. Pięć, zero i zero. Odwiesiła pistolet na miejsce, poszła do kasy i zapłaciła jednym z wielu pięciofuntowych banknotów, które nosiła przy sobie właśnie w tym celu.

Wszystko to zajęło jej niecałe trzy minuty. Kiedy wyszła z budynku, rzuciła niespokojnie okiem na drugą stronę drogi w poszukiwaniu zielonobiałej postaci krzaczastobrewego. Nigdzie go nie było. To niewiarygodne, ale ktoś go już zabrał.

Zaledwie kilka godzin później nastąpiło późne popołudnie i słońce zaczęło gasnąć. Zaniepokojona spotkaniem z krzaczastobrewym bardzo blisko domu, pojechała niemal pięćdziesiąt mil dalej na południe, za Inverness, docierając prawie do Tomatin, i dopiero tam zawróciła, zresztą z pustymi rękami.

Chociaż dni, kiedy udany podryw zdarzał się jej grubo po zmroku, nie należały wcale do rzadkości, wszystko zależało wyłącznie od jej wytrzymałości fizycznej i ochoty na dalsze polowanie. A nawet jedno upokarzające zbliżenie potrafiło czasem tak nią wstrząsnąć, że możliwie najszybciej wycofywała się na farmę, by przeanalizować popełniony błąd i przemyśleć, jak mogłaby się ustrzec powtórki.

Zastanawiała się teraz, czy krzaczastobrewy przeraził ją aż tak bardzo.

Trudno było jej odpowiedzieć na to pytanie, bo ukrywała przed sobą własne uczucia. Zawsze taka była, nawet dawniej, w swoich rodzinnych stronach – jeszcze w dzieciństwie. Mężczyźni twierdzili, że nie potrafią jej rozgryźć, ale i Isserley nie umiała

rozgryźć samej siebie, musiała więc, jak oni, poszukiwać rozmaitych wskazówek, mogących ją naprowadzić na właściwy trop. Kiedyś najpewniejszą oznaką, że tłumia emocje, były gwałtowne i niezapowiedziane wybuchy wściekłości, często pożałowania godne w skutkach. Odkąd jednak osiągnęła wiek dojrzały, nie doświadczała już takich napadów furii. Obecnie w pełni panowała nad wzburzeniem – co było niezwykle cenną umiejętnością, zważywszy na to, o co toczyła się gra. Z drugiej jednak strony było jej trudniej odgadnąć, w jakim jest stanie ducha. Czasami dostrzegała przez chwilę swoje uczucia, choć tylko kątem oka, niczym odbite w bocznym lusterku reflektory odległego pojazdu. Mogła je więc zauważyć jedynie pośrednio.

Ostatnio zaczęła podejrzewać, że pożarła swoje uczucia, które zalegają teraz, niestrawione, pod maską czysto fizycznych symptomów. Ból pleców i oczu bez widocznego powodu przybierał czasem na sile, ale w takich chwilach faktycznie dolegało jej zapewne zupełnie co innego.

Inną oznaką tłumienia uczuć było to, że potrafiły ją przygnębiać całkowicie banalne zdarzenia i rzeczy, jak gimbus, który wyprzedził ją tego ponurego popołudnia. Widok wielkiego tylnego okna w kształcie tarczy, przy którym tłoczyły się rozwrzeszczane, gestykujące dzieciaki, nie przeszkadzałyby jej w najmniejszym stopniu, gdyby była w przyzwoitej formie psychicznej. Dziś jednak obraz dokazujących nad nią dzieci, przypominający kadr na wielkim ekranie, za którym musi posłusznie podążać przez wiele mil, wpędził ją w depresję. Sądziła, że robią jej na złość, wiercąc się, strojąc różne miny i smarując brudnymi łapami zaparowaną szybę.

W końcu autobus skręcił z trasy A9 i Isserley jechała teraz za nieprzeniknionymi, czerwonymi autami osobowymi, przypominającymi do złudzenia jej własny samochód. Sznur pojazdów zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Świat ciemniał ze wszystkich stron.

Uznała ostatecznie, że ma chandrę. Poza tym bolały ją plecy i kość ogonowa. Piekły ją także oczy, bo od wielu godzin

wyteżala wzrok, który musiał przebijać się przez grube soczewki i deszcz. Gdyby poddała się i zawróciła do domu, mogłaby zdjąć okulary i dać odpocząć oczom, zwinąć się w kłębek na łóżku, a może nawet zasnąć: och, jak by to było cudownie! Oto trywialne uroki zwierzęcej przyjemności, nagrody pocieszenia, mające złagodzić ukąszenia porażek.

Pod Daviot zauważyła jednak wysokiego, długonogiego autostopowicza z plecakiem. W rękę trzymał kartonik z napisem THURSO. Wyglądał okazale. Obejrzawszy go, jak zwykle, trzy razy, Isserley zatrzymała się mniej więcej dwanaście jardów od niego. Widziała w lusterku, jak sady wielkimi susami w stronę samochodu, zsuwając w biegu plecak z szerokich ramion.

Wyciągając rękę, żeby otworzyć drzwi od wewnątrz, pomyślała, że musi być bardzo silny, skoro potrafi tak szybko biegać z dużym ciężarem na plecach.

Podbiegłszy do samochodu, autostopowicz zawahał się przy drzwiach, które mu otworzyła, zaciskając długie, blade palce na swoim krzykliwie kolorowym plecaku. Uśmiechał się przepraszająco – plecak był większy od Isserley i było jasne, że nie zmieści mu się na kolanach ani nawet na tylnym siedzeniu.

Isserley wysiadła i otworzyła bagażnik, który był zawsze pusty, nie licząc butli z butanem i niewielkiej gaśnicy. Wspólnymi siłami włożyli plecak do środka.

– Dziękuję bardzo – powiedział poważnym, dźwięcznym głosem. Nawet Isserley potrafiła rozpoznać, że jego akcent nie pochodzi z terytorium Zjednoczonego Królestwa.

Wróciła za kierownicę, autostopowicz usiadł obok i odjechali dokładnie w chwili, kiedy słońce zapadło za horyzont.

– Cieszę się – powiedział, nieśmiało odwracając karton napisem na dół i kładąc go na kolanach. Miał na sobie pomarańczowe, dresowe spodnie. Tekturka była osłonięta przezroczystą wodoodporną koszulką, zawierającą wiele podobnych kartoników, niewątpliwie z nazwami innych miejscowości. – Po zmroku nie tak łatwo złapać jakąś okazję.

– Ludzie chcą widzieć, z kim mają do czynienia – zgodziła się Isserley.

– Ma się rozumieć – odpowiedział.

Isserley rozparła się na siedzeniu, wyprostowała ramiona i postanowiła pokazać temu samcowi, z kim ma do czynienia.

Ta okazja to szczęśliwy traf. Dzięki temu dotrze do Thurso jeszcze dziś wieczorem, a jutro przeprawi się na Orkady. Oczywiście Thurso leży przeszło sto mil dalej na północ, ale samochód jadący ze średnią prędkością pięćdziesięciu – a nawet czterdziestu, jak w tym wypadku – mil na godzinę może teoretycznie pokonać ten dystans w niecałe trzy godziny.

Nie zapytał jeszcze, dokąd ona jedzie. Może podwiezie go tylko parę mil, a potem oznajmi, że skręca. Jednak to, że chyba zrozumiała jego aluzję do trudności związanych z podróżowaniem autostopem po zmroku, wskazuje, że nie zamierza wysadzić go dziesięć mil dalej na drodze w zapadających ciemnościach. Wkrótce się pewnie odezwie. Bo to on mówił ostatni, postąpiłby więc chyba niegrzecznie, gdyby odezwał się znów jako pierwszy.

Wydaje mu się, że ta dziewczyna nie mówi ze szkockim akcentem.

Może jest Walijką – Walijczycy mają podobny akcent. A może pochodzi z Europy, ale nie z żadnego znanego mu kraju.

To niezwykle, że zabrała go kobieta. Kobiety prawie nigdy się nie zatrzymywały – starsze kręciły głowami na jego widok, jak gdyby usiłował popełnić jakieś wysoce ryzykowne głupstwo, na przykład wykonać salto nad przejeżdżającymi pojazdami, a młodsze robiły bolesne i zdenerwowane miny, jakby zdołał już wsunąć rękę do samochodu i zaczął je molestować. Ta kobieta była jednak inna. Zachowywała się życzliwie i miała ogromne piersi, które wyraźnie wystawiała na pokaz specjalnie dla niego. Miał nadzieję, że dziewczyna nie chce go wykorzystać seksualnie.

Chyba że w Thurso.

Patrzyła przed siebie, nie widział więc jej twarzy. Szkoda.

Jest naprawdę niezwykła. Nosi najgrubsze szkła korekcyjne, jakie w życiu widział. Ciekawe, czy w Niemczech osoba z tak poważną wadą wzroku dostałaby prawo jazdy. Jego zdaniem postawa dziewczyny wskazuje, że cierpi na problemy z kręgosłupem. Ma długie, a zarazem bardzo szczupłe ręce. Skóra na kancie jej dłoni, od małego palca do nadgarstka, jest jakby jedwabiście zrogowaciała i ewidentnie różni się fakturą od innych części ciała nieznanym, niczym blizna po zabiegu operacyjnym. Piersi ma idealnie, wprost perfekcyjnie kształtne – być może, jej biust jest również dziełem chirurgii.

Odwróciła głowę w jego stronę. Oddycha ustami, jak gdyby jej idealnie wyrzeźbiony nosek, ukształtowany pewnie przez chirurga plastycznego, okazał się jednak zbyt mały, by prawidłowo pełnić swoją funkcję. Powiększone przez szkła oczy dziewczyny są nieco przekrwione ze zmęczenia, ale, jego zdaniem, uderzająco piękne. Źrenice ma orzechowozielone, lśniące jak... Jak podświetlane slajdy, przedstawiające wykonane pod mikroskopem zdjęcia jakiejś egzotycznej kultury bakteryjnej.

– A swoją drogą, co będziesz robił w Thurso? – zapytała.

– Nie wiem – odpowiedział. – Może nic.

Zauważyła teraz, że jest wspaniale zbudowany. Z pozoru szczupły, ale to kłębek mięśni. Gdyby jechała dość wolno, mógłby pewnie biec obok samochodu nawet milę.

– A jeśli naprawdę nie będziesz miał nic do roboty w tym mieście?

Zrobił minę, która, jak sądziła Isserley, stanowiła w jego kulturze odpowiednik wzruszenia ramionami.

– Jadę do Thurso, bo nigdy tam nie byłem – wyjaśnił.

Perspektywa wizyty w Thurso zdawała się napełniać go jednocześnie nudą i entuzjazmem. Gęste, szaroblond brwi wisiały nad jego jasnobłękitnymi oczami niczym burzowe chmury.

– Podróżujesz po całym kraju? – zagadnęła.

– Tak. – Wymowę miał wyraźną, nacechowaną pewną

pozbawioną arogancji emfazą, jak gdyby każdą wypowiedź musiał wtaczać na średniej wielkości pagórek, zanim mógł wypuścić ją na wolność. – Zacząłem przed dziesięcioma dniami w Londynie.

– Sam?

– Tak.

– Pierwszy raz?

– W dzieciństwie dużo jeździłem po Europie z rodzycami (ostatnie słowo wymówił w taki sposób, że okazało się pierwszym, z którego rozszyfrowaniem Isserley miała trudności). Ale wydaje mi się, że w pewnym sensie oglądałem wtedy wszystko oczami rodziców. Teraz chcę zobaczyć świat własnymi oczami. – Rzucił jej nerwowe spojrzenie, jakby szukając w twarzy dziewczyny potwierdzenia, że było z jego strony głupotą wdawać się w rozmowę na takie tematy z nieznaną cudzoziemką.

– Czy twoi rodzice potrafią to zrozumieć? – zapytała Isserley, która poczuła się swobodniej, znalazłszy z nim wspólny język, i nieco mocniej wcisnęła pedał gazu.

– Mam nadzieję, że jeszcze zrozumieją – powiedział, marszcząc niespokojnie brwi.

Chociaż kusilo ją, by podążyć wzdłuż tej pępowiny do odległego łożyska, Isserley wyczuła, że dowiedziała się o jego „rodzicach” dokładnie tyle, ile miał ochotę jej opowiedzieć, przynajmniej na razie. W tej sytuacji zadała mu inne pytanie.

– Skąd jesteś?

– Z Niemiec – odpowiedział.

Znów spojrzał na nią nerwowo, jakby bał się, że mogłaby nieoczekiwanie dokonać na nim jakiegoś aktu przemocy. Spróbowała dodać mu otuchy, dostrajając rozmowę do atmosfery powagi, którą najwyraźniej pragnął nadać jej autostopowicz.

– Z tego, co dotąd widziałeś, czym, twoim zdaniem, najbardziej różni się ten kraj od twojego?

Zastanawiał się przez jakieś dziewięćdziesiąt sekund. Po obu

stronach drogi przepływały długie, ciemne pola, nakrapiane bladymi plamkami krów. W światłach reflektorów zalśnił zbudowany z trzech odblaskowych elementów znak, przedstawiający wystylizowanego potwora z Loch Ness.

– Brytyjczycy nie przejmują się tak bardzo, jakie miejsce zajmuje w świecie ich kraj – powiedział wreszcie autostopowicz.

Isserley zastanawiała się przez moment nad tą odpowiedzią. Nie potrafiła odgadnąć, czy samiec sugeruje, że Brytyjczycy są tacy godni podziwu, niezależni i samowystarczalni, czy raczej godni pożałowania, bo zubożeni. Przyszło jej do głowy, że może to być zamierzona dwuznaczność.

Wokół nich zapanowała noc. Isserley zerknęła w bok, zachwycając się zarysem warg i policzków autostopowicza, widocznym w refleksach przednich i tylnych świateł samochodowych.

– Nocujesz u swoich tutejszych znajomych czy po prostu w hotelach? – zapytała.

– Głównie w schroniskach młodzieżowych – odpowiedział po kilku sekundach, jak gdyby w imię prawdy musiał w myślach sprawdzić jakieś dane. – Ale pewna rodzina z Walii zaprosiła mnie na kilka dni do siebie.

– To ładnie z ich strony – mruknęła Isserley, widząc, że w oddali migoczą światła mostu Kessock. – Spodziewają się, że odwiedzisz ich jeszcze w drodze powrotnej?

– Nie, chyba nie – powiedział, wytoczywszy wreszcie te słowa na szczyt bardzo tym razem stromego wzgórza. – Wydaje mi się... Że czymś ich uraziłem. Nie wiem czym. Myślę, że w pewnych sytuacjach moja angielszczyzna nie zdaje egzaminu.

– Mnie się wydaje świetna.

Westchnął.

– Może w tym tkwi problem. Gdybym mówił gorzej po angielsku, ludzie spodziewaliby się po mnie... – trudził się w milczeniu, a potem zrzucił wreszcie zdanie ze szczytu wzgórza – no, nie oczekiwano by automatycznie, że istnieje między nami płaszczyzna porozumienia.

Nawet w mroku widziała, że jest zdenerwowany i zaciska swoje ogromne pięści. Być może usłyszała, że oddycha szybciej, chociaż sądziła, że tym razem zmiana w rytmie jej oddechu była bardzo nieznaczna.

– Czym się zajmujesz w Niemczech? – zapytała.

– Jestem studentem... Nie, właściwie nie – poprawił się. – Kiedy wrócę do Niemiec, będę bezrobotny.

– Zamieszkas z rodzicami? – domyśliła się Isserley.

– Mmh – mruknął głucho.

– Jaki kierunek skończyłeś?

Zapadła cisza. Brudna, czarna furgonetka wyprzedziła Isserley, tłumiąc szmer jej oddechu warkotem uszkodzonej rury wydechowej.

– Ja nie skończyłem studiów – oświadczył w końcu autostopowicz. – Rzuciłem naukę. Można powiedzieć, że jestem zbiegiem.

– Zbiegiem? – powtórzyła jak echo Isserley, połyskując zębami w zachęcającym uśmiechu.

W odpowiedzi autostopowicz uśmiechnął się ze smutkiem.

– Nie uciekłem przed prawem, tylko z akademii medycznej.

– Chcesz powiedzieć, że... Jesteś psychopatą? – spytała, wstrzymując oddech.

– Nie. Ale o mały włos nie zostałem lekarzem, co w moim przypadku oznaczałoby zapewne to samo. Moi rodzice myślą, że ciągle jestem na studiach. Wysłali mnie bardzo daleko i zapłacili dużo pieniędzy, żebym mógł studiować. To dla nich bardzo ważne, żebym został lekarzem. Nie po prostu lekarzem ogólnym, ale specjalistą. Piszę im w listach, że studia idą mi jak po maśle. Ale tak naprawdę piję tylko piwo i czytam książki podróżnicze. A teraz sam wybrałem się w podróż.

– Co na to twoi rodzice?

Westchnął i spuścił wzrok.

– Nic o tym nie wiedzą. Przygotowuję ich na tę wiadomość. Między kolejnymi listami mija wiele tygodni, potem więcej, potem jeszcze więcej. Zawsze piszę, że mam mnóstwo zajęć.

Następny list wyśle im już po powrocie do Niemiec.

– A przyjaciele? – naciskała Isserley. – Nikt nie wie, że wybrałeś się na tę eskapadę?

– Zanim poszedłem na studia, miałem paru dobrych przyjaciół w Bremie. W akademii też mam wielu znajomych. Wszyscy chcą zostać specjalistami i kupić sobie porsche. – Zaniepokojony, zwrócił się w jej stronę, chociaż ze wszystkich sił usiłowała zachować spokój. – Nic ci nie jest?

– Nie, wszystko w porządku, dziękuję – wydyszała Isserley i uruchomiła przełącznik urządzenia tłoczącego ikpatuę.

Wiedziała, że autostopowicz osunie się na nią, ponieważ siedział odwrócony bokiem. Była przygotowana na taką ewentualność. Prawą ręką prosto i pewnie prowadziła samochód, lewą zaś zepchnęła bezwładne ciało z powrotem na fotel. Jadący za nią kierowca pomyśli po prostu, że pasażer chciał ją pocałować, ale ona odrzuciła jego zaloty. Całowanie się w samochodzie podczas jazdy uważano powszechnie za niebezpieczne. Wkrótce po przyjeździe do Szkocji, jeszcze zanim nauczyła się prowadzić, przeczytała o tym w przedpotopowej książce o bezpieczeństwie na drodze, przeznaczonej dla młodych Amerykanów. Pełne zrozumienie jej treści zajęło Isserley sporo czasu, toteż studiowała tekst przez długie tygodnie przy akompaniamencie telewizyjnej paplaniny. Nigdy nie mogła przewidzieć, kiedy telewizja wyjaśni jej coś, czego nie umiały wytłumaczyć książki – a w szczególności książki rozdawane w siedzibach różnych organizacji charytatywnych.

Autostopowicz znów się na nią osunął, więc Isserley ponownie wepchnęła go z powrotem na miejsce. „Za kierownicą nie można się migdalić, obmacywać ani «lecieć w ślinę»” – ostrzegała książka. Dla kogoś, kto nie znał jeszcze dobrze angielskiego, była to tajemnicza dyrektywa, jednak z pomocą telewizji Isserley rozszyfrowała ją stosunkowo szybko. Z punktu widzenia przepisów prawa w samochodzie można było robić wszystko, na co się miało ochotę, nawet uprawiać seks – pod warunkiem, że pojazd nie znajdował się w ruchu. Włączyła lewy

kierunkowskaz, zbliżając się do zjazdu. Bum – autostopowicz stuknął głową w lewą boczną szybę.

Było po szóstej, kiedy wróciła na farmę. Ensel i kilku innych mężczyzn pomogło jej wyciągnąć autostopowicza z samochodu.

– Lepszego jeszcze tu nie mieliśmy – skomplementował ją Ensel.

Skinęła głową, zmęczona. Ensel zawsze tak mówił.

Kiedy mężczyźni ładowali bezwładne ciało wodsela na wózek, Isserley wślizgnęła się z powrotem do auta i odjechała w nierozświetloną ciemność. Była obolała i chciała się już położyć.

3.

Następnego ranka obudziło ją coś niezwykłego: słońce.

Zazwyczaj w nocy przesypiała tylko kilka godzin. Potem leżała z otwartymi oczami w klaustrofobicznej ciemności, a skurczone mięśnie pleców więziły ją w łóżku groźbą ostrego niczym igła bólu.

Leżała teraz, mrugając powiekami, w złocistym blasku słońca, które musiało wstać już dość dawno temu. W sypialni na poddaszu, wciśniętej pod sam szczyt wiktoriańskiego domku, ściany trzymały pion tylko do połowy wysokości, wyżej zaś ostro nachylały się ku sobie, zgodnie z kształtem dachu. Z miejsca, w którym leżała Isserley, sypialnia przypominała heksagonalną komórkę, rozjarzoną niczym napromieniowany plaster miodu. Przez jedno otwarte okno widziała bezchmurne, niebieskie niebo, przez drugie – skomplikowaną architekturę dębowych gałęzi, przyprószonych świeżym śniegiem. Nie było wiatru; opuszczone przez pająki pajęczyny zwisające z łuszczących się drewnianych ram okiennych prawie się nie poruszały.

Dopiero po kilku minutach usłyszała niemal infradźwiękowy szmer życia na farmie.

Przeciągnęła się, postępując z bólu, a potem odrzuciła nogami kołdrę. Światło wpadało do pokoju pod takim kątem, że zalewało łóżko promieniami słońca, więc Isserley leżała przez chwilę odkryta, grzejąc w nim nagie ciało i kończyny, rozrzucone w kształt litery X.

Ściany sypialni Isserley też były nagie. Podłogi, czyli nielakierowanych, starych jak świat desek, których lepiej było nie poddawać badaniu poziomnicą, nie pokrywał dywan. Bezpośrednio pod oknem lśniło na podłodze pasmo szronu. Z czystej ciekawości sięgnęła po stojącą koło łóżka szklanę wody

i uniosła ją pod światło. Woda w naczyniu była wciąż w stanie płynnym – choć na granicy zmiany stanu skupienia.

Isserley napiła się, mimo że woda zachrzęściła delikatnie, gdy przechyliła szklanę. Przeleżała całą noc w bezruchu, pozwalając działać siłom natury, toteż krew w jej ciele krążyła i miała krążyć powoli aż do chwili, gdy ćwiczeniami pobudzi organizm do uruchomienia dziennego metabolizmu.

Tymczasem była ciepła niczym gęś arktyczna.

Popijając wodę, przypomniała sobie, że od wczorajszego śniadania nic nie jadła, dziś jednak musi naprawdę porządnie uzupełnić zapas energii, zanim wyprawi się w drogę. O ile w ogóle ruszy się dziś z domu.

Ostatecznie, kto powiedział, że musi kursować codziennie? Nie jest niewolnicą.

Tani, plastikowy budzik na kominku wskazywał 9.03. W pokoju nie było innych urządzeń mechanicznych, nie licząc poobijanego i lepiącego się od brudu przenośnego telewizora, wciśniętego w palenisko. Wtyczka podłączona była do długiego przedłużacza, który wił się niby wąż wzdłuż listew podłogowych i prowadził za drzwi. Gniazdko elektryczne było gdzieś na dole.

Zsunęła się z łóżka i spróbowała wstać. Nie było najgorzej. Przestała podchodzić do ćwiczeń obowiązkowo, dlatego czuła się bardziej obolała i zeszywniała niż zwykle, choć wcale nie musiało tak być. Mogła przecież czuć się o wiele lepiej.

Podeszła do kominka i włączyła telewizor. Do oglądania telewizji okulary nie były jej potrzebne. Prawdę mówiąc, w ogóle nie musiała nosić okularów – soczewki wykonane były z kawałków grubych szyb, które udawały tylko szkła korekcyjne. Dostawała od nich bólu głowy i oczu, ale były jej potrzebne do pracy.

Na ekranie telewizora jakiś wodsół, kucharz, pokazywał głupkowatej samicy, jak smażyć plasterki nerek. Samica zachichotała z zakłopotaniem, kiedy nad patelnią zaczął się unosić dym. Na drugim kanale różnokolorowe, futrzaste stwory, niepodobne do żadnych zwierząt, jakie Isserley widziała w

prawdziwym świecie, dokazywały i śpiewały piosenki o kolejnych literach alfabetu. Na kanale trzecim czyjeś dłonie, ozdobione pomalowanymi na brzoskwiniowy kolor paznokciami, demonstrowały rozdygotany mikser. Bohaterowie programu na czwartym kanale, animowana świnka i animowany kurczak, lecieli razem w kosmos jakimś gruchotem o napędzie raketowym. Najwyraźniej Isserley spóźniła się na wiadomości.

Wyłączyła telewizor, wyprostowała się i stanęła na środku pokoju, by zacząć ćwiczenia pleców. Ich prawidłowe wykonanie zajmowało dużo czasu i kosztowało ją sporo wysiłku, a ostatnio leniła się, więc teraz organizm dawał jej za to w kość. Musi odzyskać formę. Może się pozbyć bólu, jaki cierpiała przez kilka ostatnich dni. Okazało się, że nie ma sensu tracić sprawności fizycznej, chyba że z jakiegoś perwersyjnego powodu sama zamierza uprzykrzyć sobie życie. Żeby pożałować wreszcie swojej decyzji.

A jednak nie żałuje. Nie.

Wygięła zatem grzbiet w łuk, wykręciła ramiona, przerzucając ciężar ciała z nogi na nogę, a potem stanęła na palcach i wysunęła w górę rozdygotane ręce. Wytrzymała w tej pozycji, jak długo mogła. Końcami palców dotykała zwisającej pod sufitem, przepalanej żarówki, ale nawet kiedy wyciągała się jak struna, sporo jej brakowało, by mogła dosięgnąć sufitu w dziecinnych rozmiarów sypialni.

Piętnaście minut później, ociekając potem i z lekka drżąc na całym ciele, podeszła bosą do szafy, żeby przygotować sobie ubranie. Ubrała się zresztą dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia, zapewne dlatego, że mogła wybierać tylko między sześcioma identycznymi, mocno wydekoltowanymi bluzkami w różnych kolorach i dwiema parami rozkloszowanych spodni z zielonego aksamitu. Miała zaledwie jedną parę robionych na zamówienie butów, które zwracała szewcowi aż osiem razy, zanim wreszcie mogła zacząć w nich chodzić. Nie nosiła majtek ani stanika. Jej piersi sterczały zupełnie samoistnie i nie trzeba było ich podtrzymywać

bielizną. Jeden problem z głowy – a nawet dwa.

Wyszła z domku tylnym wyjściem i wciągnęła powietrze w nozdrza. Morska bryza była tego dnia wyjątkowo aromatyczna – na pewno pójdzie na plażę, gdy tylko zje śniadanie.

Musi jedynie pamiętać, by po powrocie umyć się i zmienić ubranie, na wypadek gdyby trafiła na drugiego tak sprytnego mądralę jak tamten wodsel z mięczakiem w kieszeni.

Otoczające jej pola spowijał śnieg, spod którego jedynie tu i ówdzie wystawały płyty ciemnej ziemi, jak gdyby świat był pożywnym, pokrytym kremem ciastkiem owocowym. Na polu po stronie zachodniej stały zagubione w bieli maleńkie, złociste owce, wpychające pyszczki w śnieg w poszukiwaniu zagrzebanej pod spodem słodyczy. Na polu północnym lśnił w słońcu na tratwie z siana olbrzymi kopiec rzepy, przypominającej z dala mrożone wiśnie. Na południu, za zabudowaniami gospodarczymi i silosem, majaczyły gęste, bożonarodzeniowe jodły, składające się na Carboll Forest. Na wschodzie natomiast, za innymi farmami, pieniało się Morze Północne.

Nigdzie nie było widać żadnych pojazdów ani robotników rolnych.

Wszystkie pola dzierżawili okoliczni farmerzy, którzy potrzebny sprzęt sprowadzali tu jedynie na czas orki, zbiorów, strzyżenia owiec i tak dalej. W przerwach między tymi okresami aktywności ziemia spoczywała w milczeniu, nietknięta, a farmy butwiały, rdzewiały i porastały mchem.

Za czasów Harry'ego Baillie w kilku budynkach zimowało bydło, były to jednak lata, gdy na hodowli dawało się zarobić. Obecnie liczebność bydła w okolicy spadła do kilku należących do Mackenziego wołów, pasących się na polu w pobliżu Króliczego Wzgórza. Od strony morza, na urwiskach Ablach, niskowartościową i słoną paszę skubało około stu owiec o czarnych mordkach. Miały szczęście, bo spływał tamtędy do morza niewielki strumyk, podczas gdy ich stare, żeliwne poidła wypełniały zawsze szpinakowe algi lub muszkatołowej barwy

rdza.

Nie, obecny właściciel Ablach z pewnością nie był podporą lokalnej społeczności, jak niegdyś Harry Baillie. Miejscowi sądzili, że pochodzi gdzieś ze Skandynawii, a poza tym uważali go za stukniętego odludka. Isserley wiedziała, co ludzie o nim mówią, bo chociaż hołdowała zasadzie, by nie podwozić okolicznych mieszkańców, czasem zdarzali się autostopowicze, którzy przejechawszy dwadzieścia mil drogą A9 w kierunku południowym, zaczęli ni stąd, ni zowąd opowiadać nagle o Ablach Farm. Nawet biorąc pod uwagę niewielkie zaludnienie regionu Highlands, prawdopodobieństwo pojawienia się tego tematu w rozmowie z nieznanym było niezwykle małe, tym bardziej że Isserley zawsze pamiętała, aby nie zdradzać prawdziwego miejsca zamieszkania.

Świat był chyba jednak mniejszy, niż sądziła, ponieważ raz czy dwa w roku jakiś gadatliwy autostopowicz poruszał kwestię imigrantów, twierdząc, że przez nich zanika stara szkocka tradycja, i – oczywiście – wspominał przy tej okazji o Ablach. Isserley udawała Greka, słuchając opowieści o tym, jak pewien szalony Skandynaw połknął farmę Bailliego, a potem, zamiast przekształcić ją w jedną z wielu euromaszyn do robienia pieniędzy, pozwolił jej po prostu podupaść, oddając pola w dzierżawę tym samym farmerom, których najpierw przebił na licytacji.

– Nie chciałbym cię urazić, ale to tylko dowodzi, że obcokrajowcy myślą inaczej niż my – powiedział jej kiedyś pewien autostopowicz.

– Wcale się nie obraziłam – odpowiedziała, zastanawiając się, czy nie powinna zabrać tego wodsela na farmę, o której, jak twierdził, tak dużo wie.

– A ty skąd jesteś? – zapytał ją wtedy.

Nie mogła sobie teraz przypomnieć, co odpowiedziała. W zależności od tego, czy autostopowicz sprawiał wrażenie doświadczonego obiężyświata, czy nie, mogła wymenić wiele różnych krajów, z których rzekomo pochodziła. Państwa byłego

Związku Radzieckiego, Australię, Bośnię... a nawet Skandynawię, jeżeli autostopowicz nie mówił żadnych niemiłych rzeczy o tym obłąkanym sukinkocie, który kupił Ablach Farm.

Z biegiem lat doszła jednak do przekonania, że mężczyzna, którego znała pod imieniem Esswis, powoli zdobywał sobie niechętny szacunek okolicznej społeczności. Inni farmerzy mówili o nim „pan” Esswis. Przyzwyczaili się, że Esswis kieruje swoimi interesami z tak zwanego Wielkiego Domu, dwukrotnie większego od chatki Isserley, a stojącego w centralnym punkcie farmy. W przeciwieństwie do jej domku, we wszystkich pokojach była tam elektryczność, ogrzewanie, meble, dywany, zasłony, sprzęt gospodarstwa domowego i najróżniejsze klamoty. Isserley nie wiedziała, po co Esswisowi te wszystkie rzeczy, ale robiły zapewne wrażenie na gościach – choć było ich bardzo niewiele.

Właściwie nie znała Esswisa dobrze, choć był jedynym człowiekiem na świecie, który przeszedł przez to samo, co ona. Teoretycznie mieli więc wiele wspólnych tematów do rozmowy, ale w praktyce unikali się nawzajem.

Przekonała się, że wspólne cierpienie nie zawsze prowadzi do bliskiego kontaktu z drugim człowiekiem.

To, że ona była kobietą, on zaś mężczyzną, nie miało z tym nic wspólnego. Esswis rzadko zadawał się też z innymi mężczyznami. Po prostu zaszywał się w swoim wielkim domu i czekał, aż będzie potrzebny.

Szczerze mówiąc, był właściwie więźniem domu. Musiał bezwzględnie przebywać na farmie dwadzieścia cztery godziny na dobę na wypadek jakichś nieoczekiwanych zdarzeń, wskutek których posiadłość Ablach Farm mogłaby wejść w kontakt ze światem zewnętrznym. Na przykład w zeszłym roku z winy operatora opryskiwacz zabił zbłąkaną owcę – nie zginęła od pestycydów ani nawet nie pod kołami maszyny, lecz w wyjątkowo makabryczny sposób, albowiem czubek jednego z przypominających skrzydła wysięgników rozłupał zwierzęciu

czaszkę. Jednak pan Esswis szybko doszedł do porozumienia z właścicielem opryskiwacza i właścicielem owcy, wprawiając obu farmerów w niejakie zakłopotanie, wziął bowiem całą winę za nieupilnowanie zwierzęcia na siebie, pod warunkiem że pomogą mu uniknąć nieprzyjemnych formalności i papierkowej roboty.

Właśnie tego rodzaju postawa zdobyła mu niejaki szacunek w okolicy, choć przecież był cudzoziemcem i imigrantern. Wszyscy wiedzieli, że nigdy nie pokazuje się na zawodach oraczy ani zabawach ludowych, choć przypuszczano, że chyba nie tylko w imię świętego spokoju – krążyły więc pełne współczucia plotki, że ma reumatyzm, drewnianą nogę bądź raka. Esswis lepiej niż większość zamożnych przesiedleńców z zagranicy pojmował także i to, że dla miejscowych farmerów przyszły ciężkie czasy, więc regularnie domagał się od nich słomy albo nadwyżki produktów rolnych zamiast renty dzierżawnej. Być może Harry Baillie faktycznie był ostoją miejscowej społeczności, ale kiedy przychodziło do wypełniania warunków umowy, potrafił zachowywać się jak bydlak. Jeśli natomiast chodziło o Esswisa, słowo, które mrukliwie dawał komuś przez telefon, warte było tyle, ile jego własnoręczny podpis. A co do sposobów, których się imał, żeby zniechęcić turystów do przechodzenia przez teren jego farmy, takich jak ogrodzenia z drutu kolczastego i pogróżki – no cóż, z punktu widzenia dzierżawców mogłby działać jeszcze bardziej zdecydowanie. Highlands to nie publiczny, ogólnie dostępny park.

Weszła na główną ścieżkę i wzdychając z ulgą, gdyż na chwilę zdjęła okulary, obrzuciła spojrzeniem stojący po drugiej stronie dom Esswisa. We wszystkich pokojach paliło się światło. Okna były zamknięte, a szyby nieprzejrzyste, bo zasnuwane mgłą pary. Trudno było powiedzieć, w którym pomieszczeniu przebywa teraz Esswis.

Odgłos chrupiącego pod stopami świeżego śniegu sprawiał Isserley głęboką przyjemność. Już sama myśl o tym, że para wodna krzepnie całymi chmurami, a potem opada na ziemię w

formie płatków, wydawała się jej cudowna. Nie potrafiła do końca w to uwierzyć, nawet po tylu latach. Było to zjawisko świadczące o zdumiewającej, niczym nieusprawiedliwionej, bezużytecznej ekstrawagancji natury. A jednak na ziemi leżał miękki śnieg o konsystencji proszku, tak nieskazitelny, że aż jadalny. Isserley zgarnęła z ziemi garść śniegu i zjadła trochę. Był pyszny.

Zbliżała się do największego z zabudowań na farmie, znajdującego się w najlepszym – by nie rzec: najmniej opłakanym – stanie. Zniszczone dachówki zastąpiono arkuszami blachy. Tam, gdzie ze ścian wykruszały się kamienie, otwory wypełniano natychmiast cementem. Zapewne dlatego budynek ów przypominał nie tyle dom, ile raczej ogromne pudło, ale ten brak troski o estetykę wynikał z konieczności. Budynek należało zabezpieczyć przed niszczącym działaniem warunków atmosferycznych i wścibskim wzrokiem intruzów, kryło się w nim bowiem wejście do znacznie większego, tajemniczego pomieszczenia, położonego pod powierzchnią ziemi.

Stała przed aluminiowymi drzwiami i nacisnęła dzwonek, umieszczony pod metalową tabliczką z napisem: UWAGA, NIEBEZPIECZNE CHEMIKALIA – NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Na drzwiach wisiało jeszcze jedno ostrzeżenie w postaci stylizowanego wizerunku czaszki i dwóch skrzyżowanych piszczeli.

Usłyszała w domofonie abstrakcyjne trzaski, po czym nachyliła się do mikrofonu, niemal muskając ustami siatkę kratownicy.

– Isserley – szepnęła.

Drzwi rozsunęły się i weszła do środka.

Chcąc jak najszybciej pójść na spacer nad zatokę, nie guzdrała się przy śniadaniu. Dwadzieścia minut później, przyjemnie syta, była już z powrotem w swoim domku. W małej, plastikowej torebce niosła należące do niemieckiego autostopowicza rzeczy osobiste.

Pracującym pod ziemią mężczyznom było chyba miło ją zobaczyć. Martwili się, że poprzedniego wieczora nie zjadła z nimi obiadu.

– Mieliliśmy prawdziwe delicje – poinformował ją Ensel w ordynarnym, wiejskim dialekcie jej ojczystego języka. – Była woddysynowa giez w sosie serslidowym, a na deser świeże, dzikie jagody.

– Nic nie szkodzi – powiedziała Isserley, smarując kolejne kromki chleba pastą mussantową. Nigdy nie wiedziała, o czym mogłaby rozmawiać z tymi mężczyznami, niewykwalifikowanymi robotnikami i pracownikami przetwórci, z którymi zapewne nigdy by się nie zetknęła, prowadząc normalne życie we własnym kraju. Oczywiście to, że tak bardzo różnili się od niej wyglądem, jak również to, że kiedy myśleli, iż nie widzi ich spojrzeń, gapili się na jej biust i wyciosaną niby dłutem twarz, nie ułatwiało kontaktu między nimi.

Mieli dziś robotę, więc zostawili ją samą podczas posiłku. Najpierw jednak przekazali jej ważną informację: przyjeżdża Amlis Vess. Amlis Vess! Przyjeżdża na Ablach Farm! Jutro! Zawiadomił ich, jest już w drodze, prosił, żeby nie robili sobie specjalnego kłopotu, chce bowiem zobaczyć wszystko takie, jakie jest. Kto by pomyślał?

Mruknęła pod nosem coś niezobowiązującego w odpowiedzi, po czym mężczyźni wyszli w pośpiechu, żeby kontynuować przygotowania do tej ważnej wizyty. W ich życiu rzadko gościło poruszenie, odkąd na dobre zainstalowali się na Ablach Farm i zyskali więcej wolnego czasu. Niewątpliwie wizyta syna samego szefa wywołała wśród nich potężne emocje, niedające się porównać z nudnymi popołudniami, spędzonymi na grach hazardowych, w których żetony zastępowały źdźbła słomy, albo na robieniu czegoś innego, co mogą robić tego rodzaju mężczyźni. Zostawszy sama w jadalni, Isserley nałożyła sobie miskę guszu, który okazał się jednak dziwnie kwaśny. Dopiero wtedy zauważyła, że cały podziemny kompleks wypełnia, jak zawsze, nie tylko słaby zapach męskiego potu i taniego żarcia,

lecz także ostra woń środków czyszczących i farby. To umocniło w niej postanowienie, by jak najszybciej wrócić na świeże powietrze.

Powrotny spacer do domku po zaśnieżonej ścieżce oczyścił jej zatoki i korzystnie wpłynął na trawienie. Przytrzymując między nogami plastikową torebkę, otworzyła drzwi wejściowe do domku i weszła do salonu. Był pusty, o gołych ścianach, jeśli nie liczyć kilku wielkich stert chrustu, rozrzuconego tu i ówdzie na podłodze.

Wsunęła pod pachę wiązkę najbardziej kształtnych gałęzi i wyniosła ją na podwórko na tyłach domu. Rzuciła chrust i torbę na ośnieżoną ziemię. Z najprostszych patyków zbudowała niewielki stos, a pozostałe zachowała w rezerwie.

Potem zamaszystym ruchem otworzyła zardzewiałe drzwi niewielkiej, przylegającej do domku blaszanej szopy. Położyła dłonie na masce samochodu i poczuła lodowaty chłód – miała nadzieję, że silnik zapali, kiedy trzeba będzie ruszyć w drogę. Na razie jednak nie musi się tym martwić. Otworzyła bagażnik i wyciągnęła plecak niemieckiego autostopowicza. Nocny mróz ściał także jego bagaż – nie był całkiem zmrożony, ale wilgotny i chłodny, jakby leżał w lodówce.

Zaniosła go na podwórko, upewniwszy się najpierw, że nikt jej nie obserwuje. Wokoło nie było żywej duszy, więc podpaliła gałęzie leżące u podstawy stosu. Chrust był suchy jak pieprz, zebrano go bowiem przed kilkoma miesiącami i od tamtej pory spoczywał w zamkniętym pomieszczeniu, toteż zatrzeszczał tylko i natychmiast zajął się płomieniem.

Gdy odwróciła plecak do góry nogami, okazał się istnym rogiem obfitości. Jego pojemność zdawała się przeczyć prawom fizyki. Zawierał mnóstwo najdziwniejszych i najróżniejszych rzeczy, niezwykle przemyślnie poukładanych i posegregowanych, a skrytych w dziesiątkach plastikowych pudełek, butelek, torebek, schowków i zapinanych na zamki błyskawiczne kieszeni. Kolejno wkładała do ognia wyjęte z plecaka przedmioty. Różnokolorowe pojemniki na żywność

zwijały się i zapadały w płomieniach w nieprzyjemnym swędzie bulgocącego plastiku. Podkoszulki i slipy, które wrzucała złożone w kostkę w płomienie, ziewały czarnymi dziurami, by wydychać dym. Skarpety paliły się z sykiem. Tekturowe pudełeczko, zawierające jakieś lekarstwo, eksplodowało z trzaskiem. Przezroczysty, cylindryczny pojemnik, w którym tkwiła plastikowa figurynka w szkockim stroju ludowym, przeszedł kilka stadiów zniszczenia, z których ostatni zakończył się dezintegracją nagiej, różowej lalki. Części jej ciała zwały się ze sobą, kiedy upadła w końcu twarzą w żar.

Zaczynało brakować łatwopalnych materiałów, toteż ogień buchał coraz słabiej, a kiedy Isserley dorzuciła do niego parę spodni, zdawało się, że zgaśnie. Wybrała kilka suchych gałązek i wsunęła je do ogniska w strategicznych miejscach. Pomocne okazały się także składane mapy Anglii, Walii i Szkocji. Rozłożone swobodnie, żeby ułatwić napowietrzanie, paliły się żwawym płomieniem.

Niemal na samym dnie plecaka spoczywała różowa kosmetyczka – nie zawierała jednak kosmetyków, lecz paszport. Isserley zawahała się, nie wiedziała bowiem, czy może się jej przydać – nigdy przedtem nie widziała paszportu, a w każdym razie, by tak powiedzieć, nie na własne oczy. Zaczęła przerzucać kartki, oglądając książeczkę z ciekawością.

Znalazła fotografię autostopowicza, a także jego nazwisko, wiek, datę urodzenia i tak dalej. Te informacje nie miały dla niej najmniejszego znaczenia, choć zaintrygowało ją, dlaczego Niemiec jest na zdjęciu pulchniejszy i bardziej różowy, a jednocześnie jakiś mniej substancjalny, niż był w rzeczywistości. Na fotografii miał minę strapionego stoika. Dziwne, że taki osobnik jak on, zadbany, zdrowy, podróżujący swobodnie po świecie i doskonale zbudowany, co niewątpliwie pozwalałoby mu rozmnażać się z ponadprzeciętną liczbą samic, mógł mimo wszystko być tak nieszczęśliwy. Niejako prawem kontrastu inne samce, zaniedbane, toczone chorobami i odrzucone przez własnych współplemieńców, emanowały

niekiedy zadowoleniem, zdającym się promieniować z jakiegoś bardziej enigmatycznego źródła niż pospolita głupota.

To, że niektóre najbardziej sprawne fizycznie i dobrze przystosowane wodsele nie potrafiły cieszyć się szczęściem za życia, stanowiło dla Isserley jedną z największych tajemnic, z którymi zetknęła się w pracy i którą długie lata doświadczeń uczyniły tylko bardziej zagadkową. Nie było sensu dyskutować o tym z Esswisem, a co dopiero z innymi mężczyznami z farmy. Choć byli jej życzliwi, już dawno odkryła, że nie prowadzą życia duchowego.

Podniosła wzrok, zauważyła, że ognisko przygasa, i zaczęła rozglądać się za czymś łatwopalnym. Pierwsza wpadła jej w rękę plastikowa koszulka z kartonikami, na których autostopowicz wypisał nazwy miast, wytrząsnęła więc plik tekturek na śnieg. Wrzucała je do ognia pojedynczo: THURSO, GLASGOW, CARLISLE i sześć następnych, aż po kartonik z napisem SCHOTTLAND. Paliły się dość dobrze, ale ginęły błyskawicznie w płomieniach. Stos gęstniał szybko, przeobrażając się w rozżarzoną zupę popiołów i stopionego plastiku, która prawdopodobnie nie wyrządzi większej szkody największemu przedmiotowi, jaki pozostał jej jeszcze do spalenia, czyli plecakowi.

Pobiegła do szopy, skąd przydźwigała kanister z benzyną. Hojnie polała plecak lśniącem paliwem i ostrożnie rzuciła go na migotliwy kopczyk. Płomienie odżyły z oszałamiającym rżeniem, przypominającym pracę silnika na przyspieszonych obrotach.

Po raz ostatni przyjrzała się paszportowi. Uznała, że jeśli miałaby zaryzykować i zatrzymać sobie jakiś dokument, bardziej przydatne byłoby zapewne prawo jazdy. Zauważyła także, dopiero teraz, że paszport zawiera również informację o płci właściciela, którego wzrost wynosił oficjalnie metr dziewięćdziesiąt. Uśmiechnęła się i cisnęła czerwoną książeczkę do ognia.

Z plastikowej torebki wyjęła portfel, który również

powędrował w płomienie, choć najpierw opróżniła go z banknotów. Niektóre nie były legalnymi środkami płatniczymi w Zjednoczonym Królestwie, i te Isserley odrzuciła. Funty uzupełnią fundusze na zakup benzyny. Dobrze, że nie kupuje nigdy nic innego, bo jej dłonie cuchnęły teraz benzyną, której zapachem przesiąkły także banknoty.

Spacer nadmorską plażą, po którym weźmie prysznic, wydawał się jej teraz jeszcze lepszym pomysłem niż poprzednio. A potem się przejedzie. Jeżeli będzie miała na to ochotę. Autostopowicze nie wylegną zresztą licznie na drogi w taki śnieżny dzień. Amlis Vess będzie musiał po prostu przyjąć to do wiadomości.

Isserley wędrowała kamienistym brzegiem Moray Firth, upajając się pięknem wielkiego, odsłoniętego świata.

Po jej prawej ręce, pomiędzy plażą w Ablach i niewidoczną za horyzontem Norwegią, falowały tryliony litrów wody. Po lewej, strome, inkrustowane janołcem zbocza wzgórz ciągnęły się aż po farmę. Z przodu i z tyłu rozciągał się przed nią nieskończony skraj półwyspu, którego podmokłe łąki, służące owcom za pastwiska, kończyły się gwałtownie na granicy przypiływu na wąskim, skalistym brzegu, zgranulowanym i wyrzeźbionym przez prehistoryczny ogień i lód. Właśnie tu Isserley uwielbiała spacerować.

Wierzyła, że różnorodność kształtów, barw i faktur pod jej stopami jest dosłownie nieskończona. Musiało tak być. Każda muszla, każdy kamień i kamyczek zawdzięczał swój obecny wygląd eonom podwodnego lub podlodowego masażu. To niewybiórcze, odwieczne poświęcenie natury dla składających się na nią niezliczonych cząstek miało dla Isserley znaczenie uczuciowe – pozwalało jej bowiem oglądać niezasłużenie żałosne życie ludzkie z właściwej perspektywy.

Wyniesione na brzeg kamienie, skąd może już za chwilę zostaną na kolejny milion lat wciągnięte pod wodę, gdzie będą polerowane i kształtowane na nowo, spoczywały spokojnie i beztrąsko pod jej nagimi stopami. Chciałaby kiedyś zgromadzić

je wszystkie, tworząc nieskończenie bogatą wystawę mineralogiczną, która byłaby wyłącznie jej dziełem, lecz która byłaby tak ogromna, że nigdy nie zdołałaby jej obejść od krańca do krańca. W pewnym sensie brzeg Ablach stanowił już taką kolekcję, tyle tylko, że ona nie przyczyniła się do jej powstania, choć bardzo chciałaby mieć jakiś wpływ na układ eksponatów.

Podniosła gładki kamyk, przypominający kształtem dzwonek z jedwabistą dziurką w środku. Był pasiasty, pomarańczowo-srebrno-szary. Następny kamień, na który nadepnęła, miał kształt kulisty i był nieskazitelnie czarny. Upuściła kamyk w kształcie dzwonka i wzięła do ręki czarną kulkę. Już w chwili, kiedy ją podnosiła, dostrzegła kątem oka jasnoróżowo-białe, krystaliczne jajo. Stała przed wytwornie trudnym wyborem.

Odrzuciła czarną kulkę i wyprostowała grzbiet, wpatrzona w ocean, w dematerializujące się bruzdy fal. Potem popatrzyła w drugą stronę, by znaleźć wzrokiem głaz, na którym zostawiła buty. Stały na swoim miejscu, a ich sznurowadła drżały z lekka na wietrze.

Ryzykowała, odsłaniając swoje stopy przed światem, ale gdyby nawet – co było bardzo mało prawdopodobne – ktoś oprócz niej zabłąkał się na plażę, dostrzegłaby intruza z odległości co najmniej kilkuset metrów. Zanim podszedłby na tyle blisko, by zobaczyć jej stopy, z łatwością zdążyłaby założyć buty, a w razie potrzeby nawet wejść do wody. Odczuwała niewyobrażalną ulgę, rozcapierzając palce na skalistym brzegu i chwytając nimi kamyki. Czy ryzyko, jakie podejmuje, nie jest wyłącznie jej sprawą? Trudni się zajęciem, którego nie może wykonywać nikt inny, i rok po roku dostarcza żądany towar. Amlis Vess, jeżeli ma dość odwagi, żeby jej coś zarzucić, powinien o tym pamiętać.

Szła dalej, kierując się ku wodzie, więc fale niemal obmywały jej stopy. Płytkie kałuże, tworzące się pomiędzy większymi skałami, pełne były stworzeń zwanych, jak się dowiedziała, trąbikami, choć te były chyba „maciupęńkie”, a zatem rynek ich nie potrzebował. Wyjęła jednego mięczaka z

glacialnej solanki i podniosła go do ust, a potem wsunęła odważnie czubek języka w pokryty śluzem otwór. Miał cierpki, niewątpliwie morski smak.

Odłożyła trąbika z powrotem do wody, delikatnie, żeby nie robić hałasu. Miała jednak kogoś w rodzaju gościa.

Niedaleko stała samotna owca, która zawędrowała na kamienisty brzeg. Wąchała dorównujące jej wielkością głązy i lizała je, by sprawdzić, jak smakują. Isserley zdziwiła się: nie sądziła, że owce mogą poruszać się po takim podłożu, myślała, że nie pozwala im na to budowa ich racic. Teraz widziała jednak na własne oczy, jak owca z łatwością pokonuje zdradliwe grzęzawisko kamyków i muszli.

Podeszła do niej skrycie, ostrożnie balansując na palcach. Wstrzymała oddech, by nie wystraszyć swojej towarzyszki.

Trudno było uwierzyć, że nie umie mówić, bo sądząc po wyglądzie, to stworzenie powinno było posiąść sztukę porozumiewania się. Pomimo dziwacznych rysów na pyszczku owcy malował się łudząco ludzki wyraz, kuszący Isserley, zresztą nie po raz pierwszy, aby przełamać międzygatunkową barierę i spróbować nawiązać bliższy kontakt ze zwierzęciem.

– Witaj. *Ahl. Wiin* – powiedziała.

Te trzy powitania, wygłoszone we wszystkich znanych jej językach, odniosły taki skutek, że skłoniły owcę do ucieczki.

Musiała przyznać, że kiepska z niej lingwistka.

Z drugiej strony mogła mieć całkowitą pewność, że żaden lingwista nigdy nie zgłosiłby się do pracy, jaką ona wykonuje. To zajęcie mogło interesować wyłącznie desperatów, których jedyną alternatywą na przyszłość było zesłanie do Nowych Posiadłości.

Ale nawet oni musieliby być niepoczytalni, żeby zdecydować się na coś takiego.

Wracając pamięcią do dawnych lat, nabierała przekonania, że zachowała się jak ostatnia wariatka. Musiała być delirycznie obłąkana. W końcu jednak wszystko ułożyło się jak najlepiej. Okazało się, że to najlepsza decyzja, jaką w życiu podjęła.

Można by nawet powiedzieć, że zdobyła się co najwyżej na bardzo skromne, osobiste poświęcenie, dzięki któremu uniknęła życia na wygnaniu w Posiadłościach – a jakkolwiek by na to patrzeć, szło o życie wprost bydlęco krótkie.

I rzeczywiście, jeśli kiedykolwiek żałowała, że tak zniekształcono jej piękne niegdyś ciało, aby mogła tu przyjechać, przypominała sobie zaraz, jak wyglądają ludzie, którzy spędzili choć trochę czasu w Nowych Posiadłościach. Rozkład i kalectwo niewątpliwie szły tam w parze. Może był to wynik przeludnienia, złego odżywiania, zanieczyszczenia powietrza, braku opieki medycznej albo nieuniknionych skutków życia pod ziemią, ale tak czy inaczej motłoch z Posiadłości odznaczał się ewidentną szpetotą, jakąś skazą, czyniącą tamtejszych mieszkańców niemal podludźmi.

Kiedy dowiedziała się, że mają ją tam zesać, powzięła żarliwe i uroczyste postanowienie, że na przekór losowi zachowa zdrowie i urodę. Prosta niezgoda na przemianę fizyczną miała być jej zemstą na tamtejszej władzy, odwetowym kopniakiem oporu. Czy w rzeczywistości mogła jednak mieć jakąkolwiek nadzieję na spełnienie swojego postanowienia? Niewątpliwie wszyscy początkowo przysięgali sobie, że nie zamienią się w garbate, pokryte bliznami bestie o pokruszonych zębach i pozbawionych palców dłoniach – i że nie wypadną im włosy. W końcu jednak kończyli przecież jako bestie, czyż nie? Czy czekałby ją inny los, gdyby znalazła się tam, a nie tu?

Oczywiście, że nie. Oczywiście. A sprawy potoczyły się w ten sposób, że nie wygląda dziś gorzej niż najgorsze śmieci z Posiadłości, prawda? No dobrze, powiedzmy, że wygląda zaledwie niewiele gorzej. Spójrzcie jednak tylko, co dostała w zamian!

Przyjrzała się całemu szerokiemu światu ze swojego skalistego punktu obserwacyjnego na brzegu Ablach Farm. Widok był niewiarygodnie wspaniały. Miała ochotę biegać po tym wybrzeżu przez całą wieczność – choć biegać już nie mogła.

W Posiadłościach, co prawda, także nie mogłaby biegać.

Razem z innymi nieszczęśnikami i kryminalistami błąkałyby się bez życia, powłócząc nogami, po podziemnych korytarzach z boksytu i skawalonego popiołu. Pracowałyby ponad siły w zakładach filtrów wodnych albo w fabryce tlenu, harując wśród nieczystości jak robak w otoczeniu innych robaków.

Lecz ostatecznie wylądowała tutaj, gdzie mogła swobodnie wędrować po niezmiernym pustkowiu, aż rozedrganym od niebywałych nadwyżek powietrza i wody.

A w gruncie rzeczy w zamian za to musiała jedynie chodzić na dwóch nogach.

Nie, oczywiście nie było to wszystko, co musiała robić.

Aby nie myśleć o pewnych bardziej gorzkich szczegółach poświęcenia, na które zdecydowała się przed laty, postanowiła nagle wrócić do pracy. Nie mogła dłużej pławić się w wolności, bo zaczynał ogarniać ją niepokój. A lekiem nań była praca.

Już wcześniej wrzuciła do morza klucze i zegarek niemieckiego autostopowicza. Woda nada im nowy kształt i fakturę, podobnie jak innym, od tysiącleci wrzucanym do morza przedmiotom. Pustą torebkę zatknęła za pasek od spodni, żeby nie śmiecić na plaży. I tak zalegały już na niej ohydne plastikowe opakowania, pochodzące z wież wiertniczych i przepływających w pobliżu statków. Pewnego dnia zbuduje na brzegu ogromne ognisko i spali w nim te śmieci. Wciąż zapomina po prostu przynieść odpowiedni sprzęt, to wszystko.

Wróciła po buty, które z niejaką trudnością wciągnęła na lodowate i nieco spuchnięte stopy. Chyba trochę przesadziła, spacerując tak długo w taki ziąb. Ale po kilku godzinach w przegrzanym samochodziku na pewno dojdzie do siebie.

Ruszyła brzegiem na trawiasty skraj pastwiska. Owca wróciła do stada pasącego się daleko w wyższych partiach wzgórza. Próbując wypatrzeć zwierzę, do którego przemówiła, Isserley potknęła się i omal nie upadła, bo w butach poruszała się niezgrabnie – powinna patrzeć pod nogi. Na granicy, jaką wyznaczała żywa roślinność, osiadła skomplikowana płatanina wyblakłych i wysuszonych słońcem wodorostów,

przypominających szkielety albo fragmenty szkieletów nieistniejących zwierząt. Między tymi zwodniczymi symulantami furkotały na wietrze autentyczne szczątki, pozostałe po zjedzonych przez własnych pobratymców mewach. Czasami, choć nie dzisiaj, trafiała się martwa foka, o tylnych płetwach zaplątanych w skrawek rybackiej sieci i ciele wypatroszonym przez innych mieszkańców morza.

Isserley ruszyła ścieżką wydeptaną przez kolejne pokolenia owiec, wiodącą z boczem w górę. Myślami była już za kierownicą.

Ognisko wygasło, zanim wróciła do domku. W śniegu utworzyła się aureola, ciemny krąg popiołów i nadpalonej trawy. Na stosie leżały jednak wciąż niestrawione przez ogień elementy plecaka. Wyciągnęła z popiołów i odrzuciła na bok pokryty sadzą metalowy stelaż, by pozbyć się go później. Być może jutro, jeżeli do tego czasu będzie znów miała ochotę wrócić nad morze.

Weszła do domku i pomaszerowała prosto do łazienki.

Łazienka, jak wszystkie pomieszczenia w domku, miała nagie ściany i wyglądała na nieużywaną. Plamił ją grzyb i zwłoki martwych owadów. Przez obrzydliwie brudną, mleczną szybkę maleńkiego okienka sączyło się przyćmione światło. We wnęce za umywalką wisiał ostry, przekrzywiony okruch lustra, w którym nie odbijało się nic oprócz złuszczonej farby. Wanna była czysta, choć nieco zardzewiała, podobnie jak umywalka, w przeciwieństwie do rozwartego wnętrza pozbawionej deski muszli klozetowej, której powierzchnia kolorem i fakturą przypominała korę. Z sedesu nikt nie korzystał, przynajmniej odkąd zamieszkała tutaj Isserley.

Zatrzymując się tylko na chwilę, żeby zdjąć buty, weszła do pokrytej brunatnożółtymi smugami wanny. W ścianie nad jej głową umocowana była rączka prysznica. Isserley uruchomiła go za pomocą bakelitowego pokrętła, by zrosić ciało sprężoną pod ciśnieniem wodą. Kiedy tylko wytrysnął strumień cieczy, zaczęła się rozbierać, zrzucając ubranie do wanny wokół swoich

stóp.

Na pokrytej cętkami rdzy półeczce stały przygotowane trzy butelki z różnymi szamponami. Razem zapłaciła za nie dokładnie pięć funtów na stacji Arabella. Wybrała swój ulubiony szampon i wycisnęła bladozielony syrop najpierw na włosy, potem na nagie ciało. Następnie obficie połała stos mokrych ubrań, leżących na dnie wanny. Nogą przesunęła chlupoczącą stertę nad otwór odpływowy, żeby podnieść poziom wody w wannie.

Starannie umyła włosy, płuczac je wielokrotnie. W ojczyźnie włosy stanowiły zawsze jej największy atut. Jeden z członków Elity powiedział jej kiedyś, że jest wykluczone, by kogoś o takich włosach można było zesłać do Nowych Posiadłości: patrząc z perspektywy czasu, był to tani i głupkowaty komplement, choć wtedy zarówno poruszył ją, jak i pocieszył. Poczowała się tak, jak gdyby jej wędrówka ku świetlanej przyszłości była kwestią fizycznej nieuchronności, jej przyrodzonego prawa, ujawniającego się w postaci bujnego i lśniącego znamienia, które już na pierwszy rzut oka widzą wszyscy, choć tylko kilku szczęśliwców może je gładzić z podziwem.

Dziś pozostało jej tak niewiele włosów, że nie umiała ich lubić. Większość nie odrośnie już nigdy, a reszta to zwyczajne utrapienie.

Pogładziła się po barkach i ramionach, by sprawdzić, czy znów nie powinna ich ogolić. Jej śliskie od piany dłonie wyczuły miękką szczecinę, uznała jednak, że nic się nie stanie, jeżeli odczeka jeszcze jeden dzień. Odkryła, że wiele samic porasta tu i ówdzie skąpe owłosienie, a prawdziwe życie w niczym nie przypomina uładowanych obrazów, z lubością serwowanych przez telewizję i ilustrowane czasopisma. Tak czy owak, jej barków i ramion nikt przecież nie będzie oglądał.

Namydliła piersi i spłukała je z niesmakiem. Jedyne pożytek z wielkiego biustu był taki, że dzięki niemu nie widziała, jak potraktowano niższe partie jej ciała.

Kierując sitko prysznicą w drugą stronę, zajęła się ubraniem, wirującym teraz w płytkiej kałuży szarych mydlin. Zaczęła deptać bluzkę i spodnie, wypłukała je, wydeptała ponownie, a potem wykręciła w swoich mocarnych szponach. Wyschną w końcu w kwadracie słońca, wpadającego przez okno do jej sypialni, a gdyby słońce zawiodło, wysuszy ubranie na tylnym siedzeniu auta.

Ostatecznie opuściła farmę dopiero po południu. Złocistego o poranku słońca niemal nie było już widać, a obrznięte od niewydalonego śniegu niebo przybrało teraz ciemnoszary kolor. Prawdopodobieństwo spotkania na drogach autostopowiczów, nie mówiąc już o znalezieniu wśród nich odpowiednich osobników, było bardzo małe. Nastrój jednak skłaniał ją do pracy, a w każdym razie do ucieczki od nerwowej krzątaniny, która, jak wiedziała, trwała wciąż pod ziemią.

Mijając główny budynek, zauważyła absolutnie niezwykle zjawisko: Esswisa, który stał na długiej, drewnianej drabinie z puszką farby w jednej i pędzlem w drugiej ręce, malował bowiem kamienne ściany na biało.

Zwolniła, zatrzymała się u stóp drabiny i podniosła na niego wzrok. Nałożyła już okulary, więc nie widziała go całkiem wyraźnie. Przyszło jej do głowy, żeby zdjąć je na chwilę, ale pomyślała, że zachowałaby się nieelegancko, ponieważ Esswis miał swoje szkła na nosie.

– *Ahl* – powiedziała, mrużąc oczy. Nie była pewna, czy dobrze postąpiła, zatrzymując się.

– *Ahl* – odparł mrukliwie jak farmer, za jakiego uchodził w okolicy. Może bał się używać ojczyściego języka poza domem, choć wokół nie było nikogo, a więc nikt nie mógłby go usłyszeć. Z czubka pędzla, który trzymał w dłoni, kapiała farba, ale Esswis zmarszczył tylko brwi, jak gdyby pozdrowienie Isserley było jedynie niepomyślnym zrzędzeniem losu, które należy przyjąć ze stoickim spokojem. Miał na sobie ogrodniczkę, czapkę i pochłapane farbą kalosze. Dopasowanie ich tajemnego wnętrza wymagało niemal tyle czasu, co wymodelowanie butów

Isserley.

Pomyślała, że biorąc wszystko pod uwagę, Esswis nie został doświadczony równie ciężko jak ona. Na przykład nie miał piersi, a jego twarz pozostała bardziej kosmata.

Wskazała gestem ścianę, którą malował. Zdążył pobielić tylko niewielki skrawek budynku.

– To z okazji przyjazdu Amlisa Vessa? – spytała retorycznie.

Esswis chrząknął.

– Robicie spore zamieszanie – zaryzykowała Isserley. – Ale to chyba nie był twój pomysł?

Esswis rzucił jej groźne, a zarazem pełne obrzydzenia spojrzenie.

– Sram na Amlisa Vessa – wycedził bardzo wyraźnie po angielsku, po czym powrócił do przerwane go zajęcia.

Isserley zamknęła okno i odjechała. Z nieba spiralnym lotem zaczęły spływać na ziemię pierzaste płatki śniegu.

4.

Jadąc po przerzuconej wysoko w powietrzu betonowej nitce mostu, przyznała w duchu, że w żadnym wypadku nie życzy sobie poznać Amlisa Vessa.

Była już niemal na środku mostu Kessock i ścisnęła mocno kierownicę, bała się bowiem, że wściekły, boczny wiatr będzie próbował zmieść jej czerwony samochodek w przepaść. Miała pełną świadomość ciężaru podwozia i przyczepności opon na asfalcie, co paradoksalnie przypominało jej, jak solidna i wytrzymała jest konstrukcja samochodu, który jednak opierał się kierowcy, jak gdyby chciał powiedzieć, że jest ciężki, niemrawy i boi się poruszać.

– Ziu-uuu-uu-uu! – gwizdało wokół powietrze.

Na moście dygotały rozstawione w regularnych odstępach metalowe tablice, przedstawiające siatkę wypełnioną podmuchami wichury. Kiedy dawno temu Isserley przyglądała się tym znakom po raz pierwszy, stanowiły dla niej pozbawione znaczenia hieroglify. Obecnie jednak odwoływały się wprost do jej drugiej natury, toteż chwyciła mocno kierownicę, jak zwierzę, które rozpaczliwie usiłuje wyrwać się na wolność. Zablokowała i zacisnęła dłonie – wyobrażała sobie, że między kłykciami palców widzi uderzenia swojego tętna.

A jednak kiedy pomrukiwała pod nosem, że nie pozwoli zepchnąć się z raz obranego kursu – nie, nie, za nic – nie miała na myśli bocznego wiatru, lecz Amlisa Vessa. Przylatywał z daleko bardziej niebezpiecznych stron niż Morze Północne, a ona nie umiała przewidzieć ewentualnych konsekwencji jego wizyty. Bez względu jednak na to, jakie by one były, nie zdoła przeciwstawić się Vessowi, zaciskając po prostu palce na kierownicy.

Minęła już środek mostu i od jego przeciwległego krańca w

Inverness dzieliło ją zaledwie kilka minut jazdy. Auto, terkocząc, sunęło z wolna prawym pasem, a Isserley wzdrygała się za każdym razem, gdy z rykiem silnika wyprzedzały ją szybsze samochody – bo wtedy ciśnienie wiatru najpierw gwałtownie spadało, po czym podmuch uderzał w jej toyotę ze zdwojoną siłą. W górze, po lewej stronie mostu wirowały mewy – beład białych ptaków, które bez końca opadały ku morzu, a potem krążyły tuż nad powierzchnią zatoki i zanurzały się niespiesznie w wodzie, jak gdyby wciągał je muł. Znow wbiła wzrok w odległe wciąż przedmieścia Inverness, próbując się zmusić, żeby wcisnąć mocniej pedał gazu – ale jak mogła sądzić po wskazówce szybkościomierza, bez powodzenia.

– Ziu-uuu-uu-uu! – wył wiatr przez całą drogę.

Zjechawszy cało i bezpiecznie z mostu po drugiej stronie zatoki, trzymała się prawego pasa ruchu, usiłując za wszelką cenę oddychać głęboko i rozluźnić chwyt na kierownicy. Napięcie zniknęło niemal w jednej chwili – mogła normalnie prowadzić i funkcjonować. Stała na *terra firma*, panowała nad sobą i idealnie wtapiała się w otoczenie, wykonując zadanie, które wykonać mogła tylko ona. Nic, co pomyśli albo powie Amlis Vess, nie może tego zmienić: nic. Jest niezastąpiona.

Niepokoilo ją jednak to słowo. Niezastąpiona. Ludzie zwykle uciekają się do niego wtedy, kiedy wisi nad nimi groźba zwolnienia z pracy.

Otwarcie i odważnie próbowała sobie wyobrazić, że ją wyrzucą. Być może znalazł się ktoś gotowy ponieść ofiarę, na którą zdecydowała się ona i Esswis, i ten ktoś zajmie jej miejsce. Oboje byli wówczas w rozpaczliwym położeniu, choć każde z innych powodów – czy zatem nie znajdą się kiedyś podobni im desperaci? Trudno było to sobie wyobrazić. Nikt nie może popaść w taką rozpacz, jak ona wtedy, przed laty. A poza tym każdy nowy pracownik będzie niesprawdzony i niedoświadczony. Czy w grze o oszałamiające zyski Korporacja Vessa gotowa byłaby podjąć takie ryzyko?

Raczej nie. Ale Isserley trudno było czerpać pociechę z tej

konstatacji, bowiem myśl, iż rzeczywiście jest niezastąpiona, była równie niepokojąca.

Bo jeśli jest niezastąpiona, to Korporacja Vessa nigdy jej nie zwolni.

To zaś oznacza, że będzie musiała wykonywać tę robotę bez końca. I że nigdy nie nadejdzie dzień, kiedy będzie mogła cieszyć się światem, nie dbając o pełzające po jego powierzchni stworzenia.

Wszystko to jednak, jak przypomniała sobie z irytacją, nie powinno mieć nic wspólnego z Amlisem Vessem. Bo czy w ogóle istnieje jakiś związek między tymi sprawami? Bez względu na to, jaki jest powód wizyty młodego Amlisa, musi on być czysto osobisty i niezwiązany z Korporacją. Samo nazwisko gościa to za mało, żeby miała aż tak się nim przejmować.

W porządku, jasne, Amlis jest synem ważniaka, nie widać jednak jakichkolwiek oznak, że odziedziczy kiedyś jego imperium. Nie jest nawet pracownikiem Korporacji Vessa – w ogóle nigdy nigdzie nie pracował – nie jest więc możliwe, by miał pełnomocnictwa do podejmowania decyzji w imieniu przedsiębiorstwa. Co więcej, o ile wiedziała, Amlis darzył świat biznesu pogardą i w oczach ojca był wielkim nieudacznikiem. Oznaczał kłopoty, choć nie dla Isserley. Nie ma się czego obawiać z jego strony, mimo że z niewyjaśnionych przyczyn postanowił wpaść na Ablach Farm.

Dlaczego zatem tak bardzo chciała uniknąć spotkania z Amlisem Vessem?

Osobiście nie miała nic przeciwko temu chłopcu (zapewne już mężczyźnię? – ile on może mieć teraz lat?), który nie został przecież jedynym spadkobiercą największej firmy na świecie na własną prośbę. Nie zrobił nic takiego, co mogłoby ją jakoś prywatnie urazić, a za dawnych czasów śledziła jego poczynania z rozbawieniem. Zawsze był bohaterem programów informacyjnych, jak wszyscy bogaci, młodzi dziedzice rodzinnych fortun. Pewnego razu ogolił całe ciało, spełniając rytuał inicjacyjny pewnej dziwacznej sekty religijnej, do której

wstąpił z wielkim rozgłosem medialnym i z której wystąpił kilka tygodni później, nie udzielając prasie żadnego komentarza. Innym razem media doniosły, że ojciec i syn bardzo się poróżnili z uwagi na poparcie Amlisa dla ekstremistów na Bliskim Wschodzie. Ponadto Amlis oświadczył kiedyś publicznie, że stosowana w odpowiednio małych dawkach ikpatua jest tylko nieszkodliwym środkiem euforycznym, który nie powinien być zakazany przez prawo. Co pewien czas wywoływały także zamieszanie rozmaite dziewczęta, które twierdziły, że są z Amlisem w ciąży.

Koniec końców był więc po prostu typowym młodzieńcem z bogatego domu, któremu grozi odziedziczenie kolosalnego majątku.

Druga natura Isserley, czuwająca pomimo zamyślenia, przyzwała ją z powrotem na fotel kierowcy – za Inverness, przy szosie prowadzącej dalej na południe, zauważyła bowiem coś ważnego, a mianowicie autostopowicza, stojącego w oddali naprzeciwko pierwszej z licznych w tym miejscu, krzykliwie kolorowych, przydrożnych jadłodajni.

Wysłuchana we własny oddech, próbowała ocenić, czy uspokoiła się już na tyle, by podjąć wyzwanie. Uznała, że tak.

Z bliska okazało się jednak, że postać na skraju drogi to samica o udręczonych rysach, siwych włosach i niechlujnym wyglądzie. Isserley minęła ją, ignorując widoczne w oczach autostopowiczki wezwanie do płciowej solidarności. Samicy wystarczyła jedna chwila, by powiadomić ją wzrokiem, że czuje się skrzywdzona i poniżona, a potem plamka jej postaci zaczęła szybko topnieć w lusterku wstecznym.

Isserley poczuła przyływ energii. Była zadowolona, że pochłaniają ją myśli o czymś innym niż przyjazd Amlisa Vessa. Na szczęście parę mil dalej stał następny autostopowicz, samiec, na pierwszy rzut oka dość imponujący, na nieszczęście wybrał jednak miejsce, w którym mógłby się zatrzymać tylko wyjątkowy ryzykant. Isserley zamrugnęła światłami, by dać mu do zrozumienia, że mogłaby go zabrać, gdyby nie narażała się

na niebezpieczeństwo, zatrzymując się w tym miejscu. Wątpiła jednak, czy wystarczy włączyć światła, żeby przekazać mu tę informację – było bardziej prawdopodobne, że autostopowicz pomyśli, iż mruga światłami złośliwie, by z niego zakpić.

Nie wszystko było jednak stracone – być może zobaczy go jeszcze w drodze powrotnej, gdy znajdzie sobie bezpieczniejsze miejsce. Z biegiem lat nauczyła się, że życie często podsuwa człowiekowi drugą szansę: zdarzało jej się nawet podwozić autostopowiczów, których widziała wiele godzin i mil wcześniej, kiedy sadowili się z wdzięcznością w obcych samochodach.

Jechała więc dalej w optymistycznym nastroju.

Jeździła cały dzień, krążąc tam i z powrotem między Inverness a Dunkeld. Słońce już zaszło. Zaczął padać śnieg, choć śnieżne chmury wycofały się rano. Jedna z wycieraczek zaczęła pracować z irytującym skrzypieniem. Trzeba było dokupić znów paliwa, a przez cały ten czas nie usiłował jej zatrzymać ani jeden odpowiedni osobnik.

Około szóstej wiedziała już mniej więcej, dlaczego tak bardzo boi się spotkania z Amlisem Vessem.

Prawdziwa przyczyna jej lęku nie miała nic wspólnego z jego pozycją społeczną: Isserley stanowiła nieoceniony tryb w maszynie biznesu jego ojca, on zaś przysparzał problemów jemu i firmie, musiał się zatem lękać Korporacji Vessa bardziej niż ona. Nie, główny powód, dla którego obawiała się z nim spotkać, był o wiele prostszy.

Boi się, ponieważ Amlis Vess przybywa z rodzinnych stron.

Isserley zrobi na nim takie wrażenie, jak na każdej normalnej osobie z kraju, Amlis przeżyje zatem szok, a ona będzie musiała bezradnie oglądać jego reakcję. Wiedziała z doświadczenia, jak to jest – i zrobiłaby wszystko, żeby już więcej nie doznawać tego uczucia. Mężczyźni, z którymi pracowała na farmie, z początku też byli wstrząśnięci, teraz jednak mniej lub bardziej przywykli do jej widoku i potrafili zajmować się własnymi sprawami, nie gapiąc się na nią bezustannie (choć kiedy robili sobie przerwy w pracy, zawsze

czuła na sobie ich wzrok). Nic dziwnego, że trzyma się swojego domku, zapewne z tego samego powodu, co Esswis. Bycie dziwołagiem jest szalenie męczące.

Amlis Vess, który nigdy dotąd jej nie widział, najprawdopodobniej wzdrygnie się ze wstrętem. Pewnie przypuszcza, że ujrzy istotę ludzką, lecz zamiast niej zobaczy ohydne zwierzę. Nie mogła znieść właśnie tej chwili... Chwili obrzydzenia, będącego zaprzeczeniem rozpoznania człowieka.

Postanowiła wrócić natychmiast na farmę, zamknąć się w domku na klucz i przeczekać w nim zarówno przyjazd, jak i wyjazd Amlisa Vessa.

Na tle górskiego krajobrazu pustkowiec Aviemore reflektory jej samochodu oświetliły kolejnego autostopowicza. Wyglądał jak mała chimera, gestykująca w blasku punktówki, zarejestrowana na siatkówce oka niczym powidok – mała chimera, niemądrze tkwiąca w miejscu, gdzie samochody mijają ją ze świstem w maksymalnym pędzie. Isserley jechała jednak najwyżej pięćdziesiąt mil na godzinę, miała więc czas, żeby go zauważyć. Odniosła wrażenie, że autostopowiczowi bardzo zależy, żeby ktoś go podwiózł.

Przejeżdżając obok, zastanawiała się poważnie, czy ma ochotę na autostopowicza. Oczekiwała w tej sprawie sygnałów z kosmosu.

Śnieg znów przestał padać, wycieraczki spoczywały spokojnie na swoich miejscach, a silnik mruczał przyjemnie i Isserley groziła nawet drzemka. Zwolniła, zjechała na bok i zatrzymała się w zatoczce autobusowej. Zostawiła samochód na jałowym biegu, ale wyłączyła światła mijania. Z jednej strony majaczyły góry Monadhliath, a z drugiej Cairngorm. Była z nimi sam na sam. Zamknęła oczy, wsunęła czubki palców pod okulary i zaczęła trzeć swoje ogromne, aksamitne powieki. Nagle w pole widzenia Isserley wjechała z rykiem cysterna, zalewając światłem wnętrze jej auta. Odczekała, aż cysterna odjedzie, a potem wcisnęła pedał gazu i włączyła kierunkowskaz.

Zbliżając się do autostopowicza powtórnie, z drugiej strony drogi, zauważyła, że jest drobnokościsty, ma wypukłą pierś i mocno opalone, obnażone tu i ówdzie ciało, nieszarzące nawet w pełnym świetle reflektorów. Tym razem spostrzegła także, że nieopodal stoi samotny samochód, który, być może, zepsuł się i utknął w rowie przy szosie. Był to umorusany niebieski nissan, cały porysowany i poobijany, chociaż na karoserii nie było widać żadnych świeżych śladów świadczących o tym, że uczestniczył w wypadku.

Samiec i jego samochód byli cali i trzymali pion, chociaż autostopowicz wykonywał przesadnie szerokie gesty, chcąc zwrócić uwagę kierowców na swój wóz.

Isserley przejechała jeszcze kilka mil, nie zamierzała bowiem wplątać się w incydent, który mógł stać się już przedmiotem zainteresowania policji albo pomocy drogowej, w końcu uznała jednak, że gdyby samotny kierowca miał nadzieję, iż znajdą go przedstawiciele wspomnianych służb, z pewnością nie próbowałyby złapać okazji. Zawróciła więc i pojechała z powrotem.

Przy ostatnim podejściu okazało się, że autostopowicz wygląda dziwnie nawet jak na Szkota. Chociaż niewiele wyższy od Isserley, o zasuszonej, pokrytej kępkami włosów główce i wrzecionowatych nogach, miał nieprawdopodobnie masywne ramiona, barki i tors, jak gdyby przeszczepiono mu te części ciała z jakiegoś znacznie lepiej umięsnionego stworzenia. Ubrany w postrzępioną, spłóviała flanelową koszulę z podwiniętymi rękawami, wydawał się całkiem niewrażliwy na ziąb. Wystawiał kciuk na przenikliwym zimnie z niemal błazeńskim entuzjazmem, wskazując szerokimi gestami swojego zdezelowanego nissana. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie widziała tego autostopowicza gdzieś wcześniej, i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że przypomina jej bohaterów filmów rysunkowych, emitowanych w telewizji wczesnym rankiem. Osobnik jego pokroju nie należałby jednak do głównych bohaterów – przywodził na myśl raczej postaci

drugoplanowe, rozplaszczane na placek przez gigantyczne młoty albo skwierczące w płomieniach eksplodujących cygar.

Postanowiła zatrzymać się i podwieźć go. Ostatecznie między biodrami a szyją miał więcej masy mięśniowej niż wielu dwa razy większych od niego wodseli na całym ciele.

Widząc, że zwalnia i zjeżdża w jego stronę, autostopowicz skinął idiotycznie głową i wznosił zaciśnięte pięści z wyprostowanymi w geście triumfu kciukami, jak gdyby przyznawał jej dwa punkty za podjęcie prawidłowej decyzji. Isserley zdało się, że wraz z chrzęstem żwiru słyszy jego gardłowy okrzyk radości.

Podjechała tak blisko do auta samca, na ile było to możliwe bez ugrzęźnięcia przednimi kołami w rowie. Miała nadzieję, że migające światła stopu okażą się wystarczającym ostrzeżeniem dla nadjeżdżających z tyłu kierowców. Miejsce było naprawdę niebezpieczne i chciała się dowiedzieć, czy autostopowicz zgodzi się z tą opinią. Jego zdanie wiele jej o nim powie.

Kiedy tylko zaciągnęła ręczny hamulec, opuściła szybę w oknie po stronie pasażera, a samiec natychmiast wetknął do wnętrza swoją maleńką główkę. Uśmiechał się szeroko, ukazując garnitur krzywych, brunatnych na brzegach zębów, tkwiących pomiędzy dwoma skórzastymi rogalikami warg. Jego opalona na brązowo twarz była szczeciniasta, pomarszczona, przecięta blizną, ozdobiona cętkowanym, płaskim nochem i dwoma zdumiewająco przekrwionymi, szympansimi oczkami.

– Oskalpuje mi dyńkę, jak pragnę zdrowia – łypnął na nią spod oka, zionąc alkoholem.

– Proszę?

– Moja dziewczyna. Oskalpuje mi dyńkę – powtórzył, a jego szeroki uśmiech przeszedł w grymas. – Miałem przyjechać do niej na podwieczorek. Zawsze mam się u niej meldować o tej porze. I wiesz co? Nigdy nie udaje mi się przyjechać na czas.

Jego ciało obwisło nieco w oknie samochodu i wodsel przymknął z wolna oczy, jak gdyby źródło energii, która podtrzymywała mu dotąd powieki, wyczerpało się nagle. Po

chwili ocknął się z wysiłkiem i dodał:

– Co tydzień ta sama historia.

– To znaczy jaka? – spytała Isserley, usiłując się nie krzywić, choć otaczały ją opary piwa.

Autostopowicz mrugnął do niej z wysiłkiem.

– Dziewczyna ma temperament. – Powieki znów mu opadły i zachichotał niczym rysunkowy kocur, stojący w cieniu spadającej bomby.

Isserley stwierdziła, że w porównaniu z innymi wodsalami ten samiec jest właściwie przystojny, zachowuje się jednak zdecydowanie dziwnie, co kazało się jej zastanowić, czy nie jest przypadkiem słaby na umyśle. Czy imbecyl może dostać prawo jazdy? Dlaczego z głupkowskim uśmiechem uwiesił się po prostu okna jej auta, skoro i jego, i jej samochód może w każdej chwili zmiażdżyć przejeżdżająca drogą ciężarówka? Nerwowo zerknęła w lusterko, chcąc się upewnić, że z tyłu nie nadjeżdżają żadne pędzące z dużą prędkością pojazdy.

– Co się stało z twoim samochodem? – zapytała w nadziei, że skłoni go w ten sposób, by wrócił do sedna sprawy.

– Po prostu nie chce dalej jechać i basta – wyjaśnił zbolalym głosem samiec. Jego oczy przypominały zaskorupiałe szparki. – Już nie. Taka jest prawda. Nie ma sensu się z nim spierać, co? Co?

Wyszczrzył zęby we wściekłym uśmiechu, jak gdyby chcąc ją oczarować i skłonić do wyrażenia przeciwstawnego poglądu.

– Masz jakiś problem z silnikiem? – podpowiedziała Isserley.

– Nie. Skończyło mi się jakby paliwo – powiedział, pociągając nosem z zażenowaniem. – Przez moją dziewczynę, rozumiesz. Dla niej liczy się każda minuta. Ale benzyny powinienem chyba nabrać nieco więcej.

Spojrzał zezem w ogromne oczy Isserley, która odgadła, że autostopowicz nie widzi w nich nic bardziej egzotycznego niż wyimaginowane upomnienie.

– Bo widzisz, mam kompletnie rozpieprzony wskaźnik paliwa – wyjaśnił, odsuwając się od auta Isserley, by wskazać swojego

nissana. – Wskazuje, że jest pusty, kiedy jest prawie pełny. Wskazuje, że jest pełny, kiedy jest prawie pusty. Nie można mu w ogóle wierzyć. Muszę polegać tylko na własnej pamięci, rozumiesz mnie?

Otworzył szarpnięciem drzwi swojego auta, jak gdyby był przewodnikiem, który zamierza oprowadzić Isserley po słabych punktach wozu. W kabinie zapaliło się światełko – blade i migotliwe, potwierdzające reputację oszusta, jaką cieszył się samochód wodsela. Na fotelach dla pasażerów walały się puszki po piwie i torebki po chipsach.

– Jestem na nogach od piątej rano – oświadczył autostopowicz o płaskim nosie, z hukiem zatrzaskując drzwi auta. – Pracowałem dziesięć dni bez przerwy. Spałem po cztery, pięć godzin. Koszmar. Koszmar. Ale nie ma co narzekać, co? Co?

– No... Chcesz, żebym cię podwoziła? – zaproponowała Isserley, wymachując chudym ramieniem w powietrzu nad fotelem pasażera, żeby przyciągnąć i utrzymać uwagę samca.

– Potrzeba mi kanistra z benzyną – powiedział, słaniając się na nogach i zawisając znów w otwartym oknie auta Isserley.

– Nie mam ani kropli benzyny – odpowiedziała. – Ale wsiadaj. Zawiozę cię na stację albo gdzieś dalej. Dokąd jedziesz?

– Do mojej dziewczyny – łypnął okiem, znów z trudem unosząc powieki znad gałek ocznych. – Ma temperament. Oskalpuje mi dyńkę.

– Tak. Czyli dokładnie dokąd?

– Do Edderton – powiedział.

– To wsiadaj – popędziła go. Edderton leżało tylko pięć mil od Tain i mniej więcej trzynaście od Ablach Farm. Czy może się jej nie udać? Jeżeli będzie musiała z niego zrezygnować, ukończone niepowodzenie, wracając natychmiast na farmę – a jeśli go zabierze, to tym lepiej. Tak czy owak, kiedy przyjedzie Amlis Vess, ona będzie siedzieć już bezpiecznie w domku, a może nawet prześpi całe zamieszanie – o ile nikt nie zastuka do jej

drzwi.

Kiedy autostopowicz zapiął pas, Isserley zjechała z pobocza, włączyła się do ruchu i nacisnęła pedał gazu, zmierzając drogą A9 w stronę domu. Żałowała, że ten odcinek szosy nie jest oświetlony i że nie może zapalić lampki w samochodzie, ponieważ zabraniało tego prawo – a chciała, żeby ten gość miał sposobność dobrze się jej przyjrzeć. Wyczuwała, że jest durny, a teraz zapewne myśli wyłącznie o tym, jak rozwiązać swoje niecierpiące zwłoki problemy. Zapewne będzie potrzebował dodatkowej zachęty, by opowiadać o sobie. Z powodu ciemności na drodze Isserley była jednak zbyt zdenerwowana, by prowadzić, trzymając na kierownicy tylko prawą rękę – będzie więc musiał wyteńczyć nieco wzrok, jeżeli zechce przyjrzeć się jej piersiom. Trzeba przyznać, że już wytrzeszczał oczy. Wbiła więc wzrok w drogę przed sobą, prowadziła uważnie i pozwoliła mu się gapić.

Autostopowicz myślał, że jego dziewczyna na pewno wyrzuci go na zbity pysk, ale może pozwoli mu się najpierw krzywkę zdrzemnąć.

Ha! Na pewno nie! Pokaże mu wyjętą z pieca, wyschłą na wiór kolację i powie, że nie nadaje się już do jedzenia, choć rozpaczliwie będzie chciał się na nią rzucić, na co ona mu oczywiście nie pozwoli. Po to gnał jak szaleniec drogą A9, co tydzień, tydzień w tydzień. Jego dziewczyna. Catriona. Gdyby chciał, mógłby ją podnieść i wyrzucić przez okno jak wazon, ale to ona ciągle go sztorcuje. Jak to możliwe, co? Co?

A teraz ta dziewczyna, która go zabrała. Pewnie byłaby w porządku, jako narzeczona, na ten przykład. Przypuszczał, że pozwoliłaby mu zasnąć, kiedy nade wszystko pragnął spać. Nie szturchałaby go, kiedy usypiał, i nie powtarzałaby: „Chyba nie śpisz, co?” Ma życzliwe spojrzenie. I cholernie wielkie bufory. Szkoda, że nie wozi w aucie wielkiego kanistra z benzyną. Mimo to nie może chyba narzekać, co? Nie ma co narzekać. Stawiaj czoło losowi z uśmiechem, mawiał jego stary. Tyle tylko, że on nie znał Catriony.

Dokąd go podwiezie ta dziewczyna? Czy zgodzi się odstawić go z powrotem do samochodu, jeżeli uda mu się zdobyć trochę benzyny? To okropne, że zostawił tak samochód w rowie, bez opieki. Może go ukraść złodziej. Tylko że złodziej też będzie potrzebował benzyny. Ale złodzieje samochodowi krążą pewnie po okolicy, wożą paliwo w kanistrach w bagażniku i szukają takich porzuconych samochodów. Jak nisko mogą się stoczyć pewni ludzie, co? Człowiek człowiekowi wilkiem, oto do czego wszystko się sprowadza.

Już jest spóźniony, a Catriona zamorduje go, jeżeli spóźni się jeszcze bardziej. Właściwie nie byłoby w tym nic strasznego, ale gorzej, że nie pozwoli mu spać. Jeżeli załatwi benzynę, może się przespać w samochodzie i pojechać do Catriony rano. Albo nocować w samochodzie cały weekend, za dnia posiedzieć w Little Chefs, a w poniedziałek rano wrócić do pracy. Pięknie, kurwa, co? Co?

Za to ta dziewczyna nie będzie chyba miała nic przeciwko temu, że wtuli się na kilka chwil w zagłówek, nie? I tak żaden z niego partner do rozmowy. „Jesteś głupi jak dwa buty” – mawiała zawsze Catriona.

Ale jak głupi jest właściwie but, co? To chyba zależy od tego, o jaki but chodzi, no nie?

Isserley kaszlnęła, żeby go obudzić. Kaszel przychodził jej z trudem, toteż ćwiczyła go często, chcąc sprawdzić, czy brzmi przekonująco.

– Co? Co? – zagdakał, a jego przekrwione oczy i lśniący od smarków nochal wyskoczył z ciemności jak dzikie, spłoszone zwierzę.

– Czym się zajmujesz? – zapytała Isserley. Milczała przez chwilę, sądząc, że autostopowicz gapi się na nią, ale zduszone sapnięcie uświadomiło jej, że samiec znowu usypia.

– Wycinką drzew – powiedział. – Robię w drewnie. Od osiemnastu lat jestem drwalem, od osiemnastu lat obsługuję piłę łańcuchową. I ciągle mam dwie ręce i dwie nogi! Hej! Hej! Hej! Nieźle, co? Co?

Uniósł ręce nad deskę rozdzielczą i zatrzepotał palcami, prawdopodobnie, żeby zademonstrować, że wciąż zachował ich dziesięć.

– To masz chyba duże doświadczenie – skomplementowała go Isserley. – Pewnie dobrze cię znają we wszystkich tartakach.

– A jak – pokiwał energicznie głową, a jego podbródek za każdym razem odbijał się od beczkowatej piersi. – I wszyscy dają dyla na mój widok. Hej! Hej! Hej! Ale trzeba się uśmiechać w każdej sytuacji, co?

– Chodzi ci o to, że nie są zadowoleni z twojej pracy?

– Powiadają, że nie mam poczucia czasu – wymamrotał niewyraźnie. – Że drzewa za długo muszą na mnie czekać, rozumiesz mnie? Spóźniam się, spóźniam, spóźniam. Spóóóóźniam się... – Głowa znów osunęła mu się na bok, a rozwlekła samogłoska wskazywała, że autostopowicz zapada powoli w niebyt.

– To bardzo niesprawiedliwe – zauważyła głośno Isserley. – Liczy się przecież to, czy dobrze wykonujesz swoją pracę, a nie to, kiedy pracujesz.

– To miłe słowa, miłe – drwał uśmiechnął się z głupkowatą wdzięcznością, coraz uważniej patrząc na swoje kolana, a na jego miniaturowej czaszce znów rozsypywały się powoli kępki włosów.

– Więc mieszkasz w Edderton, tak? – wrzasnęła Isserley.

Autostopowicz sapnął i ocknął się raz jeszcze.

– Co? W Edderton? Tam mieszka moja dziewczyna. Oskalpuje mi dyńkę.

– A ty gdzie mieszkasz?

– W tygodniu nocuję w samochodzie albo w tanich hotelach. Pracuję dziesięć dni z rzędu, czasami trzynaście. Latem zaczynam o piątej rano, w zimie o siódmej. Albo kaaaaaą mi...

Już miała wytrącić go z drzemki, ale autostopowicz sam się obudził, zaczął się wiercić na fotelu i nawet wtulił policzek w zagłówek, jak gdyby to była poduszka. Mrugnął znów okiem i ze zmęczonym, unizonym uśmiechem zamruczał:

– Pięć minut. Tylko pięć minut.

Rozbawiona Isserley prowadziła w milczeniu, a samiec tymczasem zasnął.

Zdziwiła się z lekka, kiedy mniej więcej pięć minut później drgnął, wrócił do świadomości i zaczął wpatrywać się w nią półprzytomnie. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć, ale autostopowicz zaraz znowu się rozluźnił i wcisnął policzek w zagłówek.

– ...szcze pięć minut – wydał prosząco wargi. – Pięć minut.

I znów odpłynął w nicość.

Jechała dalej, tym razem popatrując jednym okiem na cyfrowy zegar w desce rozdzielczej. I, rzecz jasna, mniej więcej trzysta sekund później drwał poderwał gwałtownym szarpnięciem głowę.

– Pięć minut – wystękał, odwracając się i wtulając w zagłówek drugi policzek.

Powtarzało się to przez dwadzieścia minut. Isserley początkowo nie spieszyła się, ale drogowskaz zwrócił jej uwagę, że miną za chwilę zjazd z trasy, poczuła więc, że pora wziąć się do rzeczy.

– A ta twoja dziewczyna – powiedziała, kiedy autostopowicz się ocknął. – Nie rozumie cię, tak?

– Ma temperament – przyznał, jak gdyby sprowokowano go do wypowiedzenia tych słów po raz pierwszy w życiu. – Oskalpuje mi dyńkę.

– Myślałeś kiedyś, żeby od niej odejść?

Jego szeroki uśmiech przypominał cięcie, którym ktoś rozplatał mu głowę na pół.

– Niełatwo o dobrą dziewczynę – powiedział z wyrzutem, ledwie poruszając ustami.

– Mimo wszystko, jeżeli o ciebie nie dba... – upierała się przy swoim Isserley. – Na przykład, czy martwiłaby się, gdybyś się dziś u niej nie pojawił? Szukałaby cię?

Drwał wydał z siebie długie, świszczące, pełne nieskończonego zmęczenia westchnienie.

– Mam dość pieniędzy, jak na jej gust – powiedział. – A poza tym raka w płucach. Znaczący, raka płuc. Nic nie czuję, ale lekarze mówią, że go mam. Więc pewnie długo nie pożyję, rozumiesz mnie? Nie ma co wypuszczać wróbla z garści, rozumiesz mnie? Co?

– Mhhh – odpowiedziała niejasno Isserley. – Wiem, o co ci chodzi.

Mignął następny znak, przypominający kierowcom, że zbliżają się do stacji, ale autostopowicz pokładał się znów na siedzeniu, pomrukując:

– Pięć minut. Jeszcze tylko pięć minut.

I znowu zasnął, parskając przesyconym alkoholem oddechem.

Popatrzyła na niego. Siedział bezwładnie, głowa osuwała mu się po zagłótku, gumowate usta miał rozwarte, a oczy o czerwonych powiekach zamknięte. Wyglądał, jakby dostał już zastrzyk ikpatuy.

Myślała o nim, jadąc w dźwiękoszczelnej nocy, ważąc na szali wszystkie jego wady i zalety.

Po stronie zalet mogła zapisać, że wszyscy jego znajomi na pewno wiedzą, że to pijak i śpioch – nic zatem nie zdziwiłoby ich mniej, niż gdyby nie pojawił się tam, gdzie miał się pojawić. Znajdą samochód, pełen pustych pojemników po napojach alkoholowych, stojący na wietrznej wstążce drogi, przecinającej dwa łańcuchy górskie – i nie będą mieli wątpliwości, że pijany kierowca oddalił się chwiejnym krokiem, po czym przepadł gdzieś na ściśniętych mrozem mokradłach i urwiskach. Wykonujący swoje obowiązki policjanci szukaliby ciała, ale wiedzieliby dobrze od początku, że mogą go nigdy nie znaleźć.

Po stronie wad odnotowała, że drwal nie był zdrowym osobnikiem: jak sam przyznał, płuca miał pełne raka. Uśiłowała to sobie wyobrazić – pomyślała, że temu, kto otworzy jego pierś, tryśnie w twarz śmierdząca, czarna maź smoły z papierosów i sfermentowanej flegmy. Podejrzewała jednak, że to jedynie niesamowita fantazja, powstała wskutek niesmaku, jaki

budzi w niej myśl o wdychaniu dymu z rozżarzonych śmieci. W rzeczywistości rak zapewne wygląda zupełnie inaczej.

Zmarszczyła brwi, usiłując przypomnieć sobie przeczytane lektury. Wiedziała, że nowotwór ma coś wspólnego z niekontrolowaną reprodukcją komórek... Z mutacjami, powodującymi patologiczny rozrost tkanek. Czy to znaczy, że w klatce piersiowej tego wodsela tkwią ściśnięte olbrzymie, nienormalne płuca? Nie chciała przysporzyć kłopotów mężczyznom na farmie.

Z drugiej strony, czy to ważne, że ten samiec ma za duże płuca? Z pewnością można się ich pozbyć bez względu na wielkość.

Ale tak czy inaczej, bała się trochę przywozić na farmę wodsela, o którym wiedziała, że jest chory. Nie żeby dawano jej do zrozumienia, że to nie uchodzi, ale... Cóż, ma przecież własne, wewnętrzne poczucie moralności.

Drwal mrucał przez sen, wydając obwisłymi wargami jękliwy dźwięk „tśśś, tśśśś, tśśśś”, jak gdyby usiłował uspokoić dzikie zwierzę.

Spojrzała na zegar. Minęło już ponad pięć minut, a nawet znacznie więcej. Odetchnęła głęboko, usadowiła się wygodnie na fotelu i prowadziła dalej.

Po godzinie z okładem minęła Tain i zaczęła zbliżać się do ronda przed mostem Dornoch. Uderzyło ją, że warunki jazdy są tu zupełnie inne niż wcześniej na moście Kessock, jak gdyby znalazła się na innej planecie. Na tle czarnych niby smoła pasów ruchu, oświetlonych smugami neonowych latarni na długich tykach, całe rondo lśniło niesamowicie w bezwietrznej ciszy, której nie zakłócał żaden pojazd. Wjechała na stromo wznoszącą się spiralę drogi, zerkając na drwala, by sprawdzić, czy zbudzi go jaskrawy blask świateł. Ale wodsela nie poruszył się.

Sunąc powoli do przodu, wysoko nad ziemią, samochód Isserley opisał łuk na surrealistycznym labiryncie z betonu. Konstrukcja była tak niewiarygodnie brzydka, że gdyby nie

otwarte niebo w górze, można ją było wziąć za budowlę rodem z Nowych Posiadłości. Skręciła na lewo, żeby nie przekraczać Dornoch Firth, po czym zaczęła stromy zjazd w liściasty mrok. Długie światła jej wozu oświetliły bok stojącego poniżej Domu Królestwa Świadców Jehowy, a następnie wyłobiły dwa tunele w lesie Tarlogie.

O dziwo, dopiero w tej chwili drwał zaczął się kręcić we śnie – nie zareagował na bezlitosne światła na rondzie, teraz jednak, mimo ciemności, zdawał się wyczuwać las otaczający z obu stron wąską szosę.

– Tśśś, tśśś, tśśś – pojękiwał, znużony.

Isserley pochyliła się naprzód, próbując przebić wzrokiem niemal podziemny mrok. Czuła się świetnie. Wrażenie, jakie odnosiła, było tylko iluzją, bo ostatecznie las to nie świat podziemi, dlatego nie emanuje mdlącą, klaustrofobiczną mocą Nowych Posiadłości. Wiedziała, że rozciągające się nad jej głową sklepienie, które powstrzymuje dopływ światła, nie jest niczym więcej, jak tylko namiotem, utkanym z pierzastych gałązek, za którym wisi krzepiąca wieczność nieba.

Kilka chwil później samochód wyłonił się z lasu. Jechała teraz wśród pastwisk wokół Edderton. W mikroskopijnym miasteczku powitał ją ponury plac, na którym sprzedawano przyczepy samochodowe. Uliczne latarnie oświetlały wymarły urząd pocztowy i krytą strzechą wiatę autobusową. Nigdzie nie było widać żywej duszy.

Włączyła kierunkowskaz, chociaż na drodze nie było żadnych pojazdów, i zatrzymała się w najjaśniej oświetlonym miejscu.

Delikatnie szturchnęła drwała silnymi palcami.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała.

Szarpnął się gwałtownie, tocząc wkoło szalonym wzrokiem, jak gdyby zagrażało mu uderzenie tępym narzędziem w głowę.

– Jaa... Cco... Gdzie? – zatrajkotał.

– W Edderton – powiedziała. – Tam, dokąd się wybierałeś.

Zamrugał kilkakrotnie powiekami, próbując jej uwierzyć, po

czym przymrużył oczy i wyjrzał na zewnątrz przez przednią i boczną szybę.

– Nie zalewasz? – dziwował się, rozpoznając oazę znajomej pustyni. Najwyraźniej musiał przyznać, że tak może wyglądać tylko Edderton. – O kurczę... To... No, nie wiem – zaświszczał, szczerząc zęby z zażenowaniem, niepokojem i samozadowoleniem. – Musiałem się kimnąć, co?

– Chyba tak – powiedziała Isserley.

Drwał znów zamrużył powiekami, a potem spał się w sobie, rzucając przez szybę nerwowe spojrzenia na wyludnioną ulicę.

– Mam nadzieję, że moja dziewczyna nigdzie się tu nie kręci – autostopowicz skrzywił twarz. – Mam nadzieję, że cię nie zobaczy. – Popatrzył na Isserley, marszcząc brew, jakby rozważając, czy jej nie uraził. – To znaczy, chciałem powiedzieć, że ona ma temperament – dodał, usiłując odpiąć pas niezgrabnymi palcami. – Jest, jakby to powiedzieć... zazdrosna. Tak, właśnie: zazdrosna.

Wysiadłszy już z samochodu, zawahał się, zanim zatrzaskał drzwi i znalazł właściwe słowa pożegnania.

– A ty... – odetchnął chrapliwie i głęboko. – Jesteś po prostu piękna – rozpromienił się.

Posłała mu uśmiech w odpowiedzi i nagle poczuła się zmęczona do szpiku kości.

– No, to na razie – powiedziała.

Wyłączyła silnik i długo jeszcze siedziała w samochodzie, w kałuży światła w pobliżu krytego strzechą przystanku autobusowego w miasteczku Edderton. Zabrakło jej motywacji, by odjechać.

Czekając na jakiś dar losu, wsparła ręce na kierownicy, skrywając podbródek w ramionach. Nie miała zbyt imponującego podbródka, a to maleństwo, które zdobiło jej twarz, stanowiło owoc umiejętności chirurgów i cierpień, jakie jej zadawali. To, że mogła wtulić go w ramiona, było skromnym triumfem jej samej – a może upokorzeniem, tego nie była pewna.

Potem zdjęła okulary. Był to głupi i ryzykowny gest nawet w tym sennym miasteczku, ale w kącikach plastikowych oprawek zaczęły zbierać się łzy, które spływały jej dalej na policzki, i w końcu nie mogła znieść ich wilgotnego dotyku. Długo płakała, lamentując cichutko w swojej ojczystej mowie i bacznie obserwując ulicę, na wypadek gdyby zabłąkał się tu jakiś wodsół. Nic się jednak nie stało, a czas uparcie nie chciał płynąć dalej.

Podniosła wzrok i spojrzała w lusterko, przekrzywiając głowę pod odpowiednim kątem, aż wreszcie widziała tylko swoje zielone jak mech oczy i frędzle włosów. Niewielki, słabo oświetlony płatek twarzy był jedynym skrawkiem jej ciała, na który mogła ostatnio patrzeć, nie czując do siebie odrazy, jedynym skrawkiem jej ciała, który chirurdzy zostawili w spokoju. Tak, ten okruch twarzy Isserley był jakby okienkiem, dzięki któremu pozostawała wciąż przy zdrowych zmysłach. W minionych latach wielokrotnie przesiadywała tak w samochodzie, wyglądając właśnie przez to małe okno.

Na horyzoncie zaślniły światła jakiegoś samochodu i Isserley włożyła okulary. Zanim do Edderton wjechało obce auto, doszła już całkiem do siebie.

Samochód okazał się śliwkowym mercedesem o przydymionych szybach. Przejeżdżając przez miasteczko, zamrugał światłami na widok Isserley. Był to przyjazny znak, niemający nic wspólnego z ostrzeżeniem czy przepisami ruchu drogowego. Ot, jeden pojazd pozdrawiał po prostu drugi o nieco podobnej linii i kolorze, nieświadomy jego zawartości.

Isserley przekręciła kluczyk w stacyjce i zawróciła, ruszając za sympatycznym nieznajomym. Zostawiła za sobą Edderton i wjechała w las.

Przez całą powrotną drogę do Ablach zastanawiała się nad Amlisem Vessem i nad tym, co sobie pomyśli, dowiedziawszy się, że wróciła z trasy z pustymi rękami. Czy nie przyjdzie mu do głowy, że siedzi samotnie w domku, bo wstydzi się niepowodzenia? A, niech myśli, co chce. Być może ta porażka, o

ile Vess uzna jej powrót za porażkę, uświadomi mu jasno, że zajęcie Isserley do łatwych nie należy. Jako rozpieszczony dyletant zapewne wyobraża sobie, że jej zawód przypomina zbieranie kwiatów na skraju drogi albo... trąbików nad brzegiem morza, o ile Amlis ma chociaż cień pojęcia, czym są trąbiki i jak wygląda brzeg morza. Esswis miał słuszość: srać na Amlisa Vessa!

Może powinna była jednak zabrać tego drwala. Miał takie masywne ramiona! Masywne buły, większych nigdy dotąd nie widziała. Na pewno byłby dobry. No, ale ten rak... Musi się zorientować, czy rak ma jakieś znaczenie, żeby wiedzieć na przyszłość. Nie ma jednak sensu pytać o takie rzeczy mężczyzn z farmy – to ciemniaki, typowi mieszkańcy Posiadłości.

Farma była śnieżnobłada i cicha jak zawsze. Isserley wjechała na teren gospodarstwa zarośniętą, już niepubliczną drogą. Właściwie na farmę prowadziły dwie drogi dojazdowe, z których szersza służyła w zasadzie do przejazdów ciężkiego sprzętu rolniczego, obie były jednak spękane, wyboiste i porośnięte chwastami, a Isserley wybierała między nimi w zależności od nastroju w danym dniu. Dzisiaj skręciła na drogę teoretycznie przeznaczoną dla samochodów osobowych, choć poza nią nikt nigdy tędy nie jeździł. Już przy wjeździe do Ablach cały bukiet znaków groził intruzom śmiercią, trucizną i wszelkimi możliwymi konsekwencjami prawnymi. Isserley wiedziała, że każdy, kto lekceważy tablice ostrzegawcze przy wjeździe na teren farmy, uruchamia alarmy, umieszczone w leżących ćwierć mili dalej zabudowaniach gospodarczych.

Lubiła tę drogę, a zwłaszcza jej porośnięty po bokach krzakami janowca odcinek, który nazywała Króliczym Wzgórzem. Ponieważ mieszkały tam całe kolonie królików, zawsze, o każdej porze dnia i nocy mogła liczyć na widok kicających w poprzek drogi zwierząt. Jeździła tędy wyjątkowo powoli i ostrożnie, by nie przejechać żadnego z tych uroczych stworzeń.

Poprzez ścianę drzew u szczytu drogi dostrzegła światełka w

domu Esswisa i przypomniała sobie ich niezręczną rozmowę dzisiejszego ranka. Choć słabo go znała, wiedziała dobrze, że o tej porze plecy Esswisa na pewno przysparzają mu straszliwych mąk. Zrobiło jej się go żal, chociaż poczuła także pogardę (mógł przecież powiedzieć „nie”, prawda?) i mdlące ukłucie świadomości pokrewieństwa z rodakiem.

Minęła stajnię, oświetlając drzwi łuszczące się smugą oranżu i czerni. W stajni nie było koni. Ensel przeznaczył ją na pomieszczenie, gdzie kiedyś usiłował zrealizować pewien pomysł, do którego był bardzo przywiązany.

– Uda się, wiem, że się uda – mówił jej zaledwie na kilka dni przedtem, zanim zarzucił swoje plany i pozwolił Esswisowi wywieźć zawartość stajni. Isserley, oczywiście, nie wyraziła zainteresowania jego słowami. Tacy ludzie jak Ensel potrafią zanudzić człowieka na śmierć, jeśli zachęca się ich do wynurzeń.

Budynek gospodarczy, przy którym zaparkowała, był idiotycznie biały, a świeża farba lśniła w blasku księżyca. Kiedy tylko wyłączyła silnik, wielkie blaszane drzwi rozsunęły się i wyszło z nich kilku mężczyzn. Ensel, jak zawsze pierwszy, zajrzał do środka przez okno z lewej strony.

– Nic nie złapałam – powiedziała Isserley.

Ensel wsunął nochał do kabiny, podobnie jak przedtem drwał, i zaczął obwąchiwać przesyconą zapachem alkoholu tapicerkę.

– Czuję, że nie dlatego, że się nie starałaś – powiedział.

– Tak, właśnie – odparła Isserley. Ogarnął ją wstręt do siebie za to, co zamierzała powiedzieć i co mimo wszystko powiedziała.

– Po prostu Amlis Vess będzie musiał przyznać, że to niełatwa praca.

Ensel zauważył jej zmieszanie i uśmiechnął się. Nie miał ładnych zębów, wiedział o tym, toteż mając na względzie Isserley, pochylił głowę.

– Ale wczoraj przywiozłaś dużego wodsela – powiedział. – Lepszego jeszcze tu nie mieliśmy.

Zajrzała mu w oczy, z całego serca pragnąc się dowiedzieć chociaż ten jeden raz, czy jego komplement jest szczery. Ale kiedy tylko przyłapała się na tym pragnieniu, wyrwała ów godny pogardy pęd sentymentalizmu razem z korzeniami. Lump z Posiadłości, pomyślała, odwracając wzrok. Postanowiła jak najszybciej zamknąć się bezpiecznie w domku na cztery spusty. Ten dzień zdecydowanie za bardzo jej się dłużył.

– Jesteś przemęczona – powiedział Ensel. Jego towarzysze wrócili już do środka, a on próbował zostać z nią choć chwilę sam na sam, jak już nie jeden raz, choć zawsze w rozpaczliwie niewłaściwym momencie.

– Tak – westchnęła. – Można tak powiedzieć.

Przypomniała sobie, że kiedyś, rok albo dwa temu, Ensel uwięził ją w podobnej pułapce – zaglądał do samochodu, opierając się o karoserię, a ona była na tyle nierozsądna, że wyłączyła już silnik. Powiedział wtedy konspiracyjnym, niemal czułym szeptem, że ma dla niej prezent. – Dzięki – powiedziała, biorąc od niego tajemniczą paczuszkę i rzucając ją na siedzenie obok. Kiedy rozpakowała później zawiniątko, znalazła w środku cienki, niemal przezroczysty filet z duszonej woddisyny – smakołyk, który Ensel niewątpliwie ukradł. Spoczywał w woskowanym papierze, pomrugiwał do niej, wciąż wilgotny i ciepły, nieprzeparcie kuszący, a zarazem obrzydliwy. Zjadła go, a nawet wylizała sok spomiędzy fałd papieru, ale nigdy później nie wspominała o tym Enselowi, i tyle. Mimo to Ensel wciąż usiłował imponować jej na różne sposoby.

– Amlis Vess przyleci najprawdopodobniej nad ranem – powiedział teraz, wsuwając głowę głębiej do samochodu. Miał brudne, gruzłowate od strupów ręce. – Dzisiejszej nocy – dodał na wypadek, gdyby Isserley źle go zrozumiała.

– Będę wtedy spać – powiedziała Isserley.

– Nikt nie wie, na jak długo przyjeżdża. Może odleci od razu tym samym statkiem, kiedy tylko załadują towar. – Ensel pokazał ręką, jak statek odlatuje niczym bezcenna okazja, którą połyka pustka.

– Cóż, wszystko wyjaśni się zapewne we właściwym czasie – odpowiedziała wesoło, żałując, że wyłączyła silnik auta.

– To co... Mam ci dać znać? – zaproponował Ensel.

– Nie – odpowiedziała, usiłując nie podnosić głosu. – Nie, raczej nie. Powiedz mu, że Isserley mówi „dzień dobry” i „do widzenia”, dobrze? A teraz przepraszam, ale naprawdę muszę już położyć się do łóżka.

– Oczywiście – powiedział Ensel, wycofując się z ukłonem.

Skurwysyn, pomyślała, odjeżdżając. Była zmęczona, okazała słabość, zdekoncentrowała się i niechcący wspomniała o pójściu do łóżka. Ensel z pewnością będzie się teraz napawał tą informacją i nie omieszka podzielić się z innymi mężczyznami owym subtelnie rajującym dowodem jej statusu podczłowieka. Gdyby pozbyła się go wcześniej, nigdy by się niczego nie domyślił – a mężczyźni sądziliby nadal, że Isserley sypia w swoim tajemniczym domku wprost na ziemi, jak człowiek.

A jednak w tej jednej, upokarzającej chwili bezmyślnie obdarowała go niesmaczną prawdą, wizją ohydneho dziwoląga, śpiącego w pościeli ze starego lnu na dziwacznej, podłużnej konstrukcji z żelaza i obszytego tkaniną kapoku, jak wodsel.

5.

Przyrzekłszy sobie, że będzie beztrosko spać, kiedy przybędzie transportowiec, Isserley leżała w nocnych ciemnościach, nasłuchując, czy statek nie ląduje.

Nie zmieniła swojego nastawienia – tym, co nie pozwalało jej zasnąć, był przejmujący niepokój, że wyciągną ją z łóżka mężczyźni albo, co gorsza, może sam Amlis Vess.

Najbardziej bała się, że nie usłyszy, jak będą pukali do drzwi, że hałas jej nie obudzi. Bo wtedy wejdą do środka i znajdą się w sypialni, gdzie będą mogli dobrze przyjrzeć się obnażonemu dziwadłu, dziewczynie-chimerze, pochrapującej na wyrku. Ensel, mimo wszystko, jest lumpem z Posiadłości, więc wyobraża sobie samotność i intymność zupełnie inaczej niż ona. Można by pomyśleć, że nie dosłyszał, kiedy mówiła mu, iż nie życzy sobie, by jej przeszkadzano – niewiele mu potrzeba, by o tym zapomniał. Na pewno marzy, żeby zobaczyć, co jej zrobili chirurdzy poniżej pasa! Ale niech spierdala.

Erodowały kolejne godziny. Oczy spuchły i swędziały ją od wyimaginowanego piasku bezsenności. Wierciła się jakby w zwolnionym tempie na poplamionym, starym materacu, i wytężała słuch.

Lądowanie statku, tuż po drugiej nad ranem, odbyło się nieomal bezszelestnie – usłyszała go z trudem na tle szumu fal w Moray Firth, wiedziała jednak, że przybył. Lądował co miesiąc o tej samej godzinie, a ona dobrze znała jego woń, potężne, tajemne stęknięcie cum i metaliczne westchnienie, jakie wydawał, wsuwając się na teren gospodarstwa.

Leżała jednak wciąż nieruchomo, czekając, aż chmury odsłonią księżyc, czekając na mężczyzn, na Amlisa Vessa, żeby się ośmielili, żeby mieli czelność. Wyobraziła sobie, że Amlis Vess powiada: „No, to przyjrzyjmy się tej Isserley”, a wtedy

mężczyźni rzucają się w te pędy, by mu ją przyprowadzić. – Odpierdolcie się! – tak do nich zawoła.

Leżała jeszcze przez mniej więcej godzinę, zwinięta w kłębek ze skwierczącymi na końcu języka słowami „odpierdolcie się”. Bojaźliwa poświata księżycowa z wahaniem zajrzała do sypialni, rysując widmową krechę wokół nielicznych sprzętów i zatrzymując się daleko od łóżka. Na dworze sowa pójdzka zaczęła złożony z krzyków i jęków występ – brzmiało to jak istny koncert o wiele większych stworzeń, krzyczących przeraźliwie w przerażeniu i męce.

Ukołysana tą serenadą, zasnęła.

Wydawało się jej, że spała zaledwie kilka minut, kiedy obudziło ją nagle natarczywe bębnienie do wejściowych drzwi domku.

Usiadła na łóżku, rozgorączkowana, przyciskając do piersi zmiętą kołdrę i zwierając nogi. Łomot nie ustawał, biegnąc echem wokół nagich drzew niczym upiorne stukanie do drzwi kilkudziesięciu upiornych domów.

Sypialnia była wciąż przytulna i szczelnie zamknięta, ale Isserley spostrzegła, że ciemność świata za oknem przechodzi już w poprzedzający świt błękit. Mrużąc oczy, spojrzała na stojący na kominku budzik: była piąta trzydzieści.

Owinęła się kołdrą i wybiegła na korytarz, by wyrzeć przez małe okienko o czterech szybkach. Otworzyła je, wytknęła głowę na zewnątrz i spojrzała w dół.

Do drzwi wejściowych dobijał się Esswis, wystrojony w swoją najlepszą farmerską kreację – miał nawet myśliwski kapelusik na głowie i strzelbę na ramieniu. Wyglądał idiotycznie i przerażająco w niesamowitym świetle reflektorów zaparkowanego nieopodal land-rovera.

– Przestań tak walić, Esswis! – powiedziała groźnym, choć na poły histerycznym głosem. – Czy nikt z was nie rozumie, że Amlis Vess mnie nie interesuje?!

Esswis odstąpił od drzwi i uniósł głowę, by widzieć twarz Isserley.

– Nic mnie to nie obchodzi – oświadczył krótko. – Ale lepiej ubierz się i wyjdź. – Przesunął pasek od strzelby na ramieniu, jak gdyby wolno było mu ją zabić, jeżeli nie usłucha.

– Mówiłam ci już... – zaczęła.

– Daj sobie spokój z Amlisem Vessem – szczechnął Esswis. – Poczekaj. Cztery wodsele uciekły.

Isserley była jeszcze nieprzytomna od snu.

– Uciekły? – zapytała. – Co to znaczy?

Zirytowany Esswis zaczął machać rękami, wskazując szerokim gestem Ablach Farm i wszystko, co leżało poza jej obrębem.

– A jak myślisz?

Isserley gwałtownie wsunęła głowę z powrotem przez okienko i chwiejnym krokiem wróciła do sypialni, żeby się ubrać. Pełne znaczenie słów Esswisa zaczęło do niej docierać, kiedy męczyła się, wciągając buty.

Po niecałej minucie była już na dworze. Szła po zmarzniętej ziemi u boku Esswisa do jego samochodu. Esswis usiadł z rozmachem na fotelu kierowcy, a Isserley wskoczyła na siedzenie obok i zatrzasnęła drzwi. Samochód był zimny jak kamień. Jego przednia szyba przypominała opalizujący wir błota i lodu. Rozgrzana i spocona wskutek sennego metabolizmu Isserley opuściła szybę i wystawiła ramię przez okno lodowatego land-rovera, gotowa już wypatrywać zbiegów w ciemności.

– Jak się wydostały? – zapytała ostro, kiedy Esswis grzał silnik.

– Wypuścił je nasz dostojny gość – warknął Esswis. Samochód ruszył, miażdżąc lód i żwir.

Isserley czuła się dziwnie, siedząc na fotelu pasażera. Właściwie nawet ogarnął ją strach. Przeszukiwała niezdarnie skraj tapicerki, ale jeżeli samochód Esswisa był wyposażony w pasy bezpieczeństwa, musiały być dobrze ukryte. Nie chciała ich szukać zbyt nisko, przy podłodze, bo wszystko dokoła pokrywała warstwa brudu i smaru.

Kiedy wjechali na grzędawisko wybojów w pobliżu starej stajni, Esswis nie próbował nawet ich wymijać. Kręgosłup Isserley doznawał kolejnych wstrząsów, jak gdyby kopali ją przez fotel jacyś rozjuszeni napastnicy. Kątem oka zerknęła na Esswisa, zastanawiając się, jak może znosić podobne męczarnie. Widocznie nie nauczył się jeździć po farmie tak jak ona, z prędkością dziesięciu mil na godzinę. Esswis obnażył zęby, pochylając się nad kierownicą – mimo zdradliwej nawierzchni, mroku i niemal zupełnej nieprzejrzystości przedniej szyby wskazówka szybkościomierza wahała się między trzydziestoma a czterdziestoma milami na godzinę. Gałązki krzewów i liście ocierały się o lewy łokieć Isserley, wsunęła więc ramię do środka.

– Ale dlaczego nikt go nie powstrzymał? – zawołała, przekrzykując ryk silnika. Wyobraziła sobie, jak Amlis Vess uroczyście obdarowuje wodsele wolnością, a stojący z boku robotnicy nerwowo biją mu brawo.

– Oprowadziliśmy Vessa po fabryce – warknął znów Esswis.
– Wydawało się nam, że zrobiła na nim duże wrażenie. Potem powiedział, że jest zmęczony i chce się przespać.

Zanim zmiarkowaliśmy, co się święci, drzwi stały otworem, a cztery wodsele uciekły.

Samochód przebił się przez główną bramę prowadzącą na farmę, i skręcił ostro w lewo, na drogę publiczną, w ogóle nie zwalniając. Esswis jakby nie przyjmował do wiadomości istnienia kierunkowskazów i hamulców – na szczęście land-rover był wyposażony w automatyczną skrzynię biegów.

– Jedź lewą stroną, Esswis – przypomniała mu Isserley, kiedy wpadli w ciemność.

– Wypatruj lepiej wodseli – odparł.

Przełknęła z trudem ślinę, słysząc tę arogancką odpowiedź. Obserwowała uważnie pola i zarośla, wyteżając wzrok, by dostrzec wśród nich bezwłose, różowe zwierzęta.

– Jakiej klasy towaru szukamy? – zapytała.

– Miesięczniaków – odpowiedział Esswis. – Były już prawie

gotowe. Na pewno zabraliby je tym transportem.

– O rany – powiedziała Isserley. Myśl o tym, że ogolony, wykastrowany, utuczony, chemicznie oczyszczony wodseł o zmodyfikowanych jelitach mógłby pojawić się na komisariacie albo w szpitalu, stanowiła dla niej ucieleśnienie najkoszmarniejszych snów.

Przytłoczeni zmartwieniem, objechali lądowe granice farmy, czyli przypominające potężną porcję tortu terytorium o obwodzie długości mniej więcej trzech mil. Nie zauważyli nic podejrzanego. Na szosie i obu drogach dojazdowych na farmę nikogo nie było, a w każdym razie nie zauważyli żadnego większego zwierzęcia niż króliki i zdziczałe koty – co oznaczało, że albo wodsele uciekły już gdzieś dalej, albo przebywają wciąż na farmie.

Wydawało się najbardziej prawdopodobne, że będą szukać schronienia w opuszczonych oborach, w stajni albo w starym spichlerzu. Esswis podjeżdżał kolejno do zabudowań, po czym potężnymi reflektorami land-rovera oświetlał ohydne, czarne dziury i odzywające się echem wnętrza w nadziei, że trupi blask wydobędzie z mroku cztery wodsele. Obory wypełniała jednak niesamowita pustka, a klepisko otaczała fosa deszczowej papki zmieszanej z nawozem krów, które już dawno opuściły to miejsce. W stajni też wszystko wyglądało jak zawsze. Znaleźli w niej tylko przedmioty nieożywione. Z tyłu leżały w nieładzie szczątki poprzednich samochodów Isserley (drzwi od łady, a także podwozie i koła od nissana). Resztę wolnego miejsca zajmowała przede wszystkim maszynowa hybryda, którą próbował zbudować kiedyś Ensel z przetrząsacza siana Fahr Centipede i podnośnika widłowego marki Ripovator. Upstrzona różnymi spawanymi dodatkami konstrukcja sprawiała groteskowo komiczne wrażenie, kiedy Esswis holował ją na zewnątrz, bo w rozświetlonym reflektorami ponurym mroku stajni jej pordzewiałe szpony i lśniące kręgi wydawały się groźniejsze. Isserley zajrzała do upačkanej smarem i rozbryzgami lutowia kabiny, by sprawdzić, czy wodsele nie

ukrywają się w środku.

Stary spichlerz przypominał labirynt pełen różnych zakamarków i kryjówek, w których można by się schować, ale dostęp do nich mogły mieć tylko stworzenia umiejące fruwać, skakać albo chodzić po drabinie, a miesięczne wodsele o masie ciała dochodzącej do ćwierć tony nie były zbyt sprawne. Gdyby schowały się w spichlerzu, musiałyby siedzieć na ziemi. A ponieważ nie siedziały na ziemi, nie schowały się w spichlerzu.

Wróciwszy pod główny budynek, Esswis zahamował z piskiem opon, pchnął drzwi auta i wysiadł, zabierając ze sobą strzelbę. Nie musieli się naradzać, by wiedzieć, co robić dalej. Pokonali przełaz i sztywnym krokiem ruszyli przez zmrożoną szczecinę pola ciągnącego się aż do Carboll Forest.

Esswis wręczył Isserley latarkę wielkości termosu. Świeciła nią po polu, gdy szybkim krokiem zmierzali w kierunku drzew.

– Szkoda, że nie padał śnieg – wydyszała, nie widząc żadnych śladów na ciemnym pasie błotnistej ziemi i kolczastego ścierniska.

– Szukaj krwi – odpowiedział z irytacją Esswis. – Jest czerwona – wyjaśnił, jak gdyby bez tej dodatkowej wskazówki nie umiała rozpoznać posoki.

Upokorzona Isserley szła niepewnie obok niego, w milczeniu. Czy Esswis sądzi, że na kilkunastu akrach pola wykwitnie gdzieś nagle szeroki, lśniący, purpurowy ślad? To, że bawi się w farmera i ziemianina, nie znaczy jeszcze, że wie lepiej od niej, gdzie szukać zbiegów. Ach, ci mężczyźni! Są tylko kanapowymi bohaterami, a do brudnej roboty posyłają kobiety.

Kiedy dotarli do linii lasu, światło latarki Isserley zaczęło wędrować tam i z powrotem wzdłuż gęstwiny. Jednak sama myśl o ewentualnej skuteczności poszukiwań zdawała się beznadziejna – bo wąski, migotliwy promień generowanego przez baterię światła nie mógł rozjaśnić akra leśnej ciemności.

Mimo to po chwili zauważyła różowy błysk, który pojawił się na ułamek sekundy pośród czarnych gałęzi.

– Tam – powiedziała.

– Gdzie? – zapytał Esswis, groteskowo mrużąc oczy.

– Zaufaj mi – powiedziała Isserley, rozkoszując się smakowitą świadomością, że ma bystrzejszy wzrok niż on.

Sadzili razem długimi susami przez gąszcz, ale prowadziła Isserley. Już po paru chwilach usłyszeli chrzęst i szelest paproci, głośniejszy niż hałas, który czynili w biegu – a po następnej sekundzie ujrzeni pierwsze zwierzę. Ich spojrzenia skrzyżowały się nad leśną ściółką – czworo dużych, ludzkich oczu patrzyło w dwoje małych, zwierzęcych ślepi.

– Tylko jeden? – skrzywił się Esswis, kryjąc ulgę za udawanym rozczarowaniem.

Isserley oddychała ciężko, dyszała z zażenowaniem, a serce waliło jej w piersi jak młotem. Żałowała, że nigdzie nie widać dźwigni, którą mogłaby zgiąć jak młode drzewo, żeby spod ziemi wytrysnęły igły z ikpatuą. Uświadomiła sobie nagle, że nie ma pojęcia, czego właściwie Esswis teraz od niej oczekuje i co powinna zrobić.

Biegący z trudem nagi, ślamazarny wodsel zatrzymał się i teraz stał bez ruchu, kuląc się w świetle latarki. Wokół jego głowy wirowały jasne obłoczki pary, gdy wciągał ze świstem powietrze. Pozbawiony ciepła swojej zagrody, wydawał się żałośnie nieprzystosowany do środowiska, krwawił z setek zadrapań i był aż różowoniebieski z zimna. Wyglądał jak każdy miesięczniak – wygolona główka tkwiła niczym pęk na jego nieproporcjonalnie masywnym ciele, a pusty worek mosznowy dyndał niczym blady liść dębu pod ciemną żołądzia penisa. Na ziemię, pomiędzy nóg wodsela, spływał cienki strumień błękitnoczarnego kału. Pięści zwierzęcia cięły gwałtownie powietrze. Wodsel otworzył usta, odsłaniając pieńki trzonowych zębów i kikut obciętego języka.

– Ng-ng-ng-ng-ng! – zawołał.

Esswis wypalił mu w czoło i zwierzę runęło w tył, odbijając się od drzewa. W pobliżu rozległ się kakofoniczny chichot, a Esswis i Isserley drgnęli przestraszeni, gdy para bażantów katapultowała się z ukrycia.

– No, to jednego mamy z głowy – mruknął lekceważąco Esswis, postępując krok naprzód.

Isserley pomogła mu podnieść ciało. Chwycała trupa za nogi. Jej dłonie natychmiast stały się śliskie od krwi i na wpół zamarzniętych strzępów mięsa. Amlis Vess nie przysłużył się dobrze temu biednemu stworzeniu, wypuszczając je na wolność.

Jeszcze zanim podźwignęli trupa, kiedy zastanawiali się dopiero, jak chwycić jego kończyny, aby efektywnie rozłożyć ciężar, Esswis i Isserley doszli jednocześnie do tego samego wniosku. Na horyzoncie gromadził się blady lód światła, rozproszonego wyżej, na cyjankowym niebie. Mieli coraz mniej czasu.

Porzuciwszy ciało wodsela w krzakach, by zabrać go stamtąd później, ruszyli biegiem przez pole z powrotem do land-rovera. Esswis odczekał tylko, aż Isserley usiądzie obok niego, i natychmiast uruchomił samochód, czemu towarzyszyło ohydne kasznięcie zapłonu i smród benzyny, którą krztusił się silnik. Ruszył z ogromną prędkością, wydawał się zde gustowany kiepskim przyspieszeniem i dopiero poniewczasie zwolnił hamulec ręczny.

Raz jeszcze objechali całą Ablach Farm i znów – zarówno na drodze publicznej, jak i na obu drogach dojazdowych na farmę – nikogo nie znaleźli. Zarysy gór za Dornoch były wyraźnie widoczne, a na szosie do Tain pomrugiwały światełka, niebezpiecznie przypominające włączone reflektory obcego samochodu. Kiedy wracali w głąb farmy, z mroku wznosiła się już luminescencja mglistej bliskości otwartego morza.

– A jeżeli poszły nad zatokę? – podsunęła Isserley, gdy samochód znów stanął przed głównym budynkiem, pracując na jałowym biegu.

– Nie mają dokąd iść – odparł nonszalancko Esswis. – Myślisz, że mogłyby popłynąć do Norwegii?

– Nie zorientują się nawet, gdzie jest morze, dopóki nie dojdą do wody.

– Więc tam sprawdzimy na końcu. Drogi są ważniejsze.

– Jeżeli któryś wodseł się utopi, woda może go wyrzucić na brzeg.

– Tak, ale będą się trzymać z dala od wody, jeżeli mają choć trochę oleju w głowach.

Isserley zacisnęła pięści na kolanach, usiłując zachować zimną krew. Potem nagle coś zwróciło jej uwagę i zmarszczyła brwi, wsłuchując się w jakiś odgłos, wzbijający się ponad szum silnika.

– Zgaś na chwilę motor – powiedziała. Esswis uczynił zadość temu życzeniu, choć początkowo jego dłoń zawahała się na kierownicy, jak gdyby dotykał jej po raz pierwszy w życiu. Po chwili jednak samochód drgnął i umilkł.

– Posłuchaj – szepnęła Isserley.

Chłodny, turkoczący wiaterek niósł odległy, głuchy, ale wyraźny tętent galopującego stadka potężnych zwierząt.

– Pole pod Geanies – powiedział Esswis.

– Królicze Wzgórze – potwierdziła Isserley w tej samej chwili.

Ruszyli niezwłocznie, a kiedy przybyli na miejsce, znaleźli dwa wodsele, które usiłowały pokonać okalający zachodnie pole płot i uciec przed stadem rozzłoszczonych wołów, parskających i ryjących kopytami ziemię za ich plecami.

W oczach miesięczniaków malowało się szaleńcze przerażenie. Przystrojony drutem kolczastym płot sięgał im tylko do pasa, ale ich zmarznięte i pokaleczone nogi, dźwigające dodatkowy tłuszcz i mięśnie, które przyrosły im po miesięcznym pobycie w zagrodach, odmawiały posłuszeństwa i nie chciały unosić się wysoko nad zmrożoną ziemię. Wyglądało to tak, jak gdyby wodsele, opierając nogi na drucie kolczastym, robiły jakieś chaotyczne ćwiczenia albo rozgrzewkę baletową.

Kiedy zauważyły nadjeżdżający land-rover, stanęły jak zaczarowane. Na widok nieznajomej, okolonej bokobrodami twarzy Esswisa, wyglądającej przez okno z prawej strony, ogarnęło je wielkie poruszenie, zaczęły więc machać rękami i lamentować głośno. Woły, przestraszone światłem reflektorów,

pokłusowały w ciemność.

Isserley wysiadła pierwsza i wtedy wodsele raptownie umilkły. Jeden chwiejnym krokiem rzucił się do ucieczki na pole, a drugi schylił się i podniósł grudkę ziemi, którą rzucił w Isserley. Na ramionach i piersi wodseła przyrosło jednak tyle masy mięśniowej, że kąt zamachu jego ręki był komicznie wąski, a bryłka gliny spadła z bezradnym plaśnięciem na betonową ścieżkę.

Esswis podniósł strzelbę do oka i kolejno dobił oba wodsele. Brak wprawy w prowadzeniu samochodu nadrabiał talentem strzeleckim.

Isserley weszła na pole i odszukała ciała. Przeciągnęła najbliższe z nich pod płot, uniosła je i osadziła na drucie, by mógł go dosięgnąć Esswis. Zwierzę, które rzuciło w nią grudkę ziemi, było wytatuowane na piersiach i ramionach – i podsuwając teraz trupa Esswisowi, Isserley przypomniała sobie coś bardzo osobliwego na temat tych tatuaży. Zostały wykonane w Seattle, a zrobił je „geniusz, kurwa”, jak mówił ten wodsele. Isserley uderzyło wtedy słowo „Seattle”. Pomyślała, że to piękne słowo, i nadal była tego samego zdania.

Pomimo jej wysiłków mięsiste plecy wodseła nadziały się na kolce drutu, oboje postękiwali więc z wysiłku, próbując zdjąć z nich ciało w taki sposób, żeby możliwie jak najmniej je poharatać. Przez cały ten czas krew z przestrzelonej czaszki zwierzęcia tryskała obficie na ścieżkę, a jego roztrzaskana szczeka kołysała się swobodnie niczym oślizgły, pokryty juchą zawias.

– Potem doprowadzi się je do porządku – mruknął Esswis.

Drugi wodsele był lżejszy i Isserley omal nie doznała kontuzji, kiedy usiłowała dźwignąć go nad płotem, nie dotykając drutu.

– Nie bądź głupia – powiedział Esswis. – Możesz tego żałować. – Ale i on wyteżał wszystkie siły, nie chcąc okazać słabości wobec kobiety.

Dopiero kiedy wodsele spoczęły już bezpiecznie z tyłu w land-roverze, Isserley i Esswis spojrzeli po sobie i wybuchnęli

śmiechem. Nie spodziewali się, że pościg za zwierzętami przeistoczy się w aż tak brudną aferę. Z ubrań i ramion ściekała im glutowata zupa krowiego łajna, zmieszanego z krwią i ziemią. Nawet twarze mieli pomazane.

– No, to trzy załatwione – powiedział Esswis, wpuszczając Isserley do samochodu z miną, w której krył się cień nowo nabytego szacunku dla niej.

Znów okrążyli farmę, nie napotykając nikogo na drogach. Okolica wyglądała teraz zupełnie inaczej, bo gdzieś od strony linii brzegowej wschodziło zza morza słońce, niewidoczne jeszcze pod klifami. Ciemność ulatniała się z każdą chwilą, odsłaniając niebo, które zapowiadało pogodny, łagodny dzień, i jak gdyby zapraszało kierowców, by ruszyli w trasę możliwie najwcześniej. Bydło i owce, które przez całą noc wędrowały nieuchwytnie i w nieznannej liczbie, zaczęły się nagle materializować – niektóre zwierzęta było widać z odległości ćwierć mili.

Ostatni wodsół mógł być jednym z tych zwierząt, o ile tylko udało mu się dotrzeć na właściwe miejsce we właściwym czasie.

Wracając na ścieżkę do Ablach, Esswis przeniósł wzrok daleko za pola i zauważył w zatoce dryfujący przy brzegu kuter rybacki. Z przerażeniem zacisnął palce na kierownicy – Isserley odgadła, że w duchu widzi to samo, co ona wyobraziła sobie już wcześniej: nagie, dwunogie stworzenie, które stoi na brzegu i gorączkowo wymachuje rękami.

– Może w tej sytuacji powinnaś pójść teraz na przechadzkę nad morze – zażartował niezręcznie Esswis, usiłując nadać swojemu ustępstwu lekceważące brzmienie. Ale oczywiście ten nagły zwrot w jego planach nie wynikał, jak można było sądzić, z żadnej uległości: jeżeli nie znaleźliby nic na brzegu, mógłby udawać, że traci cenny czas ze względu na jej kaprysy.

– Nie – powiedziała Isserley. – Mam pewne przeczucie. Objedźmy farmę jeszcze raz.

– Jak chcesz – chrząknął ze złością Esswis. A zatem to z jej winy w gazetach pojawią się nagłówki w rodzaju: RYBACY

ZNALEŻLI POTWORA.

W milczeniu przemierzali Królicze Wzgórze. Jeżdżąc tam i z powrotem po betonie, rozmazali kołami krew, rozcieńczyli ją pyłem oraz kurzem i wypełnili posoką szpary w nawierzchni. Mimo to dróżkę trzeba będzie potem porządnie spłukać.

O ile w ogóle nastąpi jakieś „potem”.

Na odcinku szosy łączącym obie drogi dojazdowe do Ablach Isserley pochyliła się nagle na fotelu. Poczowała na grzbiecie kropelki potu i dźgnięcie instynktu.

– Tam! – zawołała, kiedy wyłonili się zza grzywy pagórka i potoczyli w dół, w kierunku skrzyżowania.

Prawdę mówiąc, żadna wyjątkowa spostrzegawczość nie była tu potrzebna. Skrzyżowanie stanowiło otwarty krzyżyk dróg, na środku którego stał woszel. Jego mięsiste ciało połyskiwało w słońcu złotem i błękitem jak krzykliwie kolorowa reklama jakiejś miejscowej atrakcji turystycznej. Słyszając nadjeżdżający z tyłu samochód, zwierzę odwróciło się sztywno i uniosło rękę, wskazując w bok, w stronę Tain.

Isserley w przypiływie strachu wyciągnęła szyję, stwierdzając z niedowierzaniem, że Esswis nie zatrzymał się na skrzyżowaniu. Pojechał dalej prosto, wzdłuż granicy farmy, w kierunku miasteczka Portmahomack.

– Co ty wyprawiasz? – zaskrzeczała Isserley.

Esswis zachnął się gwałtownie, jak gdyby skoczyła na niego z pazurami albo usiłowała oderwać jego ręce od kierownicy.

– Na drodze z Tain widziałem światła samochodu – warknął.

– Nie było żadnych świateł – nie zgodziła się z nim Isserley.

– Widziałem na drodze światła.

– Na litość boską... Jak daleko?

– Blisko! Blisko! – krzyknął Esswis, waląc dłonią w kierownicę, przez co samochód zakołysał się niebezpiecznie.

– No, to zatrzymaj się – syknęła. – Wracajmy i sprawdźmy, co się tam dzieje.

Zatrzymał się przy Petley's Farm i zawrócił. Choć manewr ten wymagał najwyżej trzech skrętów kierownicą, Esswis

wykonał ich sześć albo więcej. Isserley siedziała bezradna i rozgorączkowana na fotelu obok, nie mogąc uwierzyć, że przytrafia jej się coś takiego.

– Pospiesz się! – zaskomliła, wciskając zwrócone palcami do siebie pięści pod brodę.

Ale do Esswisa chyba dotarło nagle, co to jest ostrożność, bo jechał powoli i czujnie, a zatrzymał się tuż przed skrzyżowaniem, pod osłoną drzew. Pośród liści wyraźnie rysowała się sylwetka wodsela, który wyczekująco stał wciąż na asfalcie. Nie było widać żadnych obcych pojazdów.

– Jestem pewien, że z Tain nadjeżdżał samochód – upierał się Esswis z ponurą pedanterią. – Był już na wysokości Easter Farm.

– Więc może skręcił – podsunęła Isserley, z trudem powstrzymując się od wrzasku. – Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale ta farma jest zamieszкана.

– Mimo to szanse, że...

– Na litość boską, Esswis – zakwiczała. – Co się z tobą dzieje? Na wprost nas stoi wosdel! Ruszaj!

– A jak zwabimy go do wozu?

– Zastrzelisz go i po krzyku.

– Jest już dzień, stoimy na skrzyżowaniu. Lada moment może nadjechać jakiś samochód.

– Więc zabij to zwierzę, zanim ktoś się pojawi.

– Jeżeli kierowca zobaczy, jak strzelamy do miesięczniaka albo taszczymy go do samochodu, to koniec. Wystarczyłoby nawet, że zobaczyłby kałużę krwi.

– Jeżeli ktoś go tu znajdzie, to także będzie oznaczać dla nas koniec.

Przez kilka sekund tkwili w tym groteskowym impasie, aż przez zapaskudzoną szybę oświetliło ich słońce, a z ciał obojga zaczął unosić się nieznośny niemal smród łajna. Potem Esswis wdepnął pedał gazu, ruszył z szarpnięciem i wjechał na skrzyżowanie.

Wosdel na powitanie zrobił kilka chwiejnych kroków w ich

stronę. Podniósł rękę i wskazał znów w kierunku Tain, usiłując unieść niebieskawy kciuk spuchniętej łapy. Z bliska spostrzegli, że zamarzył niemal na śmierć, kołysał się jednak na swoich pulchnych stopach w wegetatywnym transie determinacji.

Mimo to na widok zatrzymującego się samochodu w jego oczach pojawił się przebłysk zrozumienia. Usta wodsela drgnęły. Był zbyt utuczony i zeszywniały z zimna, żeby się uśmiechnąć, po jego minie było jednak widać, że myśli.

Esswis sięgnął na tylne siedzenie. Szukał po omacku strzelby, która spadła na podłogę. Obolały wodsela podszedł na chwiejnych nogach do samochodu.

– Broń ci nie będzie potrzebna – powiedziała Isserley, odwracając się, żeby otworzyć tylne drzwi.

Wodsela pochylił głowę, wtarabanił się do wnętrza wozu i wyczerpany opadł na siedzenie. Isserley, postępując z wysiłku, zamknęła drzwi palcem zakrzywionym niby szpon.

– Jest czwarty – powiedziała.

Gdy tylko Esswis po powrocie na farmę wymówił do domofonu swoje imię, natychmiast otworzyły się aluminiowe drzwi budynku. W rosnącej szczelinie wejścia cisnęło się czterech mężczyzn, którzy weszli z niepokojem i przestępowali z nogi na nogę na betonie.

– Złapaliście je? Złapaliście? – wołali.

– Tak, tak – warknął zmęczonym głosem Esswis i wskazał land-rover.

Na dworze było już jasno. Mężczyźni wysypali się gęsiego na zewnątrz i dysząc obłokami pary, jak lokomotywy, pobiegli wyładować towar. Esswis i Isserley nie poszli z nimi, lecz stanęli w przejściu, jak gdyby chcąc zasłonić wnętrze budynku przed wzrokiem ewentualnych intruzów, którzy mogliby się zabłąkać na farmę. W środku cumował przecież cudzoziemski statek transportowy, który trudno byłoby pomylić z traktorem.

Isserley patrzyła, jak mężczyźni szarpią drzwi land-rovera, i zobaczyła spuchnięte, zakrwawione nogi ostatniego wodsela,

które wysunęły się z kabiny jak para olbrzymich łososi. Odwróciła wzrok. Ściany stajni lśniły w słońcu przeraźliwą bielą, w porównaniu z którą żółte, wolframowe światło wnętrza wyglądało na przyćmione i wątle.

Nagle, jakby kości barków wypadły mu ze stawów, Esswis zgarbił się i oparł o ścianę budynku. Jego kosmata ręka zadrżała pod znakiem przedstawiającym czaszkę i skrzyżowane piszczele.

– Wracam do domu – westchnął.

Isserley nie mogła odgadnąć po jego zgarbionym grzbiecie, jak daleko idące konsekwencje zapowiada owo oświadczenie. Esswis najwyraźniej miał jednak na myśli farmę, bo powłócząc nogami, ruszył w tamtą stronę.

– A samochód? – zawołała za nim Isserley.

– Wrócę po niego później – jęknął Esswis, nie odwracając głowy.

– Odwiozę cię, jeśli chcesz – zaproponowała.

Nie zatrzymując się i nie odwracając, uniósł ramię, któremu pozwolił następnie opaść ze znużeniem. Isserley nie wiedziała, czy jest to gest podziękowania, czy raczej odmowy.

Z miejsca, gdzie stał land-rover, dobiegł ją okrzyk zdumienia w jej ojczystym języku: mężczyźni znaleźli bowiem dwa najbardziej sponiewierane wodsele, upchnięte z tyłu samochodu. Isserley nie interesowały ich wymówki; ona i Esswis zrobili, co mogli, żeby odzyskać zwierzęta w jednym kawałku – czego więcej można było od nich oczekiwać?

Żeby oszczędzić sobie męskich narzekań i nie ofiarować się z pomocą przy wnoszeniu ciał do budynku, przeniknęła do wnętrza w poszukiwaniu prawdziwej przyczyny wszystkich tych problemów – Amlisa Vessa.

Na rozbrzmiewającym echem pierwszym poziomie ogromnej stodoły nie było widać nic oprócz wielkiego, czarnego, obłego kształtu transportowca, spoczywającego wprost pod włazem w dachu. Nawet symboliczny sprzęt rolniczy, który zalegał zwykle tu i ówdzie na wypadek jakiejś urzędowej inspekcji

miejscowych władz, został usunięty, żeby nie przeszkadzał w załadunku. O tej porze miesiąca, jeżeli nic nie stało na przeszkodzie, mężczyźni powinni ładować już towar na statek, ale węż podpowiadał Isserley, że dzisiaj nic nie zrobili.

W kącie stodoły spoczywał masywny, stalowy bęben, wysoki na siedem stóp i mierzący co najmniej pięć w przekroju. Na jego korpusie widniały wytłoczone wizerunki owcy i krowy. Z boku wystawał zachęcająco mosiężny zawór – Isserley przekręciła go i otworzyła bęben. Ukryty szew rozpruł się gładko niczym pionowa powieka.

Weszła do środka, otoczyła ją blacha, i winda zaczęła zsuwać się pod ziemię.

Drzwi otworzyły się automatycznie na pierwszej kondygnacji, przeznaczonej na kuchnię dla robotników i salę rekreacyjną. Kuchnia była niska i źle oświetlona, niczym przydrożna stacja benzynowa – Isserley widziała w niej jedynie utylitarną ohydę architektoniczną, w której zawsze, ale to zawsze, cuchnęło smażonymi kartonami, niemytymi męskimi ciałami i pastą mussantową.

W kuchni nikogo nie było, więc Isserley zjechała piętro niżej. Miała nadzieję, że Amlis Vess nie ukrywa się na najniższym poziomie, gdzie mężczyźni szlachtują i oprawiają zwierzęta. Nigdy tam nie była i – jako osoba cierpiąca na klaustrofobię – wcale nie miała ochoty oglądać tego miejsca.

Winda znów stanęła, tym razem na piętrze, gdzie kwaterowali mężczyźni – i gdzie (jak przyszło jej teraz do głowy) najprawdopodobniej przebywał Amlis Vess. Od przyjazdu na Ablach Farm Isserley była tylko raz na tym poziomie, nigdy więcej nie znalazła bowiem żadnego powodu, aby ponownie odwiedzić owo piźmowe kłębowisko kleistej męskości, które przypominało jej pobyt w Posiadłościach. Dopiero teraz miała motywację. Kiedy drzwi rozsunęły swe metalowe skrzydła, Isserley była już gotowa na burzliwą konfrontację.

Pierwszą osobą, która ukazała się jej oczom, był sam Amlis Vess. Przeraził ją, stał bowiem tuż za drzwiami. Nie spodziewała

się ujrzeć go z tak bliska – sprawiał wrażenie, jakby miał za chwilę wejść do windy i stanąć obok niej, trwał jednak w całkowitym bezruchu. Właściwie wszystko znieruchomiało – jak gdyby czas bez skrupułów wstrzymał bieg, by mogła się przypatrzeć Amlisowi. Chcąc obrzucić go stekiem wyzwisk, otworzyła usta – i zapomniała je zamknąć.

Był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała.

Jak większość sławnych ludzi, wydawał się jej niepokojąco znajomy, a jednocześnie zupełnie obcy. Można by sądzić, że pierwszy raz widzi go na oczy, ponieważ częściowo zatarte już w pamięci obrazy, znane jej ze środków masowego przekazu, w najmniejszym stopniu nie oddawały jego atrakcyjności.

Jak wszyscy członkowie rasy, do której należała (z wyjątkiem, rzecz jasna, jej samej i Esswisa), chodził nago, na czterech łapach. Wszystkie kończyny Amlisa były jednakowej długości i wszystkie odznaczały się identyczną giętkością. Miał także chwytny ogon, który, kiedy chciał używać przednich łap, wykorzystywał jako dodatkowy punkt oparcia i dzięki temu wspierał ciężar ciała jakby na trójnogu. Piers Amlisa zwięzała się płynnie w długą szyję, którą, niczym trofeum, wieńczyła głowa. Jej trzy najbardziej charakterystyczne punkty wyznaczały długie, spiczaste uszy i lisi nos. Duże, idealnie okrągłe oczy młodzieńca osadzone były pośrodku twarzy, porośniętej, podobnie jak całe ciało, miękkim futrem.

Pod tym względem Amlis był jednak normalnym, przeciętnym mężczyzną, nieróżniącym się niczym od stojącego dalej robotnika, który przypatrywał mu się z niepokojem.

Mimo to Vess był inny.

Po pierwsze, okazał się niemal monstrualnie wysoki. Sięgał głową do jej piersi – gdyby po zabiegu chirurgicznym mógł, jak ona, chodzić na dwóch nogach, górowałby nad nią niby wieżowiec. Bogactwo i przywileje uchroniły go widać przed typowym dla mężczyzn z Posiadłości skarleniem, które dotknęło, na przykład, jego strażnika. Amlis wzrostem przypominał olbrzyma, ale był przy tym szczupły, nie masywny

czy niezgrabny. Sierść miał bajecznie barwną (plotka głosiła, że farbuje włosy): ciemnobrązową na grzbiecie, ramionach i bokach, czarną jak smoła na twarzy i nogach, i zupełnie białą na piersi. Ponadto futro Amlisa było niewyobrażalnie lśniąca, zwłaszcza właśnie na piersi, którą porastały grubsze i bujne, niemal krzaczaste włosy. Był drobnokościsty, chociaż dostatecznie umięśniony, by bez wysiłku dźwigać swój wielki tułów, a jego łopatki wyraziście rysowały się pod warstwą atlasowej sierści. Najbardziej niezwykła okazała się jednak jego twarz: wszyscy mężczyźni, z którymi pracowała Isserley, mieli zmierzwione futro, pośród którego prześwitywały placki łysiny, przebarwienia i odpychające blizny. Amlis Vess natomiast dysponował miękkim piernatem nieskazitelnej czerni od czubków uszu aż po sam łuk szyi, jak gdyby jego oblicze ukształtował z czarnego zamszu rzemieślnik perfekcjonista. Osadzone głęboko w tej smolistej doskonałości brązowe oczy młodzieńca płonęły niczym dwa podświetlone bursztyny. Zaczerpnął tchu, chciał chyba coś powiedzieć.

Nagle jednak zasunęły się metalowe drzwi windy, rozdzielając ich, jak gdyby opadła kurtyna, kończąc przedstawienie. Isserley dopiero teraz zrozumiała, że upłynęło kilkanaście sekund, a jej nie udało się w tym czasie wysiąść. Tymczasem drzwi zamknęły się i Amlis zniknął – podłoga pod jej stopami znowu sunęła powoli.

Winda zjeżdżała niżej, na poziom Przetwórnii i zagród wodseli – dokładnie tam, dokąd Isserley nie chciała jechać. Otwartą dłońią bojaźliwie uderzyła przycisk z napisem: W GÓRĘ.

Dźwig stanął, a jego drzwi drgnęły, ale rozsunęły się zaledwie na centymetr lub dwa, zanim kabina ruszyła niepewnie z powrotem, ku powierzchni. Do wnętrza wpadł tylko powiew wilgotnego, zwierzęcego odoru – nic więcej.

Winda otworzyła się ponownie na kondygnacji, gdzie mieszkali mężczyźni.

Amlis Vess cofnął się nieco od drzwi i przysunął bliżej do pilnującego go robotnika. Nadal był piękny, ale tych kilka chwil

rozłąki wystarczyło, by Isserley odzyskała kontrolę nad swoim gniewem. Wszystko jedno, czy jest przystojny, czy nie, Vess odpowiada za akt infantylnego sabotażu, i to przez niego przeszła dzisiaj piekło. Jego widok po prostu ją zaskoczył, i tyle – Amlis nic dla niej nie znaczy. Nie spodziewała się, że ujrzy w nim kogoś więcej niż tylko sprawcę nikczemnie niemądrego czynu – okazało się jednak, że młodzieniec nie jest zupełnie anonimowy, Isserley musi więc zachować się stosownie do okoliczności.

– Och, jak to dobrze. Już myślałem, że postanowiłaś nas opuścić – powiedział Amlis Vess. Miał ciepły, śpiewny i bardzo, bardzo arystokratyczny głos. Isserley chwyciła się nutki resentymetu, którą w niej obudził, i rezolutnie postanowiła się jej trzymać.

– Proszę mi oszczędzić swoich błyskotliwych komentarzy, panie Vess – powiedziała, wysiadając z windy. – Jestem bardzo zmęczona.

Z rozmysłem, złośliwie zwróciła się do stojącego obok mężczyzny, w którym dopiero teraz rozpoznała inżyniera Ynsa.

– Jak myślisz, Yns? – powiedziała zadowolona, że przypomniawszy sobie jego imię w porę, by móc się nim posłużyć. – Czy można by już wywieźć pana Vessa z powrotem na pierwszy poziom?

Yns, ogorzały wiarus o heroicznej brzydocie, obnażył poźółkłe zęby w grymasie zakłopotania i przelotnie spojrzawszy Amlisowi w oczy. Było jasne, że mieli dość czasu, by sobie pogawędzić podczas rozgrywającej się na zewnątrz awantury ze zbiegłymi wodselami i że zdążyli pogodzić się z nienaturalną absurdalnością ich wzajemnej relacji jeńca i strażnika.

– Mhh... Tak – skrzywił się Yns. – Pan Vess nie ma tu chyba nic więcej do roboty.

– Sądzę, że powinien wyjechać na pierwszy poziom i przyjrzeć się temu, co mężczyźni wnoszą właśnie do środka – powiedziała Isserley.

Nie odrywając wzroku od Amlisa Vessa, wygięła ramię do

tyłu i nacisnęła guzik, żeby ściągnąć windę. W trakcie tej czynności skrzywiła się z nieoczekiwanego bólu i zauważyła, że Amlis zobaczył ten grymas – niech go szlag trafi. Tak rzadko miała sposobność, żeby korzystać z naturalnej elastyczności swego ciała, i tak pilnie starała się zawsze naśladować prymitywne, jakby zawiasowe ruchy wodselei, że utraciła swoją sprawność fizyczną. On zaś z pewnością bardzo chciałby wiedzieć, co potrafi jej ciało, a czego nie!

Nadjechała winda i Amlis Vess posłusznie wszedł do środka. Kości i mięśnie grały mu delikatnie pod miękką skórą. Nie zakołysał się nawet niby tancerz. Prawdopodobnie był biseksualistą, jak wszyscy sławni i bogaci ludzie.

Widząc, że kabina nie pomieści trzech osób, Amlis Vess spojrzał na Isserley, która spojrzeniem dała mu jednak wyraźnie do zrozumienia, że Yns i on powinni jechać razem, ona zaś dołączy do nich później. W oczach starała się zawrzeć także wyraz hamowanego obrzydzenia, jak gdyby Amlis Vess był wielkim zwierzęciem, które może ją zbrukać, i to na dodatek właśnie teraz, w tej chwili, gdy jest za bardzo zmęczona, żeby się umyć.

Kiedy winda ruszyła w górę, poczuła mdłości, jak gdyby zamknęła się nad nią ziemia i jakby wdychała miazmaty zużytego powietrza cudzych oddechów. Spodziewała się jednak takich sensacji, więc tylko powtarzała sobie, że musi się trzymać. Pod ziemią zawsze czuła się koszmarnie, szczególnie w takich pomieszczeniach. Musiałaby chyba być niższą formą życia, żeby tu nie zwariować.

– Szybciej – szepnęła, czekając z utęsknieniem na wybawienie.

Kiedy stanęli wreszcie razem w głównym budynku – Isserley, Amlis Vess i pięciu robotników z farmy – ich oczom ukazał się ponury i surrealistyczny widok. Wodsele przetransportowano tymczasem do stodoły – najpierw przyniesiono żywego miesięczniaka, potem zaś trzy zbroczone krwią trupy. Co prawda, ów rzekomo żywy wodsele już nie żył. Ensel na wszelki

wypadek wstrzyknął mu po drodze dawkę ikpatuy, która nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności zatrzymała akcję otłuszczonego serca zwierzęcia.

Ciała leżały rzędem na betonie, na środku stodoły. Nogi osobnika, którego ciało było w najlepszym stanie, pokrywały wciąż wysięki skrzepłej krwi, choć z głów zastrzelonych zwierząt krew przestała już ciec. Blade i lśniące od mrozu, cztery trupy przypominały masywne posągi ze świecowego łożu, które topniały nierówno pod włóchatymi knotami.

Isserley spojrzała na nieżywe zwierzęta, na Amlisa Vessa, a potem znów na wodsele, jakby nakazując mu, żeby się nimi zainteresował.

– I co? – spytała zaczepnie. – Jest pan z siebie dumny?

Amlis Vess przyglądał się jej uważnie, obnażając zęby w odruchu obrzydzenia i litości.

– Wiesz co? To bardzo dziwne, ale nie przypominam sobie, żebym to ja podstrzelał łąby tym nieszczęsnym zwierzętom – powiedział.

– Mimo to zginęły z twojej winy – rzuciła zmartwiała Isserley, bo Yns niestosownie parsknął za jej plecami.

– Być może – powiedział Amlis Vess takim tonem (by nie rzec: z takim akcentem), którego mogłaby użyć Isserley, by uspokoić rozstrojonego nerwowo autostopowicza.

Isserley zeszywniała z wściekłości. Pierdolony skurwieli z wyższych sfer! Zachowuje się tak, jakby nie musiał tłumaczyć się ze swoich czynów. Typowy dzieciak z bogatej rodziny, rozpieszczony milionerek. Tacy jak on nigdy nie muszą tłumaczyć się ze swoich uczynków.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała bez ogródek.

– Jestem po prostu przeciwny zabijaniu zwierząt – odpowiedział, nie podnosząc głosu. – I tyle.

Isserley przez chwilę przyglądała mu się z niedowierzaniem, a potem, wzburzona, zwróciła jego uwagę na palce stóp martwych wodseli, przypominające nierówny szereg czterdziestu opuchniętych cyfr, rozplaszczonych na betonowej

podłódze.

– Widzisz to? – wybuchnęła, wskazując najbardziej zmienione kawałki ciała. – Widzisz, że palce ich stóp są szare i gąbczaste? To ślady odmrożeń. Powstają pod wpływem zimna. Te części ich ciał są martwe, panie Vess. A zatem te zwierzęta niewątpliwie zdechłyby po prostu z zimna.

Zakłopotany Amlis Vess poruszył się niespokojnie, co było pierwszą oznaką jego słabości.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedział, marszcząc czoło. – Ostatecznie ten świat należy do nich.

– Ten świat? – wykrzyknęła Isserley. – Żartujesz sobie? Czy zdaje ci się – dźgała kolejno palcem odmrożone stopy, niechcący otwierając w jednej z nich nową ranę – że te zwierzęta biegały i figlowały w swoim naturalnym środowisku? Czy twoim zdaniem wyglądają, jakby... się dobrze bawiły?

Amlis Vess otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale po chwili chyba się zreflektował. Westchnął. A kiedy wzdychał, zafalowała biała sierść na jego piersi.

– Chyba cię rozgniewałem – powiedział ponuro. – I to bardzo. Dziwne jest tylko to, że moim zdaniem wcale nie złościsz się dlatego, że tym zwierzętom stała się krzywda z mojej winy. Przecież i tak zamierzaliście je wkrótce zabić, czyż nie?

Nieświadomi swojego okrucieństwa, wszyscy mężczyźni przyłączyli się do Vessa, oczekując odpowiedzi od Isserley. Milczała, zaciskając pięści. I nagle zdała sobie sprawę, dlaczego nie powinna zaciskać dłoni w pięść – poczuła bowiem dotkliwy ból w dłoniach, z których amputowano jej kiedyś szósty palec. To przypomniało jej wszystkie pozostałe różnice anatomiczne dzielące ją od mężczyzn, którzy stali przed nią półkolem na tle martwych wodseli. Skuliła się odruchowo, pochylając ramiona, jakby zamierzała opaść na cztery łapy, a potem skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Proponuję, żeby pan Vess nie rozrabiał więcej, dopóki nie będzie można go odesłać tam, skąd przyjechał – oświadczyła lodowato, nie kierując owej propozycji do nikogo konkretnie.

Potem, powoli, krok za boleśnie dystyngowanym krokiem, opuściła budynek.

Mężczyźni stali przez chwilę w milczeniu.

– Wpadłeś jej w oko – powiedział Yns do Amlisa. – Znam się na tym.

6.

Godzinę później i czterdzieści mil dalej na smaganej wiatrem trasie A9 zamglone oczy Isserley spojrzały spod przymkniętych powiek ku górze na ogromną elektroniczną tablicę z napisem ZMĘCZENIE MOŻE ZABIĆ: ODPOCZNIJ. Był to znak jawnie „eksperymentalny”, zachęcał bowiem kierowców, by wyrażali swoje zdanie o nim, dzwoniąc na podany niżej numer telefonu.

W drodze do Inverness Isserley przejeżdżała pod tą tablicą już setki razy, zastanawiając się, czy pewnego dnia nie wyświetli ważnych informacji o sytuacji na drodze: na przykład, wiadomości o jakimś wypadku, korku na trasie albo o trudnych warunkach jazdy na moście Kessock. Tego rodzaju informacji nigdy jednak nie było. Wciąż powtarzały się tylko ogólnikowe kazania na temat prędkości, uprzejmości na drodze i zmęczenia.

Tego dnia na widok porady widniejącej na tablicy uśmiechnęła się ponuro. To prawda: odczuwała zmęczenie i powinna zrobić sobie przerwę. W pewnym sensie było zabawne, że przypomniała jej o tym bezduszna maszyna, ale z drugiej strony właśnie dlatego przyszło jej łatwiej zastosować się do tej rady. Miała natomiast poważne trudności z korzystaniem z rad jej pobratymców – ludzi.

Zatrzymała się na parkingu i wyłączyła silnik. Wojownicze słońce patrzyło jej uporczywie prosto w oczy. Zastanawiała się nawet, czy nie przyciemnić okien, ale opanowała się na myśl, co by się stało, gdyby zasnęła i gdyby obudziła ją policja, bębniąc w nieprzezrocyste, bursztynowe szyby samochodu. Nic takiego nigdy dotąd nie zaszło, ale gdyby kiedyś się zdarzyło, byłaby skończona. Policjanci mogli ją przecież poprosić o najróżniejsze rzeczy, których nie byłaby w stanie im pokazać – a gdyby, na przykład, zdjęła te swoje grube szkła, odkryliby, że skryte za

nimi oczy nie przypominają wielkością oczu normalnego wodsela.

A oczy piekły ją teraz, podrażnione brakiem snu i wysiłkiem, jakiego wymagało patrzenie na świat przez dwie warstwy szkła. Zamrugła, potem jeszcze raz, wolniej, coraz wolniej, aż wreszcie jej powieki w ogóle przestały się unosić. Pozwoli odpocząć oczom tylko na chwilkę, a potem wróci na północ, żeby się porządnie wyspać. Ale nie na farmie, tylko gdzieś indziej. Bo na farmie, gdzie grasuje ten kretyn Amlis Vess, znowu, być może, panuje zamieszanie.

Znała jedno odpowiednie miejsce, położone w bok od głównej drogi, na trasie B9166 do Balintore, gdzie czasem zatrzymywała się na drzemkę w ruinach średniowiecznego opactwa. Nikt nigdy tam nie przyjeżdżał, choć była to oficjalna atrakcja turystyczna – szeroko rozsnuta pajęczyna reklam okazała się jednak zbyt dziurawa, by kierowcy dali się w nią złapać. Dlatego Isserley uznała, że tam jej będzie najlepiej, skoro niemal całą noc nie spała, zmuszona gonić za zbiegłymi wodselami aż do świtu.

Wyobrażając sobie, że jest już w Fearn Abbey, zasnęła, oparłszy wygodnie głowę i rękę o miękką tapicerkę kierownicy.

Najpierw przyśniło się jej, że śpi w pozbawionych dachu ruinach opactwa, a nad nią rozciąga się ocean lazurowego nieba, pokrytego pasmami pierzastych chmur. Potem jednak, co często się jej zdarzało, niby przez zdradliwą warstewkę sypkiej ziemi spadła na jeszcze niższy poziom snu, lądując w podziemnym piekle Posiadłości.

– To pomyłka – powiedziała nadzorcy, który prowadził ją w głąb labiryntu sprasowanego boksytu. – Mam potężnych przyjaciół na wysokich stanowiskach. Wiadomość, że mnie tu zesłano, bardzo ich wzburzyła. Już pracują nad tym, aby zmieniono moją klasyfikację.

– Dobra, dobra – mruzczał nadzorca, wciągając ją coraz głębiej. – A teraz pokażę ci, na czym będzie polegała twoja praca.

Dotarli do mrocznego centrum fabryki. Gładką szyję olbrzymiego, betonowego krateru wypełniał migotliwy gulasz rozkładającej się materii roślinnej. Ogromne korzenie i bulwy obracały się leniwie w połyskującej mazi, a tłuste liście drżały konwulsyjnie na jej srebrzystej powierzchni niczym wyrzucone na brzeg olbrzymie płaszczyki. Bąble niebieskawego gazu biły z powstających nagle luk w napięciu powierzchniowym. Wokół i ponad tą kipiącą czeluścią, w duszącym powietrzu krążyła zielona para i cząsteczki torfu.

Przewyciężając obrzydzenie, Isserley podeszła bliżej i zajrzała do środka. Zauważyła setki kabli, grubości węży przeciwpożarowych, owiniętych wokół obrzeży krateru i znikających w lepkiej mazi w odległości kilku metrów od siebie. Jeden z kabli wyciągało właśnie jakieś cicho pracujące urządzenie mechaniczne. Lśnił na całej długości, pozwalając się domyślać rzeczywistej głębokości krateru. Po pewnym czasie na końcu kabla wyłonił się workowaty skafander, połączony z nim sztuczną pępowiną i oblepiony czarnym błockiem. Nurka nie było widać, więc wydawało się, że to pusty skafander, ściskający wciąż w rękawicach jakieś przypominające szpadel narzędzie, poślizgnął się niezdarnie na betonowej krawędzi, a teraz usiłuje powstać na kolana.

– Tu wytwarzamy tlen dla tych na powierzchni – wyjaśnił nadzorca.

Isserley krzyknęła tak przeraźliwie, że się obudziła.

Siedziała w samochodzie, na poboczu drogi, ciągnącej się z wieczności w wieczność, w obcej, odległej krainie. Niebo za oknem było niebieskie, przezroczyście i nieskończone. Miliony, miliardy, a może tryliony drzew wytwarzały tu tlen bez konieczności ludzkiej ingerencji w ów proces. Świeciło, jak co dzień, dojrzałe znowu słońce, a od kiedy zasnęła, minęło zaledwie kilka minut.

Przeciągnęła się, wykręcając z jękiem bólu chude ramiona o trzysta sześćdziesiąt stopni. Wciąż była bardzo zmęczona, ale koszmarny sen zniechęcił ją tymczasem do drzemki. Wiedziała,

że na razie nie grozi jej zaśniecie za kierownicą. Popracuje trochę, a potem zobaczy, jak się poczuje o zmierzchu. Oczywiście zniknęła także presja, która kazała jej wczoraj za wszelką cenę zdobyć świeży towar, by mógł go podziwiać dostojny gość, syn szefa, bo okazało się, że przywożąc wodseła na farmę, nie przemówi do serca Amlisa Vessa – ani do żadnej innej części jego ciała, której chciałaby zaimponować. Powinna zapomnieć więc na razie o stukniętych przybyszach: musi zadbać o zaspokojenie swoich własnych ambicji.

Jadąc dalej na południe, za Inverness, zauważyła potężnego autostopowicza, trzymającego w ręku kartonik z napisem GLASGOW.

Przejechała obok z przyzwyczajenia, bo przestrzegała przyjętych zasad gry, nie miała jednak wątpliwości, że zabierze go za drugim podejściem: był mocno zbudowany i w kwiecie wieku. Byłoby zbrodnią pozostawić takiego osobnika na drodze.

Pomimo swej masy pobiegł zwinnie w jej kierunku, gdy zatrzymała samochód – był to dobry znak, ponieważ niepełnosprawne albo pijane wodsele przewracają się w biegu.

– Pasuje ci Pitlochry? – zaproponowała, sądząc bowiem po otwartym, mającym wzbudzić jej sympatię wyrazie twarzy wodseła, Pitlochry wręcz przerastało jego oczekiwania.

– Super! – rzucił entuzjastycznie i wskoczył do samochodu.

Ujrzała wielkie, mięsiste oblicze, przypominające już nieco twarz miesięczniaka, okolone na czole skołtunionymi, jasnymi lokami. Miał jednak rzadkie włosy, a skórę na czaszce pomarszczoną i usianą plackami łysiny, jak gdyby zgubił kiedyś w morzu głowę, a fale wyrzuciły ją na brzeg, gdzie schła latami w słońcu, zanim wreszcie znów połączyła się z ciałem.

– Dave jezdem. – Wyciągnął do niej rękę i Isserley niezgrabnie podała mu dłoń, starając się nie skrzywić, gdy uścisnął ją w miejscu, z którego kiedyś wyrastał jej szósty palec. Autostopowicze przedstawiali się tak rzadko, że musiała zastanowić się nad odpowiedzią.

– Louise – odezwała się po kilku chwilach.

– Miło cię poznać – rozpromienił się wodselski, zapinając starannie pas, jak gdyby byli kolegami po fachu i mieli przeżyć za chwilę jakąś wspólną przygodę – przekroczyć prędkość dźwięku w wyścigowym bolidzie albo przetestować terenowe auto na skalistych bezdrożach.

– Widzę, że jesteś w dobrym nastroju – zauważyła Isserley, ruszając.

– Sie wie, laleczko, jest git – przytaknął Dave.

– Czy twój dobry humor ma coś wspólnego z tym, co czeka cię w Glasgow? – naciskała dalej.

– Znowu strzał w dychę, laleczko – uśmiechnął się szeroko. – Dostałem bilety na Johna Martyna.

Isserley przebiegła w pamięci całą listę nazwisk artystów estradowych, których widywała w telewizji podczas porannych ćwiczeń lub których z jakichś powodów wspominano w wieczornych wiadomościach. Nie pamiętała jednak nazwiska „John Martyn”, więc było całkiem możliwe, że nie wyginał on łyżeczek na odległość siłą swojego umysłu ani nie łamał przepisów zabraniających zaciągania się dymem z pewnego rodzaju roślin.

– Nie znam go – powiedziała.

– Niektóre hity znasz na bank – zapewnił ją Dave, marszcząc z niedowierzaniem brwi. – *May You Never* to hicior.

– Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, zaczął głośno śpiewać.

– *Ach, oooobys nie zamknął oczu, nie trzymając nikogo za rękę...* Nie słyszałaś tego?

Isserley pospiesznie skrzyła kierownicę, bo jej samochód, jakby przestraszony śpiewem wodselskiego, zjechał na środek jezdni.

– *A Over the Hill!* – upierał się Dave. Pocierając krzepką dłońią o żebra, drugą zaś przyciskając struny na gryfie niewidzialnej gitary, zaśpiewał: – *Myślę o dzieciakach i martwię się o żonę; trzeba mi jechać, gdy moje życie tonie; więc jadę do domu, HEJ HEJ HEJ, za wzgórze!*

– Martwisz się o swoją żonę, Dave? – dopytywała się spokojnie Isserley, patrząc uważnie na drogę.

– No. Martwię się, że skapuje, gdzie nocuję, he, he.

– Masz dzieci? – Wiedziała, że to zuchwalstwo, ale nie była dziś w nastroju, żeby tracić czas.

– Nie mam, laleczko – powiedział Dave, poważniejąc nagle i składając ręce na kolanach.

Isserley pomyślała, że może przeciągnęła strunę. Zamilkła, podała pierś do przodu i prowadziła dalej.

Szkoda, że Louise nie zawiezie go dalej niż do Pitlochry, pomyślał Dave. W tym tempie dotrze do Glasgow o cztery godziny za wcześnie, a z tą dziewczyną mógłby nie najgorzej spędzić wolny czas. Nie żeby był seksistą, nic z tych rzeczy, ale Louise wyraża się szalenie bezpośrednio, jak wszystkie puszczalskie, no i zaprosiła go do samochodu, jego, wielkiego, muskularnego faceta, a tego, musiał przyznać, kobiety nie robiły prawie nigdy. Ma fantastyczny biust i oczy większe nawet niż Sinead O'Connor, i ładne włosy, choć jednak trochę zmierzwione, opadają na boki jak mop na kiju, dlatego nie widać teraz jej twarzy z profilu. Może kobiety właśnie w takich sytuacjach mawiają, że w kiepski dzień nic im się nie układa, nawet włosy. Może powinien wspomnieć, że jemu też zdarzają się takie dni, żeby pokazać jej, że ma pewne pojęcie o tych sprawach. Przekonał się już nie raz, że kiedy kobieta uwierzy, że między nią a mężczyzną nie ziele przepaść nie do pokonania, chętnie rozchyła nogi.

Może zaiskrzy między nimi w drodze do Pitlochry! Łóżka nie są w końcu najważniejsze. Louise mogłaby zjechać na pobocze i pokazać, co potrafi.

Pomarzyć każdy może, Dave. Bo naprawdę będzie tak: dziewczyna wysadzi go na ulicy w Pitlochry i odjedzie w siną dal, pomrużując na pożegnanie światłami. I koniec.

Obejrzy jednak koncert Johna Martyna, warto o tym pamiętać. Z perspektywy czasu na numerek z panienką patrzy się zawsze z pewnym zażenowaniem, ale koncert to ciepłe wzruszenie na zawsze.

A skoro już o tym myśli: co ta dziewczyna ma na odcinku

muzyki? Zauważył odtwarzacz kasetowy, którego niemal dotykał kolanami: mają mnóstwo czasu, żeby przed Pitlochry wysłuchać „dziewięćdziesiątki”!

– Masz jakieś kasety, laleczko? – zapytał Dave, wskazując urządzenie. Isserley spojrzała na metalową szparę, próbując przypomnieć sobie, co też w niej tkwiło albo i nie tkwiło, kiedy przed laty dostała ten samochód.

– Tak, jedna chyba jest w środku – odparła, przypominając sobie jak przez mgłę, że przestraszyła ją niechciana muzyka, która rozbrzmiała nagle, kiedy zapoznawała się z działaniem przycisków na desce rozdzielczej.

– Super: to puść ją – poprosił natarczywie, uderzając się dłońmi w obciążone dzinsami uda, jak gdyby zaczynał solo na perkusji.

– Nie krępuj się. Sam ją włącz – powiedziała. – Ja prowadzę.

Poczuła na sobie jego wzrok, pełen niedowierzania wobec takiej ostrożności, ale nieustannie wyprzedzały ją obce samochody i była zbyt zdenerwowana, żeby spuścić oczy. Esswis prowadził jak wariat i szybka jazda z nim tak nią wstrząsnęła, że teraz nie miała ochoty przekraczać czterdziestu pięciu mil na godzinę.

Dave włączył odtwarzacz, z którego posłusznie natychmiast popłynął dźwięk. Z początku Isserley odczuła ulgę, że dostał to, czego chciał, ale szybko zorientowała się, że coś jest nie w porządku, i skupiła uwagę na muzyce. Brzmiała tak, jak gdyby dźwięk co kilka sekund zanurzał się pod wodę, zmuszony omijać w ten sposób jakieś przeszkody.

– Ojej – zafrasowała się. – Czy moje urządzenie nie funkcjonuje właściwie?

– A skąd, to wina tasiemki, laleczko – odpowiedział. – Obluzowała się.

– Ojej – powtórzyła Isserley, marszcząc w skupieniu czoło, a jadący za nią kierowca zatrąbił, zapewne zirytowany, że dziewczyna nie wyprzedza turystycznego autokaru. – Czy trzeba ją... No... Wyrzucić?

– Gdzie tam! – zapewnił Dave, kręcąc radośnie gałkami odtwarzacza, choć Isserley z trudem znosiła popiskiwanie taśmy. – Trza ją tylko przewinąć w te i wewte parę razy. Cudowny sposób. Zobaczysz. Ludzie wyrzucają kasety, bo myślą, że taśma zdechła. A wcale jej nie trza wyrzucać.

Jeszcze przez kilka chwil majstrował przy odtwarzaczu, po czym znów go włączył. Z głośników zabrzmiała piosenka, ostra i wyraźna jak obraz telewizyjny. Nosowy, męski głos śpiewał o kimś, kto całą noc prowadzi ciężarówkę, by pozostawić miasteczko Heartache o sto mil za sobą. W tonie wykonawcy pobrzmiwał jowialny ból.

Miała nadzieję, że Dave będzie wreszcie zadowolony, ale jego twarz wyrażała zdziwienie.

– Ciekawa sprawa, Louise – odezwał się po chwili. – To dziwne, że słuchasz muzyki country.

– Dziwne?

– No... wiesz, babki rzadko słuchają takiej muzyki. A w każdym razie młode laski, kumasz? Jesteś chyba pierwszą młodą laską, com ją spotkał z kasetą country w bryce.

– A jakiej muzyki byś się po mnie spodziewał? – zapytała Isserley. (Na niektórych większych stacjach sprzedawano kasety – może tam uda jej się kupić właściwe nagrania).

– Ja wiem? Czegoś do tańca – wzruszył ramionami, rytmicznie przecinając pięścią powietrze. – Jak Eternal. Dubstar. M Pipple. Abo Bjork, Pulp, Portishead... – Te trzy ostatnie nazwy kojarzyły się Isserley z karmą dla zwierząt.

– Chyba mam dziwny gust – przyznała. – Myślisz, że spodobałby mi się John Martyn? Jak brzmi jego muzyka? Możesz mi ją opisać?

Na to pytanie oblicze autostopowicza rozświetlił wyraz pogodnego, acz głębokiego skupienia, jak gdyby całe jego życie prowadziło do tej właśnie chwili, on zaś wiedział dobrze, że potrafi stanąć na wysokości zadania.

– Często gra z echopleksem... Znaczą używa pedałów, kumasz? Różnie akustycznie, ale instrument brzmi jak

elektryka, znaczy się, tak przestrzennie.

– Mmm – powiedziała Isserley.

– Gra spokojną, cichą muzykę na akustycznej gitarze, aż tu nagle ZIUUU, SZAKATAKA, SZAKATAKA, łeb ci normalnie wiruję.

– Mmm – powiedziała Isserley. – Brzmi... Efektownie.

– A jak on śpiewa! Nikt tak nie śpiewa, jak ten gościu! To jest jak... – I Dave znów zaczął śpiewać. Rażony melizmatycznym skurczem bełkotał i powarkiwał, sprawiając wrażenie niepokojąco pijanego. Isserley już od kilku lat z zasady nie zabierała pijanych autostopowiczów, bała się bowiem, że będą zasypiać, nim ona zdąży podjąć przemyślaną decyzję, czy użyć ikpatuy. Gdyby Dave poczęstował ją takim występem na powitanie, z pewnością nie zaprosiłaby go do samochodu. Wodsel jednak zapewnił ją po chwili: – On tak specjalnie śpiewa. To jakby jazz, kumasz?

– Mmm – powiedziała. – A ile razy widziałeś Johna Martyna?

– No, sześć albo siedem, w ciągu paru lat. Ale, kumasz, on ostro daje w szyję. I nigdy nie wiadomo, kiedy taki gościu wykorkuje, a wtedy byś se mówiła: mogłam pojechać i zobaczyć koncert Johna Martyna, a on odwalił kitę! A co ja wtedy robiłam, no co? Pewnie oglądałam telewizję!

– Czy tak właśnie spędzasz wolny czas, Dave? Oglądasz telewizję?

– Jasne, laleczko. Sie wie – przyznał z naciskiem.

– W dzień też?

– Nie, laleczko – zaśmiał się. – W dzień jezdem w robocie.

Isserley przyjęła to do wiadomości z niejakim rozczarowaniem. A coś jej mówiło, że ten autostopowicz jest bezrobotny.

– Więc wzięłaś wolny dzień, żeby pojechać na koncert? – zapytała w nadziei, że jego zakład pracy słynie z dużej absencji robotników.

Popatrzył na nią z niejakim politowaniem. – Jest sobota, laleczko – poinformował łagodnie. Isserley drgnęła.

– Oczywiście, oczywiście – powiedziała.

Była przekonana, że wszystko to jest w jakimś sensie winą Amlisa Vessa, który swoim głupim aktem sabotażu nie osiągnął niczego poza tym, że zdekoncentrował ją na cały dzień.

– W porządku, Louise? – zapytał siedzący obok wodseł. – Czy może wstałaś z łóżka lewą nóżką?

Skinęła głową.

– Za dużo pracuję – westchnęła.

– Tak też se myślałem – potwierdził ze współczuciem. – Ale głowa do góry: pamiętaj, że masz weekend.

Isserley uśmiechnęła się. Rzeczywiście, miała przed sobą weekend – podobnie jak on. Koledzy z pracy nie spodziewają się go zobaczyć aż do poniedziałku, a nawet wtedy, kiedy się nie pojawi, pomyślą, że ma jakieś problemy z powrotem z Glasgow. Mimo wszystko chyba się na niego zdecyduje. Nadaje się idealnie.

– Gdzie się zatrzymasz w Glasgow? – zapytała, kołyszając palcem nad dźwignią zwalniającą mechanizm ikpatuy i spodziewając się, jak zwykle w takiej sytuacji, jakiejś niewyraźnej odpowiedzi o kumplach i hotelach.

– U mamy – odpowiedział bez namysłu.

– U mamy?

– U mojej mamy – przytaknął. – Jezd super. Rejwerka w głębi duszy, kumasz? Sama by poszła ze mną na Martyna, gdyby nie ten pic na dworze.

– To fajnie – powiedziała Isserley, cofając dłoń znad dźwigni, uruchamiającej igły z ikpatuą, i zaciskając palce na pęcherzykowej powierzchni kierownicy.

Podczas dalszej podróży nie rozmawiali prawie wcale. Kasetą z muzyką country dobiegła końca, a wtedy Dave przełożył ją na drugą stronę, wykorzystując wszystko, co Isserley miała do zaoferowania. Przepełniony jowialnym bólem piosenkarz jodłował ciągle o jakichś słodkich wspomnieniach, długich autostradach i utraconych szansach.

– Chyba wyrosłam z tej muzyki, wiesz? – powiedziała mu w

końcu. – Podobała mi się parę lat temu, ale chciałabym się dalej rozwijać. Może teraz kupię coś Johna Martyna.

– Super – odpowiedział zachęcająco.

W Pitlochry wysadziła go na drodze i odjechała, pomrużując na pożegnanie świątłami.

Dave tkwił wciąż w tym samym miejscu, trzymając swój kartonik z napisem GLASGOW, kiedy pięć minut później mijała go po drugiej stronie drogi. Jeżeli ją zauważył (a była prawie pewna, że tak właśnie było), na pewno zachodził w głowę, gdzie popełnił błąd.

Przed drugą słońce zostało zwabione głęboko w szare morze chmur: znów zanosilo się na śnieg. Jeżeli nadejdzie raczej szybciej niż później, ciemność zapadnie niemal natychmiast, zamiast odczekać jeszcze półtorej godziny – a wtedy tylko obłąkańcy albo desperaci mogliby wyjść na stop. Isserley wątpiła jednak, czy ma dość energii, żeby użerać się dziś z obłąkańcami, i dość szczęścia, żeby trafić na jakiegoś desperata. Jeśli chodzi o jej dzień pracy, realnie rzecz biorąc, powinna go uważać za zamknięty w chwili, kiedy z nieba spadnie pierwszy płatek śniegu.

A wtedy? Dokąd wtedy pojedzie? Na pewno nie na Ablach Farm, jeśli tylko będzie miała jakiś wybór – gdzieś, gdzie poczuje się swobodniej, gdzie nikt nie będzie jej obserwował ani obgadywał. Znajdzie jakieś miejsce, którego nie zna nikt prócz niej.

Może spróbować przespąć się w Fearn Abbey – to znaczy, spędzić tam noc, nie tylko zdrzemnąć się chwilę. Czy naprawdę jest jej potrzebne łóżko? Potrafi chyba obejść się bez niego i przespąć choć jedną noc jak normalny człowiek? Niech Ensel i jego kolesie łamią sobie głowy, dumając, co się z nią stało, a ona będzie sobie spać pod gwiazdami, w zupełnej samotności.

Dobrze wiedziała, że to jest głupi pomysł. Grzbiet nigdy jej na coś takiego nie pozwoli. Nie może się spodziewać, że położy się na twardym podłożu i zwinie w przytulny kłębek, skoro amputowano jej pół kręgosłupa, a to, co z niego zostało,

naszpikowano metalowymi klamrami. Zapłaciła wysoką cenę, aby móc siedzieć w wyprostowanej pozycji za kierownicą samochodu.

W drodze powrotnej na północ Isserley włączyła autopilota, wypatrując autostopowiczów i – dalej od szosy – fok nad Moray Firth. Na ekranie jej wyobraźni pojawił się jednak o wiele bardziej wyrazisty wizerunek miękkiego łóżka na farmie: bo strasznie chciała w nim leżeć! Jak cudownie byłoby wyciągnąć się i ułożyć, jak zwykle, w kształcie litery X, na posłusznym podtrzymującym jej plecy materacu. Stare łóżko, wgniecione przez wiele pokoleń wodseli, było idealnie elastyczne: ustępowało na tyle, by kręgosłup Isserley rozluźniał się lekko i wyginał, nie na tyle jednak, żeby metalowe klamry bezlitośnie szarpały jej ścięgna, jak zawsze wtedy, kiedy garbiła się nad kierownicą. Oto żałosna prawda.

Nie podobało jej się, że kiedy wraca, mężczyźni zawsze wybiegają z głównego budynku, pytając, czy przywiozła im wodsela, czy nie. Skąd się w ogóle wziął ten głupi zwyczaj? Nie mogą spokojnie poczekać, aż da im jakiś sygnał? Dlaczego nie może po prostu wjechać czasami na farmę niezauważona i nieobserwowana, wślizgnąć się do domku i położyć spać? Czy istnieje uzasadniony powód, dla którego nie udzielono jej upoważnienia, by mogła wyłączać system alarmowy, kiedy wjeżdża na farmę? Czy to możliwe, że zamieszanie, jakie zawsze towarzyszy jej powrotom, jest skutkiem czyjegoś doskonałego pomysłu, zmierzającego do tego, by pracowała pod presją i czuła się zmuszona, aby dostarczać towar? Kto mógłby wpaść na coś takiego? Ktokolwiek to jest, niech wypierdala na drzewo. Wszystkie te drobne intrygi wymyślił zapewne osobiście stary Vess, żeby trzymać pracowników w garści – jest pewnie równie zakręcony i pomyłony, jak syn, z tą różnicą, że ojciec ma bzika na innym punkcie...

Poczuła nagle mdlące szarpnięcie i wydało się jej, że jakaś siła przeniosła ją w czasoprzestrzeni w miejsce, gdzie grozi jej dziwne, przerażające niebezpieczeństwo: wszędzie dokoła

buczały przeraźliwie elektroniczne klaksony, ona zaś zatraciła się w ciemniejszej nicości i jak zaczarowana patrzyła w nadjeżdżające z oddali, oślepiające, rozszczepione światła. Nie zdawała sobie sprawy, że jedzie – czuła się niczym przypadkowy przechodzień, który przygląda się spadającemu z góry meteorytowi albo bombie zapalającej. Nieporuszona, czekała, aż eksplozja śmierci wtrąci ją w niebyt.

Dopiero kiedy z piskiem opon wyminął ją pierwszy jadący z przeciwka samochód, odłupując boczne lustro jej wozu z głośnym hukem i w deszczu odłamków szkła, Isserley uświadomiła sobie, gdzie jest i co się z nią dzieje. Wciąż oślepiona światłami, szarpnęła kierownicę w lewo, a kilka kolejnych aut z trudem precyzyjnie się obok niej na szosie, łomocząc w bok toyoty strumieniami wypartego powietrza.

Potem niebezpieczeństwo zostało uprowadzone w przeszłość równie gwałtownie, jak się pojawiło, a samochód Isserley stał się jednym z wielu w szeregu aut, jadących grzecznie o zmierzchu szosą na Thurso.

Przy pierwszej okazji zjechała na parking. Siedziała przez chwilę w samochodzie, drżąc na całym ciele i oblewając się potem, a wokół wszystko spowijała cicha noc i śnieg.

Nie zginęła, lecz zadziwiła ją myśl, że mogła umrzeć. Jak przerażająco kruche jest życie ludzkie, skoro można je stracić w ułamku sekundy – wystarczy zjechać z kursu ledwie o kilka stopni. Nie istnieje żadna gwarancja przetrwania, nad którą można przejść do porządku dziennego – przetrwanie zależy bowiem od koncentracji i szczęścia.

To dawało do myślenia.

Ostatni incydent był największym zagrożeniem, jakie spotkało ją dotąd na drodze, licząc nawet pierwszy, nerwowy dzień za kierownicą. A czyja to wina? Nie miała wątpliwości, że znów Amlisa Vessa. Jeździ samochodem od czterech długich lat i przez cały ten czas nie spowodowała żadnego wypadku. Jest chyba najostrożniejszym kierowcą na świecie, więc dlaczego omal nie zginęła akurat dziś? Przez Amlisa Vessa, nie inaczej.

On i jego akt infantylnego sabotażu omal nie wepchnął jej w paszczkę śmierci.

Co on tu, kurwa, w ogóle robi? On, który nie umiałby odróżnić wodsela od własnej dupy! Kto mu pozwolił wsiąść na ten transportowiec? Czy stary Vess nie wie, że jego syn jest niebezpieczny? Gra idzie przecież o niebywale wysoką stawkę, dlaczego więc nie znalazł się dotąd nikt, kto zapanowałby nad sytuacją?

Po dalszych kilku minutach uspokoiła się na tyle, by skonstatować, że miota nią szaleńcza wściekłość. W duchu, rzecz jasna. Ale nawet kiedy zdała sobie z tego sprawę, nie mogła zebrać myśli. Przez cały dzień wzbierały nad nią groźne fale irracjonalizmu, które mogły ją wciągnąć w topiel.

A powinna raczej zastanowić się nad tym, jak zaspokoić swoje bezpośrednie, praktyczne potrzeby. Złość na Amlisa Vessa, jej paranoiczne myśli krążące wokół Ensela i jego przygłupich kompanów – to wszystko może poczekać, dopóki nie zjedzie gdzieś bezpiecznie z trasy. (Ale: oczywiście żaden mężczyzna nie stanął w jej obronie, kiedy Vess na nią naskoczył! – są wszyscy jak mali chłopcy, kurwa, nie ma co do tego żadnych wątpliwości – czy może jednak za ich zachowaniem kryje się coś więcej?) Nieważne, wszystko nieważne: sprawdź lepiej wskaźnik paliwa.

Bak samochodu był już niemal pusty. Powinna go napełnić.

Teraz, kiedy o tym pomyślała, stwierdziła, że już dawno skończyło się także paliwo w jej żołądku: była głodna jak wilk, jest jej wręcz słabo z głodu! Boże, kiedy ona ostatnio jadła? Wczoraj rano! A dzisiaj lata jak obłąkana od świtu, w dodatku więc prawie nie spała.

Musi być szczerą wobec samej siebie i spojrzeć prawdzie w oczy: od momentu, kiedy wyjechała na drogę tego dnia, przez cały czas kusi los.

Zmęczona do szpiku kości, Isserley, której zaczynało kręcić się już w głowie, zatrzymała się na stacji Donny's Garage w Kildary, by zatankować benzynę. Żałowała, że równie łatwo nie

może kupić paliwa dla ciała. Przyczajona w sklepie, czekała, aż inni stojący w kolejce kierowcy zapłacą za zakupy, i przyglądała się tęsknie produktom spożywczym, wyeksponowanym w chorobliwym, fluorescencyjnym świetle. O ile zdołała się zorientować, nie było wśród nich nic, co nadawałoby się do spożycia przez człowieka.

A przecież na pewno jest tam coś takiego. To tylko kwestia właściwego wyboru, którego nie było jej jednak łatwo dokonać. Ostatnim razem, kiedy zdobyła się na odwagę i zjadła jakąś wodselską potrawę, przez trzy dni nie wychodziła z łóżka.

Ociężała i niezdecydowana, rozejrzała się po sklepie w poszukiwaniu kosztujących dokładnie pięć albo dziesięć funtów nagrań Johna Martyna albo muzyków o nazwiskach przypominających nazwy karmy dla zwierząt. Ale w sklepie w ogóle nie mieli kaset.

By wrócić jednak do jej nieszczęsnych doświadczeń z jedzeniem dla wodseli: być może popełniła błąd, wybierając wtedy coś, co wyglądało dokładnie jak łuski serslidy, zapieczone w kształcie paluszków. Może tym razem uda jej się wybrać coś nie z uwagi na wygląd, lecz zawartość. Właściwie koniecznie powinna się na coś zdecydować, skoro nadarza się po temu okazja. Gdyby nawet miała się rozchorować, ryzykowała mniej niż dalszą wyczerpującą jazdę o pustym żołądku.

Kolejka topniała: musi teraz szybko zapłacić za benzynę, inaczej ktoś może zwrócić na nią uwagę. Z małej, metalowej klatki wyjęła paczkę chipsów ziemniaczanych i z niejakim trudem odcyfrowała skład surowcowy, podany mikroskopijnymi literkami na lśniącem opakowaniu. Wyglądało na to, że nie zawiera nic egzotycznego, tylko kartofle, olej i sól – mężczyźni na farmie regularnie jadali podobne dania w kantynie, choć przyrządzano je na tłuszczu całkowicie innego pochodzenia.

Sumując szybko ceny, wybrała trzy paczki chipsów, urodzinową bombonierkę i gazetę „Rossshire Journal”, by koszt zakupów wyniósł dokładnie pięć funtów. Wręczyła znudzonemu

młodzieńcowi, stojącemu za ladą, dwa banknoty, po czym wróciła szybko do samochodu.

Piętnaście minut później auto, pracując na jałowym biegu, stało na innym parkingu, a Isserley, pochylona nad pomrukującym silnikiem, kantem dłoni zmiatała z przedniej szyby puszysty śnieg. Nabrała go w dłonie i z wdzięcznością wessała do ust. Wargi Isserley niczego nie czuły – w ogóle nie miała w nich czucia – ale miękką tkankę jej podniebienia i gardła pod wpływem rozpuszczającej się krystaliczności i niebiańskiego smaku zmrożonej wilgoci przebiegł dreszcz rozkoszy. Zjadła wszystkie trzy paczki prażonych krążków ziemniaczanych i odczuwała niebywałe pragnienie.

Kiedy nałykała się dość śniegu, wróciła za kierownicę.

Od domku dzieliło ją zaledwie dziesięć mil i wtedy natknęła się na autostopowicza, bezskutecznie usiłującego zatrzymać w ciemności jakiś samochód.

Wjechała na wzgórze, zostawiła go daleko w tyle i pomyślała, że lepiej dać sobie z nim spokój.

Ale po chwili zaczęła tworzyć w myślach jego wizerunek, jak gdyby w jej głowie uaktywniły się chemiczne odczynniki fotograficzne. Był jednak imponujący. A w każdym razie wart tego, żeby przyjrzeć mu się jeszcze raz. Dochodzi dopiero piąta, latem panowałby ciągle jasny dzień. Na drogach o tej porze może stać jeszcze wielu niekoniecznie obłąkanych autostopowiczów. Nie wolno jej postępować aż tak nonszalancko.

Zawróciła, manewrując pewnie i ostrożnie. Nikt na nią nie trąbił ani nie mrugał ostrzegawczo światłami – z punktu widzenia innych użytkowników dróg była normalnym, przeciętnym kierowcą. Zmęczenie ustąpiło, bo po jedzeniu poczuła się nieco lepiej.

W ulotnym kręgu świateł jej samochodu autostopowicz wyglądał złowieszczo, ale nie agresywnie. Nie trzymał w ręku kartki z nazwą miejscowości, do której się wybierał, i – jak na panujące warunki atmosferyczne – był chyba nieco zbyt lekko,

choć nie dziwacznie, ubrany. Na rękach miał skórzane rękawiczki, na grzbiecie zaś skórzaną kurtkę, zapiętą po szyję na zamek błyskawiczny. Na ramionach, ciemnowłosej głowie i wąsach wodsela połyskiwał śnieg. Był, jak na Szkota, wysoki i potężnie zbudowany, a widząc jego twarz, w ułamku sekundy Isserley wyczuła w nim jakąś nieokreśloną niecierpliwość. Pomyślała, że jest bliski przekroczenia wytyczonej samemu sobie granicy i że porzuci zamiar podróży stopem, jeżeli nikt się za chwilę, do jasnej cholery, nie zatrzyma.

Zawróciła więc ponownie, podjechała bliżej i zatrzymała się.

Pochylił się nad lewym oknem toyoty, które Isserley uchyliła do połowy.

– Kiepska pogoda na podróż – zauważyła dyplomatycznie, by sprowokować wodsela do wyjaśnień.

– Byłem na rozmowie w sprawie pracy – odparł. Z jego wąsów skapywał stopiony śnieg. – Skończyło się później, niż zapowiadali. Następny autobus mam dopiero za godzinę, więc pomyślałem, że spróbuję złapać jakąś okazję.

Otworzyła mu drzwi, usuwając z fotela pasażera puste opakowania po chipsach.

– Dzięki – powiedział, choć nie uśmiechnął się. Wydał natomiast głębokie, chmurne westchnienie, zapewne wyrażające wdzięczność pod jej adresem. Zdjął rękawiczki, żeby zapiąć pas. Na jego obu mocarnych dłoniach, na cienkiej siateczce ciała, dzielącej kciuk i palec wskazujący, widniała wytatuowana lecąca jaskółka.

Kiedy ruszyli, Isserley coś sobie przypomniała.

– Przecież jest sobota.

– Owszem – zgodził się autostopowicz. – Ale przesłuchanie nie odbywało się w żadnym Urzędzie Pracy, tylko prywatnie. – Przez chwilę przyglądał się jej uważnie, jak gdyby oceniając, czy może jej ufać, po czym dodał: – Powiedziałem im, że niedaleko zaparkowałem swój wóz.

– O pracę bywa dziś trudno – usiłowała go pocieszyć Isserley. – Czasami potrzeba sprytu, żeby coś znaleźć.

Nie odpowiedział, jak gdyby nie chciał od razu utracić w jej oczach całej swojej godności. Po chwili odezwał się jednak:

– Właściwie to mam samochód. Muszę zapłacić tylko podatek drogowy i zrobić badania techniczne. Nic takiego, wystarczyłyby dwie tygodniówki.

– I co, myślisz, że dostaniesz pracę u tych ludzi? – spytała Isserley, ruchem głowy wskazując oddalających się coraz bardziej, tajemniczych pracodawców wodsela.

Odpowiedź była natychmiastowa i gorzka.

– Strata czasu. Powiedzieli, że na razie zastanawiają się tylko, czy kogoś nie zatrudnić. Rozumiesz mnie?

– Tak, chyba tak – powiedziała Isserley, prostując się na fotelu.

Wybawicielka nie zrobiła na autostopowiczu szczególnego wrażenia. Skąd u bab ostatnio ta obsesja na punkcie głębokich dekoltów? – pomyślał. Takie kobitki pokazują ciągle w telewizji. Na przykład te młode laski z wyżełowanymi włosami, bywalczyńce nocnych klubów w Londynie, które chodzą w czarnych kamizelkach, tak kusych, że nie dałoby się nakryć nimi jamnika. Może o takich facetkach powiedzieć tylko tyle, że gdyby musiały walczyć o przetrwanie w przyrodzie, przysłoby im przeżyć największy w życiu szok. Nie dziwota, że niechętnie przyjmują kobiety do wojska. Zresztą, kto mógłby powierzyć swoje życie kobiecie, która odsłania na mrozie cały hektar cyczków?

Chryste, czy ta dziewczyna nie może trochę przyspieszyć?! Wloką się, jakby szli na piechotę. Powinien zaproponować, żeby zamienili się miejscami, bo on poprowadziłby tego grata dwa razy szybciej, choć to przecież tylko japońskie gównno. Ach, gdyby odzyskał kiedyś tego wolseleya, którym jeździł w latach osiemdziesiątych! Ciągle pamięta, jak leżała w dłoni dźwignia zmiany biegów. Gałka obciążona luksusową skórą. Była miękka, jak świńska. Bo to naprawdę była chyba świńska skóra. Gdzie teraz jest jego wolseley? Jeździ nim pewnie jakiś kretyń z komórką. Albo już go rozbił. Nie każdy potrafi

prowadzić wolseleya.

Nie było po co zawracać sobie głowy i w ogóle jechać na spotkanie z tymi przekłętymi ludźmi. Typowe, ordynarne, szpanerskie małżeństwo, oboje pracują. Światła zapalają się automatycznie, kiedy podejść pod dom. Różne rodzaje kawy do wyboru. W każdym pokoju komputer. Na półkach z klonowego drewna pełno książek, na przykład cholerne *Fengshui i ogrodnictwo* albo *Radość cholernego seksu*, no i jeszcze ten cholerny rodowodowy chart rosyjski, o którego wychowaniu nie mają zielonego pojęcia. – Nie gryź naszego dywanika z owczej skóry, kochanie. – Jezu, jak wielką miał wtedy ochotę wyrwać tę skórę psu z pyska i nauczyć go paru podstawowych zasad posłuszeństwa.

Może powinien otworzyć szkołę tresury psów. Ale przekonać tych pętałów, że warto zająć się wychowaniem psa, byłoby jeszcze trudniej, niż wytłumaczyć im, że na ogrodnika trzeba wyłożyć sporo kasy. Takie właśnie są te japiszony. W dawnych, dobrych czasach nie miewał podobnych problemów z arystokracją. Arystokraci wiedzieli, że za dobrą usługę trzeba dobrze zapłacić. No, i umieli wychowywać psy.

Tak, to były czasy. Czy jeszcze kiedyś wrócą? To cholernie mało prawdopodobne. Klasę, prawdziwą klasę, tępi się wszędzie, jak okiem sięgnąć. Tylko patrzeć, jak nawet królową wyrzucą na zbity pysk. Nowe tysiąclecie otworzy drogę do władzy pryszczatym pedałkom w przydużych garniturach i głupkowatym cudzoziemkom, które za bardzo odsłaniają piersi.

Czterdzieści pięć na godzinę! Niech ją gęś kopnie!

Isserley popatrywała ukradkiem na pasażera, usiłując odgadnąć, o czym myśli, bo siedział ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i milczał. Przypominał do złudzenia pewnego autostopowicza, którego podwoziła mniej więcej rok temu. Gadał bez przerwy o ochotniczej służbie w Obronie Cywilnej przez całą drogę z Alness do Aviemore. Ba, przez kilka sekund była wręcz przekonana, że to ten sam wodsel, dopóki nie przypomniała sobie, że to niemożliwe: bo tamtemu

autostopowiczowi wstrzyknęła ikpatuę, kiedy zaczął opowiadać, jak przez swoją wierność formacjom OC rozszedł się z żoną i jak się wtedy przekonał, kto jest jego prawdziwym przyjacielem.

Oczywiście wiedziała, że wodsele nie różnią się w zasadzie między sobą. Było to dobrze widać po kilku tygodniach intensywnej hodowli, bo wszystkie dostawały wtedy znormalizowaną karmę. Ale wodsele, które nosiły ubrania, układały włosy w niecodzienne wzory i spożywały różne dziwne rzeczy, żeby przybierać nienaturalne kształty, często zyskiwały indywidualny wygląd, zupełnie jak ludzie, wręcz do tego stopnia, że Isserley czasami odnosiła wrażenie, iż zna już skądś danego osobnika. Bez względu na to, co robił tamten wodsele z Obrony Cywilnej, by wyglądać tak, jak wyglądał, samiec siedzący obok robi z pewnością coś bardzo podobnego.

Miał gęsty wąs, bezpardonowo przycięty równo w kącikach szerokich, czerwonych ust, i przekrwione oczy, pełne spokojnie znoszonego bólu, który mogła ukoić jedynie pomsta o mocy fali tsunami i przeprosiny czołowych przywódców politycznych świata, o ile padliby przed nim na kolana. Ostre zmarszczki przydawały rzeźbiarskiej wyrazistości zmarszczonemu czołu wodsela, osadzonemu pod symetrycznie przystrzyżonymi włosami, zaczesanymi do tyłu niczym splekany pędzel. Był dobrze umięśniony, ale zaokrąglony w pasie, skóra jego splekanej kurtki zaczynała się kruszyć, a klucze i twarde kanty portfeli wytarły w dżinsach autostopowicza puszyste, strzępiaste dziury.

Isserley, choć ze zdumiewającym trudem, oparła się pokusie, żeby zagadnąć go prosto z mostu o Obronę Cywilną. Znow obarczyła za wszystko winą Amlisa Vessa – jego postawa etyczna i fałszywa odwaga zirytowały ją tak bardzo, że z trudem przychodziło jej tolerowanie nawet najłżejszych przejawów podobnego zachowania ze strony jakiegokolwiek innej istoty. Chciała wykurzyć zajęcze namiętności z duszy tego wodsela niby lisa z jamy, brutalnie wyciągnąć je na światło dzienne, zanim zdąży zanudzić ją wstępными wyjaśnieniami.

Bardzo pragnęła zrobić mu zastrzyk i mieć już wszystko za sobą, wiedziała jednak, że taka pokusa to wyjątkowo niedobry znak. Mogła nieświadomie palnąć jakieś niekwestionowane głupstwo, które nie różniłoby się chyba zbyt od tego, czego mogła się spodziewać po takim Amlisie Vessie. Ze względu na zawodową i osobistą dumę nie wolno jej zniżyć się do jego poziomu.

A więc:

– Jakiej posady szukałeś? – zapytała pogodnie.

– Ostatnio zajmuję się trochę ogrodnictwem krajobrazowym, żeby przetrzymać najgorsze – odpowiedział. – A swoje główne zajęcie zawiesiłem na razie, jak to się mówi, na kołku.

– Czym się naprawdę zajmujesz?

– Hodowlą psów.

– Psów?

– Rasowych. Głównie węchowcami i wzrokowcami, chociaż pod koniec... Przez kilka ostatnich lat miałem też mastyfy i teriery. Ale wyłącznie najlepsze z najlepszych, rozumiesz mnie? Medalistów.

– To fascynujące – powiedziała Isserley, opuszczając wreszcie przedramiona. – Pewnie sprzedawałeś psy różnym sławnym i wpływowym osobom?

– Tiggy Legge-Burke kupił psa z mojej hodowli – potwierdził autostopowicz. – I młody ksiązę Kentu. I ludzie z szołbiznesu. Mick McNeill z Simple Minds. I ten gość z Wham też. Wszyscy kupowali psy u mnie.

Isserley nie miała pojęcia, kim są ci ludzie. Oglądała telewizję tylko po to, by uczyć się języka i sprawdzać, czy policja nie prowadzi przypadkiem dochodzenia w sprawie zaginionych autostopowiczów.

– Pewnie niełatwo jest wytresować psa, a potem oddać go w obce ręce – zauważyła, próbując nie okazywać, że straciła zainteresowanie autostopowiczem. – Taki pies pewnie przyzwyczajają się do właściciela, nie?

– Dla mnie to żaden problem – odpowiedział wojowniczo

samiec. – Tresuję zwierzęta, a potem odstępuję je komuś innemu. Przechodzą z rąk jednego pana do drugiego. Psom to nie przeszkadza. To stadne zwierzęta. Potrzeba im przywódcy, a nie kumpla od serca... W każdym razie nie kumpla na dwóch nogach. Ludzie są za bardzo sentymentalni, jeżeli chodzi o psy. To dlatego, że kompletnie nic o nich nie wiedzą.

– Na przykład ja na pewno zupełnie się nie znam na psach – zgodziła się Isserley, myśląc, czy nie przegapiła odpowiedniego momentu, żeby zapytać wodsela, gdzie ma go wysadzić.

– Po pierwsze musisz zrozumieć, że dla psa to ty jesteś przywódcą stada – powiedział autostopowicz, ożywiając się. – Ale pies zrozumie to tylko pod warunkiem, że ciągle mu będziesz przypominała, kto tu rządzi, dokładnie jak prawdziwy przywódca stada. W stadzie nie może być słabego przywódcy, rozumiesz mnie? Weź moją sukę, Gertie. Jak śpi na moim łóżku, to podchodzę i po prostu ją spycham, łubudu! Na podłogę, o tak. – Wyprostował gwałtownym ruchem masywne ramiona i przypadkowo zwolnił zatrask schowka, który otworzył się i wypluł mu na kolana jakiś włochaty przedmiot.

– Jezu, co to takiego? – mruknął wodsela. Na szczęście sam podniósł perukę, oszczędzając Isserley konieczności szukania jej po omacku w jego kroczu. Na jedną pełną niepokoju chwilę oderwała wzrok od drogi, delikatnie wyciągnęła autostopowiczowi z ręki kępę włosów i rzuciła ją za siebie, w mrok tylnego siedzenia.

– Nic takiego – powiedziała, wyjmując z przeładowanego schowka bombonierkę i zatraskując klapkę. – Poczęstuj się.

Była dumna, że prowadząc samochód, potrafi wykonywać jednocześnie także inne czynności, i mimo woli uśmiechnęła się.

– Na czym skończyłeś? – zapytała, kiedy autostopowicz walczył z celofanem. – Spychasz swoją sukę z łóżka...

– A jak – zaczął znowu. – Żeby jej przypomnieć, że jest moje. Rozumiesz mnie? Psy tego potrzebują. Pies, który ma słabego przywódcę, to nieszczęśliwe zwierzę. Wtedy zaczyna obgryzać

dywany, sikać na kanapę, podkraść żarcie ze stołu... Jak dziecko, które rozpaczliwie szuka dyscypliny. Nie ma głupich psów, są tylko głupi właściciele, tak właśnie.

– Wiesz tak dużo o psach, że na pewno byłeś świetnym hodowcą. Dlaczego zajmujesz się teraz ogrodnictwem?

– Dlatego, że na początku lat dziewięćdziesiątych hodowla psów przestała się opłacać – odpowiedział skwaśniałym nagle tonem.

– Co było przyczyną tego stanu rzeczy?

– Brukselki – oświadczył ponuro.

– Aha – powiedziała Isserley, usiłując dostrzec jakiś związek między psami i niewielkimi, okrągłymi, zielonymi warzywami. Była prawie pewna, że psy są niemal wyłącznie mięsożerne. Może ten hodowca karmił psy brukselką – jeżeli tak, to nic dziwnego, że jego interes ostatecznie padł.

– Wszystko przez żabojadów, brukselki, chodaki i szkopów – wyliczał znaczącym tonem.

– Aha – powiedziała Isserley.

Powinna była posłuchać złych przeczuć, które ogarnęły ją przed nocą – po zmroku tylko wariaci wychodzą na autostop. Trudno: za kilka minut pojawi się zjazd do kilku nadmorskich miejscowości, a wtedy będzie mogła wysadzić tego typu, chyba że zechce jechać tam, gdzie ona. Miała nadzieję, że nie. Znów czuła się okropnie, a jej ciało pulsowało niewytłumaczalną rozpaczą i zmęczeniem.

– Te skurwysyny siedzą tam sobie i podejmują decyzje z dala od tego jebanego kraju – wypalił hodowca psów, wbijając niezdarnie palce między czekoladki. – Przepraszam za tę łacinę... I nie mają pojęcia, co się tutaj dzieje. Rozumiesz mnie?

– Mmmh. Muszę na chwilę zjechać gdzieś na parking – powiedziała, marszcząc brwi i kołysząc głową na boki. Szukała w ciemności znajomego znaku, zwiastującego zjazd na drogę B9175.

Jej chwilowe skupienie na tej czynności wywołało nagłą i gwałtowną reakcję autostopowicza.

– Chryste Panie! – jęknął. – Ty wcale mnie nie słuchasz. Paru cudzoziemców z twoich stron spierdoliło mi życie, rozumiesz mnie? Miałem w banku osiemdziesiąt patoli, wolseleya, żonę i tyle psów, że nie mogłem już się z nimi obrobić. Minęło pięć lat i zostałem goły jak święty turecki. Mieszkam sam w jakimś tandetnym domku w pierdolonym Bonar Bridge, a na moim podwórku rdzewieje jebany mondeo! A ja szukam roboty jako jebany ogrodnik! Totalnie bez sensu, co? No, sama powiedz, tak czy nie?

Kierunkowskaz już tykał, pobłyskując świecidełkami w półmroku kabiny. Isserley zwolniła, wypatrując zakrętu, i po kolei spojrzała we wszystkie lusterka wsteczne, by sprawdzić, czy nic za nią nie jedzie. Potem odwróciła się do niego i ogromnymi oczami spojrzała w szkliste oczka autostopowicza.

– Tak, to kompletnie bez sensu – zapewniła go, przełączając dźwignię ikpatuy.

Kiedy wróciła na farmę, Ensel jak zwykle pierwszy wypadł z budynku i podbiegł do samochodu w podskokach, z niemal groteskową skwapliwością. Światło wydobyło z mroku sylwetki jego dwóch towarzyszy, niekwapiących się, by ruszyć za nim, jak gdyby chcieli uszanować jakiś rytualny przywilej, zastrzeżony tylko dla Ensela.

– Nie rób tego więcej – powiedziała Isserley z irytacją, kiedy Ensel wepchnął pysk przez okno, żeby podziwiać sparaliżowanego wodsela.

– Czego? – odparł, mrugając powiekami.

Isserley pochyliła się nad hodowcą psów, żeby otworzyć drzwi.

– Nigdy więcej nie biegnij tak, żeby zobaczyć, co przywiozłam – stęknęła, na wpół oślepiona ukłuciem bólu w krzyżu. Drzwi otworzyły się i ciało zwierzęcia opadło w ramiona Ensela. Mężczyźni otoczyli go, żeby mu pomóc.

– Czy nie mogłabym choć raz wejść sama do środka i powiedzieć wam, co przywiozłam? I czy nie mogłabym pojechać prosto do domku, bez żadnych ceregieli, jeżeli zdarzy mi się

wrócić z pustymi rękami? – pytała uparcie Isserley, ostrożnie prostując plecy.

Ensel niezgrabnie szukał odpowiedniego chwytu na piersi wodsela. Krowia skóra, z której zrobiona była kurtka zwierzęcia, rozsunała się niepokojąco, gdy tkwiące pod nią obce ciało gwałtownie się przechyliło.

– My przecież nie mamy do ciebie pretensji, jeżeli czasem nie uda ci się nic złapać – zaprotestował urażony Ensel.

– Nikt się ciebie nie czepia.

Ścisnęła kierownicę, z trudem powstrzymując łzy wściekłości i zmęczenia.

– Nie chodzi o to, czy coś przywożę, czy nie – westchnęła.

– Czasami czuję się... Zmęczona, to wszystko. I chcę być wtedy sama.

Ensel cofnął się, by wraz z towarzyszami wciągnąć wodsela na wózek. Zmarszczył brwi z wysiłku, kiedy potoczyli swoje brzemie z powrotem w stronę światła. A może zrobił groźną minę dlatego, że Isserley napadła go przed chwilą.

– Ja tylko... Chcieliśmy ci po prostu pomóc, nic więcej – zawołał do niej łamiącym się głosem.

Ukryła głowę w ramionach i osunęła się na kierownicę.

– O Boże – jęknęła cichutko. To ponad jej siły, żeby po całym dniu ciężkiej harówki w niemożliwych warunkach, ledwie uszedłszy śmierci, miała teraz roztrząsać zawiłości delikatnych, ludzkich uczuć.

– Daj spokój! – krzyknęła, wbijając wzrok w ciemność pod stopami, kryjącą kłębowisko powleczonych smarem pedałów, paskudną, gumową wycieraczkę, skórzane rękawiczki i rozsypane czekoladki. – Pogadamy o tym jutro rano!

Kiedy drzwi głównego budynku zamknęły się i na Ablach Farm powróciła cisza, Isserley znów zaczęła płakać, i to tak rzewnie, że kiedy zdjęła wreszcie okulary, omal nie wyslizgnęły się jej z ręki.

Tak to jest z mężczyznami, pomyślała.

7.

Kiedy wygramoliła się wreszcie na powierzchnię z czarnej dziury snu i otworzyła oczy, okazało się, że jest jeszcze ciemno. Szybujące w pustce świetlne cyferki jej małego budzika, który pokazywał cztery zera, wydawały się wątle i migotliwe. Będzie musiała wymienić wewnętrzne źródło energii. Powinna była to przewidzieć, pomyślała, a nie... A nie co? A nie wyrzucać pieniędzy na czekoladki, których i tak nie zamierzała zjeść.

Leżała zaplątana w pościel, oszołomiona, dezorientowana i lekko zdenerwowana. Choć w mroku nie widziała nic poza mrugającym budzikiem, nagle oczami wyobraźni ujrzała wyraźnie podłogę w samochodzie, ostatnią rzecz, o jakiej myślała, zanim zapadła w sen. Musi pamiętać, żeby sprzątnąć rozsypane czekoladki, nim znów ruszy w trasę, bo inaczej je porozdeptuje. Widziała, jak hodowca psów zjadł taką jedną. W środku była jakaś maść, która kleiłaby się pod nogami, a w końcu niewątpliwie zaczęłaby gnić.

Zaniedbała ostatnio parę spraw, którymi powinna się zająć przy najbliższej okazji.

Nie miała pojęcia, ile czasu spała ani czy długa, zimowa noc jest jeszcze młoda, czy może wkrótce się skończy. Możliwe nawet, że oto przespała krótkie godziny bladego świtu i nastał już popołudniowy mrok następnego dnia.

Spróbowała ustalić, jak długo spała, analizując swoje samopoczucie i stan organizmu. Była gorąca niczym przegrzany silnik, a pot ściekał powoli z tych części jej ciała, którymi wciąż mogła się pocić. To zaś oznaczało, o ile powinna nadal ufać własnemu cyklowi biologicznemu, że spała bardzo krótko albo bardzo długo.

Przeciągnęła się ostrożnie – ból nie był większy niż zwykle, a zwykle był dotkliwy. Będzie musiała wstać i trochę poćwiczyć,

bez względu na to, która jest godzina, bo inaczej pewnego dnia w ogóle nie wstanie, uwięziona w klatce własnych kości i mięśni.

Światło księżycy wydobyło z mroku kilka szczegółów w sypialni, kiedy jej źrenice zaczęły się wreszcie rozszerzać. Ponieważ jednak pokój był właściwie pusty, zobaczyła jedynie szpary w ścianach, odpryski łuszczącej się farby, bezużyteczne przełączniki świateł i matowy, perłowy połysk uśpionego telewizora w kominku. Spragniona, sięgnęła po stojącą pod łóżkiem szklankę, która jednak okazała się pusta. Podniosła ją do ust, a potem odwróciła do góry dnem, żeby się upewnić, że nie ma w niej wody. Nie było. Nie szkodzi: może poczekać. Jest silna. Nie będzie poddawać się dyktatowi potrzeb fizjologicznych.

Usiadła, nieporadnie wyplątała się z pościeli i zeskoczyła z materaca na podłogę, na której wylądowała chwiejnie, omal nie przewracając się na bok. Długa igła bólu dźgnęła ją w krzyżu, w miejscu, w którym przeprowadzono operację, bo znowu usiłowała podtrzymać równowagę przy pomocy amputowanego ogona. Zakołysała się w przód i w tył, odnajdując nowy punkt ciężkości. Podeszwy jej stóp, mokre od potu, kleiły się nieznacznie do zimnych klepek posadzki.

Księżyc świecił zbyt skąpo, żeby mogła się gimnastykować. Nie rozumiała, dlaczego musi widzieć swoje kończyny, by ćwiczyć. Chyba dlatego, że w zbyt głębokiej ciemności nie była pewna, kim naprawdę jest. Zapewne po prostu chce widzieć, co pozostało z jej dawnego ciała.

Może telewizja nie tylko oświetli trochę pokój, ale pozwoli jej jakoś dojść do siebie. Nierealność wirowała wokół, jak deliryczne miazmaty nad fabrykami tlenu w sercu Posiadłości – znów przyśnił się jej ten koszmar.

Budząc się ze snu o podziemnych fabrykach, wołała otwierać oczy w słonecznym świetle bezpiecznego świata. Kiedy jej się to nie udawało, krzepił ją widok połyskującego obiecująco budzika. Dziś nie ma ani tego, ani tamtego, ale i tak

da sobie jakoś radę.

Podeszła chwiejnie do kominka i włączyła telewizor. Matowy ekran powoli budził się do życia, jak ogień z popiołów owiewanych wiatrem. Potem jasny obraz zmaterializował się niczym psychodeliczny płomień w palenisku, kiedy Isserley zaczęła prężyć ciało, żeby przywrócić mu sprawność.

Dwa wodsele, przypominające pluszowe zabawki wyobrażające potwory z Loch Ness, samce ubrane w fiołkowe pończochy, zdobione kryzami bluzy i dziwaczne, zielone kapelusiki, stały nad dołem w ziemi, z którego niby obłoczki brunatnego oddechu tryskał piach. Jeden z wodseli trzymał w dłoni małą białą rzeźbę, przedstawiającą w trójwymiarowej postaci ten sam symbol zagrożenia, który zdobił główny budynek na farmie.

– ...*A teraz, gdy stracił szczękę, musi służyć pani Gliście* – mówił wodsel, zwracając się do rzeźby z niewiarygodnym akcentem, dziwniejszym nawet niż akcent mieszkańców Glasgow – ...*i cierpieć szturchańce zakryściańskiej łopaty*[2].

[2] William Szekspir, *Hamlet*

Isserley zastanawiała się przez kilka sekund nad tymi słowami, postępując z wysiłku, wykonywała bowiem skłony w bok i kilkakrotnie wyprostowanym sztywno tułowiem dotknęła prawego biodra.

Kamera telewizyjna zaprosiła ją (fuj!) do wnętrza dołu, gdzie stary, brzydki wodsel kopał wciąż w ziemi. Podśpiewywał przy pracy papkowatym, jakby rozrzedzonym głosem, przypominającym głos Johna Martyna.

– ...*Łoże w ziemi i wór zgrzebny na pokrycie kości, oto cały sprzęt potrzebny dla tutejszych gości...*[3]

[3] Tamże.

Było to wszystko dość przygnębiające, więc Isserley zaczęła zmieniać kanały palcami stóp.

Wielki tłum wodseli maszerował szeroką, wyłożoną kamieniami ulicą. Uczestnicy procesji owinięci byli prześcieradłami, w których wycięto szparki na oczy. Jeden z

nich trzymał w ręku planszę z powiększonym zdjęciem z gazety, przedstawiającym wodsela owiniętego w prześcieradło, jak oni. Niewidoczny reporter, komentujący tę demonstrację, stwierdził, że oto na oczach całego świata pojawia się pytanie, jak daleko pozwolimy jeszcze posunąć się kobietom.

Isserley oglądała procesję przez kilka chwil, ciekawa, jak daleko pozwoli się zejść samicom, ale kamera już tego nie pokazała – oko urządzenia przeniosło się na coś zupełnie innego, a mianowicie na tłum wodseli-samców, zebranych na jakimś stadionie. Wielu z nich przypominało z wyglądu hodowcę psów. Niektórzy okładali się pięściami i szarpali, a policjanci próbowali oddzielić ich od reszty widzów.

Następnie kamera pokazała zbliżenie imponująco muskularnego wodsela, którego ciało opinała kolorowa koszulka futbolowa. Samiec kciukami naciągnął górną wargę na nos, odsłaniając słowo BRYTYJSKI, wypalone w wilgotnej, różowej tkance, kraśniejącej nad jego pożółkłymi zębami. Następnie dolną wargę naciągnął na podbródek, odsłaniając słowo BULLDOG.

Zmieniła kanał. Samica wodsela o piersiach niemal równie dużych, jak biust Isserley, kurczowo trzymała się za głowę i policzki, wrzeszcząc histerycznie na widok jakiegoś stworzenia, którego Isserley nie potrafiła zidentyfikować. Nieznana istota przypominała olbrzymiego insekta, wymachującego szczypcami niczym krab, poruszała się jednak na dwóch nogach. W kadr wbiegł wodsela-samiec i zabił insekta promieniem, przypominającym światło latarki, choć wydobywającym się z plastikowego pistoletu.

– Mówiłem ci chyba, żebyś została z tamtymi – szczerzył samiec do samicy, kiedy nieszczęsny insekt wił się już w agonii. Krzyki konającego stworzenia, ledwie słyszalne na tle hałaśliwej, animalnej orkiestracji muzycznej, brzmiały niepokojąco po ludzku. Były świszczące i syczące, przywodząc jej na myśl namiętne odgłosy seksualnej rozkoszy.

Wyłączyła telewizor. Rozbudzona już i nieco przytomniejsza,

przypomniała sobie coś, o czym powinna była wiedzieć od dawna, a mianowicie, że nie ma sensu poznawać rzeczywistości za pośrednictwem telewizji, bo ona powiększa tylko jej dezorientację.

Przed laty telewizja była dla Isserley cudowną nauczycielką, oferującą bezustannie smakowite kąski informacji, które ignorowała albo konsumowała, jeśli miała ochotę. W przeciwieństwie do książek, jakie zgromadził dla niej Esswis, świecące pudło w palenisku kominka trajkotało niestrudzenie bez względu na to, czy go słuchała, czy nie, nie zatrzymując się nigdy na żadnym słowie czy akapicie. Przez pierwszych kilka miesięcy lektury, choć te same teksty czytała czasem po wielekroć, nigdy nie udało się jej przebrnąć przez więcej niż parę stron *Historii świata* W.N. Weecha, sędziego pokoju, członka rzeczywistego Stowarzyszenia Antykwariuszy i magistra (nawet przerażająco zatytułowana broszura rolnicza *Jaki kultywator wybrać?* nie okazała się równie zniechęcająca), ale podstawy psychologii wodseli stały się dla niej dzięki telewizji kryształowo jasne zaledwie po kilku tygodniach.

Było to dziwne, a jednak w pewnym momencie, już kilka lat temu, poczuła, że nie jest w stanie wchłonąć więcej smakowitych kąsków z ekranu. Telewizja przestała być użyteczna, jak gdyby osiągnęła pełnię rozkwitu i powracała do regresywnego bełkotu.

Isserley chciała się jednak dowiedzieć, jaki jest dzień tygodnia i czy słońce jest blisko, czy daleko. Postanowiła, że kiedy tylko poczuje się lepiej, wyjdzie przed dom i sama spróbuje zinterpretować noc. Choć z drugiej strony, dlaczego miałyby zwlekać? Może przecież skończyć ćwiczenia na plaży, pod osłoną ciemności – podejrzewała, że jest bardzo wczesny ranek. Poniedziałkowy ranek.

Wracała do równowagi.

Trzymając się poręczy, zeszła po schodach do łazienki. Sypialnia i łazienka były jedynymi pomieszczeniami w domku, które dobrze знаła – pozostałe pokoje stanowiły dla niej pewną

tajemnicę, ale łazienka nie przedstawiała problemu. Chodziła tam w ciemności niezliczoną ilość razy – w miesiącach zimowych właściwie każdego ranka.

Weszła do środka po omacku. Podeszwami stóp wyczuła, że drewniana podłoga ustępuje miejsca gnijącemu linoleum. Bez większych trudności znalazła w ciemności wszystko, czego potrzebowała. Wanna, kurki, szampon, gwałtowny strumień wody pod ciśnieniem: wszystko było na swoim miejscu i czekało na nią. Nikt inny nigdy przy nich nie majstrował.

Isserley starannie i cierpliwie myła się pod prysznicem, poświęcając szczególnie dużo uwagi krechom blizn i dziwnym, obcym fałdom jej nowego ciała, niepokojąco drętwym i pozbawionym czucia: były to miejsca, gdzie mogły rozwijać się rozmaite infekcje i skrycie otwierać nigdy do końca niewygojone rany. Wygładzała dłońmi wielkie strugi piany na całym ciele, gąbczaste kopce kremowego detergentu, wyobrażając sobie, że są obfitsze niż w rzeczywistości. Widziała się zwieńczona i otoczona aureolą piany, której obłoczki przypominały pienne bańki zanieczyszczeń, wyrzucanych czasem przez morze na plażę w Ablach.

Rozkojarzona, odpływała z krainy świadomości, wirując powoli pod ciepłymi kaskadami wody. Dłonie i ramiona Isserley ślizgały się po śliskim od piany ciele, osiągając regularny rytm i nieustannie krążąc tą samą trasą. Zamknęła oczy.

Dopiero kiedy uświadomiła sobie, że jej palce zbłądziły między nogi, szukając po omacku tego, czego nie można już tam było znaleźć, oprzytomniała nagle i opłukała się z urzędniczą sprawnością.

Całkowicie ubrana w swój roboczy uniform, maszerowała w tunelu drzew w stronę morza. Jej buty wydawały ciche, chrupiące dźwięki w zmrożonym błocie, a mokre włosy parowały na chłodzie. Poruszała się ostrożnie, odmierzając starannie kroki w półmroku i balansując rękami z dala od bioder, by w każdej chwili złagodzić ewentualny upadek. W pewnym momencie odwróciła się i odczekała, aż rozwieje się

chmurka jej oddechu, żeby zobaczyć, jak daleko zaszła. Na tle nocnego nieba rysowała się mgliście przygarbiona sylwetka jej domku, w którego dwóch górnych oknach połyskiwało światło księżycy niczym oczy sowy. Potem odwróciła się znów w stronę zatoki i ruszyła dalej.

Na końcu alei otworzyła się szeroka perspektywa – dopiero stąd było widać, jak wielka jest Ablach Farm. Isserley szła długą, trawiastą ścieżką wijącą się pomiędzy rozległymi kartofliskami i polami uśpionego jęczmienia. Widziała już morze, a szum fal zdawał się ją otaczać ze wszystkich stron.

Księżyc wisiał nisko nad zatoką. Na niebie świeciły niezliczone gwiazdki z najciemniejszych, najdalszych krańców wszechświata – musi być druga albo trzecia nad ranem.

W głównym budynku mężczyźni ładują już pewnie towar na statek. To dobrze. Im szybciej skończą, tym szybciej transportowiec odleci. Wkrótce nadejdzie chwila, kiedy Amlis Vess powróci tam, skąd przybył, a ona zazna wtedy niewysłowionej ulgi!

Odetchnęła głęboko, antycypując ten moment, wyobrażając sobie, jak mężczyźni wyprawiają w drogę Amlisa Vessa. Wprowadzą go zapewne do ładowni na statku, do której arogancko wejdzie niespiesznym krokiem, eksponując swoje wypieszczone, połyskliwe ciało, z wysoko podniesioną głową, w postawie młodzieńczej pogardy. Odwróci się chyba tuż przed wejściem na pokład i rzuci przenikliwe spojrzenie wszystkim, którzy znajdą się w zasięgu jego wzroku, a jego bursztynowe oczy zapłoną na chwilę w wykwintnej czerni futra. A potem odjedzie. Zniknie.

Isserley dotarła do granic Ablach. Farmę od strony klifów i stromych ścieżek, wiodących w dół, nad wodę, okalał w tym miejscu płot. Brama wejściowa, osadzona między dwoma słupami grubości pni drzewnych, była masywną konstrukcją z żeliwa, stwardniałych niemal na kamień desek i drucianej siatki. Zamki i zawiasy, szczególnie w blasku księżycy, przypominały jakby nieporęczne kęsy silnika samochodowego,

przyspawane do elementów drewnianych. Na szczęście poprzedni właściciele farmy z obu stron bramy zamontowali niewielkie drewniane drabinki, żeby dwunodzy przechodnie mogli ją łatwiej sforsować. Isserley z błazeńskim trudem pokonała po trzy szczeble z obu stron płotu, wdzięczna losowi, że nikt nie obserwuje jej wysiłków. Każdy normalny człowiek po prostu przesadziłby ogrodzenie.

Po jego drugiej stronie, niedaleko bramy, na wąskim pasie porośniętej trawą ziemi między granicą Ablach a skrajem klifu, odpoczywało nieliczne stadko krów. Spostrzegłszy nadchodzącą Isserley, zaczęły parskać nerwowo. Zwierzęta bledszej maści jaśniały słabo w mroku. Jeden cielak dźwignął się na nogi, a błyski w jego oczach wirowały niby ogniste iskierki. Po chwili wstało całe stado, by cofnąć się dalej wzdłuż granicy farmy. Rejteradzie zwierząt towarzyszył wyjątkowo wyraźny stukot kopyt i ciężkie plaśnięcia spadających na ziemię odchodów.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na farmę. Jej domek zasłaniały drzewa, widziała jednak dobrze dom Esswisa. Nie paliło się w nim żadne światło.

Esswis zapewne spał. Nie przyznałby się kobiecie, jak bardzo zmordowała go wczorajsza awantura, tego była pewna. Wyobraziła sobie, że leży wyciągnięty na takim samym łóżku, na jakim sypia ona, tkwi ciągle w tym idiotycznym, farmerskim stroju, i głośno chrapie. Bez względu na to, czy jest twardzielem, czy nie, był znacznie starszy od niej i harował w Posiadłościach przez wiele lat, nim wyłowiła go stamtąd korporacja, Isserley zaś zaoferowano wybawienie zaledwie po trzech dniach zesłania. Poza tym Esswis przeszedł operację o rok wcześniej. Całkiem możliwe, że chirurgom zabieg na nim nie udał się zbyt dobrze, eksperymentowali bowiem dopiero z technikami, które udoskonalili, kiedy pod nóż poszła Isserley. Jeżeli tak, to jest jej żal Esswisa. Nocami na pewno bardzo się męczy.

Zeszła wydeptaną przez krowy ścieżką na plażę, ostrożnie stawiając kroki na stromym zboczu. Była już w pół drogi,

niemal w tym miejscu, gdzie nachylenie stoku stawało się łagodniejsze, ale przystanęła nagle. Na dole pasły się owce, których nie chciała wystraszyć. Lubiła je bardziej niż wszystkie inne zwierzęta – była w nich jakaś niewinność i pogodna determinacja, nieprzypominająca ani trochę brutalnej przebiegłości i szaleńczej pobudliwości, powiedzmy, na przykład, wodseli. Widziane w mizernym świetle księżyca owce można było niemal wziąć za ludzkie dzieci.

Dlatego Isserley przystanęła w pół drogi na klifie, by tam dokończyć ćwiczeń. W górze, nad jej głową, kręciły się zaniepokojone krowy, w dole zaś pasły się spokojnie owce. Zaczęła gimnastykę: najpierw wyciągnęła ramiona ku srebrystemu horyzontowi, potem złożyła pokłon brzegom Moray Firth, następnie wykonała dwa skłony w bok, jeden ku Rockfield i latarni morskiej na północy, drugi ku Balintore i leżącym dalej, gęściej zaludnionym miastom, a w końcu wyciągnęła ręce w górę, do gwiazd.

Powtarzała te ćwiczenia długo i wielokrotnie, aż wreszcie poczuła się upojona, oczarowana księżycem i monotonią treningu, który trwał dzisiaj znacznie dłużej niż zwykle, dopóki jej ruchy nie nabrały gibkiej płynności i wdzięku.

Zdawało się jej, że tańczy.

Kiedy wróciła do domu, do świtu pozostawało wciąż kilka godzin i była znów w gorszym nastroju. Kręciła się bez celu po sypialni, znudzona i rozdrażniona.

Będzie musiała w końcu poprosić mężczyzn, by naprawili instalację i pozwolili jej korzystać ze światła elektrycznego. W głównym budynku jest przecież elektryczność, podobnie jak w domu Esswisa, więc dlaczego nie może jej mieć u siebie? Właściwie, kiedy tak się nad tym zastanowić, to zdumiewające, że jej domek pozbawiony jest prądu – zdumiewające, ba, wręcz oburzające.

Usiłowała sobie przypomnieć wszystkie okoliczności swojego przyjazdu na farmę. Nie chodziło jej o podróż, a już na pewno nie o wcześniejsze przeżycia w Posiadłościach, lecz o to, co

zastała bezpośrednio po przyjeździe do Ablach. W jaki sposób mężczyźni przygotowali się na jej przybycie? Czy sądzili, że będzie z nimi mieszkać w podziemiach gospodarstwa, w tych ich śmierzących norach? Gdyby tak było, szybko wybiłaby im z głowy ten pomysł.

A zatem gdzie spędziła pierwszą noc? Wspomnienia były równie niewyraźne, jak stopione i poczerniałe resztki wygaszonego ogniska.

Być może sama wybrała sobie ten domek, a może zaproponował go jej Esswis, który miał ostatecznie cały rok, by zaznajomić się ze wszystkimi zabudowaniami na farmie. Pamiętała tylko tyle, że w przeciwieństwie do domu Esswisa jej chatka była mocno zdewastowana, kiedy się do niej wprowadzała, i pozostała mniej lub bardziej zaniedbana do dzisiaj.

Z drugiej strony, znalazła tu przecież wijący się po całym mieszkaniu przedłużacz, który połączył telewizor, bojler i latarnię przed domem z generatorem prądu: czyja niechętna ręka przygotowała dla niej te urządzenia? Czy w ten sposób nie zamierzali po raz kolejny dać jej do zrozumienia, że wyzyskują i wykorzystują ją jak zwykły sprzęt domowy?

Wysiliła pamięć, a potem zawstydziała się i popadła w niejaki zakłopotanie.

Albowiem mężczyźni – a chyba szczególnie Ensel, choć nie umiała przypomnieć sobie konkretnych osób – nadskakiwali jej od pierwszej chwili, gotowi dokonywać dla niej największych cudów. Rzucając jej zalotne spojrzenia, pełne zarazem fascynacji i litości, zapewne z czasem, że będą ją zalewać deszczem otuchy. Owszem, wiedzieli, że tego, co uczyniła jej Korporacja Vessa, nie da się cofnąć, nie jest to jednak przecież koniec świata. Oni wynagrodzą jej cierpienia. Uczynią z tej nieomal zrujnowanej, pełnej przeciągów chatki prawdziwy dom, uwiją jej tu przytulne gniazdko – jest nieszczęsną biedaczką, na pewno boleje bardzo nad tym... Jak ją urządzili, tak, rozumieją to wszystko, jasne, wystarczy tylko

popatrzeć na tego żalostnego, starego sukinsyna, Esswisa – ale ona jest dzielna, tak, jest mężną dziewczynką, więc będą ją traktować tak, jakby nie widzieli w niej nic dziwnego ani ohydneho, bo ona i oni pod skórą są przecież tacy sami, czyż nie?

Powiedziała, że nic od nich nie chce. Nic.

Ona będzie wykonywać swoją robotę, a oni swoją.

By jednak mogła dobrze pracować, muszą jej zapewnić kilka podstawowych rzeczy, jak światło w szopie, w której stoi samochód, albo gdzieś w pobliżu, bieżącą gorącą wodę i przynajmniej jedno źródło prądu, żeby mogła uruchomić radio lub jakieś inne podobne urządzenie. Jeśli chodzi o resztę, da sobie radę. Sama o siebie zadba.

Prawdę mówiąc, powiedziała im to jeszcze wyraźniej i dosadniej, na wypadek gdyby okazali się zbyt głupi, żeby zrozumieć aluzję: najbardziej ze wszystkiego potrzebuje spokoju i swobody. Więc mają dać jej spokój.

Pytali, czy nie będzie czuła się samotna. Odpowiedziała, że nie, będzie zbyt zajęta, żeby odczuwać samotność. Musi przygotować się do pracy, do zrozumienia pewnych złożoności i subtelności, na pojęcie których nie mogą mieć nawet nadziei. Czeka ją ciężki wysiłek umysłowy. Musi nauczyć się wszystkiego od podstaw, bo inaczej cały plan weźmie w łeb. Zadania, które jej powierzono, są nieco trudniejsze niż wnoszenie bel słomy do stajni albo kopanie dołów.

Chodziła wciąż po sypialni, świadoma, że cyfry elektronicznego budzika ciągle słabo migoczą. Jej kroki odbijały się głośnym, pustym dźwiękiem od gołych desek podłogi – w domu rzadko nosiła buty, chyba że była już gotowa do wyjścia.

Rozdrażniona, włączyła znów telewizor, choć kiedy wróciła do siebie, oglądała przecież telewizję i zrezygnowała z niej, poirytowana.

Odbiornik ożył natychmiast, ponieważ wyłączyła go bardzo niedawno. Wodsel, który przed kilkoma minutami oglądał przez lornetkę trzepoczące na sznurze do bielizny jasnokolorowe

majtki, oblizał teraz wargi i skrzywił kurczowo twarz. Pod sznurem zgromadziła się tymczasem grupka samic, które usiłowały odpiąć i zdjąć bieliznę. Nie wiedzieć czemu, sznur wisiał dla nich nieco za wysoko, huśtały się więc na palcach, podskakując jak dzieci, a ich różowe piersi drżały na podobieństwo galaretki.

Na drugim kanale kilkoro wodseli płci obojga siedziało rzędem z bardzo poważnymi minami za jakimś biurkiem. Nad ich głowami, na długiej, wąskiej tablicy elektronicznej, przypominającej zabawkę w porównaniu z tablicą spod mostu Kessock, wyświetliła się nagle sekwencja liter i kresek: U_UI_Y.

– R? – zaryzykował jeden z wodseli.

– Nnnie, obawiam się, że nie – zamruczał jakiś głos, którego właściciela nie było widać.

Samochód Isserley pracował na jałowym biegu obok szopy, oświetlonej pojedynczą wolframową latarnią. Powoli i z namysłem sprzątała kabinę wozu, przeciągając w czasie nawet najskromniejszą czynność. Słońce, skryte za łukiem planety, miało jeszcze do pokonania długą drogę do świtu.

Kłęcząca obok pojazdu, zaglądając do środka przez otwarte drzwi. Użyła „Rossshire Journal” jako podkładki pod kolana, żeby nie zabłocić zielonych aksamitnych spodni. Końcami palców wyszukiwała rozsypane czekoladki i jedną po drugiej wyrzucała przez ramię na zewnątrz. Nie wątpiła, że z czasem zjedzą je ptaki.

Nagle wróciła jej pamięć, poczuła się słabo i zemdliło ją z głodu. Ostatnio jadła wczoraj po południu chipsy ziemniaczane, potem trochę śniegu, a dzisiaj rano wypła pod prysznicem około litra ciepłej wody prosto z kranu. Było to o wiele za mało, żeby dostarczyć energii istocie ludzkiej.

Rzecz bardzo dziwna, ale właściwie nigdy nie uświadamiała sobie uczucia głodu, dopóki nie była głodna jak wilk i omal nie leciała z nóg z osłabienia. To niefortunna idiosynkrazja, i w dodatku potencjalnie niebezpieczna: dlatego powinna zachować w jej obliczu wyjątkową ostrożność. Musi stosować się do

przyjętego toku codziennych zajęć i, na przykład, chodzić z mężczyznami na śniadanie, które jadła zwykle przed wyjazdem w trasę – lecz rozkład jej zajęć zakłócił Amlis Vess.

Oddychając głęboko, jak gdyby kilka potężnych wdechów mogło pozwolić jej przetrwać o pustym żołądku jeszcze jakiś czas, sprzątała dalej samochód. Rozsypane czekoladki zdawały się nie mieć końca – ukrywały się we wszystkich możliwych zakamarkach niczym pękate żuki. Zastanawiała się, czy organizm pozwoli jej bezkarnie spożyć kilka z nich.

Podniosła pudełko, które odłożyła na ziemię wraz z rękawiczkami hodowcy psów, żeby je później spalić. Trzymając tekturowy prostokąt pod światło i mrużąc oczy, przyjrzała się składnikom. „Cukier”, „mleko w proszku” i „tłuszcze roślinne” wcale nie brzmiały groźnie, ale w „miarze kakaowej”, „spulchniaczu”, „lecytynie” i „sztucznych aromatach” kryła się nutka ryzyka. „Miazga kakaowa” brzmiała wręcz śmiercionośnie. Budząc w niej zarówno intuicyjne skrupuły, jak i mdłości, Natura zapewne daje jej do zrozumienia, by jadła tylko te artykuły spożywcze, które zna.

Ale jeżeli pójdzie do budynku na śniadanie, może natknąć się na Amlisa Vessa, czego sobie w żadnym wypadku nie życzy. Jak długo jeszcze wytrzyma? Jak prędko Vess wyjedzie? Obrzuciła przeciągłym spojrzeniem horyzont, tęskniąc do pierwszego błysku światła.

W miarę upływu lat niechęć do wszelkich spotkań z mężczyznami, które wykraczały poza niezbędne kontakty zawodowe, uczyniła ją kobietą niezależną, która umiała nawet zadbać o swój samochód. Sama wymieniła już pęknięte boczne lustro, choć kiedyś musiałaby prosić o to Ensela. Jeżeli się nie rozbije, nigdy nie wsiądzie do innego samochodu, bo tym będzie mogła jeździć w nieskończoność. Jest wykonany ze stali, szkła i plastiku – dlaczego więc miałby się zużyć? Kiedy zachodzi potrzeba, uzupełnia w nim paliwo, olej, wodę, wszystko. Prowadzi auto powoli i łagodnie, a przy tym trzyma się z dala od policjantów.

Nowe lusterko wymontowała z mocno już ogołoczonego szarego nissana kombi. Jego kadłub stanowił dziś smutny widok, sentymentalizm nie był tu jednak na miejscu. Lusterko pasowało idealnie do małej czerwonej corolli, a po ostatniej stłuczce nie było już ani śladu.

Wciąż podziwiając chirurgiczną precyzję, z jaką przeprowadziła tę operację, sprzątała dalej samochód. Silnik, dobrze naoliwiona maszyna, pracował nadal na luzie, wydychając aromatyczne gazy na świeżym, surowym powietrzu. Lubi swój samochód. Jest naprawdę dobry. Jeżeli będzie o niego dbać, nigdy jej nie zawiedzie. Pedantycznie wytarła z pedałów błoto i smar, a potem wyjęła zakończoną cienką szyjką flaszeczkę i napełniła mieszczący się pod siedzeniem zbiorniczek z ikpatuą.

Może pojechać na stację całodobową i kupić coś do jedzenia? Amlis Vess szybko wyjedzie, zapewne za dzień lub dwa, a ona z pewnością nie umrze, jeżeli przez ten czas będzie żywić się pokarmem wodseli. Potem Vess odleci, ona zaś wróci do normalnego życia.

Wiedziała jednak, że jeśli wyjedzie teraz na trasę, zaryzykuje, istniała bowiem mało prawdopodobna, acz realna, możliwość, że spotka na drodze jakiegoś nędznego, pomyłonego autostopowicza. Znając siebie, zapewne by go zabrała, on zaś okazałby się nic niewart, więc w końcu wylądowałyby zapewne aż w górach Cairngorm. Taki już miała charakter.

Mężczyźni jadali zawsze obfite śniadania, bogate w białko i skrobię. Parujące potrawy piętrzyły się wysoko: mięsne zapiekanki, kiełbaski, sos. I chleb prosto z pieca, który można było kroić na dowolnie grube pajdy. Zawsze kroić chleb cienko, dokładając starań, żeby wszystkie kromki były kształtne i równej szerokości, niepodobne do tych zdeformowanych brył, które odrzynie dla siebie mężczyźni. Zwykle zjadała dwie pajdy, najwyżej trzy, z guszem albo pastą mussantową. Dziś jednak...

Wstała i zatrzasnęła drzwi auta. Za nic nie zjedzie pod ziemię, by wysłuchiwać pouczeń jakiegoś nadętego

awanturnika na oczach bandy kreatur z Posiadłości, ciekawych, czy wreszcie pęknie. Głód to jedno, a zasady drugie.

Obeszła samochód dookoła i podniosła maskę. Schylona, uważnie przyjrzała się ciepłemu, wydzielającemu ostrą woń, dygoczącemu łagodnie silnikowi. Stwierdziła, że smukłą antenkę z nierdzewnej stali, którą niedawno wsuwała do miski, by sprawdzić poziom oleju, umieściła z powrotem we właściwej pochewce. Potem, z kupionym na stacji Donny's pojemnikiem aerozolu w ręku, zajęła się świecami i przewodami zapłonu. Palcami odsłoniła lśniący cylinder z płynnym awiirem, będący jedyną importowaną modyfikacją oryginalnego poza tym silnika pojazdu. Metal, z którego wykonano cylinder, był przezroczysty, wyraźnie widziała więc awiir, którego oleista powierzchnia drżała w napięciu w rytm pracy silnika. Cylinder był także w nienaruszonym stanie, zresztą jeśli szczęście się od niej nie odwróci, nigdy nie będzie musiała go użyć.

Opuściła maskę i usiadła na niej pod wpływem jakiegoś niewytłumaczalnego impulsu. Ciepły, wibrujący metal dostarczał jej przyjemnych wrażeń przez cienką tkaninę spodni i odwracał uwagę od burczącego nieustannie brzucha. Błysk wschodzącego słońca uwydatnił na horyzoncie zarys gór, a tuż przed jej nosem spadł na ziemię pojedynczy, wirujący spiralnie płatek śniegu.

– Isserley – powiedziała do domofonu Isserley.

Drzwi budynku rozsunęły się natychmiast, a ona szybkim krokiem weszła w światło. Wir ostrego jak sosnowe igły śniegu wpadł za nią do środka, niby wessany przez próżnię. Potem drzwi znów się zamknęły i Isserley schroniła się we wnętrzu.

Jak przypuszczała, praca w hangarze szła pełną parą – dwóch mężczyzn ładowało towar na statek. Jeden siedział w kucki w środku i czekał na kolejną dawkę lśniącego ładunku, podawanego z dołu, a drugi obsługiwał wózki, pełne różowoczerwonych paczuszek. Starannie poporcjowane, warte fortunę surowe mięso, kołysało się na plastikowych paletach, spowite w przezroczystą wiskozę.

– *Hot*, Isserley! – Robotnik pchający wózki przystanął, żeby się z nią przywitać. Zawahała się w drodze do windy i pomachała mu w odpowiedzi z taką nonszalancją, na jaką zdołała się zdobyć. Zachęcony tym gestem mężczyzna pozwolił, by ruchoma wieżyczka palet wytraciła samoczynnie rozpęd, i spokojnym krokiem podszedł do Isserley. Nie miała pojęcia, kto to jest.

Na pewno została przedstawiona wszystkim mężczyznom, kiedy tylko przyjechała na farmę, ale nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska. Wyglądał na przygłupa, był gruby i krępy – niższy o głowę od Amlisa Vessa – a jego futro przypominało martwe zwierzę, wysychające na wiór na drodze A9, szorstkie, szare włóki, rozjeżdżone kołami i zmienione nie do poznania wskutek działania wiatru, deszczu i słońca. Na dodatek cierpiał na jakąś ohydłą chorobę skóry, toteż pół jego twarzy wyglądało niczym spleśniały owoc. Z początku Isserley niełatwo było patrzeć wprost na niego, potem jednak, z obawy, że go urazi i że mężczyzna w rewanżu zwróci uwagę, jak bardzo zdeformowane jest jej własne ciało, pochyliła się nad nim, zaglądając mu w oczy.

– *Hot*, Isserley – powiedział znowu, jak gdyby wysiłek związany z konstrukcją tak wyczerpującej wypowiedzi w ich ojczystym języku był zbyt wielki, by można go zmarnować.

– Pomyślałam, że powinnam coś zjeść przed wyjściem do pracy – oświadczyła Isserley oficjalnym tonem. – Czy droga wolna?

– Droga? – mężczyzna o spleśniałej twarzy z zakłopotaniem zmrużył oczy i mimo woli odwrócił się w stronę szosy.

– Chodzi mi o to, czy nie kręci się tu gdzieś Amlis Vess?

– Ach, nie, nima go tu – wycedził spleśnialec. Mówił z dwa razy cięższym akcentem niż Ensel. – W jadalni siedzi abo w zagrodach wodseli, a my tu ładujem, nie ma problemu.

Isserley otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Łun tera nic nie zrobi – zapewnił spleśnialec. – Yns i Ensel

pilnuję go na zmianę, a łun się tylko kręci tu i tam i pierdoły gada. Nie obchodzi go, że nikt nie kuma, o co mu idzie. Jak ludzie mają go dosyć, to gada se do zwierzont.

Isserley na moment zapomniała, że wodsedom obcina się języki, i zdenerwowała ją myśl, że mogłyby porozumieć się z Amlisem Vessem. Uspokoila się jednak, kiedy spleśnialec zaśmiał się chrapliwie i dorzucił:

– A my mu gadamy: „No i jak, to co ci mówiom zwierzenta?”

Zaśmiał się znowu. Jego plugawy śmiech przypominał rżenie, skażone nutą długiego pobytu w Posiadłościach, w których spędził pół życia.

– Śmiszny gnojek, dobry na te nudy – mrugnął do niej, podsumowując swój wywód. – Jak se pojedzie, będzie go nam brak.

– Hmm, może i tak... Skoro tak uważasz. – Isserley skrzywiła twarz, umykając do windy. – Przepraszam, umieram z głodu.

I zniknęła.

Amlisa Vessa nie było w jadalni ani w sali rekreacyjnej.

Isserley upewniła się, że nigdzie go nie widać, obrzucając jeszcze jednym spojrzeniem sterylne, niskie pomieszczenie, i dopiero potem zaczęła znów oddychać.

Jadalnia, choć duża, mieściła się w zwykłym, prostokątnym dole, wykopanym wprost w ziemi. Nie było w niej żadnych wnęk ani zakamarków. Stały tu właściwie tylko niskie stoły – brakowało jednak większych sprzętów, za którymi mógłby się ukryć wysoki mężczyzna o wyjątkowo pięknym, plamistym futrze. Po prostu go tam nie było.

Choć sala świeciła pustkami, na długiej, niskiej ławie pod drzwiami kuchni stały już miseczki z przyprawami, wazy pełne warzyw na zimno, tubki z pastą mussantową, bochenki świeżo upieczonego chleba, ciastka, dzbany z wodą i ezziiną oraz wielkie tace, na których leżały sztucce. Z kuchni rozchodził się boski zapach pieczonego.

Isserley rzuciła się na chleb i ukroiła dwie kromki, które posmarowała grubo pastą. Złożywszy je w kanapkę, zaczęła

jeść, obejmując chleb nieczułymi wargami i wpychając go w głąb wygłodniałych ust. Pasta nigdy nie smakowała tak wybornie. Połykała jedzenie gwałtownie, żuła energicznie i z niecierpliwością czekała, aż będzie mogła ukroić następną pajdę, aby ją posmarować mussantowym przysmakiem.

Zapachy dochodzące z kuchni były odurzające. Gotowało się w niej coś znacznie lepszego niż zwykle i bardziej spektakularnego, niż kartofle w tłuszczu. Co prawda Isserley rzadko przebywała w jadalni podczas przygotowywania potraw – zazwyczaj spożywała zimne posiłki pod nieobecność kucharza, kiedy większość mężczyzn już skończyła jeść. Wybierała pozostałe po nich resztki, usiłując nie zwracać na siebie uwagi i kryjąc niesmak, jaki wywoływała w niej woń krzepnącego tłuszczu. Ale dzisiaj zapach był zupełnie inny.

Ściskając wciąż w dłoni kanapkę, chyłkiem podeszła do otwartych drzwi kuchni i zerknęła do środka, gdzie mignął wielki, brunatny grzbiet Hilisa, kucharza. Cieszący się złą sławą z uwagi na wyjątkową czujność, Hilis błyskawicznie wyczuł jej obecność.

– Wypierdalać! – krzyknął wesoło, zanim się odwrócił. – Jeszcze nie gotowe!

Zawstydzona Isserley chciała się wycofać, ale kiedy tylko Hilis odwrócił głowę i zobaczył ją, wyciągnął do niej na zgodę osmalone, żylaste ramię.

– Isserley! – zawołał, uśmiechając się na tyle szeroko, na ile pozwalał mu masywny pysk. – Dlaczego ty zawsze jesz to gówno? Łamiesz mi serce! Wejź i zobacz, co będę zaraz podawał!

Onieśmielona, zostawiła na ławie gorszącą Hilisa kanapkę i weszła do kuchni. Zazwyczaj nikomu nie wolno było tam wchodzić – Hilis strzegł swojego lśniącego królestwa, gospodarując w nim samotnie niczym obłąkany naukowiec w wilgotnym i słabo oświetlonym laboratorium. Wielkie srebrne naczynia wisiały na ścianach niczym narzędzia w sklepie na stacji Donny's, obok zaś stały dziesiątki specjalistycznych

przyrządów i instrumentów. Przezroczyste słoje z przyprawami oraz butelki sosów na półkach i stołach ubarwiały nieco metaliczne powierzchnie blatów, choć żywność spoczywała w większości w lodówkach i blaszanych bębnoch. Bez wątplenia najbardziej wyraziście organicznym obiektem w kuchni był sam Hilis – porośnięty gęstym futrem, potężnie zbudowany kłębek nerwowej energii. Isserley słabo go znała – przez te wszystkie lata zamienili ze sobą najwyżej czterdzieści zdań.

– No chodź, chodź! – warknął. – Ale patrz pod nogi.

Piekarniki ludzkim zwyczajem wbudowano w podłogę, żeby można było doglądać potraw, nie tracąc równowagi. Hilis pochylił się nad największym piecem, wpatrując się przez grube, oszklone drzwiczki w głąb połyskliwej wnęki. Gestykulując gwałtownie, pokazał Isserley, żeby zrobiła to samo.

Uklękła obok niego.

– Spójrz tylko – powiedział z dumą.

W piekarniku powoli obracało się sześć rożnów, migoczących w pomarańczowej aureoli. Na każdym tkwiło po kilka kawałków mięsa identycznej wielkości. Były brązowe, jak świeżo zaorana ziemia, i pachniały absolutnie niebiańsko, skwiercząc i migocząc w swoich własnych sokach.

– Wyglądają smacznie – przyznała Isserley.

– Bo są smaczne – potwierdził Hilis, przysuwając drżący nos do szyby, której prawie dotknął. – To mięso na pewno jest lepszej jakości niż ochłapy, które zazwyczaj gotuję, nie ma dwóch zdań.

Wszyscy wiedzieli, co bolało Hilisa: najlepsze kawałki mięsa przeznaczone były do transportu, jemu zaś pozostawał gorszej jakości surowiec – mielonka, szyje, podroby i kończyny.

– Kiedy się dowiedziałem, że przyjeżdża syn starego Vessa, uznałem, że mogę przygotować dla odmiany coś wyjątkowego – powiedział, pławiąc się w pomarańczowym blasku piekarnika. – Skąd miałem wiedzieć, co się stanie?

– Ale... – Isserley zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, dlaczego

minęło tyle czasu od przyjazdu Amlisa do chwili, w której owe wspaniałe steki zaczęły wirować na rożnach. Hilis jednak przerwał jej te rozmyślenia.

– Zamarynowałem steki na dwadzieścia cztery godziny, zanim ten stuknięty skurwiol się tu zjawił! Co miałem zrobić? Spłukać je wodą z kranu? Te małe, jebane bydlaki są po prostu doskonałe, powiadam ci. Oglądasz absolutną, pieprzoną doskonałość, nadzianą na rożen. Będą smakować kurewsko niewiarygodnie! – Entuzjazm sprawił, że Hilis zachowywał się nadpobudliwie.

Isserley wpatrywała się w pieczone mięso, którego aromat przebijał się przez szybę i szybował prosto do jej nozdrzy.

– Czujesz, jak pachną, tak! – oświadczył triumfalnie Hilis, jak gdyby udało mu się wyczarować coś, co wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu przenikało do jej żałośnie maleńkiego, chirurgicznie okaleczonego noska. – Czyż nie są wspaniałe?

Isserley przytaknęła. Kręciło się jej w głowie z pożądania.

– Tak – szepnęła.

Hilis, który nie mógł ustać w miejscu, zaczął niespokojnie krążyć po kuchni. Zataczając ciasne kręgi, krzątał się nerwowo.

– Isserley, proszę – błagał, przerzucając z ręki do ręki widelec i nóż. – Proszę cię. Musisz spróbować tych steków. Uszczęśliwisz starca. Wiem, że potrafisz docenić dobre jedzenie. W młodych latach obracałaś się w kręgach Elity, a w każdym razie tak powiadają mężczyźni. Nie jadałaś więc w dzieciństwie byle czego, jak te tępaki z Posiadłości.

W stanie ekshibicjonistycznego podniecenia kucharz jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki piekarnika, wypuszczając z wnętrza aromatyczny, soczysty powiew żaru.

– Isserley – zaklinał ją dalej Hilis. – Pozwól, że ukroję ci kawałek. Pozwól, pozwól, pozwól.

Isserley zaśmiała się, zakłopotana.

– No, dobrze, bardzo proszę! – zgodziła się skwapliwie. Hilis był szybki jak iskra. Ukroił mięso z tak wielką wprawą, że wystarczyło mgnienie oka, by przegapić ten popis.

- Taktaktak - cieszył się, prostując raptownie grzbiet. Isserley cofnęła się nieznacznie na widok dymiącego i skwierczącego zaledwie o kilka cali od jej twarzy, białego na ostry jak brzytwa czubek noża kęsa pieczeni. Ostrożnie zacisnęła na nim zęby i zsunęła go z ostrza.

W drzwiach kuchni zabrzmiał cichy głos.

- Nie wiesz, co czynisz - westchnął Amlis Vess.

- Osobom nieupoważnionym wstęp do mojej kuchni jest, kurwa, zabroniony! - wypalił natychmiast Hilis.

Amlis Vess cofnął się - prawdę mówiąc, nie wszedł właściwie do kuchni, a najwyżej wsunął do środka swe wstrząsające oblicze i, być może, wzgórce białej piersi. Jego rejterada nie przypominała wcale ucieczki, wydawało się raczej, że jedynie balansuje ciałem, napinając mięśnie. W zasadzie znieruchomiał więc ostatecznie jeszcze przed progiem kuchni, chociaż spojrzeniem, którego ostrość i moc wcale nie stopniały, ogarniał nadal większą część wnętrza. Poza tym nie patrzył na Hilisa, lecz na Isserley.

A Isserley żuła resztki pysznej pieczeni z zażenowaniem, zbyt zakłopotana, żeby się poruszyć. Na szczęście mięso było tak delikatne, że rozpływało się w ustach.

- O co chodzi, panie Vess? - spytała w końcu.

Amlis zacisnął szczęki ze złości i napiął mięśnie ramion. Można by pomyśleć, że chce się na nią rzucić. Po chwili rozluźnił się jednak nagle i nieoczekiwanie, jak gdyby wstrzyknął sobie jakiś środek uspokajający.

- Jesz mięso stworzenia, które żyło i oddychało tak jak ty i ja - powiedział cicho.

Hilis jęknął, wywracając rozpaczliwie oczy z politowaniem nad tak charakterystyczną wśród młodych ludzi pretensjonalnością i cielecą głupotą. Potem, ku zdumieniu i przerażeniu Isserley, pokazał im plecy i powrócił do bieżących zajęć, chwytając najbliższy garnek.

Słowa Amlisa wciąż wibrowały w uszach Isserley, ale, podobnie jak ostatnim razem, wróciła jej śmiałość, kiedy

skupiła uwagę na jego arystokratycznym akcencie i aksamitnej dykcji, wypielegnowanej przez bogactwo i przywileje. Celowo zaczęła wspominać, jak członkowie Elity najpierw ją rozpieszczali, a potem odrzucili – przywołała w wyobraźni przedstawicieli władzy, mężczyzn mówiących z akcentem Amlisa Vessa, którzy zdecydowali, że zamiast pośród nich, powinna raczej spędzić życie w Posiadłościach. Zaprosiła ten akcent do siebie, nasłuchując ostro brzmiącej nuty niechęci, jaką obudził głęboko w jej duszy, i pozwoliła jej powrócić echem.

– Panie Vess – rzekła lodowatym tonem. – Przykro mi, że muszę to panu powiedzieć, ale trudno mi dopatrzeć się większego podobieństwa nawet pomiędzy moim i pańskim życiem, a co dopiero pomiędzy mną a... – tu przesunęła językiem po zębach, żeby jej słowa nabrały bardziej prowokującego wyrazu – moim śniadaniem.

– Pod skórą wszyscy jesteśmy tacy sami – zauważył Amlis, jak się wydawało Isserley, nieco rozdrażniony. Powinna celować dalej w ten jego słaby punkt, w to pragnienie obrzydliwie bogatego idealisty, by przeczyć społecznym realiom.

– Zabawne więc, że dotąd zdołałeś zachować swoją urodę, biorąc pod uwagę, jak długo oddawałeś się morderczej pracy – zadrwiła.

Zauważyła, że trafiła w dziesiątkę. Amlis znów zdawał się prężyć do skoku, ale i tym razem rozluźnił mięśnie, jakby zaaplikował sobie kolejny zastrzyk tego samego specyfiku, co przedtem.

– W ten sposób do niczego nie dojdziemy – westchnął. – Chodź ze mną...

Isserley otworzyła usta z niedowierzaniem.

– Z tobą?

– Tak – odpowiedział Amlis, jakby potwierdzał najdrobniejsze szczegóły wspólnej wyprawy, na którą umówili się już wcześniej. – Zjedź ze mną na dół. Tam, gdzie trzymacie wodsele.

– Chy... Chyba żartujesz – powiedziała i zaśmiała się

urywanym, w intencji drwiącym śmiechem, który zabrzmiał jednak drżąco i niepewnie.

– A czemu nie? – rzucił rozmówczynie niewinne wyzwanie Amlis.

Odpowiedź o mało nie uwięzła jej w gardle, choć może w przełyku Isserley utkwilo po prostu maleńkie włókienko mięsa. Bo strasznie się boję podziemi, pomyślała. Bo nie chcę znowu dać się pogrzebać żywcem.

– Bo muszę wracać do pracy – powiedziała.

Patrzył jej w oczy uważnie – nie agresywnie, lecz jakby oceniał dystans, rozpoczynając logistyczne przygotowania do przeniknięcia w jej duszę.

– Proszę cię – powiedział. – Widziałem tam na dole coś dziwnego i chciałbym, żebyś mi wyjaśniła, jak to jest możliwe. Naprawdę, pytałem mężczyzn, ale żaden nie umiał mi odpowiedzieć. Proszę.

Zapadła cisza. Isserley i Amlis stali w bezruchu, Hilis natomiast bezustannie dzwonił i grzechotał garnkami. Po chwili zdumiona Isserley usłyszała swoją spóźnioną odpowiedź, dobiegającą z wielkiej oddali. Zabrzmiała niewyraźnie – nie była nawet pewna, jak dokładnie ją sformułowała, bez względu na to jednak, z jakich składała się słów, oznaczała „tak”. We śnie, przy surrealistycznym akompaniamencie dźwięczącej blachy i skwierczącego mięsa, powiedziała „tak”.

Odwrócił się, a jego gibkie ciało odpłynęło. Isserley ruszyła z kuchni w ślad za nim, do windy.

W jadalni zebrało się tymczasem kilku mężczyzn. Kręcili się bez celu, mamrotali coś, przeżuwali śniadanie i przyglądali się, jak Isserley i Amlis Vess wychodzą.

Nikt z nich nie kiwnął palcem, żeby interweniować.

Nikt nie zagroził Amlisowi, że czeka go śmierć, jeśli ośmieli się postąpić choć krok dalej.

Otworzyła się winda, alarm milczał jednak, a drzwi dźwigu nie odmówiły posłuszeństwa i zamknęły się, gdy weszli razem do środka.

Wszystko wskazywało więc na to, że wszechświat nie uznał, iż kosmiczny ład został zakłócony.

Kompletnie oszołomiona Isserley stała obok Amlisa w bezkształtnej klatce windy, zwrócona twarzą do drzwi, ale świadoma, że długa, ciemna szyja i głowa mężczyzny kołyszą się na wysokości jej ramienia, a jego gładki bok wzbiera oddechem zaledwie kilka cali od jej biodra. Kabina zjechała na dół bezszelestnie i zatrzymała się z sykiem.

Drzwi rozsunęły się, a Isserley jęknęła cicho w klaustrofobicznej udręce. Wszystko tonęło tu w niemal całkowitych ciemnościach, jak gdyby zostali wrzuceni w wąską szczelinę pomiędzy dwiema warstwami sprasowanych skał, mając do dyspozycji jedynie gasnące światełko dziecięcej latarki.

Wokoło unosił się odór fermentującej uryny i kału. Słabe żarówki, pracujące w podczerwieni, wydobywały z mroku pajęczce zarysy drucianej siatki, a wszędzie, gdzie spojrzeli, widać było rozchwiane, świetlikowe iskierki roju obcych oczu.

– Wiesz, gdzie zapala się światło? – zapytał grzecznie Amlis.

8.

Odszukała po omacku przełącznik. Fala ostrego światła błyskawicznie zalała całe pomieszczenie od podłogi po sufit, niczym morski przyptyw wpadający w skalną rozpadlinę.

– Uch – stęknęła z obrzydzeniem. Przebywanie na tej głębokości pod ziemią było dla niej koszmarnym snem na jawie.

– Istny koszmar, co? – powiedział Amlis Vess.

Spojrzała na niego, bo była przestraszona i szukała pociechy, ale Amlis myślał oczywiście o inwentarzu, nie o jej klaustrofobii – poznała to po irytującym wyrazie litości, jaki malował się na jego twarzy. Typowy mężczyzna: jest tak opętany własnym idealizmem, że nie potrafi odczuwać empatii dla człowieka, który cierpi tuż pod jego nosem.

Wyszła z windy z mocnym postanowieniem, że nie będzie się poniżać w jego obecności. Jeszcze przed kilkoma minutami miała ochotę skryć twarz w miękkim, czarnym futrze na szyi Amlisa i przytulić się do jego idealnie proporcjonalnego ciała – ale teraz wołałaby go zabić.

– To tylko smród tych zwierząt – pociągnęła nosem, odwracając wzrok, kiedy Amlis stanął obok niej. Winda zamknęła się z sykiem za ich plecami i zniknęła.

Pogłębiając wykop na najniższym poziomie, mężczyźni wydobyli z ziemi tylko tyle litej, triasowej skały, ile było trzeba. Sufit wisiał na wysokości niespełna siedmiu stóp, więc skumulowana para bydlęcych oddechów unosiła się mgiełką wokół jarzeniówek. Zagrody wodseli, tworzące wieniec połączonych z sobą klatek biegnący pod ścianami, zajmowały niemal całą przestrzeń – jedynie pośrodku zostało trochę miejsca na wąski chodnik. W klatkach po lewej stronie siedziały miesięczniaki, po prawej przejściowce, w głębi natomiast, pod ścianą naprzeciw windy, trzymano dopiero co

schwywane zwierzęta.

– To twój pierwszy raz, prawda? – dobiegł ją głos Amlisa.

– Nie – odparła z irytacją, spłoszona, zorientowała się bowiem, jak bacznie obserwuje język jej ciała.

Ściśle rzecz biorąc, była tu raz wcześniej, na samym początku, zanim pierwsze wodsele trafiły do klatek. Mężczyźni chcieli pokazać, że pomieszczenia, które zbudowali z okazji przybycia Isserley na farmę, są gotowe i czekają tylko na przyjęcie zwierząt, będących jej decydującym wkładem w całe przedsięwzięcie.

– To naprawdę imponujące – powiedziała wtedy chyba coś takiego i uciekła.

Teraz, po kilku latach, wróciła tu z jednym z najbogatszych młodzieńców na świecie, ponieważ chciał ją o coś zapytać w tym miejscu. Powiedzieć, że znalazła się w surrealistycznej sytuacji, byłoby grubym niedomówieniem.

Klatki nie wydawały jej się dawniej takie brudne i ciasne – drewniane belki popękały i wyblakły, druciana siatka była poplamiona i brudna, miejscami zaś pokrywał ją ciemny kit kału i niezidentyfikowanej materii innego rodzaju. Poza tym, oczywiście, zwierzęta wypełniały je smrodem, zwalistą, gęstą masą swoich ciał i wilgotną aurą krążących wciąż w zamkniętym obiegu oddechów. W sumie zgromadzono na dole ponad trzydzieści wodseli, co właściwie zaskoczyło Isserley – nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak ciężko w istocie pracuje.

Kilka pozostałych przy życiu miesięczniaków stłoczyło się w stos gwałtownie dyszącego mięsa. Trudno było odróżnić ich porośnięte masą mięśniową korpusy i kończyny. Dłońmi i stopami miesięczniaków wstrząsały chaotyczne skurcze, tak jakby ów otumaniały, zbiorowy organizm usiłował bezskutecznie zmusić się do jakiejś wspólnej, skoordynowanej reakcji. Ich tłuste, małe główki wyglądały identycznie, kołyszając się jak kiść polipów anemona. Zwierzęta pomrukiwały głupawo w nieoczekiwanym blasku światła. Nikt by się nie domyślił, że są dość sprytnie, aby próbować ucieczki, jeżeli zostałyby

wypuszczone na wolność.

Gęsty, kolczasty dywan ze słomy wokół miesięczniaków lśnił ciemną biegunką, świadcząca, że osiągnęły stadium hodowlanej dojrzałości. Nic, co mogłoby choć w najmniejszym stopniu zaszkodzić układowi trawiennemu człowieka, nie ocalało w ich masywnych wnętrzościach – wszystkie obce mikroby zostały doszczętnie wyteńpione, a zastąpiły je wyłącznie najpożyteczniejsze i najbardziej godne zaufania bakterie. Zwierzęta tuliły się do siebie, jakby nie chciały, by któreś z nich zabrano. Zostały już tylko cztery; wczoraj było ich pięć, przedwczoraj – sześć.

Po przeciwnej stronie zamiecionego do czysta chodnika siedziały apatycznie w swoich klatkach przejściowce – każde zwierzę oddzielnie, na własnym spłachetku słomy. Kawałkując daną im przestrzeń wedle niewypowiedzianych prawideł jakiejś instynktownej arytmetyki, udawało im się trzymać osobno, chociaż siedziały w odległości zaledwie kilku cali od siebie, rzucając Isserley i Amlisowi groźne spojrzenia. Jedne ostrożnie przeżuwały nieznaną im nową karmę, inne drapały się po łysiejących, jakby omszałych głowach, a były i takie, które zaciskały pięści w okolicach wykastrowanych kroczy. Chociaż wciąż jeszcze różniły się między sobą pod względem budowy ciała i koloru skóry, dniem i nocą oglądały swoją przyszłość. Powoli dojrzewały do celu przeznaczenia, do naturalnego końca.

W klatce na końcu chodnika stały trzy nowe wodsele. Opierały się o drucianą siatkę, wymachując rękami i gestykulując.

– Ng! Ng! Ng!

Amlis Vess zareagował natychmiast. Puścił się biegiem, a jego bujny ogon kołysał się pomiędzy potężnymi, jedwabistymi pośladkami. Isserley szła za nim, powoli i ostrożnie. Miała nadzieję, że wszystkim wodselom wycięto starannie języki. Czego nie zobaczą oczy Amlisa, tego nie będzie żal jego sercu.

Od klatki dzieliła ją już najwyższej długości ludzkiego ciała, kiedy niemal śmiertelnie przeraził ją ogromny pocisk, który

rzucił się od wewnątrz na siatkę, rozciągając metalowe druty z rozedrganym trzaskiem. Mierzył prosto w nią. Zrobiło się jej niedobrze, bo na ułamek sekundy pomyślała, że siatka pęka, ale w końcu żywa kula została jednak odrzucona do tyłu i wodsel padł na ziemię, wrzeszcząc z bólu i wściekłości. Dostrzegła czarne, zwęglone wnętrze jego rozwartych ust i opalony kikut języka. Wąsy wodsela pokrywały białe kropelki śliny. Wstał z trudem, najwyraźniej chcąc znowu rzucić się na Isserley, ale dwa pozostałe zwierzęta chwyciły go i odciągnęły od siatki.

Przytrzymywany przez wysokiego, atletycznie zbudowanego i znacznie młodszego osobnika, pobudliwy wodsel, któremu drżały kolana, opadł bezradnie na swoje słomiane gniazdo. Tymczasem trzecie zwierzę wczołgało się na czworakach na wysypany piaskiem skrawek klatki tuż przy drucianej siatce. Wodsel wpatrywał się w ziemię, postępując i sapiąc ze zgryzoty, jak gdyby coś zgubił.

– Spokojnie, spokojnie, kolego – zachęcał go z przejęciem Amlis. – Zrób to jeszcze raz. Na pewno potrafisz. Wiem, że tak.

Wodsel pochylił się nad podłogą i kantem dłoni starł z jej powierzchni niewyraźne ślady stóp swojego nieposkromionego towarzysza. Pusty worek mosznowy zwierzęcia, pokryty wciąż cętkami zakrzepłej krwi po kastracji, kołysał się na wszystkie strony, kiedy samiec wygładził piasek i zaczął wybierać z niego połamane źdźbła rozrzuconej tu i ówdzie słomy. Po chwili zebrał garść długich źdźbeł, skrzył je i splótł w sztywną różdżkę, po czym zaczął nią coś rysować na piasku.

– Spójrz! – powiedział zapalczywie Amlis.

Isserley patrzyła z niepokojem, jak wodsel niezwykle skrupulatnie wypisuje w piasku jakieś siedmioliterowe słowo. Zadał sobie nawet trud, żeby kreślić litery do góry nogami i przedstawić napis oglądającym go zza siatki ludziom od właściwej strony.

– Nikt mi nie mówił, że one potrafią się porozumiewać – zachwycał się Amlis, chyba zbyt poruszony, żeby wpaść w

gniew. – Mój ojciec powtarza zawsze, że to chodzące warzywa.

– Wydaje mi się, że wszystko zależy od tego, jak zdefiniować język – odpowiedziała lekceważąco Isserley. Tymczasem wodseł osunął się na ziemię przed swoim rękodziełem, chyląc z pokorą głowę. Oczy miał wilgotne i błyszczące.

– Ale co znaczy ten napis? – dopytywał się natarczywie Amlis.

Isserley zastanawiała się nad znaczeniem słowa, które brzmiało LITOŚCI. Rzadko napotykała ten wyraz podczas lektury, a w telewizji nie słyszała go nigdy. Przez chwilę łamała sobie głowę, jak go przetłumaczyć, i w końcu zdała sobie sprawę, że słowa tego nie można oddać w jej języku ojczystym – bo takie pojęcie po prostu w nim nie istnieje.

Wahała się, zakrywając dłonią usta, jakby nie mogła dłużej znieść zwierzęcego smrodu. Przybrała wprawdzie obojętną minę, ale przez cały czas myślała gorączkowo. Jak ma zniechęcić Amlisa, żeby nie zrobił znów afery z niczego?

Postanowiła wymówić to dziwne słowo, wydymając wargi i marszcząc brwi, jak gdyby poproszono ją, żeby naśladowała gdakanie kury albo muczenie krowy. Potem, jeżeli Amlis spyta ją, co to znaczy, odpowie zupełnie szczerze, że w ludzkim języku nie istnieje odpowiednik tego pojęcia. Już otwierała usta, ale zrozumiała w samą porę, że popełniłaby wielkie głupstwo. Albowiem gdyby wymówiła to słowo, nadałaby mu godność, godność słowa właśnie – a wówczas Amlis niewątpliwie zacząłby się unosić nad zdolnością wodseli do łączenia znaków pisma z odpowiadającymi im dźwiękami, choć były one gardłowe i niezrozumiałe. W ten sposób za jednym zamachem przyznałaby wodselom godność istot znających mowę i pismo.

Czy jednak nie jest prawdą, spytała sama siebie, że wodsele taką godność posiadają?

Odrzuciła tę myśl. Wystarczy przecież popatrzeć na te zwierzęta! Spojrzeć na ich bydlęce cielska i przepelnione idiotyzmem oblicza, poczuć ich smród i zobaczyć kał, ściekający pomiędzy tłuste paluchy ich stóp. Czy okaleczono ją tak

bardzo, czy na tyle upodobniła się fizycznie do tych bestii, że utraciła swoje człowieczeństwo i zaczęła utożsamiać się ze zwierzętami? Jeśli nie będzie uważać, skończy pośród nich, gdacząc i mucząc w bezsensownym zapamiętaniu, jak te rozbrykane dziwadła w telewizji.

Wszystko to przemknęło jej przez głowę w ciągu kilku sekund. Po dalszych kilku chwilach sprokurowała odpowiedź dla Amlisa.

– Co masz na myśli, pytając „Co to znaczy?” – wykrzyknęła gniewnie. – To jakieś bazgroły, które najwyraźniej znaczą coś dla wodseli, ale ja nie umiem ich odczytać.

Patrzyła Amlisowi prosto w oczy, by jej przecząca odpowiedź zabrzmiała jeszcze bardziej przekonująco.

– A ja się domyślam, co znaczy to słowo – zauważył cicho.

– No, cóż. Nie wątpię, że taki drobiazg, jak niekompetencja, nie zdoła powstrzymać cię przed domysłami – zadrwiła Isserley, spostrzegając po raz pierwszy, że powieki Amlisa porastają rzadkie, nieskazitelnie białe włoski.

– Próbuję ci tylko powiedzieć – upierał się z rozdrażnieniem – że to samo mięso, które jadłaś kilka minut temu, teraz próbuje się z nami porozumieć, tu, na dole.

Isserley westchnęła, krzyżując ramiona na piersi. Jaskrawe światło jarzeniówek i ciężkie oddechy trzydziestu zwierząt w szczelinie, skrytej głęboko pod powierzchnią ziemi, wywoływały w niej mdłości.

– Amlisie, mnie owo mięso nic nie potrafi powiedzieć – powiedziała i zarumieniła się, bo nieopatrznie nazwała go po imieniu. – Czy możemy już iść?

Amlis zmarszczył brwi i spojrzał na kreski na piasku.

– Naprawdę nie wiesz, co te znaki znaczą? – zapytał z krzyżącym niedowierzaniem w głosie.

– Nie wiem, czego ty ode mnie chcesz – wybuchnęła Isserley, nagle bliska łez. – Jestem człowiekiem, nie wodselem.

Amlis obrzucił ją wzrokiem od stóp do głów. Zdawało się, że dopiero teraz zauważył, jak bardzo jest oszpecona. Stał obok w

całej swej krasie, a jego czarna sierść połyskiwała w wilgotnym powietrzu. Patrzył na Isserley, wodsele i znaki na piasku.

– Przepraszam – powiedział w końcu i odwrócił głowę w stronę windy.

Kilka godzin później, na nieskończonej drodze, wdychając pełną piersią niebo zagładające do samochodu przez otwarte okno, zastanawiała się nad przebiegiem spotkania z Amlisem Vessem.

Pomyślała, że dobrze z niego wybrnęła. Nie ma się czego wstydzić. Za dużo sobie pozwalał. Ale przeprosił ją.

Jeśli chodzi o wodsele, to ludzie, którzy nic o nich nie wiedzą, na ogół z łatwością mylnie oceniają ich zachowania. Istnieje przecież powszechna skłonność do antropomorfizacji. Bywa, że wodsel zrobi coś pozornie ludzkiego – na przykład wyda dźwięk podobny do tego, jaki wydaje pogrążona w rozpacz istota ludzka, albo wykona gest upodobiący go do błagającego człowieka, a dyletancki obserwator gotów jest zaraz wyciągać na tej podstawie nieuprawnione wnioski.

W ostatecznym rozrachunku jednak wodsele nie umieją robić nic, co stanowi o istocie człowieczeństwa. Nie umieją siuwilować ani mesnisztilować, i nie znają pojęcia sianu. W swoim zbydłczeniu nie nauczyły się posługiwać hunszurem, a ich społeczności są tak prymitywne, że nie istnieją w nich nawet hississiny. Ponadto zwierzęta te zdają się nie potrzebować czejłów, ani nawet czejlsinów.

I patrząc w ich szkliste oczka, nietrudno było zrozumieć dlaczego.

Oczywiście, jeśli patrzeć jasno i rozumnie.

Dlatego byłoby lepiej, by Amlis Vess nie wiedział, że wodsele mają własny język.

Będzie musiała uważać, by nie używać mowy wodseli w jego obecności. To by go tylko wzburzyło. I nie doprowadziłoby do niczego. W takich wypadkach lepiej nie wiedzieć nic, niż wiedzieć trochę.

To dobrze, że wodsele są nieprzytomne, kiedy transportuje

się je do budynku. Potem, kiedy odzyskują przytomność i zaczynają znów chodzić, są już po operacji i nie potrafią wydobyć z siebie głosu, co likwiduje wszelkie problemy w zarodku.

Jeżeli uda się dopilnować Amlisa, żeby nie sprawiał więcej żadnych kłopotów, zanim statek będzie gotowy do odlotu, nigdy nie dowie się... Niczego więcej.

Potem zaś, kiedy znajdzie się na statku w drodze do domu, będzie mógł pofolgować do woli swojemu nadmiernie wybujałemu sumieniu i sentymentalizmowi. Jeśli zechce, wyrzuci za burtę to, co pozostało z wodseli, aby w ten sposób pośmiertnie obdarzyć te zwierzęta wolnością, ale to już nie będzie jej zmartwienie.

Isserley ma o wiele bardziej fundamentalny problem, który nie obejmuje kwestii pobłażania własnej naturze: czeka ją trudna robota, której nikt oprócz niej nie jest w stanie wykonać.

Mijając Dalmore Farm w Alness, zauważyła w oddali autostopowicza, sterczącego na grzbiecie wzgórza niczym latarnia morska. Zamknęła okno i podkręciła ogrzewanie. Była już przecież w pracy.

Nawet z odległości przeszło stu metrów widziała, że zbudowany jest niczym ciężka maszyna rolnicza i że pod takim zwierzęciem ugięłyby się koła każdego pojazdu. Masywne cielsko wodsela było tym lepiej widoczne, że zostało wtłoczone w żółty, odblaskowy kombinezon. Przypominał eksperymentalny znak drogowy.

Kiedy podjechała bliżej, zauważyła, że żółty kombinezon samca jest stary, wytarty i miejscami czarny – koloru gnijącej skórki od banana. Taki brudny i zniszczony kombinezon z pewnością nie należy do pracownika żadnej firmy. Ten gość pracuje na swoim, a może nawet w ogóle nie pracuje.

To dobrze. Bezrobotne wodsele stanowią zawsze mniejsze ryzyko. Choć w oczach Isserley wyglądały równie zdrowo, jak wodsele, które miały pracę, przekonała się, że prowadzą

zazwyczaj życie wyrzutków, na marginesie społeczeństwa, w bezbronnej izolacji. A raz skazane na wygnanie, spędzały zwykle resztę życia w ukryciu, z dala od stada, wypatrując wysokich rangą samców i samice na wydaniu, z którymi pragnęłyby się zaprzyjaźnić, lecz do których nie mogły się nawet zbliżyć z obawy przed rychłą i okrutną karą. W pewnym sensie można było sądzić, że społeczność wodseli sama dokonuje selekcji swoich członków, przeznaczonych na rzeź.

Dotarła do miejsca, gdzie stał autostopowicz, mijając go w typowym dla niej spacerowym tempie. Wodsel rzucił z ukosa obojętne spojrzenie na przejeżdżające auto i siedzącą za kierownicą dziewczynę, która najwyraźniej chciała utrzyć mu nosa – wiedział doskonale, że zdaniem większości kierowców kombinezon w kolorze zgniętego banana nie pasuje do ciemnoszarych tapicerek ich wozów. Pomyślał chyba jednak, że stamtąd, skąd przyjechała, nadjedzie jeszcze niejedno auto, więc niech dziewczyna się wypcha.

Jadąc dalej, zastanawiała się, czy jest wart zachodu. Był bez wątpienia bardzo pulchny – chyba nawet za bardzo. A tłuszcz jest niedobry: stanowi nie tylko bezwartościową wyściółkę, której należy się pozbyć, ale przenika także daleko w głąb, przerastając mięso – a w każdym razie tak mówił jej kiedyś Unser, główny przetwórca. Tłuszcz toczy smaczne mięso niczym robak.

Ale może autostopowicz jest po prostu dobrze umięśniony. Zjechała na pobocze, wyczekała na odpowiedni moment i ostrożnie zawróciła.

Zauważyła coś jeszcze: otóż wodsel okazał się zupełnie łysy. Nie miał na głowie ani jednego włosa. Jak sądziła, nie miało to znaczenia, ponieważ gdyby go zabrała, i tak straciłby w końcu wszystkie włosy. Dlaczego jednak wodsele łysieją przedwcześnie? Miała nadzieję, że nie na skutek jakiejś ułomności albo choroby, która miałaby wpływ na jakość mięsa. Bezosobowy głos w telewizji poinformował ją kiedyś, że łysieją ofiary raka. Autostopowicz w żółtym kombinezonie – a oto

znowu i on! – nie wygląda jednak na chorego na raka. Przeciwnie, wydaje się, że mógłby zdemolować szpital gołymi rękami. A wodsel, którego zabrała jakiś czas temu, ten z rakiem w płucach? O ile pamiętała, był gęsto owłosiony.

Przejechała raz jeszcze obok łysonia, upewniając się, iż jest naprawdę dobrze umięśniony. Przy najbliższej okazji zawróciła znowu.

Właściwie to dziwne, ale nigdy dotąd nie wiozła łysego autostopowicza, choć ze statystycznego punktu widzenia powinna już była natknąć się na łysonia. Być może to właśnie błyszcząca, bezwłosa głowa wodseła, w zestawieniu z jego stalową budową i dziwnym strojem, wzbudziła w niej złe przeczucia, kiedy zatrzymała się, żeby go zabrać.

– Podwieźć cię? – krzyknęła bez potrzeby, bo człapał właśnie do drzwi, które mu otworzyła.

– Dzięki – powiedział, próbując się wcisnąć do środka. Kiedy zgiął się wpół, jego kombinezon zaskrzypiał śmiesznie. Zwolniła blokadę fotela, by zrobić mu więcej miejsca.

Był chyba zakłopotany jej uprzejmością. Usiadłszy, patrzył przed siebie, niezdarnie usiłując zapiąć pas bezpieczeństwa – zdawało się, że musi go wyciągnąć na długość kilku jardów, zanim wreszcie owinął się nim w biodrach.

– Dobra jest – powiedział, kiedy sprzączka zaskoczyła z trzaskiem.

Ruszyła, a siedzący obok autostopowicz zaczerwienił się. Jego twarz przypominała różowy melon, zatknięty na czubku zwalistego stosu brudnej żółci.

Minęła cała minuta, zanim wodsel wreszcie z wolna odwrócił się ku Isserley. Zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów, po czym ponownie przeniósł wzrok na szybę.

To będzie mój szczęśliwy dzień, pomyślał.

– To będzie mój szczęśliwy dzień – powiedział.

– Mam nadzieję – Isserley odpowiedziała tonem, w którym pobrzmiwał ciepły, dobry humor, chociaż po krzyżu przebiegł jej niewytłumaczalnie chłodny dreszcz. – Dokąd się wybierasz?

Pytanie zawisło w powietrzu, ostygło niczym nietknięta potrawa, i w końcu stężało. Autostopowicz patrzył wciąż przed siebie.

Zastanawiała się, czy nie powtórzyć pytania, ale kiedy rozważała tę ewentualność, ogarnęło ją dziwne zażenowanie. Prawdę mówiąc, w ogóle czuła się zawstydzona. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zgarbiła się nieznacznie, podając łokcie do przodu i zasłaniając piersi.

– Masz niezłe cycki – powiedział autostopowicz.

– Dziękuję – odpowiedziała. Atmosfera w samochodzie zaczęła natychmiast pulsować pobudzonymi nagle molekułami.

– Nie wyrosły ci chyba przez jedną noc – zachichotał.

– Owszem, nie – zgodziła się Isserley.

Jej prawdziwe sutki, pączkujące naturalnie na brzuchu, zostały chirurgicznie usunięte. Dopiero później, podczas innego zabiegu, przeszczepiono jej te sztuczne, rozdęte bańki na klatkę piersiową. Chirurdzy podczas operacji wykorzystali zdjęcia z jakiegoś tutejszego czasopisma, które Esswis przysłał im na wzór.

– Dawno nie widziałem takich wielkich cycków – dodał autostopowicz, który ewidentnie nie zamierzał rezygnować z tego zasobnego złoża konwersacji.

– Mmh – powiedziała Isserley. Wypatrzyła drogowskaz i szybko zaczęła obliczać w myślach odległość. Pewnego dnia będzie musiała powiedzieć Esswisowi, że podczas swoich dalekich podróży poza teren królestwa pól i płotów nigdy nie widziała jeszcze samicy wodsela o piersiach tak wielkich, jak te z czasopisma, które dostarczył chirurgom.

– Długo stałeś? – zapytała, żeby zmienić temat.

– Że więcej nie trzeba – chrząknął wodsela.

– Dokąd chcesz jechać? – Minęło już trochę czasu i miała nadzieję, że może teraz pytanie dotrze do niego.

– Zdecyduję się, jak będę na miejscu – powiedział.

– Obawiam się, że jadę tylko do Evanton – oświadczyła. – Ale tobie to chyba i tak po drodze.

– Jasne – wodsels pociągnął nosem. – Nie ma sprawy.

Dzielące ich molekuly znów zaczęły niedostrzegalnie wić się w zapadłej ciszy.

– Co cię wyгнаło na trasę? – spytała pogodnie.

– Mam parę spraw do załatwienia, i tyle.

– Nie chciałam być wścibska – ciągnęła Isserley. – Jestem po prostu ciekawa ludzi, to wszystko.

– W porządku. Nie lubię dużo gadać. Taki już jestem. – Powiedział to dziwnym tonem, jak gdyby małomówność była jakimś szczególnym wyróżnieniem, przypisanym mu z racji urodzenia, niby rodzinny majątek albo atrakcyjność fizyczna. Isserley bezradnie wspomniała Amlisa.

– Puszczalska z ciebie, co? – rzucił autostopowicz.

– Proszę? – odpowiedziała, bo nie słyszała wcześniej tego słowa.

– Chodzi mi o seks – wyjaśnił bez ogródek, a jego dużą, przypominającą melon głowę oblał znów rumieniec. – Myślisz tylko o tym. Potrafię wyczuć puszcalska na odległość. Uwielbiasz seks, co?

Isserley przesunęła się niespokojnie w fotelu, zerkając w lusterko wsteczne.

– Prawdę mówiąc, na co dzień za ciężko pracuję, żeby o tym myśleć – powiedziała, siląc się na swobodny ton.

– Gównem prawda – odparł beznamytnie. – Teraz też myślisz o seksie.

– Prawdę mówiąc, myślę o... O problemach w pracy – podsunęła Isserley. Miała nadzieję, że może zapyta ją, czym się zajmuje, postanowiła bowiem przedstawić się jako funkcjonariuszka policji po cywilnemu.

– Taka dziewczyna jak ty w ogóle nie musi myśleć – parsknął autostopowicz.

Do Evanton zostało jeszcze osiem minut jazdy. Powinna była powiedzieć, że jedzie do Ballachraggan, miejscowości leżącej w połowie drogi do Evanton, ale wodsels mógłby się rozżłościć, że Isserley proponuje mu tak krótką przejażdżkę.

– Założę się, że dotykało ich mnóstwo facetów, co? – powiedział nagle, jak gdyby chciał rozruszać konwersację, której pozwoliła zgasnąć wskutek swojej nieudolności.

– Wcale nie tak wielu – oświadczyła. Ściśle rzecz biorąc, jej piersi nikt nie dotykał.

– Nie wierzę – powiedział, opierając głowę o zagłówek i przymykając oczy.

– Ale... To prawda – westchnęła niepocieszona Isserley. Wedle elektronicznego zegara upłynęło zaledwie pięćdziesiąt sekund.

Wszechświat jednak wysłuchał chyba w końcu jej modlitw. Oczy autostopowicza zaczęły najpierw przypominać szparki, a potem zamknęły się, jakby zapadał w drzemkę. Głowa osunęła mu się głębiej za wytłuszczony, postawiony na sztorc kołnierz kombinezonu. Mijały minuty, a pomruk silnika i szara fala toczącej się przed nią drogi zaczęły pomału, stopniowo, odzyskiwać utraconą realność. Od Evanton dzieliły ich zaledwie dwie mile, kiedy łysoń znowu się odezwał.

– Wiesz, co mnie wkurza? – zapytał z większym niż dotąd ożywieniem.

– Nie. A co cię wkurza? – odczuła ulgę i rozluźniła się, szczęśliwa, że atmosfera rzednie, a molekuly zwalniają.

– Supermodelki – powiedział.

Isserley pomyślała najpierw, że chodzi mu o drogie, ekscentryczne samochody, ale potem doszła do wniosku, że wodsel ma na myśli animowane rysunki, migoczące zawsze w telewizji wczesnym rankiem – przedstawiały one wystylizowane samice, unoszące się w przestrzeni w sięgających łokci rękawiczkach i butach aż po uda. W samą porę, gdy otwierała już usta, żeby się odezwać, przypomniała sobie jednak, co naprawdę znaczy to słowo: widziała kiedyś jedno z określanych przez nie niezwykłych stworzeń w wiadomościach.

– Podobają ci się? – domyśliła się.

– Nie znoszę ich.

– Zarabiają znacznie więcej od ciebie czy ode mnie, no nie? –

spytała, usiłując nawet w takiej chwili znaleźć jakąś furtkę, którą mogłaby wejść w jego życie.

– A nic, kurwa, nie robią.

– Życie bywa czasem niesprawiedliwe – rzuciła prowokacyjnie.

Zmarszczył brwi i wydał wargi, zapewne szykując się, żeby w płomiennych słowach zrzucić z piersi jakiś ciężar.

– Niektóre z tych supermodelek, jak Kate Moss albo ta czarna, wiesz, która... – powiedział. – Nie rozumiem. Po prostu nie rozumiem.

Mówił to takim tonem, jakby znalazł na ulicy coś bardzo wartościowego – coś, czego cena wykraczała daleko poza siłę nabywczą jego portfela, lecz czym zamierzał teraz chełpić się przed wszystkimi.

– Czego nie rozumiesz? – zapytała zupełnie zdezorientowana Isserley.

– Gdzie one mają cycki, to chciałbym wiedzieć! – wykrzyknął autostopowicz, kładąc wielką, wygiętą w kształt miseczki łapę na swojej piersi. – Supermodelki, a nie mają cycków! Jak tak może być?

– Nie wiem, kto o tym decyduje – zgodziła się ponuro, bo atmosfera w samochodzie znowu zgęstniała w rój rozpedzonych cząsteczek.

– Założę się, że pedały – chrząknął łysoń. – Co ich obchodzi cycki? Pewnie taka jest prawda.

– Możliwe – odpowiedziała Isserley tak cichutko, że ledwie ją było słychać. Czowała się wykończona. Dojeżdżali już do Evanton, musiała więc oszczędzać resztki energii, żeby łagodnie wyprosić go z samochodu.

– Z ciebie byłaby zajebista modelka – poinformował ją autostopowicz, ponownie mierząc Isserley spojrzeniem od stóp do głów. – W sam raz na rozkładówkę.

Westchnęła, próbując zdobyć się na wymuszony uśmiech.

– Więc może byłoby lepiej, gdybym miała jednak mniejsze cycki, nie? – rzuciła Isserley. – Jak te supermodelki. – Starła

się mówić ordynarnie, jak on, ale naśladowała go tak nieporadnie, że jej słowa zabrzmiały fałszywie i żałośnie przymilnie – zaczynała tracić głowę. Boże, co on sobie o niej pomyśli!

– Chuj z supermodelkami! – oznajmił z naciskiem, tonem bliskim grubiańskiego pocieszenia. – Masz dużo lepsze ciało. Tamte dziewczyny nie są naturalne, pewnie biorą sterydy, jak te ruskie biegaczki. A potem kurczą się im cyce, mówią grubym głosem i rosną im wąsy. Kurwa, co to się wyrabia na tym świecie? Przechodzi pojęcie. I nikt nie tupnie nogą. Nie rozumiem.

– Tak, dziwny jest ten świat – zgodziła się Isserley. A po chwili dodała: – Jesteśmy prawie na miejscu.

– Gdzie? – spytał podejrzliwie.

– W Evanton – przypomniała mu. – Nie jadę dalej.

– Ach, chyba jednak pojedziesz – odparł głuchym, niemal dudniącym głosem. – Na pewno możesz pojechać trochę dalej.

Serce Isserley zabiło mocniej.

– Nie – powiedziała z uporem. – Dalej nie pojedę.

Autostopowicz sięgnął do wewnętrznej kieszeni kombinezonu i wyciągnął z niej duży, szary, składany nóż z już otwartym jasnym, trójkątnym ostrzem.

– Jedź dalej – powiedział cicho.

Isserley ścisnęła mocno kierownicę, usiłując oddychać spokojnie.

– Nie powinieneś tego robić – powiedziała. Autostopowicz wreszcie się roześmiał.

– Skręć w lewo przed następnym skrzyżowaniem.

– Będzie lepiej... Dla nas obojga... Jeżeli się zatrzymamy... I wysiądziesz – zadyszała. Wskazujący palec jej lewej ręki zadrżał nad dźwignią zwalniającą ikpatuowy mechanizm.

Autostopowicz jakby jej nie słyszał. Po lewej stronie drogi majaczył stary kościół o zamurowanych oknach, a obok biegła długa, żwirowana ścieżka, znikająca w krzakach.

– Skręć tutaj – poradził jej cicho.

Zerknęła w lusterko wsteczne. Najbliższy samochód jedzie mniej więcej o sto jardów za nią. Jeżeli zdoła się zmusić, by wcisnąć pedał gazu, a potem przyhamować znacznie raptowniej niż zwykle, będzie już stała bezpiecznie na poboczu i przyciemni szyby, zanim dogoni ją jadące z tyłu auto.

Uruchomiła tłoczek ikpatuy.

– Skręć tutaj w lewo, powiedziałem ci! – wrzasnęła autostopowicz. – W lewo!

Wzierała w niej panika niby bąbelki gazu w cieczy. Wrzuciła niewłaściwy bieg i szarpnęła dźwignią przekładni.

Rozległ się nieprzyjemny, mdlący chrobot. Jednocześnie spojrzała kątem oka na fotel pasażera. Dopiero teraz zauważyła, że spodnie kombinezonu łysonia są grube jak krowia skóra, a przy tym pokryte dodatkową warstwą jakiegoś żółtego materiału przypominającego brezent. Igły go po prostu nie dosięgły.

Poczuła kłujący ból w boku. Czubek noża wpijał się jej w skórę przez cienką tkaninę bluzki.

– Tak! Tak! – syknęła niespokojnie, włączając kierunkowskaz i skręcając na ścieżkę zgodnie z jego życzeniem. Żwir zachrząścił pod kołami i stukał głośno w podbrzusze podwozia.

Kierownica szarpnęła ją za rękę, odbijając po gwałtownym skręcie, a z każdym ciężkim oddechem Isserley czuła użądlenie ostrza noża w boku.

– Dobrze, dobrze! – zawołała.

Autostopowicz cofnął nóż i wyciągnął nieuzbrojoną rękę, żeby przytrzymać kierownicę. Uścisk miał stanowczy, ale łagodny, jak gdyby uczył ją prowadzić samochód. Jego ręka była dwukrotnie większa od jej dłoni.

– Proszę, zastanów się... Co robisz – wydyszała.

Nie odpowiedział, ale puścił kierownicę, uznając widocznie, że dalej Isserley poradzi sobie sama. Samochód z terkotem silnika toczył się teraz przez zaniedbany pejzaż niskich zarośli i zgniłych resztek beli sprasowanej słomy. Z przodu majaczyła

gromadka nędznych farmerskich zabudowań gospodarczych, a dalej szkielety z rozbitego betonu i splątanej stali. Trasa A9 zniknęła niemal całkowicie z lusterka, połyskując niewyraźnie niby odległa rzeka.

– Skręć w prawo, kiedy zobaczysz stos opon – poinstruował ją autostopowicz. – Potem zatrzymaj wóz.

Isserley zastosowała się do tego polecenia. Stanęli za litą ścianą, wysoką na trzy i długą na dziesięć metrów. Z budynku pozostała jedynie ta ściana.

– Dobra jest – powiedział autostopowicz.

Isserley zapanowała już nad swoim oddechem i próbowała skoncentrować się wyłącznie na myśleniu. Tylko spryt mógł ją ocalić, bo nie zdołałaby uciec wodselowi. Ona, która kiedyś potrafiła pomykać szybko jak jagnię, teraz w ogóle nie mogła biegać.

– Mam wysoko postawionych przyjaciół – powiedziała błagalnie.

Autostopowicz roześmiał się znów krótkim, suchym śmiechem, który brzmiał jak kaszel.

– Wsiadaj – powiedział.

Oboje otworzyli drzwi i stanęli na skalistej ziemi. Autostopowicz obszedł samochód dokoła i zatrzasnął drzwi od strony kierowcy, a potem popchnął Isserley na bok auta. Trzymając wciąż w jednej ręce nóż, drugą dłonią chwycił jej czarną bluzkę, zagarnął garść tkaniny i szarpnął ją w górę, żeby odsłonić piersi. Był tak silny, że kiedy ciągnął zwinięty w kłębek materiał, który utkwiał jej pod pachami, o mało nie oderwał Isserley od ziemi. Szybko podniosła ręce i pozwoliła, żeby zdjął jej bluzkę.

– Jeżeli chcesz, możemy przeżyć razem... Coś cudownie rozkosznego – zaproponowała, zakrywając piersi drżącymi z lekka dłońmi.

Czerwony na twarzy, niewzruszony, stanął na wprost niej, po czym wyciągnął nieuzbrojoną rękę i zaczął miętosić jej piersi, najpierw jeden, potem drugi sutek, co chwila chwytając

w palce jej brodawki i ugniatając je jak kulki ciasta.

– Dobrze ci, co? – zapytał.

– Mmmh – odpowiedziała. Nie miała, oczywiście, żadnego czucia w piersiach, czuła jednak wyraźnie ból w kręgosłupie, bo autostopowicz wciskał ją w łuk boku samochodu. Chłodny, elektryzujący pot bólu i strachu zakłuł ją w ramiona.

Miętosił jej piersi całą wieczność. Oddechy ich obojga mieszały się, tworząc obłoczki na mrozie. Wysoko w górze wyszło blade słońce, które odbijało się od jego kopulastej głowy. Silnik samochodu tykał co chwila, tracił bowiem ciepło i przenikało do niego zimne powietrze.

W końcu autostopowicz puścił jej brodawki i cofnął się o krok.

– Uklęknij – powiedział. Kiedy Isserley spełniała pospiesznie jego polecenie, łysoni wsunął rękę w szparę pośrodku kombinezonu i delikatnie rozerwał rzepy, odsłaniając zaskakująco biały podkoszulek, skryty w ohydnie czarnożółtym opakowaniu. Rozpiął kombinezon aż po krocze i rozchylił poły. Potem wyciągnął na wierzch swoje genitalia, włochatą bulwę mosznową i członek. Podszedł bliżej. Jego penis kołysał się na wysokości twarzy Isserley.

Przystawił jej nóż do karku i wcisnął ostrze we włosy.

– Nie próbuj gryźć, rozumiesz?

Jego członek był ohydnie nabrzmiąły, grubszy i bledszy niż ludzki, zakończony fioletową, asymetryczną główką. Na jej czubku widniała niewielka szpara, przypominająca niedomknięte oko martwego kota.

– Rozumiem – powiedziała.

Trzymała smakujący uryną członek w ustach przez minutę. Potem ostrze noża cofnęło się z jej karku, a jego miejsce zajęły twarde, grube paluchy.

– Dość – jęknął, chwytając ją za włosy.

Postąpił krok w tył i wysunął penis z jej ust. Potem bez ostrzeżenia chwycił ją za łokieć i pociągnął w górę. Nie zdążyła napiąć mięśni w sposób charakterystyczny dla wodseli, dlatego

jej ramię wygięło się swobodnie w kilku stawach naraz, w zygzak, jak ramię każdego normalnego człowieka, czego autostopowicz jednak nie zauważył. Ogarnęło ją mdlące przerażenie, bo dotąd nic nie przerażyło jej tak bardzo, jak teraz brak reakcji z jego strony.

Kiedy wstała, autostopowicz popchnął ją dalej, na maskę.

– Odwróć się – powiedział.

Uśluchała, a on natychmiast chwycił jej zielone, aksamitne spodnie i jednym szarpnięciem zdarł je aż do kolan.

– Jezu – warknął zza pleców Isserley. – Miałaś wypadek samochodowy czy co?

– Tak – szepnęła. – Przepraszam.

Przez jedną odurzającą chwilę myślała, że się zniechęci, ale zaraz poczuła na grzbiecie jego otwartą dłoń, która przyciskała ją do maski.

Zrozpaczona, szukała właściwego słowa – słowa, które mogłoby sprawić, że przestanie. Znała to słowo, ale widziała je tylko w formie pisanej – ba, nawet dziś rano, kiedy napisał je wodsł. Nie wiedziała jednak, jak się je wymawia.

– Litości – poprosiła.

Autostopowicz obiema dłońmi naparł na jej kark – poczuła na grzbiecie rękojeść jego noża. Członek łysonia bódł i suwał się między jej udami w poszukiwaniu wejścia.

– Proszę – zaczęła błagać, bo coś nagle przyszło jej do głowy.

– Sama ci pokażę. Tak będzie lepiej, przysięgam.

Osuwając się na maskę samochodu, z piersiami i policzkiem wciśniętym w gładką blachę, położyła ręce na pośladkach i rozwarła je. Wiedziała, że jej genitalia zostały na zawsze pogrzebane pod masą ohydnej, zabliźnionej tkanki, która narosła po amputacji ogona. Ale krechy blizn powinny przypominać szczelinę narządów rodnych samicy wodsela.

– Nic nie widzę – chrząknął autostopowicz.

– Chodź bliżej – zachęciła go, odwracając z bólem twarz, by obserwować majaczącą coraz bliżej kopułę głowy łysonia. – To tu. Popatrz tylko.

Wykorzystując fakt, że wspiera się na masce samochodu, błyskawicznym ruchem wyrzuciła ramiona w tył i w górę. Zatrzepotały jak bicze i nie chybiły celu. Palce obu jej dłoni zanurzyły się w oczach autostopowicza aż po kłykcie, sięgając gorącego, lepkiego wnętrza czaszki.

Dyszając ciężko, wyciągnęła palce z oczodołów autostopowicza i trzepnęła rękami o maskę samochodu. Zdołała się wyprostować, kiedy łysoni padał na kolana – choć spodnie wokół kostek krępowwały jej ruchy, odsunęła się, gwałtownie odskakując w bok, gdy wodsel runął na wznak, uderzając twarzą o zderzak z soczystym plaśnięciem.

– Fuj! Fuj! Fuj! – wołała z obrzydzeniem, histerycznie wycierając palce o swoje nagie uda. – Fuj! Fuj! Fuj!

Podciągnęła spodnie i zataczając się, porwała z ziemi rzuconą niedbale bluzkę.

– Fuj! Fuj! Fuj! – krzyczała wciąż, wciskając się z powrotem w przemoczone i ubłocone ubranie. Smugi drobnego piasku podrapały jej ramiona i łokcie, gdy obciągała rękawy aż po drżące nadgarstki.

Wgramoliła się do samochodu i przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zakaszłał, ożył i zaryczał głośno, kiedy zwiększyła obroty. Cofnęła wóz, żeby oddalić się od ciała łysonia, ale zgrzytnęła biegami i toyota zgasła.

Miała już zapalić znowu silnik i odjechać, nie mogła się jednak oprzeć, by jeszcze raz nie wytrzeć palców ściereczką, której używała do czyszczenia przedniej szyby. Zauważyła wtedy, że odłupał się jej spory, klinowaty kawałek paznokcia i ze złości huknęła z całej siły otwartymi dłońmi w kierownicę. Po chwili wysiadła i podeszła znów do ciała autostopowicza, by usunąć to, czego w żadnym wypadku nikt nie powinien znaleźć i poddać analizie.

Zajęło to trochę czasu. Poza tym musiała posłużyć się zaimprovizowanymi narzędziami, których dostarczyła jej okoliczna roślinność.

Kiedy skończyła, wsiadła do samochodu i odjechała z

powrotem na główną drogę.

Kierowcy trąbili na nią, kiedy próbowała włączyć się do ruchu.

Jechała na długich światłach.

Nie wolno jej było z nich korzystać, jeżeli chciała dołączyć do spokojnej kawalkady samochodów.

9.

Pojechała prosto nad Tarbat Ness, na molo, które знаła w tej okolicy. Leżało na końcu krótkiej i niebezpiecznie stromej drogi, wyróżnionej znakiem przedstawiającym samochód spadający w fale oceanu.

Zjechała ostrożnie aż na sam dół, zaparkowała równiutko niemal na krańcu mola i zaciągnęła hamulec ręczny takim ruchem, jakby sięgała po coś, co mogłoby jej zginać. Potem oparła się rękami o kierownicę, uznając, że musi pozwolić sobie poczuć emocje, które powinna. Ale nie czuła niczego.

Na stalowoszarym morzu panowała martwa cisza. Długo wpatrywała się przez szybę w morze, nie mrugając powiekami. Czasami bawiły się tu foki – gdzieś na drodze, z tyłu, informował o tym odpowiedni znak. Wpatrywała się w wodę chyba przez dwie godziny. Postanowiła, że jej uwadze nie ujdzie żaden szczegół. Morze pociemniało niczym pas barwionego szkła. Jeżeli nawet w głębinach kryły się foki, to żadna nie wychynęła na powierzchnię.

Po pewnym czasie w milczeniu nadszedł przyptyw, a fale zaczęły oblewać molo. Isserley nie wiedziała, czy woda podniesie się na tyle wysoko, by unieść samochód i zmyć go do morza. Jeśli porwie ją woda, najprawdopodobniej się utopi. Kiedyś dobrze pływała, ale jej ciało wyglądało wtedy zupełnie inaczej.

Bezskutecznie usiłowała znaleźć jakiś powód, dla którego powinna była zapalić silnik i odjechać w bezpieczne miejsce. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że może nagle znaleźć się gdzie indziej. Przecież postanowiła przyjechać właśnie tutaj, kiedy miała jeszcze dość animuszu, by podejmować decyzje – ale teraz ów animusz zniknął. Dlatego zostanie. Morze pochłonie ją albo nic jej nie zrobi. Czy to nie wszystko jedno?

Im dłużej siedziała na molo, tym bardziej nabierała przekonania, że przyjechała nad Tarbat Ness dopiero przed chwilą i bawi tu zaledwie od kilku minut. Słońce sunęło po niebie jak żłudny blask świateł odległego samochodu, które nigdy nie zbliżają się do patrzącego. Wody Morza Północnego chlupotały i postukiwały łagodnie o podwozie. Nadal patrzyła przez szybę. Wciąż umykała jej jakaś ważna myśl. Będzie czekać, dopóki jej nie uchwyci. Będzie czekać bez końca, jeżeli tak trzeba.

Ogromna chmura na ciemniejącym niebie zmieniała ciągle kształt. Chociaż Isserley nie czuła wiatru, w górze działały widać jakieś potężne siły, niezadowolone z formy chmury, więc kształtujące i rzeźbiące ją, by nadać jej nową postać. Najpierw wyglądała jak dryfująca mapa jakiegoś nieznanego kontynentu, następnie zbiła się w sylwetkę statku, a potem urosła w kształt do złudzenia przypominający wieloryba. Z czasem, tuż przed zmrokiem, zmieniła się w coś jeszcze większego, bardziej rozrzedzonego, abstrakcyjnego i bezsensownego.

Zapadła ciemność, a Isserley wciąż nie mogła się zdecydować, co robić dalej. Samochód kołysał się z lekka, potrącany od spodu grzbietami fal. Odjedzie, kiedy będzie miała na to ochotę.

Noc trwała sekundy – z pewnością nie dłużej niż kilka tysięcy sekund. Isserley nie spała. Siedziała za kierownicą i obserwowała upływającą noc. W nieokreślonej chwili jednej z tych mrocznych godzin morze zrezygnowało, przestało ją straszyć i wycofało się.

O świcie Isserley kilka razy zamrugła powiekami. Zdjęła okulary, ale nieprzejrzysta okazała się pokryta mgłą szyba. Ciało miała rozgrzane niby piec i lepkie, jakby dopiero zbudziła się ze snu. Ale na pewno nie zasnęła. Nie przestała czuwać ani na moment.

Włączyła wycieraczki, by zetrzeć z szyby połyskliwą mgiełkę. Nawet nie drgnęły. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zakasłał słabo, zadygotał i zgasł.

– Dobrze, jak chcesz – powiedziała roztrzęsionym z wściekłości głosem.

Będzie musiała się tym zająć później.

Mniej więcej po godzinie mgiełka ustąpiła samoistnie. Isserley poczuła ból w boku. Potarła obolałe miejsce – bluzka była przyklejona do skóry, zapewne zakrzepłą krwią. Szarpnęła tkaninę i oderwała ją ze złością od rany. Była przekonana, że nie odniosła obrażeń.

Spróbowała poruszyć biodrami, siedząc w fotelu, a potem unieść uda. Bezskutecznie. Jej ciało poniżej pasa było jak martwe. Będzie musiała się tym zająć później.

Uchyliła trochę prawą, boczną szybę i wyjrzała przez szparę. Fale wycofały się z brzegu, odsłaniając galaretowate wodorosty, rozmaite, na wpół zgniłe śmieci i ostre skały, usiane tymi maleńkimi mięczakami, które zbierali ludzie – to znaczy wodsele. Trąbiki. Tak się nazywają te mięczaki. Trąbiki.

W oddali szły brzegiem w kierunku mola dwie postaci. Patrzyła, jak nadchodzą, próbując skłonić je siłą woli, by zawróciły z drogi. Promień jej myśli, chociaż wściekle palący, nie zdołał pokonać dzielącej ich przepaści. Postaci wciąż się zbliżały.

Z odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów Isserley rozpoznała w odległych sylwetkach samicę wodseła i psa, którego płci nie potrafiła ustalić. Samica była drobnej i delikatnej budowy, ubrana w kożuszek i zieloną spódnicę. Jej chude jak patyki, osłonięte czarną tkaniną nogi tkwiły w zielonych kaloszach. Długie, gęste włosy, opadające na twarz, rozwiewał jej wiatr. Klucząc pośród skał, wołała psa po imieniu, głosem zupełnie nieprzypominającym głosów wodseli samców.

Pies nie był nagi – miał na sobie czerwoną kamizelkę w szkocką kratę. Szedł chwiejnie, z trudem utrzymując równowagę na śliskich kamieniach, i oglądał się co chwila na samicę.

W końcu, kiedy oboje byli już tak blisko, że Isserley zastanawiała się, czy nie powinna nałożyć okularów, stanęli.

Samica machnęła ręką, a potem odwróciła się i ruszyła z powrotem. Pies biegł przy jej nodze.

Isserley odetchnęła z ulgą. Znowu zaczęła przyglądać się chmurom i morzu.

Kiedy uznała, że samochód wysechł już na słońcu, spróbowała go uruchomić ponownie. Silnik posłusznie zaskoczył. Wyłączyła go. Odjedzie, kiedy będzie miała na to ochotę.

Zwróciła się w stronę fotela pasażera i spojrzała na ospowate siedzenie, uruchamiając jednocześnie dźwignię mechanizmu tłoczącego ikpatuę. Dwie srebrzyste igły przebiły tapicerkę i dwie cienkie strużki cieczy wytrysnęły w powietrze.

Odchyliła głowę na oparcie fotela, zamknęła oczy i zaczęła kwilić.

10.

Isserley zawsze za pierwszym razem mijała autostopowicza, by zyskać na czasie. Zawsze tak robiła. Postąpi w ten sposób i teraz. Zauważyła autostopowicza. I minęła go.

Szukała potężnych mięśni. Nie interesowały jej osobniki wątłe i kościste. A ten był właśnie wątły i kościsty. Nie interesował jej, więc pojechała dalej.

Świtało. Fizyczny świat zupełnie dla niej nie istniał, wyjąwszy wstęgę szarego asfaltu, po którym jechała. Przyroda zwykle ją dekoncentrowała, a Isserley nie chciała się rozpraszać.

Trasa A9 wydawała się pusta, nie można jej jednak ufać. Tu wszystko może się zdarzyć, w każdej chwili. Dlatego nie spuszczała oka z szosy.

Trzy godziny później spostrzegła następnego autostopowicza, a raczej autostopowiczkę, była to bowiem samica. Nie interesowała się samicami.

Gdzieś z lewej strony, nad kołem, rozległ się dziwny stukot. Kiedyś go już słyszała. Na pozór zniknął, ale po prostu ukrywał się gdzieś w nadwoziu samochodu. Nie będzie go tolerować. Po pracy pojedzie na farmę, znajdzie przyczynę usterki i usunie ją.

Dwie i pół godziny później zauważyła kolejnego samca, usiłującego złapać okazję. *Zawsze* za pierwszym razem mijała autostopowicza, by zyskać na czasie. Więc minęła i tego.

Trzymał w ręku duży karton z napisem DO PERTH, PROSZĘ. Nie był łysy. Nie nosił kombinezonu. Potężny miał tylko tułów, tors w kształcie litery V na długich nogach. Czy były bardzo chude? Wytarte dżinsy powiewały wokół jego łydek – widocznie jest bardzo wietrznie.

Zawróciła i przyjrzała mu się jeszcze raz. Miał niezłe ramiona. Doskonałe barki. Rozrośniętą pierś, choć w pasie był

szczupły.

Zawróciwszy ponownie, podjechała do niego po raz trzeci. Zauważyła, że ma kręcone, rozwichrzone rude włosy i nosi gruby, zrobiony na drutach sweter z wielokolorowej wełny. Wszystkie wodsele w takich grubych, domowej roboty swetrach, jakie zdarzyło się jej dotąd spotkać, były bezrobotne i prowadziły żywot pariasów. Sądziła, że może władze zmuszają je, aby nosiły te stroje jako stygmaty swojego niskiego statusu społecznego.

Ten wodsel, który usiłuje teraz ją zatrzymać, na pewno jest wyrzutkiem. A jego nogi pięknie nabiorą ciała.

Zjechała na pobocze i autostopowicz podbiegł do samochodu, uśmiechając się.

Isserley otworzyła lewe boczne drzwi, zamierzając zapytać wodseła, czy chce, żeby go podwieźć.

Nagle wydało się jej, że byłoby to pytanie absurdalne. Oczywiście, że chce. Trzymał przecież duży karton z napisem DO PERTH, PROSZĘ, a ona zatrzymała się, żeby go zabrać. Trudno o bardziej wymowną sytuację. Słowa byłyby tu tylko stratą energii.

Przyglądała się w milczeniu, jak zapina pas.

– Ja... To bardzo miło z twojej strony – powiedział autostopowicz, uśmiechając się niezręcznie i przeczesując palcami bujne włosy, które natychmiast znów mu opadły na oczy. – Zdążyłem już nieźle zmarznąć.

Skinęła ponuro głową i spróbowała uśmiechnąć się w odpowiedzi. Nie była jednak pewna, czy jej się to udaje. Mięśnie twarzy Isserley zdawały się jeszcze słabiej sprzężone z ustami niż zwykle.

Autostopowicz trajkotał dalej:

– Położę swój kartonik pod nogami, dobrze? Będiesz mogła swobodnie zmieniać biegi?

Znowu skinęła głową i wcisnęła pedał gazu, wchodząc na wysokie obroty. W głębi duszy zaniepokoiło ją, że milczy – można by sądzić, że traci zdolność mowy albo że ma jakieś

problemy z gardłem. Serce już waliło jej jak młotem, choć nic się jeszcze nie stało, a na horyzoncie nie majaczyła na razie żadna decyzja.

Zdecydowana, by zachowywać się normalnie, otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, był to jednak błąd. Wyczuła, że dźwięk, jaki wzbiera w jej krtani, dla wodsela nie będzie oznaczał nic, połknęła go więc z powrotem.

Autostopowicz nerwowo pocierał podbródek. Miał delikatny, rudy zarost, tak rzadki, że z daleka w ogóle nie było go widać. Uśmiechnął się znowu, a jego twarz oblał rumieniec.

Isserley, drżąc nieco, odetchnęła głęboko, włączyła kierunkowskaz i ruszyła, wpatrując się w drogę za szybą.

Odezwie się, kiedy będzie miała na to ochotę.

Autostopowicz nieporadnie układał swój kartonik, usiłując złowić wzrokiem jej spojrzenie, kiedy pochylił się naprzód. Nie nawiązała kontaktu wzrokowego. Wyprostował się, zażenowany, ogrzewając na przemian zziębnięte dłonie, ściskając jedną w drugiej, a potem wsunął ręce w wełniane rękawy swetra.

Zastanawiał się, co mógłby powiedzieć, żeby ją uspokoić, i dlaczego w ogóle go zabrała, skoro nie chce z nim rozmawiać. Na pewno ma jakiś powód. Rzecz w tym, by go odgadnąć. Sądząc po minie, jaką zrobiła, nim odwróciła twarz, musi być kompletnie wykończona – może zaczęła zasypiać za kierownicą i uznała, że pasażer nie pozwoli jej zasnąć. Ale w takim wypadku na pewno oczekuje, że będzie z nią gawędził o tym i o owym.

Była to niepokojąca myśl – on nie należy bowiem do osób lubiących głądzić o wszystkim i o niczym. Woli długie, filozoficzne dyskusje w cztery oczy, jak nocne rozmowy z Cathy do białego rana. Palili wtedy trawę. Szkoda, że nie może zaproponować tej kobiecie dżointa, by mogła się rozluźnić.

Pomyślał, że lepiej będzie rozmawiać o pogodzie. Nie mówić byle czego, ale powiedzieć, jak się naprawdę czuje w takie dni, kiedy niebo przypomina... śnieżny ocean. To niesamowite, że zmrożona woda wisi po prostu tam, w górze, a jest jej tak dużo, że mogłaby pogrzebać całe hrabstwo pod tonami białego,

sproszkowanego lodu, który wysoko, bardzo wysoko szybuje sobie lekko niby chmurka. Istny cud.

Spojrzał znów na kobietę. Prowadzi niczym robot, a plecy ma proste jak metalowy pręt. Wydawało mu się, że uroki natury nic dla niej nie znaczą. W tej kwestii nie znajdą pewnie wspólnego języka.

Może powiedzieć „Cześć, nazywam się William”. Ale na to jest już chyba za późno. Będzie musiał jednak przerwać jakoś to milczenie. Kto wie, czy ona nie jedzie aż do Perth. A jeśli przejadą razem sto dwadzieścia mil, nie zamieniając ze sobą ani słowa, on będzie wrakiem człowieka, gdy znajdą się na miejscu.

Słowa w rodzaju „Cześć, nazywam się William” zabrzmiałyby chyba jednak głupkowato, w amerykańskim stylu, coś jak „Cześć, nazywam się Arnold, jestem kelnerem i dziś wieczorem będę wam usługiwał”. Może lepiej przedstawić się mniej ostentacyjnie. Na przykład: „A tak w ogóle, to mam na imię William”. Jak gdyby przedstawiał się w trakcie trwającej już, ożywionej rozmowy, której, niestety, nawet nie podjęli.

Coś tu nie gra. Co jest nie tak z tą babką?

Zastanawiał się przez chwilę nad tym pytaniem, usiłując zapomnieć o własnej konsternacji i skupić się raczej na dziewczynie. Próbował zobaczyć ją oczami Cathy, jak gdyby to ona siedziała na jego miejscu – Cathy genialnie znała się na ludziach.

Dokładając wszelkich starań, aby nawiązać kontakt z intuicyjną, kobiecą stroną swojej osobowości, William bardzo szybko doszedł do wniosku, że z siedzącą za kierownicą dziewczyną jest coś bardzo, bardzo nie w porządku. Ma jakieś kłopoty, zmartwienia. A może nawet jest w szoku.

Z drugiej strony, czy na pewno nie dramatyzuje? Przyjaciel Cathy, Dave, pisarz, zawsze miał właśnie taki wyraz twarzy. Od wielu lat, jak pamięcią sięga, odkąd go poznali. Pewnie się urodził z taką miną. Ale wróćmy jednak do tej kobiety: płyną od niej najdziwniejsze wibracje. Jest jeszcze dziwniejsza niż Dave. I bez wątplenia w kiepskiej formie fizycznej.

Ma skołtunionie włosy, pokryte ciemnymi smugami, jak gdyby ściekał z nich smar maszynowy. Ich zmierzwione kępki sterczą na wszystkie strony. Ta kobieta od dawna nie przeglądała się w lustrze, na bank. Biję od niej zapach – właściwie smród, jeżeli może sobie pozwolić na taką obcesowość – sfermentowanego potu i wody morskiej.

Ubranie dziewczyny jest całe uwalane zeschniętym błockiem. Przewróciła się – a może miała wypadek? Czy powinien ją zapytać, czy nic jej nie jest? Mogłaby się poczuć urażona, jeśli skomentuje stan, w jakim znalazło się jej ubranie. Ba, mogłaby nawet pomyśleć, że usiłuje ją molestować seksualnie. Mężczyźnie trudno jest zachowywać się przyjaźnie, znaczy tak naprawdę po ludzku, wobec obcych osób płci przeciwnej. Może być szarmancki i uprzejmy, ale nie o to chodzi – bo w ten sposób traktuje przecież żeński personel w Urzędzie Pracy. Nie może natomiast powiedzieć obcej kobiecie, że podobają mu się jej kolczyki czy że ma piękne włosy – ani zapytać, skąd na jej ubraniu wzięło się zaschnięte błoto.

Być może jest tak ze względu na nadmierny rozwój cywilizacyjny. Dwoje zwierząt albo ludzi pierwotnych nigdy nie zastanawiałoby się nad czymś takim. Gdyby jedno z nich było ubłocone, drugie zaczęłoby po prostu zlizywać albo wyczesywać brud czy coś w tym rodzaju. Bez jakiegokolwiek seksualnego podtekstu.

Może zachowuje się jak hipokryta. Chyba widzi w tej kobiecie... Hm... Kobietę? Ona jest kobietą, a on – mężczyzną. Taka jest odwieczna rzeczywistość. I, bądźmy szczerzy, jak na tę porę roku, dziewczyna jest zadziwiająco skąpo ubrana. Tak ogromnego dekoltu nie oglądał poza domem, odkąd nadeszły śniegi.

Jej piersi są jednak podejrzanie twarde i nie poddają się prawu grawitacji – może napompowała je silikonem. Szkoda. To zagrożenie dla zdrowia – krwotoki, rak. A takie zabiegi są przecież zupełnie niepotrzebne. Bo wszystkie kobiety są piękne. Małe piersi mieszczą się przytulnie w dłoni, są ciepłe i jędrne.

Powtarzał to Cathy zawsze, kiedy z nadsyłanymi pocztą reklamami przychodził najnowszy katalog z damską bielizną, a ona wpadała w depresję.

A może nieznajoma nosi po prostu taki szatański biustonosz, modelujący i podnoszący piersi? Mężczyźni bywają naiwni w podobnych sprawach. Zmierzył ją wzrokiem z boku, od pachy po pas, w poszukiwaniu oznak zdradzających obecność fiszbinów albo twardych niczym stal tasiemek, nie zauważył jednak niczego z wyjątkiem małej dziurki w tkaninie bluzki. Rozdarcie wyglądało, jakby materiał został rozerwany przez drut kolczasty albo ostrą gałązkę. Tkaninę wokół rozdarcia pokrywała lepka, zaschnięta substancja niewiadomego pochodzenia. Czyżby krew? Bardzo chciał ją o to zapytać. Żałował, że nie jest lekarzem, bo wtedy mógłby bezkarnie zadać takie pytanie. Czy może udawać lekarza? Zna się trochę na medycynie, bo Cathy kilka razy była w ciąży, przeżyła wypadek motocyklowy, jego ojciec dostał wylewu, a Suzie była niewolnicą różnych nałogów.

Mógłby powiedzieć: „Przepraszam, jestem lekarzem i mimo woli zauważyłem...” Ale nie pochwałął kłamstwa. „Och, jak splątana tkamy sieć, gdy po raz pierwszy chcemy zwieść...”, tak powiedział Szekspir. A Szekspir nie był głupi[4].

[4] William myli się – słowa, które przypisuje Szekspirovi, to sławny cytat z poematu sir Waltera Scotta (1771-1832) *Marmion*, VI, XVII (przyp. tłum.).

Im dłużej się przyglądał tej dziewczynie, tym dziwniejsza mu się wydawała. Jej zielone welwetowe spodnie w stylu retro z lat siedemdziesiątych, choć ubłocone na kolanach, są znowu krzykiem mody, ale ona z pewnością nie ma nóg kociaka z nocnego klubu. Dygoczą jej lekko pod cienką tkaniną, a są tak krótkie, że ledwie sięgają pedałów. Przywodzą na myśl nogi człowieka chorego na porażenie mózgowe. Odwrócił głowę, żeby spojrzeć w szczelinę dzielącą fotele, bo niemal spodziewał się zobaczyć wciśnięty między siedzenia składany wózek inwalidzki. Zauważył jednak tylko stary skafander, w którym z

łatwością potrafił ją sobie wyobrazić. Jej buty wyglądają na martensy, ale są jeszcze bardziej kłocowate niż buciory Borisa Karloffa.

Najdziwniejsza jednak jest jej skóra. Powierzchnia wszystkich odsłoniętych części ciała dziewczyny, z wyjątkiem bladych, gładkich piersi, wygląda wyjątkowo osobliwie: pokrywa ją meszek, jak skórę niedawno wykastrowanego kota, któremu zaczęło właśnie odrastać futro. I wszędzie ma blizny: na kantach dłoni, wokół obojczyków, a zwłaszcza na twarzy. Nie widział jej teraz, skrywała ją bowiem splątana grzywa włosów, ale wcześniej dobrze przyjrzał się twarzy nieznajomej i zauważył blizny biegnące wzdłuż szczęki, na szyi, na nosie, a także pod oczami. No, i jeszcze te szkła korekcyjne. Optometria nie zna chyba soczewek o większej mocy powiększającej, jeśli jej oczy wydają się tak wielkie.

Nie cierpiał osądzać ludzi po wyglądzie. Liczy się wewnątrz człowieka. Ale w przypadku kobiety o tak niecodziennej powierzchowności istnieje znaczne prawdopodobieństwo, że wygląd zewnętrzny determinuje jej życie. Historia tej kobiety byłaby zapewne nadzwyczajna: może tragiczna, a może inspirująca.

Bardzo chciał ją o to zapytać.

Żałowałby bardzo, gdyby nie uzyskał odpowiedzi. Bo zastanawiałby się nad nią przez resztę życia. Wiedział o tym. Doświadczył już kiedyś czegoś podobnego. Pewnego razu, przed ośmiu laty, kiedy miał własny samochód, podwoził jakiegoś mężczyznę, który rozplakał się po prostu, usiadłszy obok niego. William nie zapytał, co się stało – był zbyt zmieszany, on, ufny w swoją męskość dwudziestolatek. Potem mężczyzna uspokoił się, a kiedy dotarli na miejsce, wysiadł i podziękował mu za podwiezienie. Od tamtej pory William myślał o nim przynajmniej raz w tygodniu.

„Dobrze się czujesz?” O to chyba może ją zapytać. Gdyby chciała, żeby się od niej odczepił, mogłaby mu od razu pokazać, gdzie jest jego miejsce. Ale mogła też zostawić sprawę otwartą.

Oblizwał usta, szukając odpowiednich słów na końcu języka. Serce biło mu szybciej, a jego oddech stał się urywany. To, że dziewczyna na niego nie patrzy, stawia go w jeszcze trudniejszym położeniu. Przyszło mu do głowy, że może powinien odchrząknąć, bo widział w paru filmach, w kinie, że tak zachowują się mężczyźni w podobnych sytuacjach, ale po chwili oblał go rumieniec na myśl, jak tandetny jest to pomysł. Mostek zaczął mu wibrować niczym bęben basowy. A może jednak rzeził i to jego płuca wydawały ów odgłos?

Co za idiotyczna sytuacja. Było już słyhać, jak dyszy. Dziewczyna gotowa pomyśleć, że zaraz się na nią rzuci albo coś takiego.

Odetchnął głęboko i porzucił myśl, żeby zadać jej jakieś pytanie, a w każdym razie zniecka. Może później, naturalną kolejną rzeczy, nadarzy się po temu inna sposobność.

Gdyby udało mu się wspomnieć w rozmowie o Cathy, mógłby zapewne rozwiać obawy dziewczyny. Dowiedziałyby się, że ma partnerkę życiową, jest ojcem dwojga dzieci i człowiekiem, któremu nawet nie powstałoby w głowie, żeby kogoś zgwałcić albo molestować. Jak może jednak poruszyć ten temat, jeśli dziewczyna o nic go nie pyta? Nie może przecież powiedzieć ni stąd, ni zowąd: A swoją drogą, jeżeli cię to interesuje, żyję z pewną kobietą, którą bardzo kocham”. To brzmiałoby strasznie tandetnie. Nie, gorzej niż tandetnie: po prostu przerażająco, wręcz psychopatycznie.

Oto jak kłamstwo odmieniło świat. Kłamstwo, którym ludzie karmią się od zarania dziejów, kłamstwo, któremu oddają się wciąż po dziś dzień. Ceną, jaką płacimy za nie wszyscy, jest śmierć zaufania. A to oznacza, że dwoje ludzi, choćby nie wiadomo jak niewinnych i cnotliwych, nigdy nie będzie mogło traktować się wzajemnie jak dwoje zwierząt. Oto, do czego prowadzi cywilizacja!

Miał nadzieję, że zapamięta to wszystko, żeby pomówić z Cathy po powrocie do domu, bo uważał że właśnie przyszła mu do głowy bardzo ciekawa myśl.

Choć może jeśli będzie za dużo opowiadał o kobiecie, która go podwiozła, Cathy źle go zrozumie. Musiał przyznać, że rozmowa o Melissie, jego byłej dziewczynie, i ich wspólnej pieszej wędrownicy po Katalonii, nie wypadła najlepiej, mimo iż Cathy w zasadzie już mu wszystko wybaczyła.

Jeżu, dlaczego ta dziewczyna w ogóle się do niego nie odzywa?

Isserley patrzyła przed siebie w rozpacz. Wciąż nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, a autostopowicz najwyraźniej nie chciał się do niej odzywać. Jak zwykle, nawiązanie rozmowy zależało od niej. Wszystko zależy od niej.

Ogromny zielony drogowskaz informował, że do Perth pozostało jeszcze sto dziesięć mil. Powinna mu powiedzieć, dokąd się wybiera. Nie miała jednak pojęcia, dokąd jedzie. Zerknęła w lusterko wsteczne. Droga była pusta i ledwo widoczna w szarym, ciężkim od śniegu świetle. Jedyne, co mogła zrobić, to jechać dalej przed siebie. Niemal nie poruszała rękami na kierownicy, a w gardle uwiązł jej krzyk udręki.

Przerażała ją myśl, ile kosztowałoby ją kontynuowanie rozmowy, nawet gdyby zdołała się zmusić, żeby ją zacząć. Autostopowicz jest widocznie typowym samcem swojego gatunku – niekomunikatywnym i głupim, choć umiejącym unikać wszelkich pułapek z istic szczurzą przebiegłością. Gdyby go zagadnęła o cokolwiek, stękałby tylko albo odpowiadał monosylabami na najsprytniejsze pytania, a przy każdej okazji pogrążałby się w milczeniu. Ona prowadziła swoją grę, on zaś swoją, i tak bez końca, zapewne całymi godzinami.

Zrozumiała nagle, że nie ma już sił, by grać dalej.

Wbiła wzrok w rozpościerającą się przed nią ponurą drogę. Poczwała, że upokarzają ją te absurdalne wysiłki, aby sprowokować i otworzyć samca, jak gdyby był bezcenną perłą, którą należy wyłuskać z tajemnej skorupy za pomocą niemal zupełnie niedostrzegalnych, drobnych manipulacji. Cierpliwość, jakiej wymagały te zabiegi, była wprost nadludzka. I po co to

wszystko? Żeby zdobyć wodsela niczym nieróżniącego się od innych, jedno z kilku miliardów zwierząt, od których roi się na tej planecie. Dla kilku paczek mięsa.

Dlaczego musi wkładać tyle wysiłku, żeby codziennie od nowa prowadzić tę grę? Czy w ten sposób ma spędzić resztę życia? Grać nieustannie i starać się ze wszystkich sił tylko po to, by pozostać w końcu z pustymi rękami (jak najczęściej bywało), a potem zaczynać wszystko od początku?

Nie może już tego wytrzymać.

Spojrzała znowu w lusterko, a potem kątem oka na autostopowicza. Spotkała jego wzrok – zaczerwienił się i skrzywił w kretyńskim uśmiechu, dysząc ciężko. Jego głęboka, zwierzęca obcość uderzyła ją nagle jak obuchem – zalała ją fala gorąca niczym mdłości po raptownym upływie krwi i poczuła, że go nienawidzi.

– *Hasusse* – powiedziała przez zaciśnięte zęby i włączyła dźwignię mechanizmu tłoczącego ikpatuę.

Autostopowicz zaczął osuwać się na nią, ale odepchnęła go otwartą dłonią. Opadł na drugi bok, jego potężne barki przechyliły się jak chybotliwa bela siana, i uderzył głową w boczną szybę. Wtedy Isserley włączyła kierunkowskaz i spokojnie zjechała na pobocze.

Stała bezpiecznie na parkingu i nie wyłączając silnika, wcisnęła właściwy przycisk, żeby zaciemnić okna. Po raz pierwszy była świadoma tej czynności. Zazwyczaj, kiedy nadchodziła owa chwila, Isserley unosiła się gdzieś wysoko w przestrzeni – a dzisiaj siedziała solidnie zakotwiczona w fotelu kierowcy, manipulując pokrętłami i przyciskami na desce rozdzielczej. Szyby wokół niej przybrały kolor ciemnobursztynowy, a świat ściemniał i zniknął. W kabinie zapaliła się mała lampka. Wsparła głowę o zagłówek i zdjęła okulary, wsłuchując się w daleki szum przejeżdżających samochodów, głośniejszy niż pomruk silnika.

Zauważyła, że oddycha zupełnie normalnie. Serce, które co prawda biło jej mocno, kiedy wpuszczała wodsela do

samochodu, pracowało teraz całkiem spokojnie.

Mogłoby się wydawać, że rozwiązała wreszcie bezimienny problem, który w przeszłości był przyczyną niepożądanych reakcji fizjologicznych jej organizmu.

Schyliła się, żeby utworzyć schowek. Z jej oczu na dzinsy autostopowicza spłynęły dwie łzy. Zmarszczyła brwi, bo nie umiała wyjaśnić, dlaczego płacze.

Wróciła bez zwłoki na Ablach Farm, zastanawiając się przez całą drogę, co jej jest.

Oczywiście, to, co stało się wczoraj... Czy może przedwczoraj? Nie była zupełnie pewna, ile czasu spędziła na molo... Ale tak czy owak, to, co się stało... Prawda, przygnębiło ją to, owszem, nie może zaprzeczyć. To wszystko należy już jednak do przeszłości. Od tamtej pory dużo wody upłynęło, jak powiadają wodse... Jak to się mówi.

Mijała nieczynną stalownię, była już prawie w domu, a obok niej siedział piękny, rosły wodsel – dzień jak co dzień. Życie toczy się dalej, czeka ją praca. Przeszłość topniała niczym widok, kurczący się do rozmiarów cętki w lusterku wstecznym, a w przedniej szybie jaśniała przyszłość, która żądała od niej pełnej koncentracji. Włączyła kierunkowskaz, kiedy zauważyła drogowskaz na Ablach.

Jadąc przez Królicze Wzgórze, była gotowa przyznać się przed sobą, że mimo wszystko nie jest chyba w dobrej formie. Postanowiła jednak wziąć się w garść, nie tracąc więcej czasu. Wiedziała już, czego jej trzeba, żeby poczuła się lepiej. Otóż siedziało w niej coś, co pragnęło wyrwać się na wolność. Coś małego: nic wielkiego. Ale jednak.

Żeby zakończyć kurację i w pełni odzyskać równowagę ducha, musiała to coś wyzwolić.

I była pewna, że wie, jak tego dokonać.

Zaparkowała pod głównym budynkiem i zatrąbiła, niecierpliwie oczekując na mężczyzn.

Drzwi rozsunęły się, za nimi zaś, jak zwykle, stał już Ensel i jego dwóch kompanów, których imion nigdy nie chciało się jej

zapamiętać. Ensel, jak zwykle, podbiegł zaraz do samochodu, żeby przyjrzeć się przez boczną szybę, co też im przywiozła. Zebrała wszystkie siły, aby wysłuchać jego tradycyjnych truizmów, odnoszących się do jakości i klasy nowego osobnika.

– Wszystko w porządku? – skrzywił się Ensel za szybą. Patrzył wprost na Isserley, nie zwracając uwagi na bezwładnego, niedbale okrytego skafandrem wodsela ze źle dopasowaną, jasnowłosą peruką na głowie. – Jesteś... Ach... Masz zabłocone ubranie.

– Wypierze się – odparła lodowato.

– Oczywiście, oczywiście – powiedział, nieco spłoszony jej tonem. Otworzył drzwi, a wtedy niepewnie wsparty na siedzeniu wodseł wypadł z samochodu jak worek kartofli.

Ensel odskoczył, zaniepokojony, a potem parsknął z zakłopotaniem, usiłując zbagatelizować incydent buńczuczną miną. – Umm... niezły, co? – łypnął okiem z ukosa. – Lepszego tutaj dotąd nie mieliśmy.

Nie raczyła odpowiedzieć, ale otworzyła z rozmachem drzwi i wysiadła. Ensel, który wraz ze swoimi towarzyszami wyciągał już wodsela z samochodu, spojrzał na podchodzącą do nich Isserley zmrużonymi ze zdziwienia oczami.

– Czy coś się stało? – wystękał, usiłując dźwignąć ciężar na wózek. Wełniany splot okazał się tak rzadki, że trudno mu było uchwycić sweter dość mocno, by unieść wodsela.

– Nie – powiedziała Isserley. – Idę z wami, to wszystko.

Ruszyła przodem i oparła się o ścianę budynku. Mężczyźni, kiwając się na boki, poszli za nią, ciągnąc wózek z leżącym już na nim wodselem.

– Och... Masz jakiś problem? – zapytał Ensel.

– Nie – odparła, obserwując ze spokojem, jak mężczyźni w końcu wtarabaniają się do środka. – Po prostu chcę zobaczyć, co z nimi robicie.

– Ach, tak? – spytał zaskoczony Ensel.

Jego kompani odwrócili głowy i popatrzyli po sobie i w milczeniu powlekli się w głąb hangaru. Isserley szła obok.

Kiedy wsiadali do windy, doszło do jeszcze bardziej żenującej sceny. Okazało się, że miejsca wystarczy dla mężczyzn i ich ładunku na wózku, lecz nie dla Isserley.

– Umm... Wiesz przecież, że właściwie nie ma na co patrzeć – Ensel posłał jej wymuszony uśmiech, wciskając się wraz z towarzyszami do ogromnego bębna.

Isserley szponiasto wygiętymi palcami zerwała z twarzy okulary i powiesiła je za wystrzępionym dekoltem swojej bluzki, wbijając w Ensela gniewne, stalowe spojrzenie, kiedy drzwi windy zaczęły się zamykać.

– Tylko nie zaczynajcie beze mnie – rzuciła groźnie.

Stojąc samotnie w pogrążonej w półmroku windzie, sunęła coraz dalej i dalej w głąb ziemi. Minęła Poziom Jadalny i Rekreacyjny, a potem zjechała poniżej kondygnacji, na której mieściły się sypialnie mężczyzn.

Zjeżdżając bezszelestnie w dół doskonale naoliwionym szybem, nie spuszczała oczu ze szwu, który otworzy się, kiedy dotrze na Poziom Tranzytowy. Znajdował się trzy kondygnacje pod ziemią. Niżej nie było już nic, z wyjątkiem zagród wodseli.

Spodziewała się, że ogarnie ją niepokój, a może nawet wpadnie w panikę, zjeżdżając tak głęboko pod ziemię. Ale gdy winda stanęła, a drzwi rozsunęły się, nie odczuła żadnych mdłości. Wiedziała, że wszystko będzie dobrze. Dostanie to, czego chce.

Przetwórnica była największym pomieszczeniem w labiryncie połączonych z sobą komór, składających się na Poziom Tranzytowy. Sufit wisiał wysoko, powierzchnia hali była okazała, oświetlenie rześiste, a wewnątrz nie znalazłoby się żadnego zakamarka, w którym skrywałyby się nawet najbledsze cienie. Pomieszczenie przypominało wybebeszony salon samochodowy, który przystosowano do nieco bardziej organicznych potrzeb. Wentylacja okazała się dobra – powietrze wpadało do środka przez kratownice licznych klimatyzatorów, umocowanych w bielonych wapnem ścianach. Zalaatywało nawet zapachem morza.

Z trzech stron biegły pod ścianami długie, metalowe stoły warsztatowe, przy których teraz nie było nikogo. Ensel i jego towarzysze, podobnie jak Unser, Główny Przetwórca, stali pośrodku sali, pochyleni nad mechanicznym urządzeniem, którym, jak domyślała się Isserley, była tak zwana Kołyska.

Wykonana z elementów różnych maszyn rolniczych, Kołyska była arcydziełem specjalistycznej inżynierii. Jej podstawę stanowił mechanizm wymontowany z maszyny do robót ziemnych i przyspawany do poidła z nierdzewnej stali. Na górze, na wysokości piersi człowieka, zamontowano dwumetrowy fragment zsypu zbożowego, któremu nadano pożądaną kształt, skuwając jego ostre brzegi do środka, aby nie kaleczyły zwierząt. Lśniący i elegancki niczym olbrzymia sosjerka zsyp przechylał się teraz mechanicznie w niewidocznym punkcie podparcia, przybierając ostatecznie położenie idealnie poziome.

Człowiekiem, który ustawiał Kołyskę w odpowiedniej pozycji, był Ensel, zadowolony, że wykonuje tak odpowiedzialne zadanie i osobiście asystuje Głównemu Przetwórcy – jego dwaj kompani rozbierali natomiast leżącego nieopodal wodsela, co było jednak zajęciem niewymagającym szczególnej precyzji z ich strony.

Unser, Główny Przetwórca – inaczej mówiąc rzeźnik, on sam bowiem z uporem stosował wobec siebie to określenie – mył właśnie ręce. Był krępy, żylastym mężczyzną, który gdyby chodził na dwóch nogach, ledwo przewyższałby wzrostem Isserley. Miał jednak potężne, gruzłowate nadgarstki i mocarne dłonie, którymi kołysał w powietrzu, przykucnąwszy nad blaszaną wanną.

Wreszcie uniósł niebywale małą, porośniętą ostrą szczecinę głowę i zaczął węszyć, jak gdyby poczuł nagle nieznaną zapach – uderzył go jednak zapach Isserley, nie wodsela.

– Hrrmmm – powiedział. Ale nie w języku ludzi ani wodseli. Po prostu odchrząknął.

Isserley wysiadła z windy, której drzwi zasunęły się za jej plecami. Czekwała, aż ktoś rzuci się na nią z pretensjami albo ją powita. Mężczyźni jednak nie zwracali uwagi na gościa, zajęci

swoimi sprawami, jak gdyby Isserley była przezroczysta. Ensel przysunął Unserowi mały metalowy wózek, na którym leżały różne błyszczące narzędzia chirurgiczne. Jego koledzy, rozbierający wodsela, sapali i złajali z wysiłku, ale ich dyszenie zagłuszała po części muzyka.

Albowiem w sali z umieszczonych w ścianach głośników płynęła prawdziwa, ludzka muzyka. Cichy śpiew i dźwięki instrumentów strunowych roztaczały wokół krzepiący aromat domu, przenikliwy zapach na wpół zapomnianych melodii z dzieciństwa, posykujących i mruczających kojąco.

Mężczyźni zdołali już ściągnąć wełniany sweter nowo przybyłego wodsela i teraz męczyli się, żeby zdjąć z niego resztę ubrania. Błede ciało zwierzęcia okrywały liczne warstwy garderoby, jak liście kapusty albo łuski cebuli – a bez ubrania samiec okazał się znacznie szczuplejszy, niż przypuszczała Isserley.

– Ostrożnie, ostrożnie – mamrotał Unser, kiedy mężczyźni niezdarnie tarosili wodsela za kostki u nóg, próbując ściągnąć z nich obcisłe wełniane skarpety. Gdy zwierzę zostanie już zamknięte w klatce, jego golenie i stopy będą narażone na kontakt z kałem, a wtedy ranki mogą zacząć gnić.

Dyszając z wysiłku, mężczyźni skończyli robotę, rzucając na stos ostatnią, maleńką część garderoby. Isserley od lat dostawała ubrania i rzeczy osobiste wodseli w torbie, w drzwiach budynku – a teraz po raz pierwszy zobaczyła, w jaki sposób torba się zapełnia.

– Hrmmm – powiedział znów Unser. Podpierając się ogonem, podszedł do Kołyski kaczkowatym krokiem na tylnych łapach, trzymając wciąż ręce w górze. Ramiona miał lśniaco czarne, równie czarne, jak Amlis, kontrastujące z szarym futrem, pokrywającym resztę jego ciała. Wyglądał tak jednak tylko dlatego, że umył właśnie ramiona aż po barki, a jego przyklapnięta sierść nasiąkła wodą.

Rzucił Isserley ostre spojrzenie, jak gdyby dopiero teraz spostrzegł jej obecność.

– Czym mogę służyć? – zapytał, wyglądając futro jeszcze bardziej okrężnymi ruchami rąk. Na posadzkę u jego stóp kapały krople wody.

– Przyszłam... Tylko popatrzeć – powiedziała Isserley. Główny Przetwórca wbił w nią palący wzrok – zdała sobie sprawę, że garbi się, splótszy ręce na piersiach, chcąc przybrać jak najbardziej ludzki wygląd.

– Popatrzeć? – powtórzył w zamyśleniu Unser, kiedy mężczyźni z trudem podnosili wodsela z podłogi.

Przytaknęła bez słowa. Aż za dobrze zdawała sobie sprawę, że przez cztery lata unikała odwiedzin w tej części budynku i tylko kilka razy rozmawiała z Unserem w jadalni. Miała jednak nadzieję, że na podstawie ich nielicznych rozmów Unser zauważył, iż Isserley go szanuje, a nawet trochę się boi. Unser, podobnie jak ona, był bowiem prawdziwym specjalistą w swej dziedzinie.

Unser ponownie odchrząknął. Chrząkał nieustannie – mężczyźni mówili, że cierpi na jakąś chorobę.

– No... Ale trzymaj się z dala – poradził jej burkliwie.

– Wyglądasz, jakbyś czołgała się w błocie.

Isserley skinęła głową i cofnęła się o krok.

– Dobra – powiedział Unser. – Połóżcie go.

Mężczyźni wepchnęli do Kołyski bezwładne ciało wodsela i odwrócili je zaraz twarzą do jaśniejącego lampami jarzeniowymi sufitu. Ułożyli równo kończyny zwierzęcia, którego barki wsunęły się gładko w specjalne zagłębienie, ukształtowane w blasze rynny. Głowa wodsela spoczęła na jej brzegu, a jego rozwichrzone, rude włosy zwisały tuż nad wielkim, blaszanym korytem.

Przez cały ten czas wodsela, choć jego ciało zachowało spokojną elastyczność, nie wykonał nawet najmniejszego ruchu. Tylko jądra drgały mu bezwiednie wewnątrz kurczącego się worka mosznowego.

Kiedy ciało zostało ułożone zgodnie z oczekiwaniami Unsera, a wózek z narzędziami podjechał do ściany Kołyski, rzeźnik

wziął się do dzieła. Podpierając się ogonem, stanął na tylnej łapie, drugą tylną łapę uniósł nad twarz zwierzęcia, a potem wsunął dwa palce w jego nozdrza. Następnie szarpnął łeb wodsela w górę i w tył, otwierając mu szeroko usta. Odczekał chwilę, aby upewnić się, że nie straci równowagi, i rozprostował ramiona. Potem ze stojącego obok wózka wybrał dwa srebrzyste narzędzia, jedno w kształcie wydłużonej litery q, i drugie, przypominające małe sierp. Oba natychmiast wsunął w rozwarte usta wodsela.

Isserley wyęczała wzrok, ale szerokie nadgarstki Unsera i esowate ruchy jego palców zasłaniały jej widok, kiedy wycinał wodselowi język. Potem odwrócił się i z łoskotem odłożył narzędzia na tacę, a na policzki zwierzęcia chlusnęła krew. Wtedy Unser bez wahania chwycił elektryczne urządzenie, przypominające duży śrubokręt krzyżakowy, i mrużąc oczy, w skupieniu, wprowadził je do ust wodsela. Iskierki światła pobłyskiwały pomiędzy zręcznymi palcami Głównego Przetwórcy, który wyszukiwał otwarte naczynia krwionośne i zamykał je, przypiekając ranę. Isserley słyszała szmer i trzaski.

Unser czyścił już usta wodsela specjalną pompką ssącą, kiedy w powietrzu rozszedł się zapach palonego ciała. Wodsel kaszlnął: był to pierwszy znak, że nie tylko nie jest martwy, ale w ogóle nie cierpi na nic poważniejszego niż ikpatuaza.

– Grzeczny chłopiec – mruknął Unser, łaskocząc zwierzę w jabłko Adama, aby zmusić je do przełknięcia śliny. – Hrmmm.

Uznawszy, że stan ust wodsela jest zadowolający, Unser zajął się jego genitaliami. Sięgnął po czyste narzędzie, otworzył worek mosznowy i szybkimi, delikatnymi, niemal rozedrganymi ruchami skalpela usunął jądra. Był to o wiele prostszy zabieg niż wycięcie języka – trwał najwyżej pół minuty. Zanim Isserley spostrzegła, co się dzieje, Unser skauteryzował ranę i zaszył moszną wprawna ręką.

– Już po wszystkim – oznajmił, odrzucając igłę z nicią na tacę. – Skończyłem. Hrmmm. – I spojrzął na swego gościa.

Isserley patrzyła na niego spod przeciwległej ściany,

mrugając powiekami. Z trudem panowała nad oddechem.

– Nie wiedziałam... Że to... Potrwa tak krótko – przyznała chrapliwym głosem. – Spodziewałam się... o wiele więcej... krwi. – Siedziała wciąż w kucki, skulona.

– No, tak – potwierdził Unser, przeczesując palcami włosy wodsela. – Szybki zabieg minimalizuje szok. Ostatecznie nie chcemy przecież przysparzać tym zwierzętom niepotrzebnych cierpień, prawda? Hmmm. – Pozwolił sobie na słaby uśmiech dumy. – Wiesz, rzeźnik musi być po trosze chirurgiem.

– Sposób, w jaki to robisz, jest doprawdy... imponujący – skomplementowała go żałośnie Isserley, przez cały czas drżąc i oplatając swoje ciało ramionami.

– Dziękuję – powiedział Unser, z jękiem ulgi opadając znów na cztery łapy.

Ensel przechylił Kołyskę na bok. Jego pomocnicy przenieśli wodsela na wózek, by powieźć go do windy.

Isserley przygryzła swoje niewrażliwe wargi, powstrzymując okrzyk rozczarowania. Jak to się mogło skończyć tak szybko? Prawie bez żadnej przemocy, żadnego... dramatyzmu. Serce waliło jej w piersi, piekły ją oczy, wbijała paznokcie głęboko w zaciśnięte w pięści dłonie. Musiała dać upust szalejącej w niej potrzebie, nabrzmiałej niemal do granicy erupcji, a męka wodsela dobiegła przecież końca – wkrótce dołączy do innych zwierząt swojego gatunku w zagrodzie.

– Kurwa mać, nie przeciągajcie mu nóg po tym stopniu – krzyknął z rozdrażnieniem Unser, kiedy mężczyźni wpychali ciężar do windy. – Mówiłem wam tysiąc razy!

Rzucił porozumiewawcze spojrzenie Isserley, jakby dając jej do zrozumienia, że właśnie ona powinna wiedzieć lepiej od innych, ile razy rugał już robotników w ten sposób.

– Dobra, niech będzie, że setki – przyznał wreszcie.

Winda zamknęła się z sykiem. Isserley i Unser znaleźli się nagle sami w wielkiej sali, gdzie oprócz nich została tylko Kołyska i zapach spalenizny.

– Hmmm – oświadczył Unser, kiedy cisza zrobiła się

kłopotliwa. – Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

Isserley otoczyła się mocno ramionami, żeby zachować panowanie nad sobą.

– Przyszło mi coś... do głowy – powiedziała. – Czy masz... Czy są jeszcze... Czy zostały ci jeszcze jakieś miesięczniki... do obróbki?

Unser potruchtał do zbiornika z wodą i zanurzył w niej ramiona.

– Nie – odpowiedział. – Przetworzyliśmy ich tyle, ile trzeba.

Chłupot wody harmonizował z dobywającą się z głośników muzyką.

– Chcesz powiedzieć, że w zagrodach nie ma więcej dojrzałych miesięczników?

– Och, jest jeden – powiedział Unser, wynurzając ramiona i gwałtownymi ruchami strzepując nadmiar wody na boki. – Ale niech sobie poczeka. Pojedzie następnym transportem.

– A dlaczego nie może pojechać teraz? – naciskała Isserley. – Bardzo bym chciała zobaczyć – znów zagryzła wargi – jak to robisz. Zobaczyć produkt końcowy.

Unser uśmiechnął się skromnie i opadł na cztery łapy.

– Obawiam się, że załadowaliśmy już na statek tyle mięsa, co zawsze – oświadczył z ledwo słyszalną nutką żalu.

– Chcesz powiedzieć, że na transportowcu nie ma miejsca na więcej? – upierała się Isserley.

Unser zwiesił głowę, przyglądając się badawczo swoim dłoniom, które unosił na przemian nad mokrą podłogę.

– Och, jest jeszcze dużo, dużo miejsca – powiedział w zamyśleniu. – Tylko chodzi o to... hrmm... No, że Oni (tu wzniosł oczy ku niebu) spodziewają się, jak ci wiadomo, określonej ilości towaru. Bo wiedzą, ile zwykle dostarczamy go jednorazowo. Jeżeli załadujemy więcej, mogliby sobie zażyczyć, żebyśmy przysłali im tyle samo w następnym miesiącu, rozumiesz?

Isserley przycisnęła dłonie do piersi, usiłując uspokoić bijące mocno serce, które, niestety, kryła zbyt gruba warstwa

sztucznego biustu.

– To nic nie szkodzi – zapewniła Unsera głosem, w którym pobrzmiwało napięcie i natarczywość. – Ja... mogę wam dostarczać więcej wodseli. Nie ma problemu. Jest ich teraz sporo, a ja coraz lepiej radzę sobie w pracy.

Unser wpatrywał się w nią uporczywie, z marsową miną, zaskoczony. Najwyraźniej nie wiedział, co o niej myśleć.

Isserley odpowiedziała przeciągłym spojrzeniem, niemal konając z pożądania. Wszystkie części jej kobiecej twarzy, które mogłaby wykorzystać, żeby go błagać i zaklinać bez słów, zostały chirurgicznie usunięte lub okaleczone.

Pozostały tylko płonące jasno oczy. Patrzyła w przestrzeń przed siebie, nie mrugając powiekami.

Kilka minut później na polecenie Unsera do Przetwórni wprowadzono ostatniego miesięczniaka.

W przeciwieństwie do jego obezwładnionego poprzednika, tego wodsela nie trzeba było nieść. Prowadzony przez dwóch mężczyzn szedł prosto i posłusznie. Prawdę mówiąc, właściwie nie trzeba było go prowadzić – powłócząc nogami, przemieszczał swoje różowe ciało jakby we śnie. Mężczyźni napierali na niego bokami tylko wtedy, kiedy wydawało się, że może upaść lub zmienić kierunek marszu. Asystowali mu: tak należało powiedzieć. Asystowali mu w drodze do Kołyski.

Jego obrzmiałe cielsko było tak ociążałe, że kiedy doszedł do Kołyski i został popchnięty, stracił równowagę, zachwiał się jak podcięte drzewo, po czym z mięsistym plaśnięciem runął na wznak do gładkiej blaszanki. Zdawał się zdziwiony, że wystarczył sam jego słoniowy ciężar, żeby osunął się po śliskim zboczu rynny – mężczyźni musieli tylko dopilnować, aby ramiona wodsela osiadły równo w specjalnych wgłębieniach.

Isserley przysunęła się bliżej, łaknąc widoku jego twarzy. Świńskie oczka, pobłyskujące w tysej czaszce zwierzęcia, były zbyt małe, żeby mogła zobaczyć ich wyraz z daleka. A za wszelką cenę chciała dojrzeć, co jest w nich wypisane.

Miesięczniak mrugał szybko powiekami. Na jego kopulastym

czołe zaczęła tworzyć się zmarszczka. Czekąco go coś, czego, być może, nie będzie w stanie wytrzymać ze stoickim spokojem. Był dotąd ufny w masę swego ciała, które obojętnie znosiło wszelkie niewygodności, teraz jednak wyczuwał, że zostanie wyciągnięty z głębin tej kryjówki. Narastał w nim niepokój, poszukujący ekspresji gdzieś pośród komórek jego spasionej do granic możliwości twarzy.

Chociaż zachowywał się spokojnie, wodseł walczył, ale nie z trzymającymi go mężczyznami, a raczej z własną pamięcią. Zdawało mu się, że gdzieś już widział Isserley. A może zorientował się po prostu, że właśnie ona jest tu jedyną istotą, która choć trochę przypomina go z wyglądu. Jeżeli ktoś miałby coś dla niego zrobić, to tylko Isserley.

Przysunęła się jeszcze bliżej, pozwalając, żeby wodseł skoncentrował na niej wzrok. Ona także usiłowała odszukać go w pamięci. Był całkowicie łysy i nie miał zarostu na twarzy, jeżeli nie liczyć bardzo długich rzęs.

Wodseł z takim wysiłkiem próbował przypomnieć sobie, skąd zna Isserley, że chyba nie zauważył opuszczającego się nad jego czoło urządzenia, przypominającego pistolet dystrybutora paliwa i połączonego z podstawą Kołyski za pomocą długiego, giętkiego kabla. Unser przytknął metalowy czubek aparatu do niezmarszczonej skóry na czole wodseła i nacisnął spust. Światła w całym budynku przygasły na niemal niezauważalny ułamek sekundy. Wodseł zamrugał powiekami tylko raz, kiedy prąd przebiegł jego mózgiem i włókno kręgosłupa. Nad ciemniejącą smugą na czole zwierzęcia zawirował blady pióropusz dymu.

Unser jednym szarpnięciem uniósł podbródek zwierzęcia, żeby odsłonić szyję. Dwoma pełnymi wdzięku, błyskawicznymi ruchami nadgarstka rozplątał arterie, po czym cofnął się, kiedy z szyi wodseła chlusnął strumień gorącej krwi, uderzając czerwoną na tle srebrzystej ryny.

– Tak! – wrzasnęła bezwiednie Isserley. – Tak!

Jej krzyk rozbrzmiewał jeszcze w Przetwórni, gdy zamarł wszelki ruch. Zapadła straszliwa cisza, tym straszniejsza, że na

chwile umilkła również piskliwa muzyka. Nie poruszało się nic, tylko niepowstrzymany strumień krwi z rozciętej szyi, pienisty, lśniący i kipiący płyn, zalewający twarz i głowę miesięczniaka, którego rzęsy niczym źdźbła wodorostów pochylała fala. Mężczyźni – Unser, Ensel i ich pomocnicy – skamienieli. Wszyscy zwrócili oczy na Isserley.

Ona zaś przypadła tak nisko do ziemi, że omal nie straciła równowagi. Co chwila zaciskała i otwierała dłonie w męczarni daremnego oczekiwania.

Koniuszek noża Unsera wznosił się nad piersią wodseła. Isserley odgadła, że teraz Główny Przetwórca rozpląta ciało zwierzęcia od szyi aż po krocze, po czym rozsunie tuszę na boki jak poły kombinezonu. Wpatrywała się tęsknie w nóż, który na chwilę zawisł w powietrzu. Po chwili jednak, ku rozczarowaniu Isserley, Unser cofnął narzędzie i rzucił je na tacę.

– Przykro mi, Isserley – oświadczył. – Myślę jednak, że twoja obecność tutaj to nie jest dobry pomysł.

– Och, proszę – skomlała Isserley, wijąc się przy ziemi. – Nie przeszkadzaj sobie z mojego powodu.

– My tu pracujemy – przypomniał jej surowo Unser. – A emocje nie mają z tym nic wspólnego.

– Wiem, wiem – Isserley znów kucnęła. – Proszę, róbcie swoje, jakby mnie tu nie było.

Unser pochylił się nad Kołyską, zasłaniając jej widok parującej głowy wodseła.

– Uważam, że powinnaś stąd wyjść – powiedział aż nazbyt dobitnie. Ensel i pozostali mężczyźni nerwowo przenosili wzrok z Unsera na obiekt jego dezaprobaty i z powrotem.

– Posłuchaj... – zakrakała Isserley. – O co tyle szumu? Nie możesz po prostu... po prostu...

Opuściła głowę i spojrzała na swoje dłonie, bo zdała sobie sprawę, że mężczyźni na nie patrzą – i z przerażeniem spostrzegła, iż jej zakrzywione niczym szpony palce wykonują takie ruchy, jak gdyby szarpały powietrze.

– Ensel – powiedział powściągliwie Unser. – Wydaje mi się,

że Isserley chyba... źle się czuje.

Mężczyźni ruszyli ku niej po mokrej posadzce, a ich postaci odbijały się w jaskrawym blasku.

– Zostawcie mnie – powiedziała ostrzegawczo.

– Proszę cię, Isserley – powiedział Ensel, podchodząc bliżej. – Wyglądasz... – Skrzywił dziwnie twarz. – To okropne widzieć cię w takim stanie.

– Zostawcie mnie – powtórzyła.

Zdawało się jej, że w niesamowitych granicach Przetwórni światło zaczęło nagle dziwnie przybierać na sile, a jego moc zwiększała się z każdą sekundą. Muzyka jakby opadała z sił i brzmiała fałszywie, aż kręgosłup Isserley przeszyły dreszcze mdłości. Do oczu i po plecach spływały jej krople piekącego potu. Przypomniała sobie nagle, że jest głęboko pod ziemią. Powietrze było tu wstrętne, przefiltrowane przez tony litej skały. Zalaływało okropnym, sztucznym aromatem morskiej bryzy. Znalazła się w pułapce, w otoczeniu stworzeń, dla których był to zupełnie normalny świat.

Żyłaste, męskie ręce wyciągnęły się zniecierpliwienie ku niej ze wszystkich stron. Chwyciły ją za nadgarstki, ramiona, ubranie.

– Zabierajcie te swoje śmierdzące łapy! – syknęła. Trzymali ją jednak mocno, chociaż stawiała opór, rozpaczliwie wymachując rękami. – Nie! Neeeeee! Neeeeee! – wrzeszczała, kiedy zbili ją z nóg.

Upadła, a wtedy wszystko dokoła zaczęło się obrzydliwie kurczyć. Ściany wystąpiły z fundamentów i zaczęły sunąć ku środkowi sali, jakby zwabione walką. Sufit, masywna, prostokątna płyta betonu, pobrużdżona bielą jarzeniówek, także z drzeniem wyrwał się na wolność i runął na nią.

Krzycząc przeraźliwie, próbowała zwinąć się w kłębek, ale silne dłonie rozciągnęły ją na ziemi. Potem Isserley pochłonęły ściany i sufit i zamknęła się nad nią ciemność.

11.

Jeszcze zanim odzyskała w pełni świadomość, poczuła surrealistyczną mieszankę dwóch zapachów: woń surowego mięsa i spadłego niedawno deszczu. Gdy otworzyła oczy, ujrzała rozpościerające się jak okiem sięgnąć nocne niebo, migoczące milionem odległych gwiazd.

Leżała na plecach, w jakimś kabriolecie, zaparkowanym w garażu o otwartym dachu.

Nie był to jej samochód – powoli zdała sobie sprawę, że w ogóle nie leży w samochodzie, lecz na pokładzie transportowca. Kłapa zamykająca jego kadłub była uchylona, a statek stał pod szczeliną ziejącą w dachu budynku.

– Przekonałem ich, że świeże powietrze dobrze ci zrobi – odezwał się w pobliżu głos Amlisa Vessa.

Spróbowała odwrócić głowę i poszukać go wzrokiem, ale kark miała sztywny, jakby zamknięto ją w dybach. Oddychając słabo i ostrożnie z obawy, aby nie sprowokować uderzenia bólu, leżała bardzo spokojnie, zastanawiając się, co ma pod głową, nie dotykała nią bowiem metalowej podłogi. Jej lekkie palce wyczuły wokół sparaliżowanych bioder powierzchnię podściółki, na której leżała: była to szorstka, pleciana mata, na jakiej chętnie sypiają ludzie.

– Kiedy wynieśli cię z windy, krztusiłaś się, dusiłaś prawie – ciągnął Amlis. – Chciałem cię wynieść na zewnątrz, ale nie pozwolili mi na to i odmówili pomocy. Skłoniłem ich jednak, żeby zgodzili się położyć cię tutaj.

– Dzięki – mruknęła beznamiętnie. – Jestem pewna, że mimo wszystko nic by mi się nie stało.

– Tak – zgodził się Amlis. – Bez wątpienia.

Isserley uważniej przyjrzała się niebu. Wciąż widać było na nim ślady fioletu, a księżyc dopiero wsuwał się na firmament.

Mogła być szósta wieczorem, najwyżej siódma. Spróbowała unieść głowę, ale jej ciało nie zareagowało zbyt posłusznie.

– Chcesz, żebym ci pomógł? – zapytał Amlis.

– Odpoczywam tylko – zapewniła go. – Miałam wyjątkowo męczący dzień.

Mijały minuty. Isserley próbowała dostosować się do sytuacji, która wydała się jej straszna i śmieszna zarazem. Poruszyła palcami stóp, a potem usiłowała dyskretnie unieść biodra, jej kość ogonową przeszła jednak igła bólu.

Amlis Vess taktownie wstrzymał się od komentarza, kiedy gwałtownie zaczerpnęła oddechu. Powiedział natomiast:

– Obserwuję niebo, odkąd tu przyjechałem.

– Doprawdy? – zapytała. Mrugając powiekami poczuła, że ma nieprzyjemnie zaskorupiałe oczy. Bardzo chciała je przetrzeć.

– Nie umiałem sobie wyobrazić niczego, co zdołałoby mnie przygotować na ten widok – mówił dalej Amlis. Jego szczerść była oczywista, co Isserley uznała za dziwnie wzruszające.

– Ja na początku też miałam takie wrażenie – powiedziała.

– Za dnia jest czysto niebieskie – zauważył Amlis, jak gdyby zwracał jej uwagę na coś, czego dotąd nie spostrzegła. W obliczu głębokiej autentyczności jego entuzjazmu naszała ją nagle ochota wybuchnąć przeraźliwym śmiechem.

– Tak, owszem – zgodziła się.

– Przybiera także wiele innych barw – dodał.

Teraz już musiała się roześmiać, wydała jednak zaledwie parsknięcie, którego głównym źródłem był ból.

– Tak, bardzo wiele – odpowiedziała przez zaciśnięte zęby. Kiedy wreszcie udało jej się podnieść rękę, chwyciła się za brzuch, co przyniosło jej ulgę. Cał po calu jej ciało wracało do życia.

– Wiesz co? – kontynuował Amlis. – Niedawno z nieba zaczęła lecieć woda. – Miał wyższy głos niż zwykle, osłabiony podziwem i przerażeniem. – Po prostu spadła z nieba. Leciała małymi kroplami, a były ich tysiące. Zadarłem głowę, żeby

zobaczyć, skąd lecą. Wydawały się materializować z niczego. Nie mogłem w to uwierzyć. Potem otworzyłem usta i podniosłem głowę ku niebu. Wtedy kilka kropli wody spadło mi wprost do ust. To było uczucie wręcz nie do opisanego. Jak gdyby natura chciała mnie nakarmić.

Isserley wygładziła tkaninę bluzki na brzuchu. Była tylko lekko wilgotna, więc deszcz nie padał chyba długo.

– Woda przestała lecieć równie nieoczekiwanie, jak zaczęła – powiedział Amlis. – Ale nawet teraz czuję jeszcze, że wszystko inaczej pachnie.

Isserley zdołała wreszcie nieco odwrócić głowę. Okazało się, że leży pod jedną z chłodziarek transportowca, z głową wspartą na szerokim pręcie zakończonym pedałem – nadepnąwszy na niego, można było podnieść pokrywę lodówki. Głowa Isserley nie była jednak dość ciężka, żeby unieść wieko – musiałyby ważyć tyle, ile ciało dorosłego mężczyzny.

Z prawej strony, na metalowej podłodze, niemal u jej boku, leżały dwie tacki z mięsem, owinięte w przezroczystą wiskożę. Na pierwszej spoczywały najlepsze, ciemnokasztanowe steki – każdy przełożony osobnym listkiem plastiku.

Na drugiej, większej tacy, piętrzyły się podroby: oczyszczone flaki albo mózdzek. Wydzielały silny zapach, nawet przez opakowanie. Mężczyźni właściwie powinni byli je schować, nim zostawili tutaj Isserley.

Odwróciła głowę w lewo. Amlis siedział niedaleko, jak zawsze piękny, z podwiniętymi pod siebie tylnymi kończynami. Wyciągnął ramiona w górę i unosił wzrok ku otwartemu dachowi budynku. Na moment mignęła biel jego ostrych zębów – bo Amlis coś żuł.

– Nie musisz przy mnie siedzieć – powiedziała, usiłując niepostrzeżenie podnieść kolana.

– Przesiaduję tu większą część dnia i nocy – wyjaśnił. – Mężczyźni, oczywiście, nie wypuszczają mnie z budynku, ale ja widzę różne przedziwne rzeczy po prostu przez ten właz w dachu. – Teraz jednak zainteresował się nią i wstał, by podejść

bliżej. Słyszała łagodny stukot jego szponiastych palców na metalowej podłodze.

Mógłby jej dotknąć, gdyby wyciągnął rękę, ale zachował znamionujący szacunek dystans, po czym znów przysiadł na zadzie, podwijając łapy pod siebie. Nie opuszczając ramion, wypiął pokrytą białym, zmierzwionym futrem pierś. Zapomniała już, jak czarny jest puch porastający jego głowę, i jak złociste są oczy Amlisa Vessa.

– Nie przeszkadza ci, że dookoła leży tyle mięsa? – spytała zaczepnie.

Nie zareagował na kryjącą się w tym pytaniu złośliwość. – Jest już martwe – powiedział po prostu. – I nic nie mogę na to poradzić.

– Bo wiesz, myślałam sobie, że może wciąż usiłujesz przemówić do serc i umysłów naszych robotników – ciągnęła Isserley, zdając sobie sprawę, że nadużywa sarkazmu.

– No cóż, starałem się, jak mogłem – powiedział Amlis z mrukliwą dezaprobatą wobec samego siebie. – Ale wiem, kiedy się wycofać, jeżeli nie potrafię sprostać wyzwaniu. A zresztą, to nie wasze umysły powinienem odmienić. – Obrzucił wzrokiem ładunek transportowca, uświadamiając sobie skalę rzezi i jej komercyjny charakter.

Isserley przyglądała się jego szyi i ramionom. Futro Amlisa było tak mięciutkie, że trzepotało na wietrze. Niechęć, jaką odczuwała wobec niego, zaczęła topnieć, kiedy wyobraziła sobie, że Amlis opiera swoją ciepłą, wełnistą pierś na jej grzbiecie i delikatnie kąsa ją białymi zębami w kark.

– Co jesz? – zapytała, ponieważ bezustannie poruszał szczękami.

– Nic – oświadczył beztrąsko i znowu zaczął żuć. Przeszył ją błysk pogardy: Amlis jest taki sam, jak wszyscy potężni bogacze – kłamie po filistersku, swobodnie, arogancko lekceważąc świadectwo cudzych zmysłów. Zrobiła nieżyczliwą minę, jak gdyby chciała powiedzieć: „Niech ci będzie”. Od razu trafnie odczytał ten grymas, mimo że rysy twarzy Isserley na pewno

wydawały mu się egzotyczne.

– Nic nie jem, tylko żuję – zaprotestował uroczyście, choć w jego oczach pojawiły się figlarne iskierki. – Prawdę mówiąc, ikpatuję.

Przypomniała sobie, że upodobanie Amlisa do ikpatuy jest powszechnie znane, i chociaż była zaintrygowana, spojrzała na niego z wyższością.

– Myślałam, że z tego wyrosłeś.

Amlis nie dał się jednak sprowokować.

– Ikpatua nie ma nic wspólnego z dziecinnym czy dojrzałym zachowaniem – zauważył chłodno. – To roślina, która posiada niezwykle właściwości.

– Dobrze, dobrze – westchnęła, odwracając głowę i znowu wpatrując się w rozgwieżdżone niebo. – Tak czy owak, możesz od tego umrzeć.

Usłyszała śmiech Amlisa, nie widząc jego miny. Żałowała, że nie może jej zobaczyć, ale po chwili zirytowało ją, że tego żałuje.

– Musiałbym połknąć belę ikpatuy ważącą tyle, co ja – powiedział.

Wtedy mimo woli zaśmiała się Isserley – myśl, że Amlis próbuje połknąć taką ilość ikpatuy na raz, wydała się jej kuriozalnie zabawna. Usiłowała zasłonić ręką roześmiane usta, ale ból w plecach okazał się zbyt okrutny, leżała więc sztywno, rechocząc bezradnie, nie zasłoniwszy twarzy. Im dłużej się śmiała, tym bardziej nie mogła powstrzymać wesołości – miała jedynie nadzieję, że Amlis rozumie, iż ona śmieje się, ponieważ wyobraża go sobie absurdalnie obrzmiałego, niczym ciężarna krowa.

– Wiesz, ikpatua to wyjątkowo skuteczny środek przeciwbólowy – powiedział łagodnie. – Może chcesz spróbować?

Te słowa zgasiły uśmiech na jej twarzy.

– Nic mnie nie boli – powiedziała zimno.

– Przeciwnie, cierpisz ból – odparł głosem, w którym pobrzmiwały reprimenda i wymuskane starannie samogłoski.

Rozwścieczona Isserley dźwignęła się na łokciach, wbijając w

niego wyjątkowo gniewne, ostre spojrzenie.

– Nic mnie nie boli, rozumiesz? – powtórzyła, choć zimny pot cierpienia szczypał ją w piersi.

Przez chwilę oczy Amlisa jaśniały wrogością, ale zamrugał zaraz powoli i ociężałe, jakby jego układ krwionośny wchłonał kolejną dawkę środka uspokajającego.

– Dobrze, niech będzie, jak chcesz, Isserley.

Nie przypominała sobie, aby zwracał się do niej wcześniej po imieniu. Dopiero teraz. Zaciekawilo ją, co skłoniło młodzieńca, aby go wreszcie użyć, i czy to możliwe, że podobne okoliczności wystąpią ponownie już wkrótce.

Powinna jednak jakoś się go pozbyć. Musi poćwiczyć, żeby odzyskać sprawność, a przecież nie będzie, do jasnej cholery, gimnastykować się przy Amlisie.

Najprostszym wyjściem byłoby opuścić statek pod byle pretekstem i wrócić do domku, gdzie Amlis nie miał wstępu. Ale była zbyt obolała, żeby pokonać sześć metalowych stopni dzielących kadłub transportowca od podłogi.

Ponieważ teraz wspierała się na łokciach, mogła niemal niezauważalnie wygiąć nieco ramiona i kręgosłup. Odwróci jego uwagę, podtrzymując rozmowę.

– Jak myślisz, co zrobi z tobą ojciec, kiedy wrócisz?

– Jak to, co ze mną zrobi? – Z początku zdawało się, że nie rozumie pytania. Isserley znów niechcący zderzyła się z jego doświadczeniem życiowym rozpieszczonego dziecka. Najwyraźniej nie wyobrażał sobie, by ktoś mógł mu coś zrobić wbrew jego woli. Słabość jest domeną niższych klas społecznych. – Ojciec właściwie nie wie, że tu jestem – powiedział w końcu, nie mogąc ukryć nutki zadowolenia w głosie. – Myśli, że jestem na Yssiis albo na Bliskim Wschodzie. W każdym razie kiedy z nim ostatnio rozmawiałem, wspominałem, że chyba tam pojedę.

– Przyleciałeś jednak tutaj, tym statkiem – przypomniała mu Isserley, wskazując ruchem głowy mięso i rozstawione dookoła chłodziarki. – Transportowcem należącym do Korporacji Vessa.

– Tak – uśmiechnął się szeroko. – Ale bez oficjalnej zgody czynników urzędowych. – Jego uśmiech był chłopięcy, wręcz dziecinny. Spojrzał w niebo, a futro na jego gardle zafalowało znów niczym zboże na wietrze. – Widzisz, mój ojciec wciąż żywi płonną nadzieję, że pewnego dnia ja przejmę ten interes. „Niech firma zostanie w rodzinie”, powiada. Oczywiście, strasznie by się zmartwił, gdyby najbardziej dochodowy dzisiaj produkt na świecie podebrał mu jakiś konkurent. Bo na razie nazwy „woddisyna” i „Vess” są nierozłączne. Każdy, kto pragnie zasmakować czegoś niewyobrażalnie boskiego, myśli po prostu „Vess”.

– To chyba bardzo korzystne dla was obu – powiedziała Isserley.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego... No, w każdym razie od czasu, kiedy dorosłem na tyle, żeby zadawać pytania. Ojciec traktuje mnie jak sassynila. „A o czym tu gadać? – powiada. – Towar dojrzewa, potem zbieramy żniwo i wysyłamy gotowy produkt do domu”. Ale wobec mnie nie jest aż tak skryty, jak wobec innych ludzi. Wystarczy, że okażę chociaż przebłysk zainteresowania firmą, a natychmiast mięknie. Ciągle ma nadzieję, że przejrzę na oczy. Pewnie dlatego zawsze miałem wszędzie wstęp, nawet do doków Korporacji Vessa.

– No i co z tego?

– To znaczy, chciałem powiedzieć... Że odbyłem tę podróż jako... Jak to się mówi? Jako pasażer na gapę.

Znowu się roześmiała. Rozluźniła mięśnie i opadła z powrotem na grzbiet.

– Wygląda na to, że im człowiek bogatszy, tym dalej musi podróżować w poszukiwaniu mocnych wrażeń – zauważyła.

Teraz Amlis wreszcie się rozgniewał.

– Musiałem zobaczyć na własne oczy, co tu się dzieje – warknął.

Isserley znów spróbowała się podnieść, pokrywając bezskuteczność swoich wysiłków protekcyjnym westchnieniem.

– Nic nadzwyczajnego – powiedziała. – To wyłącznie kwestia... popytu i podaży. – Te dwa ostatnie słowa wypowiedziała śpiewnie, jak gdyby stanowiły odwieczną, nierozłączną parę, niczym dzień i noc albo kobieta i mężczyzna.

– Tak, potwierdziły się moje najgorsze obawy – ciągnął Amlis, nie zwracając uwagi na jej konstatację. – Handel woddisyną opiera się na straszliwym okrucieństwie.

– Nie masz pojęcia, czym jest okrucieństwo – powiedziała. Odczuwała ból na całym ciele i w jego wnętrzu, wszędzie, gdzie została okaleczona. Jakże szczęśliwy jest ten rozpieszczony młodzian, skoro jego „najgorsze obawy” dotyczą warunków życia egzotycznych zwierząt, a nie, na przykład, okropności, jakim on sam, być może, będzie musiał kiedyś stawić czoło w walce o życie. – Byłeś kiedyś w Posiadłościach, Amlis? – spytała wyzywająco.

– Tak – odpowiedział ze swoją teatralnie nieskazitelną dykcją. – Oczywiście. Każdy powinien wiedzieć, jak tam jest.

– Ale nie zabawiłeś pod ziemią na tyle długo, by zaznać na własnej skórze przykrych trudów tamtejszego życia, co?

Zirytowała go ta uwaga. Zastrzygł uszami.

– A co miałem zrobić? – zapytał. – Zgłosić się na ochotnika do ciężkich robót? Żeby bandyci roztrzaskali mi łeb? Jestem bogatym człowiekiem, Isserley. Mam się dać zabić, by za to odpokutować?

Nie odpowiedziała. Jej palce znalazły wreszcie zalegającą w kącikach oczu skorupę kruchych, wapiennych łusek wyschłych łez, którymi płakała przez sen. Wyskrobała je spod powiek.

– Ty przyjechałaś tutaj, żeby uciec od trudów życia w Posiadłościach, czy nie tak? A ja ciężkiego życia nigdy nie prowadziłem i nie zaznałem cierpień, za co jestem losowi naprawdę bardzo wdzięczny. Każdy stara się unikać cierpień. Jesteśmy ludźmi, więc niewątpliwie pragniemy tego samego.

– Nigdy się nie dowiesz, czego ja pragnę – syknęła Isserley z gniewem, który zdumiał ją samą.

Rozmowę ściał na moment mróz milczenia. Przez dach

budynku wpadały do wnętrza powiewy zimnego wiatru – niebo pociemniało jeszcze bardziej. Wszedł księżyc, przypominający okrągłe jezioro fosforescencji unoszącej się w przestrzeni. Po dłuższej chwili do hangaru wpadł niesiony wiatrem liść, który, trzepocząc, sfrunął do wnętrza statku, a Amlis natychmiast rzucił się na niego. Obracał listek na wszystkie strony w pustce swoich dłoni, podczas gdy Isserley usiłowała odwrócić głowę, żeby na niego nie patrzeć.

– Opowiedz mi o swoich rodzicach – odezwał się w końcu, jakby namawiał ją, by dopełniła warunków najniewinniejszej i najłatwiejszej umowy, jaką tylko można sobie wyobrazić. Poczowała szturchnięcie, które poruszyło twardą masę niestrawionej nienawiści, zalegającą w jej kiszkiach.

– Nie mam rodziców – powiedziała groźnie lodowatym głosem.

– No, to opowiedz, jacy oni byli – poprawił się Amlis.

– Z nikim nie rozmawiam o moich rodzicach – oświadczyła Isserley. – Nigdy. Nie mam na ten temat nic do powiedzenia.

Popatrzył jej w oczy i szybko pogodził się z tym, że nawet on, Amlis Vess, nie uzyska pozwolenia wstępu na ten teren. Westchnął.

– Wiesz, czasami myślę, że warto rozmawiać wyłącznie o tym, o czym ludzie w ogóle nie chcą rozmawiać – odpowiedział, niemal w rozmarzeniu.

– Owszem – zachnęła się Isserley. – Na przykład o tym, dlaczego niektórzy ludzie spędzają życie na próżniactwie i filozofii, a innych tymczasem zapędza się do roboty w jakiejś pieprzonej norze.

Amlis zaczął znów żuć ikpatuę, a jego oczy zwężyły się w szparki rozżalenia i złości.

– Za wszystko trzeba płacić, Isserley – powiedział. – Nawet bogacz płaci za to, że rodzi się bogaty.

– Och, oczywiście – zadrwiła, rozpaczliwie pragnąc pogłodzić biały plusz piersi Amlisa i przeciągnąć ręką wzdłuż jego jedwabistego boku. – Widzę doskonale, jak bardzo skrzywdziło

cię życie.

– Nie każdą krzywdę widać – odparł cicho.

– To prawda, ale ludzie oglądają się tylko za widocznym kalectwem, nie sądzisz? – odparowała z rozgoryczeniem. – Skutki takiej krzywdy dostrzega chyba każdy, co, panie Vess?

Przestraszył ją, bo dźwignął się nagle na nogi, stanął u jej ramienia i opuścił głowę, przysuwając się przerażająco blisko.

– Posłuchaj, Isserley – powiedział Amlis z naciskiem. Czarny puch na jego twarzy zjeżył się, a ciepły oddech z jego ust łaskotał ją w szyję. – Uważasz, że nie widzę, że oderżnęli ci połowę twarzy? Myślisz, że nie zauważyłem, że przeszczepiono ci te dziwne garby, usunięto piersi, amputowano ogon i zgolono sierść? Myślisz, że nie potrafię sobie wyobrazić, jak się teraz czujesz?

– Wątpię – sapnęła. Piekły ją oczy.

– Oczywiście, że widzę, co ci zrobili, ale mnie interesuje przede wszystkim ludzkie wnętrze – naciskał dalej Amlis.

– Och, proszę cię, oszczędź mi tego pieprzenia – jęknęła, odwracając się od niego, kiedy z oczu popłynęły jej łzy. Ściekały po policzku, by zniknąć w ohydny otworze, pozostałym po okaleczonym uchu Isserley.

– Więc uważasz, że nikt nie potrafi dostrzec w tobie człowieka? – wykrzyknął.

– Gdyby tacy jak ty dostrzegli we mnie człowieka, to nie zesłaliby mnie do Posiadłości, nie sądzisz? – odkrzyknęła Isserley.

– Nie ja zesłałem cię do Posiadłości.

– Nie, skąd – rzuciła wściekle. – Nikt nie chce wziąć na siebie osobistej odpowiedzialności, prawda?

Odwróciła się od niego gwałtownie, zapominając o bólu, który niby szpikulec przeszył jej kręgosłup od żeber aż po odbył. Amlis doskoczył do niej natychmiast, gdy tylko krzyknęła.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedział, otaczając ramieniem jej barki, a ogonem kark.

- Zostaw mnie w spokoju! – załkała.
- Najpierw spróbuj usiąść – odparł spokojnie.

Pomógł jej dźwignąć się z podłogi i uklęknąć. Aksamitnym, choć kościstym czołem musnął przelotnie szyję Isserley i zaraz potem wycofał się w głąb statku, by mogła sama odzyskać równowagę.

Rozprostowała zeszywniałe kończyny, czując w głębi ciała spazmatyczne napięcie, na skórze zaś wspomnienie dotyku Amlisa. Jej łopatki chrupnęły niebezpiecznie, kiedy spróbowała nimi poruszyć, ale teraz nie mogła się dłużej przejmować wrażeniem, jakie robi na nim. Rozglądając się w poszukiwaniu Amlisa, zobaczyła, że młodzieniec powraca właśnie z krótkiej, łupieżczej wyprawy w głąb ładowni.

- Proszę, poczęstuj się – powiedział, zbliżając się do niej na trzech łapach. W palcach trzymał kępkę gałązek jakiejś rośliny. Miał całkiem poważną minę, co Isserley nie wiedzieć czemu wydało się bardzo zabawne.

- Jestem przeciwna zażywaniu narkotyków – zaprotestowała i wybuchnęła śmiechem, ból rozmontował bowiem jej kruche pozycje obronne. Ocierając z policzków świeże łzy, wzięła od niego omszałą gałązkę ikpatuy i wsunęła ją sobie do ust.

- To się po prostu żuje, tak?

- Tak – odpowiedział. – Ikpatua zamieni się zaraz w papkę i nie będziesz musiała myśleć o niczym.

Pół godziny później poczuła się znacznie lepiej. Po jej ciele rozchodziła się fala znieczulenia, a nawet błogości. Gimnastykowała się na oczach Amlisa Vessa i wcale jej to nie przeszkadzało. Vess opowiadał bez końca o szkodliwości i nikczemności spożywania mięsa, a wszystko, co mówił, zdawało się jej żałosne i komiczne. Jest właściwie bardzo zabawnym młodzieńcem, jeśli nie brać zbyt do serca jego świętoszkowatych bredni. Z przyjemnością słuchała niskiego, monotonnego głosu, powoli zataczając w powietrzu szerokie kręgi rękami i nogami, usiłując skupić się na ćwiczeniach i uparcie żując gorzkie ziele.

– A wiesz, że odkąd ludzie zaczęli spożywać mięso, pojawiły się doniesienia o różnych nowych, tajemniczych chorobach. Odnotowano wiele niewyjaśnionych zgonów.

Na twarzy Isserley pojawił się wymuszony uśmiech – jego apokaliptyczne, uroczyste proroctwa brzmiały naprawdę prześmiesznie.

– Nawet członkowie Elity dają do zrozumienia, że spożywanie mięsa może być niebezpieczne – upierał się Amlis.

– No, cóż – odparła niedbale. – Ja mogę tylko powiedzieć, że my tu przestrzegamy najsurowszych norm jakości.

Znowu parsknęła śmiechem. Ku jej zdumieniu roześmiał się także i on.

– A swoją drogą, ile kosztuje u nas filet z woddisyny? – zapytała, wyciągając ręce ku nocnemu niebu.

– Jakieś dziewięć, dziesięć tysięcy lissów.

Zaprzestała wymachów, by popatrzeć na niego z niedowierzaniem. Dla przeciętnego człowieka dziesięć tysięcy lissów było sumą równą wartości miesięcznego przydziału wody i tlenu.

– Żartujesz chyba? – otworzyła usta ze zdumienia i opuściła ręce.

– Jeżeli płacisz mniej niż dziewięć tysięcy, to możesz być pewna, że towar nie jest oryginalny.

– Ale... Kogo stać na taki wydatek?

– Prawie nikogo. Dlatego właśnie mięso jest tak nieprawdopodobnie pożądanym towarem.

Amlis w zamyśleniu wciągnął w nozdrza zapach zawiniętego w wiskozę szkarłatnego mięsa, jakby usiłował sobie przypomnieć, czy wachał je kiedyś w domu już w postaci gotowego dania.

– Jeżeli ktoś chce przekupić urzędnika, przypochebić się klientowi... Albo uwieść kobietę... To nie ma lepszego sposobu.

Isserley wciąż nie potrafiła tego do końca pojąć.

– Dziesięć tysięcy lissów... – zdumiewała się.

– Prawdę mówiąc – ciągnął Amlis – mięso jest tak cenne, że

próbuję się je hodować w laboratoriach.

– Chcą mnie pozbawić roboty, co? – powiedziała Isserley, wracając do swoich ćwiczeń.

– Być może. Korporacja Vessa wydaje majątek na transport.

– Jestem pewna, że ich na to stać.

– Oczywiście. Ale mimo wszystko woleliby oszczędzić sobie zachodu.

Isserley wyciągnęła ramiona przed siebie i powoli rozsuwała je na boki.

– Bogacze zawsze będą się domagać oryginalnego towaru – stwierdziła.

Amlis bawił się liściem na rozmaite sposoby, dbając jednak o to, żeby go nie uszkodzić.

– Są plany, by rzucić na rynek gorszej jakości mięso hodowlane dla ubogich. Ojciec, oczywiście, zachowuje w tej kwestii daleko idącą ostrożność, ale wiem, że już przeprowadzono kilka naprawdę niezwykłych eksperymentów. To jest biznes. A mój ojciec porządziłby całą planetę na kawałki, gdyby uważał, że może na tym zarobić.

Isserley obracała się teraz wokół własnej osi, jak śmigło albo wiatrowskaz. Nie mogłaby tego zrobić, gdyby chirurdzy nie zmodyfikowali budowy jej ciała. W pewnym sensie usiłowała nieśmiało popisać się przed Amlisem.

– Jest taka paskudna przekąska, bardzo popularna w Posiadłościach – tłumaczył. – Cieniutkie plasterki bogatych w skrobię bulw, smażone w tłuszczu, a potem suszone na chrupko. Korporacja Vessa aromatyzuje je jakimś ubocznym produktem, powstającym w procesie przetwórczym mięsa, a popyt na nie jest wręcz fenomenalny.

– Śmieciom smakują śmiecie – powiedziała Isserley, wyciągając znów ramiona ku niebu.

Na zewnątrz rozległ się syk otwieranych drzwi. Wyjrawszy znad krawędzi kadłuba, Isserley i Amlis ujrzeli Ensela wysiadającego z windy w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Przybysze odpowiedzieli im spojrzeniem z przeciwległego końca

pustego, betonowego pasa lądowiska.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko u was w porządku – zawołał Ensel, którego prostacki głos odbijał się głucho od metalowych ścian.

– Nic mi nie jest, Ensel – odparła Isserley, ledwie racząc go zauważyć. – A panu Vessowi nic z mojej strony nie grozi.

– Ach, tak... Jasne – odpowiedział Ensel. – Jasne. – Po czym bez słowa pokazał im ogon i w asyście swojego towarzysza wsiadł z powrotem do windy. Znow rozległo się syknięcie zamykanych drzwi, a potem obaj zniknęli.

Amlis, który stał obok Isserley, odezwał się cicho.

– Wiesz, Ensel naprawdę się tobą interesuje.

– Niech się idzie pierdolić własnym ogonem – powiedziała Isserley i znow zaczęła żuć grudkę ikpatuowej papki, którą wysunęła teraz językiem z fałdy policzka.

Wyżej, nad ich głowami, zaczął znow padać, a raczej siąpić, deszcz. Amlis spojrzał ku górze, w czern, w zdumieniu i zadziwieniu. Gwiazdy zniknęły – zastąpiła je mgła, a lśniącego, unoszącego się w przestrzeni dysku niemal nie było już widać. Kropelki wody kapały Amlisowi na futro. Znikały natychmiast w ciemnej, gładkiej sierści, błyszczały natomiast i drżały na jego wełnistej, białej piersi. Z niejakim wahaniem usiadł, wspierając się na ogonie, i otworzył usta. Isserley nie widziała dotąd jego języka. Był czerwony i nieskazitelny jak płatek anemona.

– Isserley – powiedział, przełykając ślinę. – Czy to prawda, co ludzie mówią o morzu?

– Mmmm? – Rozkoszowała się kroplami deszczu na swojej twarzy. Żałowała, że nie leje jak z cebra.

– Słyszałem, jak rozmawiali o nim robotnicy – mówił dalej Amlis. – Że to jest akwen, który jakby... Leży nad brzegiem i tkwi tam cały czas. Widują go z daleka. Powiadają, że jest ogromny i że ty ciągle tam chodzisz.

– Tak – westchnęła. – To prawda.

Drzwi wjazdu w dachu zaczęły się zasuwać – widocznie Ensel uznał, że Isserley dość nawdychała się świeżego powietrza.

– A kiedy wypuszczałem na wolność te nieszczęsne wodsele – powiedział Amlis – było wprawdzie ciemno choć oko wykol, zobaczyłem jednak... Coś, co wyglądało jak... Drzewa, tylko że niesłychanie ogromne, wyższe od tego budynku. – Jego kwiecisty akcent brzmiał teraz żałośnie. Amlis był jak dziecko, które próbuje podsumować wspaniałość wszechświata w bombastycznym języku piaskownicy.

– Tak, tak – uśmiechnęła się. – To wszystko prawda. To wszystko jest na tym świecie.

Ale dach już się zamknął – i świat zewnętrzny znikł.

– Zabierz mnie ze sobą i pokaż mi go – poprosił nagle Amlis, a jego głos odbił się w hangarze słabym echem.

– Nie ma mowy – odpowiedziała stanowczo. – Jest ciemno – nalegał. – Nikt nas nie zobaczy.

– Nie ma mowy – powtórzyła Isserley.

– Chodzi ci o wodsele? Czy te tępe zwierzęta naprawdę są niebezpieczne? – dopytywał się prosząco Amlis.

– Bardzo – zapewniła.

– Dla zdrowia i życia czy dla bezproblemowego funkcjonowania Korporacji Vessa?

– Korporacja Vessa głównie mnie obchodzi.

– Więc weź mnie ze sobą – błagał. – Pojedziemy tym twoim wehikułem. Będę grzeczny, przyrzekam. Chcę tylko popatrzeć. Proszę.

– Powiedziałam „nie”.

Kilka minut później przejeżdżała powoli pod splątanym sklepieniem gałęzi drzew, obok domu Esswisa. W środku, jak zwykle, paliło się światło. Jechała bez świateł. Widziała ścieżkę dość dobrze w świetle księżyca, bo nie musiała używać okularów. Poza tym setki razy chodziła tędy piechotą.

– Kto wybudował te domy? – zapytał Amlis, który przykucnął na fotelu pasażera, wspierając dłonie na brzegu deski rozdzielczej.

– My – odpowiedziała spokojnie Isserley. Była rada, że poza farmą nie widać innych zabudowań i że jej zaniedbany domek

sprawia wrażenie skleconej byle jak konstrukcji z kamieni i walających się dookoła odpadków. Ale o znacznie okazalszej siedzibie Esswisa powiedziała: – A ten dom został zbudowany dla Esswisa. To ktoś w rodzaju mojego szefa. Naprawia ogrodzenie, organizuje karmę dla zwierząt, i tak dalej.

Przejeżdżali blisko jego domu, na tyle blisko, by Amlis zobaczyć zasnutę mgłą okna i stojące na parapetach kloce ozdobnych rzeźb.

– Kto je wyrzeźbił?

Isserley rzuciła okiem na drewniane figurki.

– Ach, to Esswis – powiedziała odruchowo, kiedy mijali już dom, ale nagle zdała sobie sprawę, że to kłamstwo może, mimo wszystko, okazać się prawdą. Oczami wyobraźni ujrzała szereg wyrzuconych przez fale na brzeg lśniących, spłowiałych kawałków drewna. Ktoś zestrugał je następnie i ociosał, aż osiągnęły elegancję zastygłych w baletowych, męceńskich pozach szkieletów, stojących rzędem za podwójnymi szybami. Może Esswis w ten właśnie sposób spędzał zimą samotne godziny.

Jechała przez otwarte pola, na których majaczyły masywne, okrągłe bele siana, rozrzucone aż po horyzont niczym czarne dziury. Tu i ówdzie wyrastały ku niebu krzaki i drzewa, niesłużące żadnym celom rolniczym, wystawiając na pokaz odporne na mróz kwiaty albo długie, kruche gałązki, w zależności od gatunku, do jakiego należały.

Isserley wiedziała, co czuje Amlis: oglądał żywe rośliny, których nie trzeba hodować w żadnych zbiornikach ani wydierać z białej jak kreda, szlamowatej gleby, lecz które wystrzelają z ziemi wprost ku górze niby gejzery radości. Wokół ciągnęły się całe akry spokojnej urodzajności, dającej sobie radę bez widocznej pomocy ze strony ludzi. A Amlis oglądał przecież pola Ablach zimą – co by to było, gdyby mógł zobaczyć, co tu się dzieje na wiosnę!

Jechała bardzo, bardzo powoli. Ścieżka prowadząca nad brzeg morza nie była przeznaczona dla pojazdów z napędem na

dwa koła, bała się więc, że może uszkodzić samochód. Ponadto męczył ją irracjonalny strach, że jeśli wjedzie na jakiś wybój, jej prawa dłoń mogłaby się zsunąć z kierownicy i mimowolnie włączyć dźwignię uruchamiającą mechanizm tłoczący ikpatuę. Amlis nie zapiął wprawdzie pasa bezpieczeństwa i podekscytowany wiercił się na fotelu, igły mogły go jednak, mimo wszystko, dosięgnąć.

Pod wielką bramą na końcu ścieżki w Ablach, już blisko klifów, Isserley zatrzymała samochód i wyłączyła silnik. Było stąd dobrze widać Morze Północne, srebrne tej nocy, leżące pod niebem, którego wschodnie krańce były szare od niosących śnieg chmur, choć na zachodzie jaśniał wciąż księżyc i gwiazdy.

– Och – powiedział słabo Amlis.

Widziała doskonale, że jest poruszony. Wpatrywał się w olbrzymie, niewiarygodne wody oceanu, a ona obserwowała profil jego twarzy. Czuła się bezpiecznie, wiedziała bowiem, że Amlis nie zdaje sobie sprawy z jej tęsknych pragnień.

Minęło sporo czasu, zanim ochłonał na tyle, by móc jej zadać pytanie. Wiedziała, o co zapyta, jeszcze zanim otworzył usta, i odpowiedziała mu, zanim się odezwał.

– Widzisz tamtą cienką, jasną linię? – wskazała ręką. – Tam kończy się morze. No, to znaczy właściwie nie, ciągnie się dalej bez końca. Ale my nie widzimy go dalej poza tą linią. A wyżej zaczyna się niebo. Widzisz?

Było coś okrutnie wzruszającego, lecz i rozkosznego w tym, że Amlis uznaje ją najwyraźniej za strażniczkę i opiekunkę całego świata, jak gdyby do niej należał. Być może zresztą był to rzeczywiście jej świat.

Bo w pewnym sensie straszliwa cena, jaką przyszło jej za niego zapłacić, uczyniła ten świat jej własnością. Pokazywała Amlisowi świat natury, który mógł osiąść każdy, kto gotów był złożyć ostateczną ofiarę – ofiarę, której nikt prócz niej złożyć się nie ośmielił. No, dobrze, nikt oprócz niej i Esswisa. Esswis jednak rzadko opuszczał farmę. Zapewne był zbyt przybity swoją szpetotą. Uroki natury nie miały dla niego znaczenia – bo

stanowiły niedostateczną pociechę. Ona natomiast, przeciwnie, parła w świat, żeby zobaczyć to, co godne poznania. I codziennie stawała pod wielkim, bezstronnym niebem, z zadowoleniem witając spływające z niego pokrzepienie.

Po pewnym czasie na granicy Ablach, na skraju klifu, pojawiło się wędrujące gęsiego stadko owiec. Ich runo lśniło w świetle księżyca, a czarne mordki były niemal niewidoczne na tle mrocznych zarośli janowca.

– Co to za zwierzęta? – zachwycił się Amlis, niemal rozplaszczony nos na szybie auta.

– Owce – poinformowała go Isserley.

– Skąd wiesz, jak się nazywają?

Isserley szybko znalazła właściwą odpowiedź.

– Bo one tak nazywają same siebie – powiedziała.

– Znasz ich język? – wytrzeszczył oczy Amlis, kiedy zwierzęta przebiegły truchtem obok.

– Właściwie nie – powiedziała. – Tylko kilka słów.

Śledził owce wzrokiem, jedną za drugą, zwracając głowę coraz bliżej Isserley, kiedy przyglądał się, jak nieznane mu zwierzęta z wolna opuszczają krąg jego życiowych doświadczeń.

– Próbowaliście zabijać je na mięso? – zapytał Amlis. Isserley osłupiała.

– Mówisz poważnie?

– Skąd mogę wiedzieć, co wy tu kombinujecie?

Zamrugała bezradnie powiekami, nie wiedziała bowiem, co powiedzieć. Jak coś takiego mogło mu przyjść do głowy? Czy ojca i syna łączy okrutna bezwzględność?

– Przecież to... Przecież to są czworonogi, Amlisie, nie zauważyłeś? Są porośnięte sierścią, mają ogony... A rysy ich twarzy nie różnią się zbyt od naszych...

– Posłuchaj – zaczął gniewnie. – Jeżeli ktoś spożywa mięso żywych istot...

Isserley westchnęła – chciała przyłożyć palec do warg Amlisa, żeby go uciszyć.

– Proszę cię – błagała, kiedy ostatnie owce zniknęły w tunelu

janowca. – Nie psuj nastroju.

Ale Amlis, jako typowy mężczyzna, nie dał się odwieść od zamiaru unicestwienia niepokalanego uroku tej chwili – zmienił jedynie taktykę.

– Wiesz co? – powiedział. – Dużo rozmawiałem z mężczyznami.

– Z jakimi mężczyznami?

– Z tymi, z którymi pracujesz.

– Ja pracuję sama.

Amlis odetchnął głęboko i zaczął jeszcze raz.

– Mężczyźni powiadają, że jesteś nieswoja.

Isserley parsknęła pogardliwie. Amlis rozmawiał zapewne z Enselem. Parchaty, pokryty bliznami Ensel o spuchniętych jądrach wywnętrza się przed przybyłym do nich w odwiedzinach waśniakiem. Męskie zwierzenia w cztery oczy.

Wyczuwając, że trucizna nienawiści zaczyna się znów wsączać w jej organizm, posmutniała i zawstydzona się niemal: jakże wielką ulgą było o niej zapomnieć, choćby przez krótką chwilę! Czyżby ta papkowata grudka, którą żuła, naprawdę działała tak uspokajająco? Zwróciła się do Amlisa z niezręcznym uśmiechem.

– Masz trochę więcej... Hm... – Nie zmuszaj mnie, żebym wymówiła to słowo, pomyślała.

Amlis wręczył jej kolejną gałązkę ikpatuy, którą wyciągnął z przyniesionej wcześniej wiązki.

– Mężczyźni twierdzą, że się zmieniłaś – powiedział. – Czy spotkało cię coś złego?

Trzymając wciąż w ręku dar Amlisa, starała się ze wszystkich sił zapanować nad rozgoryczeniem.

– Ach, tylko od czasu do czasu prześladował mnie pech. Bogaci, młodzi mężczyźni obiecywali, że otoczą mnie opieką, a kiedy wpakowano mnie do szamba, nie kiwnęli palcem w mojej obronie. Chirurdzy porznęli mi ciało. Nic więcej.

– Chodziło mi o coś, co stało się niedawno.

Isserley oparła głowę na siedzeniu, żując gałązkę ikpatuy

wraz z grudką, którą trzymała już w ustach.

– Nic mi nie jest – westchnęła. – Ciężko pracuję, to wszystko. Przeżywam wloty i upadki. Ty tego nie zrozumiesz.

Na horyzoncie szybko zbierała się śniegowa chmura. Wiedziała, że Amlis nie ma pojęcia, co to jest, i bardzo ją cieszyła ta świadomość.

– Nie chciałabyś rzucić tej pracy? – zagadnął tonem propozycji.

– Rzucić pracy?

– Tak. Po prostu przestać pracować.

Isserley podniosła oczy ku niebu, a właściwie podsufitce samochodu. Zauważyła przy okazji, że tapicerka na niej zaczyna miejscami gnić.

– Jestem pewna, że Korporacja Vessa byłaby zachwycona moją rezygnacją – westchnęła. – I nie wątpię, że twój stary zechciałby osobiście przekazać mi swoje najlepsze życzenia na przyszłość.

Amlis roześmiał się lekceważąco.

– Uważasz, że mój ojciec przyjedzie tu taki szmat drogi, żeby ukąsić cię w szyję? – zapytał. – Po prostu przyśle kogoś, kto cię zastąpi. Setki ludzi czekają na taką okazję.

Isserley dowiadywała się o tym po raz pierwszy – była to straszliwa, przyprawiająca ją wręcz o mdłości wiadomość.

– To nie może być prawda – zadyszała.

Amlis zamilkł na moment, usiłując znaleźć bezpieczną drogę przez rozwierającą się między nimi przepaść, ziejącą poszarpanymi pułapkami jej smutku.

– Nie zamierzam w najmniejszym stopniu minimalizować twoich cierpień – powiedział, starannie dobierając słowa. – Musisz jednak zrozumieć, że w kraju krążą plotki o tym, jak tu jest: mówi się o niebie, widocznych na nim gwiazdach, czystym powietrzu i urodzajnej ziemi. Słyszysz się nawet historie o gigantycznych akwenach. O tym, że ciągną się, jak okiem sięgnąć (roześmiał się), całymi milami.

Zamilkł na chwilę, czekając, aż Isserley zechce odpowiedzieć.

Na wpół leżała w fotelu i zamykały się jej oczy. Można było odnieść wrażenie, że w promieniach księżyca srebrzyste powieki Isserley pokrywają skomplikowane wzory, jak liść, który Amlis podziwiał przedtem w głównym budynku.

A jednak jest piękna, pomyślał. Na swój dziwny, bardzo dziwny sposób.

W końcu Isserley znów przemówiła.

– Wiesz, nie mogłabym tak po prostu zrezygnować z posady – zauważyła. – Dzięki tej pracy mam dom... Mam co włożyć do garnka... – Szukała z wysiłkiem innych argumentów.

Amlis tym razem nie czekał.

– Mężczyźni mówili, że żywisz się prawie wyłącznie chlebem i pastą mussantową. A Ensel twierdzi, że żyjesz tylko powietrzem. Chcesz mi powiedzieć, że tu nie rośnie nic, czym mogłabyś się odżywiać? I że nie ma na tym świecie miejsca, gdzie mogłabyś zamieszkać?

Isserley ścisnęła gniewnie kierownicę.

– Proponujesz mi, żebym żyła jak zwierzę?

Siedzieli długo w milczeniu. Tymczasem śniegowe chmury zebrały się nad zatoką i napłynęły nad farmę. Isserley, która zerkała ukradkiem na Amlisa, zauważyła, że jego zadziwienie i poruszenie zabarwiały teraz niepokój: bał się zarówno tego, że ją uraził, jak i tego, co działo się w górze ponad jego głową. W niedoświadczonych oczach Amlisa śniegowe chmury niewątpliwie przypominały trujący smog z ojczystych stron, smog czasem tak śmierdzący i toksyczny, że zmuszał do zejścia pod ziemię nawet członków Elity.

– Czy... Nic nam nie grozi? – zapytał wreszcie w momencie, kiedy wirująca, szara mgiełka zgasła księżyc.

Isserley uśmiechnęła się sztucznie.

– Nie ma przygód bez ryzyka, Amlis – powiedziała z przyganą w głosie.

W powietrzu zaczęły krążyć płatki śniegu – pędziły szaleńczo, drżały, kręciły się i nurkowały w dół, by w końcu opaść na szyby. Amlis wzdrygnął się. Po chwili przez otwarte

okno z lewej strony kilka płatków wpadło do środka i osiadło na jego futrze.

Zauważyła, że przebiega go dreszcz, i poczuła bijący od niego zapach. Od dawna nie czuła woni ludzkiego strachu.

– Spokojnie, Amlis – zamruczała pogodnie. – To tylko woda.

Nerwowo zgarnął z piersi nieznaną substancję, a potem zaczął mamrotać coś pod nosem w zachwycie, kiedy śnieg rozpuszczał mu się w palcach. Rzucił jej takie spojrzenie, jak gdyby zorganizowała całe to przedstawienie – jak gdyby specjalnie dla niego przewróciła wszechświat do góry nogami, sądząc, że może go na chwilę oczaruje.

– Patrz tylko – powiedziała. – Nic nie mów. Tylko patrz.

Siedzieli obok siebie w samochodziku Isserley, obserwując, jak niebo pozbywa się brzemienia, które w sobie dźwigało. Pół godziny później całą ziemię wokół pokrywał już biały pył, a olśniewająca, kryształowa piana wspinała się na szybę.

– To jest... Cud – powiedział w końcu Amlis. – Jak gdyby na niebie unosiło się jeszcze jedno morze.

Isserley skwapliwie przytaknęła: to niezwykle, że on rozumuje tak intuicyjnie! Jej także przychodziło często do głowy identyczne porównanie.

– Zaczekaj tylko, kiedy wstanie słońce! Nie uwierzysz własnym oczom!

Coś zaszło w pustce między nimi, coś molekularnie niepokojącego.

– Nie zdążę zobaczyć słońca, Isserley – powiedział ze smutkiem Amlis. – Kiedy wzejdzie, już mnie tu nie będzie.

– Wyjeżdżasz?

– Dzisiaj w nocy – odpowiedział.

Zdawało się, że Isserley mimo wszystko nie jest w stanie pojąć, co, u licha, Amlis ma na myśli.

– Statek odlatuje za kilka godzin – przypomniał jej młodzieniec. – A ja, oczywiście, będę na jego pokładzie.

Siedziała w bezruchu, oswajając się z tą wiadomością.

– To chyba nie w twoim stylu robić, co ci każą – zażartowała

po chwili słabym głosem.

– Muszę wracać do domu – wyjaśnił Amlis. – Żeby opowiedzieć o tym, co widziałem. Trzeba powiedzieć ludziom, co tu się dzieje za ich przyzwoleniem.

Isserley zaśmiała się chrapliwie.

– A więc o to ci chodzi... Amlis Krzyżowiec niesie światło prawdy całej rasie ludzkiej – zadrwiła.

Uśmiechnął się szeroko, choć w jego oczach zamigotał ból.

– Cyniczne z ciebie stworzenie, Isserley. Posłuchaj, jeżeli łatwiej będzie ci to przełknąć w innej postaci, równie dobrze mogłabyś powiedzieć, że ja nie mam żadnych ideałów. Mogłabyś powiedzieć, że wracam grać ojcu na nerwach.

Na twarzy Isserley pojawił się uśmiech znużenia. Śnieg niemal całkowicie zasypał już przednią szybę – musi go usunąć, inaczej dostanie ataku klaustrofobii.

– Ech, ci rodzice – niezręcznie poskarżył się Amlis, próbując ocalić łączący ich kruchy most porozumienia. – Chuj z nimi. – W jego ustach wulgaryzm zabrzmiał sztucznie i nieśmiało: wypowiedział go niewłaściwym tonem i stracił nieco panowanie nad sobą. A potem bojaźliwie wyciągnął dłoń i delikatnie dotknął jej ramienia. – Tak czy inaczej byłoby bardzo łatwo dać się oczarować temu światu – powiedział. – Jest bardzo, bardzo... piękny.

Uniosła ręce, żeby położyć je na kierownicy. Dłoń Amlisa zsunęła się z jej ramienia, kiedy bezbłędnie znalazła w ciemności stacyjkę. Silnik ożył z charknięciem, zapaliły się światła.

– W takim razie odwiozę cię na statek – powiedziała Isserley. – Czas ucieka.

Wielkie aluminiowe drzwi budynku były uchylone i Isserley zauważyła mordę Ensela, wyglądającego już przez wąską szparę. Dobrze wiedziała, jak bardzo męczył się przez długie godziny nieobecności Amlisa – pewnie miał dziś wartę, brzydali jeden. Niech tylko spróbuje teraz wyjść i powiedzieć, że takiego osobnika, jak jej ostatnia zdobycz, jeszcze tu nie mieli.

Ensel jednak nie ruszył się z miejsca. Czekał.

Isserley wyciągnęła rękę i pochyliła się nad Amlisem, żeby otworzyć boczne drzwi, bo sam nie potrafił sobie z nimi poradzić. W ułamku sekundy musnęła przedramieniem jego futro i poczuła bijący spod sierści zapach ciała. Potem drzwi otworzyły się zamasyście, a do samochodu wpadła fala mroźnego powietrza i pierzastych płatków.

– Nie wejdiesz do środka? – zapytał Amlis.

– Mam swój dom – odparła Isserley. – A rano wstaję do pracy.

Po raz ostatni zderzyli się spojrzeniami, w których połyskiwały iskierki wrogości. Po chwili:

– Trzymaj się – zamruczał pochyłony, wysiadając z samochodu na białą ziemię. – Nosisz w sobie głos. Słuchaj, co ma ci do powiedzenia.

– Mówi, żebyś spierdalał – powiedziała, uśmiechając się jednak krzywo i płacząc jednocześnie.

Podreptał po śniegu ku drzwiom, które rozsuwały się już, żeby mógł wejść.

– Jeszcze tu wrócę – zawołał, odwracając się przez ramię, ale nie przystając. Po chwili dodał z szerokim uśmiechem: – Oczywiście, jeżeli uda mi się załatwić transport.

Isserley pojechała do siebie, zaparkowała w garażu i zmusiła się, żeby wejść do domu. Podczas jej nieobecności jacyś nieznani intruzi wsunęli pod drzwi połyskliwe ulotki. Grupka wodseli, o wiele za chudych, żeby mogli się nadawać na mięso, chciała, by Isserley głosowała na nich w jakichś wyborach – ważą się losy Szkocji, a władza spoczywa w jej rękach. Znalazła też kartkę od Esswisa, której nawet nie próbowała czytać. Od razu położyła się do łóżka, owinęła nagie ciało kocami i przepłakała kilka długich godzin.

Cyferki na wyczerpanym budziku elektronicznym przestały już nawet migotać, ale zdawało się jej, że transportowiec wystartował wreszcie z charakterystycznym stęknieniem około czwartej nad ranem.

Nasłuchiwała później, jak zasuwa się dach głównego budynku. A potem, ukojona muzyką fal, baraszkujących w bezruchu i ciszy Ablach, ukołysała się do snu.

12.

Skrzyżowała ramiona na piersi, położyła dłonie na barkach, zamknęła oczy i zanurzyła się pod wodę. Rozluźniając obolałe kości i mięśnie szyi opuściła głowę, czując, jak wirują jej włosy, unosząc się na powierzchnię, a ciężka, mała czaszka opada na dno niby kamień. Świat zniknął w ciemności i znajome dźwięki Ablach Farm pochłonał drętwy szmer wody.

Pozostałe części ciała Isserley zanurzały się bardziej niepewnie niż głowa, szukając najpierw nowego środka ciężkości i początkowo usiłując raczej unosić się na powierzchni niż opadać na dno. Z jej uszu i nosa wydobywały się bąbelki powietrza. Miała lekko rozwarte usta, ale nie oddychała.

Po minucie otworzyła oczy. Przez roziskrzoną wodę i falujące wodorosty włosów zobaczyła blask słońca, zniekształcony jak w otwartych drzwiach na końcu korytarza. Poczowała ból w płucach, światło przygasło, a potem zaczęło pulsować w rytm jej bijącego ciężko serca. Należało już zaczerpnąć tchu.

Odpychając się od dna, przebiła z pluskiem powierzchnię głową i ramionami, wdychając gwałtownie świeży tlen, odgarniając z twarzy ociekające wodą włosy, mrugając powiekami i posapując. Kręgi przesuwwały się i trzeszczały w jej plecach. Słyszała uwięziony w głębi swego ciała ohydny chrzęst, kiedy poczuła, że ma znów ciężkie ramiona.

W świecie rozciągającym się poza wodą w wannie słońce nie iskrzyło się już i nie pulsowało – świeciło przez zapaćkane okienko łazienki ciepłym, ciągłym światłem. Rączka prysznica jaśniała niczym lampa, a pajęczyny na suficie połyskiwały jak strzępy owczego runa na ogrodzeniu z drutu kolczastego. Blask ceramicznej pokrywy zbiornika sanitariatu niemal ją oślepił, przeniosła więc wzrok na jego matowy, woskowy korpus.

Wytatuowany na nim bladoniebieski napis SPŁUCZKI ARMITAGE był równie niezrozumiały, jak zawsze, chociaż uczyła się miejscowego języka już od tylu lat. Bojler z gorącą wodą bekał i bulgotał, jak zwykle, kiedy brała kąpiel w wannie, a nie pod prysznicem. Pokryte rdzą mosiężne kurki u jej stóp syczały i gulgotały. Napis na zielonej, plastikowej butelce z szamponem głosił: DO CODZIENNEGO UŻYTKU. Wszystko wróciło do normy. Amlis Vess wyjechał, ona została, i już nadeszło jutro. Powinna była wiedzieć od początku, że właśnie tak się to skończy.

Odchyliła głowę, opierając ją o ceramiczną wargę wanny. Na suficie bezpośrednio nad jej głową łuszczyła się wymyślnymi odpryskami i bąblami farba koloru ropy, wyżarta przez osiadającą na niej latami parę. Woda przeniknęła przez kilka warstw farby jak przez cienkie pokłady geologiczne. Ze wszystkiego, co znalazła w tym świecie, ten właśnie widok najbardziej przypominał jej krajobrazy dzieciństwa. Opuściła wzrok.

Jej ciało pozostawało niewidoczne pod migotliwą powierzchnią wody, wyjąwszy czubki palców i owale piersi. Wpatrywała się w te kopce obcego ciała, wyobrażając sobie, że są czymś innym niż w rzeczywistości. Zatopione w rozjaśnionej słońcem wodzie przypominały jej odsłonięte przez odpływ skały w oceanie. Ciągnęły ją ku ziemi, niby kamienie. Amlis Vess nigdy nie widział jej bez tych sztucznych, wystających guzów, i nigdy nie będzie wiedział, że miała kiedyś płaską pierś, godną jego własnej. Porastało ją gęste, gładkie, połyskliwe, ciemnokasztanowe futro – a mężczyźni zazwyczaj nie mogli się oprzeć, żeby go nie pogłaskać.

Mocno zacisnęła powieki, cierpiąc rozkosznie nieprzyjemne sensacje, które wywoływała woda wyciekająca z jej okaleczonych uszu. Wykorzystując chwilowe uśpienie czujności Isserley, strumyczek niemal wrzącej wody wypłynął nieoczekiwanie z kranu na jej lewą stopę. Syknęła ze zdumienia i zwinęła palce w pięść. Jakie to dziwne, pomyślała, że takie

drobne, trywialne przykrości wciąż ją obchodzą, chociaż Amlis wyjechał, a ona chce umrzeć.

W pokrytej rdzą mydelniczce, wiszącej na brzegu wanny, leżało kilka nowych nożyków do golenia w osobnych, tekturowych opakowaniach. Odsłoniła jedno ostrze i odrzuciła tekturową pochwę na podłogę. Potem sięgnęła na lepiącą się od brudu glazurę posadzki po lustro, które przyniosła z góry. Uniosła je nad głowę, ustawiła pod światło najlepiej, jak umiała, i spojrzała sobie prosto w twarz.

Usiłowała popatrzeć na siebie oczami wodsela.

Trudno jej było uwierzyć, jak bardzo się zaniedbała, co stwierdziła już na pierwszy rzut oka. Sądziła, że zaledwie przed kilkoma dniami znowu zrobiła wszystko, co należało, aby upodobnić się do zwierzęcia – musiało to być jednak znacznie dawniej. Dla wodseli, które spotykała ostatnimi czasy, z pewnością stanowiła niesłychanie osobliwy widok. Całe szczęście, że tych dwóch ostatnich nie ma już na wolności, musiała bowiem przyznać, że z punktu widzenia samców jej wygląd pozostawia wiele do życzenia – futro odrastało wszędzie, gładkie pozostawały tylko sztuczne, przeszczepione części ciała oraz miejsca tak gęsto pokryte bliznami, że włosy w ogóle nie mogły na nich rosnąć. Przypominała właściwie człowieka.

Trudno było dostrzec, gdzie kończy się grzywka Isserley – puszysty meszek porastał bowiem jej czoło, łącząc się z gęstszą sierścią wokół brwi. Dolnym rzęsom nie przysługiwało już właściwie miano rzęs, przechodziły bowiem w brunatny zarost na policzkach, który stawał się tym delikatniejszy, im dłuższe były włosy. Jej barki i ramiona pokrywało natomiast niedojrzałe, kasztanowe runo.

Gdyby Amlis Vess zabawił tu nieco dłużej, przekonałby się choć trochę, dlaczego członkowie Elity obiecywali ciągle, że zatrzymają ją tam, gdzie jest jej miejsce – a kiedy przyjdzie czas, wstawią się za nią i dopilnują, by nie została zmuszona do wyjazdu do Posiadłości, gdzie tak piękna dziewczyna trafić nie powinna. Jeden z nich powiedział nawet kiedyś, gładząc ją po

boku, a potem przesuwając rękę na podbrzusze, ku delikatnej szparze jej narządów rodnych, że byłaby to zbrodnia przeciw naturze.

Posługiwała się nożykiem do golenia z ogromną ostrożnością. Skropiła policzki szamponem, ale ponieważ sierść sięgała powiek, musiała uważać, żeby piana nie dostała się do oczu, które i tak ją piekły, ponieważ przez większość dnia chodziła w okularach. A także, oczywiście, ponieważ płakała przecież nad Amlisem – i w ogóle nad swoim życiem.

Łagodnymi, delikatnymi skrobnięciami nożyka zgoliła sierść z twarzy, pozostawiając tylko kilka kępek włosów, udających rzęsy. Próbowwała przestać marszczyć brwi i wygładzić skórę na czole, kiedy przeciągała po nim ostrzem. Po każdym ruchu przemywała nożyk wodą z wanny – po chwili wszędzie dokoła pływała już sierść, niesiona flotyllą brudnej piany szamponu.

Skończywszy, sięgnęła znów po lustro i przejrzała się. Z czoła ściekała jej kropelka rozwodnionej krwi – otarła ją, żeby nie dostała się do oka. Skaleczenie zaraz się zagoi.

Zamiast podciąć grzywkę prosto, na pazia, tytułem eksperymentu nadała jej starannie kształt litery V. Widziała podobne fryzury na głowach paru wodseli i wydawały jej się atrakcyjne.

Dalsze zabiegi toaletowe nie były skomplikowane. Rozpakowała nowy nożyk, którym ogoliła ramiona, nogi, barki i stopy. Następnie, postępując z wysiłku, wykręciła ramiona do tyłu i ogoliła grzbiet, trzymając w jednej ręce za plecami lustro, a w drugiej golarkę. Brzuch wymagał zaledwie kilku drobnych poprawek – pokryte bliznami ciało w miejscu, gdzie amputowano jej sutki, było twarde i pomarszczone niczym tors szczupłego, dobrze umięśnionego wodsela, stroniącego od alkoholu i tuczających potraw. Nie dotknęła ani nie zbadała gąszczu splątanej skóry pomiędzy nogami – nie było sensu nawet się nim zajmować.

Woda ostygła i przypominała teraz staw, zarośnięty brunatnymi algami. Isserley wstała i splukała się szybko

potężnym strumieniem gorącej wody z prysznicą, by zmyć zgolone włosy. Potem wyszła z wanny na zimne kafelki, stając obok swojej rzuconej niedbale na ziemię, powalanej odzieży. Chwyliła ubranie palcami stóp, wrzuciła je do wanny i wepchnęła pod wodę, która momentalnie przybrała ohydny, brudny kolor.

Amlis Vess wyjechał i nie pozostaje jej nic innego, jak wziąć się do roboty.

Ćwiczyła, kiedy w telewizji zaczęła się emisja popołudniowych wiadomości. Po raz pierwszy od lat znalazła w nich dla siebie coś ważnego.

– Trwają poszukiwania zaginionego mieszkańca Perthshire, Williama Camerona – oświadczył zatroskany, kobiecy głos, a na zatłuszczonym ekranie w sypialni Isserley pojawiło się zdjęcie rudowłosego wodsela w ręcznie robionym swetrze, którego podwoziła przed kilkoma dniami. – Po raz ostatni widziano go w niedzielę, kiedy próbował złapać okazję na szosie, chcąc wrócić autostopem do domu z Inverness. – Pierwszą fotografię zastąpiła druga, na której ten sam wodsel leżał w niedbałej pozie przed wejściem do przyczepy kempingowej, tuląc między nogami samicę o sennych oczach, skrytych za grubymi soczewkami okularów. Na pierwszym planie obiektyw uchwycił nieostro dwoje pucułowatych berbeci o oczach otwartych szeroko ze zdumienia na widok błysku flesza aparatu fotograficznego. – Policja twierdzi, że brak na razie dowodów, jakoby istniał związek między zniknięciem pana Camerona i niedzielnym zabójstwem niejakiego Anthony’ego Mallindera. – Obraz rudowłosego wodsela i jego rodziny zgasł, gdyż nałożono na niego ziarniste zdjęcie potwornego łysonia w żółtym kombinezonie. Na ten widok Isserley dostała gęziej skórki. – Policjanci przyznają jednak, że może istnieć związek pomiędzy sprawą Camerona i zaginięciem studenta medycyny z Niemiec, Dietera Genschera, którego po raz ostatni widziano w Aviemore. – Niepokojący widok łysonia litościwie zastąpiono zdjęciem jakiegoś wodsela o niewinnym wyglądem, którego Isserley nie

mogła sobie przypomnieć. Potem, po krótkiej jak mgnienie oka chwili, na ekranie wyświetlono doskonałej jakości film, przedstawiający ruch na trasie A9. Materiał nakręcono kamerą umieszczoną niewysoko nad ziemią, aby widz mógł oglądać przejeżdżające samochody z perspektywy czekającego na okazję autostopowicza.

Isserley nie przestawała ćwiczyć, a w wiadomościach podawano dalsze informacje: była w nich mowa o ogromnych stadach wodseli głodujących w jakimś dalekim kraju, nieobyczajnym zachowaniu pewnego śpiewaka, który nie był Johnem Martynem, o sporcie i o pogodzie. Jeśli prognoza okaże się trafna, warunki jazdy powinny być dość dobre.

Ruch i wpadające przez okno promienie słońca wysuszyły jej włosy. Przyjrzała się sobie krytycznym okiem w lusterku, marszcząc brwi. Świeżo wyprana, czarna bluzka – najświeższa ze wszystkich, które trzymała w szafie – była już nieco znoszona. Wciąż elegancka, ale nieco znoszona.

Nie trzeba było podwozić tego rudego wodseła, powiedziała nagle sama do siebie. Williama Camerona.

Porzuciła tę myśl i spróbowała skupić się na ważnych sprawach bieżących. Skąd ma wziąć nowe ubrania? Na stacji Donny's Garage nie sprzedawano odzieży. Od lat opierała się pokusie noszenia ubrań, które zdobywała w pracy, obawiając się, że ktoś mógłby rozpoznać w nich własność zaginionych wodseli, ale może jednak...

Nie trzeba go było zabierać, odezwała się znów do siebie. Zaczynasz popełniać błędy. To koniec.

Zielone spodnie były jeszcze w dobrym stanie – połyskliwe jak aksamit i czyste. Może wytarły się trochę na siedzeniu, ale nikt ich z tyłu nie oglądał, o ile tylko wszystko szło zgodnie z planem. Wypastowane buty zdawały się nie do zdarcia. Dekolt Isserley mienił się w słońcu niby fotografia z okładki jakiegoś pisma dla wodseli. Małe ranka na czole już się zagoiła – Isserley zdrapała strupek, ale skaleczenie nie zaczęło krwawić. Przeczesała włosy palcami, sprawdzając, czy wszystkie

paznokcie mocno trzymają się na swoim miejscu, a potem odetchnęła głęboko, wciągając przez nos chłodne, czyste powietrze i prostując kręgosłup. Ziemską atmosferę za oknem przybrała jasnoblękitną barwę, zasłaniając widok otwarty na nieskończoność wszechświata.

Życie toczy się dalej, powtarzała z uporem.

Wychodząc z domu, znalazła kartkę od Esswisa, o której całkiem zapomniała. Sądząc na oko, list przeleżał pod drzwiami co najmniej kilka dni. Uniosła wilgotny i wyblakły tekst pod światło. Wymęczone bazgroły nie ułatwiały lektury, ale jedno natychmiast stało się jasne: to nie była prywatna korespondencja. Esswis przekazywał jej wiadomość od kierownictwa Korporacji Vessa, którą, ponieważ był przełożonym Isserley, otrzymał jako pierwszy.

O ile poprawnie odcyfrowała list, Korporacja chciała wiedzieć, czy byłoby możliwe, aby Isserley odławiała więcej wodseli niż zwykle. Wystarczy, jeżeli zwiększy dostawy o dwadzieścia procent w stosunku rocznym. Gdyby miała trudności ze spełnieniem tej prośby, Korporacja może przysłać jej kogoś do pomocy, choć, prawdę mówiąc, kierownictwo poważnie rozważa taką ewentualność bez względu na efekty jej pracy.

Złożyła kartkę i wsunęła ją do kieszeni spodni, chociaż nie doczytała listu do końca. Korporacja będzie musiała przyjąć do wiadomości, że z nią nie można tak pogrywać w chujki. Pośle im stosowną odpowiedź następnym transportem. A tymczasem musi się zastanowić, co powinna zmienić w swoim życiu zawodowym.

Kiedy weszła do jadalni, mężczyźni zaczęli jeden przez drugiego wydawać na jej widok gardłowe pomruki. Najwyraźniej nie przypuszczali, iż pojawi się wśród nich tak szybko po upokorzeniu, jakiego ostatnio doznała, ale myśleli w ten sposób tylko dlatego, że jako dotknięci głupotą nic nie rozumieli. Byliby wniebowzięci, gdyby pozostawiła im nieco więcej czasu na plotki na swój temat! Jej załamanie nerwowe i banicja z

Przetwórnicy musieli wywołać w ich martwym, bezbarwnym świecie ogromne poruszenie! I całe to zajście dalej obrastałoby legendą, gdyby sparaliżowana ze wstydu skryła się na długie dni w swoim domku, skąd w końcu musiałaby się do nich przyczołgać, ledwo żywa z głodu! Nie, nie zamierza dać im tej satysfakcji. Wytrzyma, pokaże im, że jest twarda.

Obrzuciła wzrokiem wszystkich członków tego męskiego stada. W porównaniu z Amlisem Vessem to sprośne, groteskowe dzikusy o ptasich mózdkach. Jak mogła wstydzić się swojego zdeformowanego ciała? Na pewno nie przewyższa ich brzydota, ale jest nieskończenie lepiej wychowana.

– Nie ma już tego delikatesowego mięsa? – zagadnęła, zaglądając do rozstawionych na stołach garnków i misek. Nieoczekiwanie zaczęło prześladować ją wspomnienie boskiego smaku jednego, jedyne kęsa tamtego marynowanego steku, który przygotował Hilis z okazji wizyty Amlisa.

– Przykro mi, Isserley, jest już tutaj – powiedział zezowaty mężczyzna o jakby spleśniałej twarzy, którego imienia nigdy nie pamiętała. Potem poklepał się po swoim parszywym, rozdętym brzuszysku i wybuchnął charkotliwym śmiechem.

W spojrzeniu, które posłała mu Isserley, była wyłącznie pogarda. Powinni cię karmić słomą, pomyślała, a potem odwróciła się i sięgnęła, jak zwykle, po chleb i pastę mussantową. Lepiej jeść takie, choćby mdłe w smaku, kanapki, niż ryzykować pokryte pęcherzykami, tłustawe kiełbaski albo zwiędłe kliny zapiekane, bo nie wiadomo, jakie paskudztwo kryją.

– Zostało jeszcze dużo zapiekanki – zapewnił ją czyjś głos.

– Nie, dziękuję – uśmiechnęła się nieszczerze, opierając się o ławę, i chociaż niejedynemu mężczyźnie proponował, by usiadła obok niego na podłodze, zignorowała wszystkie zaproszenia. Podsuwając dłoń pod cienko posmarowany pastą chleb, żeby nie uronić ani okruszyny, zaczęła jeść, patrząc w przestrzeń ponad głowami mężczyzn i planując swój dzień.

To wykwentne mięso było rzeczywiście smakowite –

wspominał inżynier Yns, który po chwili, chichocząc, zażartował: – Będziemy musieli poczekać, aż Amlis Vess znów nas odwiedzi, co?

Spojrzała na niego z góry, a on w odpowiedzi wyszczerzył w uśmiechu zepsute zęby. Na pysku lśnił mu sos. Ale pomimo obrzydzenia, jakie do niego czuła, zrozumiała nagle, że Yns jest tylko nieszkodliwym, bezsilnym popychadłem, narzędziem, niewolnikiem, którego można się pozbyć w każdej chwili. Uwięziony pod ziemią, prowadził życie niewiele lepsze od tego, jakie byłoby jego udziałem, gdyby pozostał na zawsze w Posiadłościach. Mówiąc z brutalną szczerością, wszyscy tutejsi mężczyźni zaczęli się już sypać, włos po włosie, ząb po zębie, jak nadmiernie wyeksploatowany sprzęt albo tanie, tandetne narzędzia. Isserley przemierzała swoje niezmierzone włości, przebywała codziennie na świeżym powietrzu, oni zaś tkwili uwięzieni w podziemiach pod stodołami Ablach Farm, trudząc się bezmyślnie, harując w wolframowym półmroku, oddychając stęchłym powietrzem i spożywając odpadki nazbyt obrzydliwe, by mogły mieć jakąkolwiek wartość dla ich panów. Pośród gromkich fanfar na cześć wolności i pionierskich wypraw, Korporacja Vessa wyciągnęła po prostu tych ludzi z jednej jamy, aby pogrzebać ich w drugiej.

– Jestem pewna, że można by wprowadzić u nas pewne zmiany, nie czekając, aż usprawiedliwi je wizyta Amlisa Vessa – powiedziała.

Te słowa wywołały znów gardłowe pomruki, przypominające odgłosy bezsensownego buntu, wydawane przez stworzenia pozbawione nadziei. I tylko jeden mężczyzna ośmielił się zabrać głos.

– Krążą plotki, że Korporacja Vessa żąda zwiększenia dostaw – powiedział Ensel. Wyjadał z miski puree z zielonych warzyw, które popijał świeżą wodą, a nie cieszącą się większym powodzeniem ezziiną. Na chwilę zrobiło jej się go żal, bo rozumiała, że Ensel usiłuje o siebie dbać i żyć na pewnym poziomie. Być może przez cały czas oszczędzał się dla niej i

dlatego właśnie nie dopuścił, aby wypadło mu futro, futro o barwie niemytego ziemniaka i powierzchni przypominającej... kaptur wysłużonego skafandra.

– Nie wątpię, że Korporacja Vessa byłaby zachwycona, gdybyśmy harowali jeszcze ciężiej – zauważyła.

Przez chwilę wszyscy jedli w milczeniu.

Nie trzeba było zabierać tego rudego, pomyślała znowu Isserley. To koniec.

Skrzywiła się i ukryła grymas twarzy, wgrzyzając się w chleb. Nie trać odwagi, strofowała samą siebie. Za tydzień nikt nie będzie o nim pamiętał.

W miarę jak ubywało jedzenia, którego kolejne porcje znikwały ze stołów, zapachy poszczególnych potraw rzedły, a zastępował je bijący w górę duszny odór męskiego potu i sfermentowanego alkoholu. Ten zaduch niemal zawsze wzbudzał wstręt Isserley, dziś jednak udało się jej nie zwracać na niego uwagi. Prawdę mówiąc, poczuła się swobodniej, kiedy zrozumiała, że tego dnia nie będzie mieć do czynienia z innymi mężczyznami prócz tych, którzy siedzą teraz z nią w jadalni. Unsera, którego bała się spotkać tak szybko po owym upokarzającym incydencie w Przetwórni, nigdzie nie było widać, a jedzenie znikowało tymczasem w oczach. Nie było też Hilisa, jak zawsze, kiedy na stołach pojawiał się posiłek. To dobrze: to jest jej na rękę.

Patrząc z perspektywy czasu, nie powinna była dać się zaprosić do kuchni – Hilis próbował zbyt się z nią spoufalić i zachowywał się tak, jakby oboje byli z tej samej gliny. A ona nie jest podobna do nikogo – im szybciej Hilis to zrozumie, tym lepiej dla nich obojga. Co do Unsera, to ten skurwysyn upokorzył ją, kiedy nie mogła się bronić. Miała ochotę zetrzeć go z powierzchni tej planety za to, że w taki sposób nadużył swojej władzy. To dobrze, że nie pokazał się w jadalni.

Posiłek dobiegał końca – jeden mężczyzna już wyszedł, a pozostali siorbali i wylizywali resztki z zakamarków swoich misek i dzbanów. Ulga, jaką odczuwała z powodu nieobecności

Hilisa i Unsera, zmieniła się w końcu w ciekawość – gdzie oni się podziewają? Po chwili olśniło ją, że musi to być kwestia hierarchii i przywilejów. Unser i Hilis stoją o szczebel wyżej od tych osiłków, siedzących bezładnie na podłodze – obaj zapewne uczują więc teraz razem w jakimś zaciszu i niewątpliwie rozkoszują się jedzeniem wyższej klasy. A czym się raczą? To chciałyby wiedzieć. Te zaplombowane skrzynie zaopatrzeniowe, dostarczane co miesiąc na farmę – czy rzeczywiście zawierają tylko takie rzeczy jak serslida i pasta mussantowa, czy może kryją tajemne smakołyki, których jej nigdy nie było dane skosztować? A jak ma rozumieć to, że Korporacja Vessa komunikuje się z nią za pośrednictwem Esswisa, choć przecież wszystko tu kręci się wokół niej? Ach, ci mężczyźni i ich gierki o władzę! Już wkrótce postara się zlikwidować te nierówności społeczne.

Posmarowała pastą drugą kromkę chleba, a potem sięgnęła po miskę tych samych warzyw, które wybrał Ensel. Począwszy od dziś, będzie zaczynać dzień porządnie najedzona, by zyskać pewność, że nigdy już nie ulegnie hańbiącej bezradności głodu z dala od domu. Wypiła kilka filiżanek wody i poczuła, jak pęcznieje jej żołądek.

– Słyszeliśmy, że chyba dołączy do nas jeszcze jedna kobieta – wypalił spleśnialec i zachichotał niezręcznie, napotykalając gniewne spojrzenie Isserley.

– Na twoim miejscu nie czekałabym na nią z zapartym tchem – poradziła.

Mrugając powiekami, spleśnialec powrócił do swojego dzbana z ezziiną, ale Ensela nie było tak łatwo zbić z tropu.

– A co będzie, jeżeli jednak przyślą nam kogoś nowego? – zapytał w zamyśleniu. – Twoje życie poważnie by się zmieniło. Bo żyłaś dotąd tak, że pewnie często czułaś się osamotniona. Teren, który musimy penetrować, jest bardzo duży, a przeczesujesz go tylko ty, w pojedynkę.

– Daję sobie radę – odpowiedziała spokojnie.

– Ale nie ma jak prawdziwa przyjaźń, co? – naciskał Ensel.

– Przyjaźń mnie nie interesuje – przestrzegła go Isserley. Niecałe dwie minuty później opuściła jadalnię i wróciła na powierzchnię.

Kiedy wyjeżdżała na trasę A9, od strony niewidocznego horyzontu toczyła się mgła. Na drodze panowała jeszcze dobra widoczność, ale pola po obu jej stronach już częściowo zniknęły. Silosy tonęły we mgle, a krowy i owce pokornie pozwalały się jej połykać. Fala białych oparów lizała trawiasty skraj szosy.

To jeszcze jedno zjawisko, za które Amlis byłby gotów zabić, byle tylko zobaczyć je na własne oczy, pomyślała. Zobaczyć, jak chmury opadają na ziemię. Zobaczyć czystą wodę, która unosi się w powietrzu niby dym.

Są miliony rzeczy, których Amlis nigdy nie zobaczy i nie doświadczy, choć cieszy się różnymi przywilejami, jest piękny i nie ma blizn. To udzielny książę, który wraca do domu, lecz jego księstwo jest tylko kupą żużlu w porównaniu z królestwem Isserley. Nawet członkowie Elity, odgradzeni od najgorszej brzydoty swego świata, mieszkają jak więźniowie w bogato wyposażonych klatkach – i dokonają żywota, nawet nie wyobrażając sobie piękna, które Isserley ogląda tutaj wokół każdego dnia. Wszystko, czym oni żyją, tkwi w czterech ścianach, w zamknięciu: pieniądze, seks, narkotyki, oburzająco kosztowne potrawy (dziesięć tysięcy lissów za filet z woddisyny!). A wszystko dlatego, żeby mogli zapomnieć o straszliwej pustce, ciemności i zgniliznie, czyhających tuż za cienkimi skorupkami domów.

Tutaj, w prywatnym świecie Isserley, jest dokładnie odwrotnie. To, co dzieje się w domach, wyglądających niepozornie jak cętki pod ogromnym niebem, jest nieistotne – domostwa i ich mieszkańcy przypominają maleńkie muszelki albo krewetki, skryte na dnie oceanu bladobłękitnego tlenu. Nic, co dzieje się na ziemi, nie może konkurować ze wspaniałością zjawisk, które zachodzą ponad jej powierzchnią. Amlis tylko przelotnie oglądał te niezwykłości, przez kilka

godzin wpatrywał się z niedowierzaniem w niebo, a potem musiał wyjechać – ona natomiast złożyła siebie w ofierze i dzięki temu zdobyła cały ten świat.

Powiedziała sobie, że nie może dopuścić, by kiedykolwiek przyjechał tu ktoś nowy.

W oddali na skraju drogi stał autostopowicz. Gestykulował z nadzieją, nie widząc jeszcze z oddali, z kim ma do czynienia. Isserley zwolniła, by przyjrzeć mu się uważnie. Jadący za nią kierowca zwiększył obroty silnika i niecierpliwie zatrąbił, chcąc ją wyprzedzić. Nie zwracała na niego uwagi. Niech sobie trąbi, byle zostawił w spokoju autostopowicza, dopóki Isserley nie zdecyduje się, czy powinna go zabrać.

Autostopowicz był postawnym samcem w garniturze. Nie nosił płaszcza przeciwdeszczowego ani nakrycia głowy. I nie był łysy: przeciwnie, wokół jego głowy trzepotała na wietrze aureola siwych włosów. Stał tuż obok znaku, na którym widniała litera P, jak gdyby chciał w ten sposób upewnić kierowców, że mogą się tu zatrzymać bez najmniejszych kłopotów. Więcej nie udało jej się zauważyć, bo jadący za nią wóz trąbił ciągle i powarkiwiał na wysokich obrotach.

Minęła autostopowicza i skręciła na parking, żeby przepuścić rozzłoszczonego kierowcę. Autostopowicz pomyślał oczywiście, że toyota zatrzymuje się, żeby go zabrać, ale dla Isserley było jeszcze za wcześnie, by podjąć taką decyzję – nie popełni kolejnego błędu. Kiedy tylko wyprzedził ją obcy samochód, dodała gazu i wyjechała z powrotem na szosę, a autostopowicz, który najpierw powłóczył nogami, a potem puścił się niemal biegiem w jej stronę, oklapł i znieruchomiał, spowity całunem spalin z rury wydechowej.

Kiedy przyjrzała mu się ponownie, jadąc z drugiej strony, zauważyła, że jego garnitur jest mocno wyświechtany. Był dobrej jakości – pod ciemnoszarą marynarką autostopowicz nosił jeszcze jasnoszary pulower – ale połyskliwie wytłuszczony, a poza tym wisiał na jego ciężkim, niezgrabnym ciele, jak fałdy luźnej skóry. Szpary sflaczałych kieszeni marynarki samca ziały

pustką niczym dodatkowe, naturalne otwory ciała, spodnie na kolanach miał wytarte i wypchane, a ręka, którą wymachiwał bezwładnie, usiłując zatrzymać przejeżdżające samochody, była chyba brudna. Ale jaki jest ten wodsel w środku?

Powiódł spojrzeniem za toyotą, kiedy go mijała, bo ruch na drodze w obu kierunkach był bardzo niewielki. Jeżeli nawet zorientował się, że to ona zjechała przed chwilą na parking, łudząc go nadzieją, nie dał tego po sobie poznać – jego twarz przypominała stoicką maskę, surową i pomarszczoną. Isserley musiała przyznać, że widywała już bardziej imponujące osobniki. Ten wodsel zaczynał się starzeć – miał siwe włosy i szarobrazową, upstrzoną siwizną brodę, a poza tym nie trzymał się zbyt prosto. Był dobrze umięśniony, lecz także korpulentny. Wśród wodseli z pewnością nie mógł uchodzić za Amlisa Vessa, nie przypominał jednak także Ynsa. Był przeciętny.

Za trzecim podejściem postanowiła go zabrać. Bo niby dlaczego nie? Ostatecznie, co to za różnica? Jakie prawo ma Korporacja Vessa, by jeszcze bardziej utrudniać jej zadanie? Gdyby chciała spełnić życzenia firmy, musiałaby przebadać niezliczone miliony mieszkańców całego świata, odrzucając niemal wszystkich w szaleńczym pościgu za doskonałością. Pora, by Korporacja zdała sobie sprawę, kto naprawdę zamieszkuje ten świat. Bo zamieszkują go w większości właśnie takie wodsele, jak ów autostopowicz.

Zjechała na ten sam parking, co poprzednio, trąbiąc łagodnie na wypadek, gdyby samiec obawiał się, że znów zostanie wystrychnięty na dudka. Kiedy ruszył w jej stronę, na szybie zaczęły rozpryskiwać się krople deszczu – w ciągu kilku sekund, bo tyle zajęła mu droga do samochodu, rozszalała się ulewa.

– Dokąd chcesz jechać? – zapytała, kiedy masywna, wymięta, rozczochrana, ponura postać o sztywno przyśrubowanej do ramion głowie sadowiła się obok niej na fotelu.

– Donikąd – powiedział, spoglądając wprost przed siebie.

– Słucham?

– Przepraszam – powiedział, zwracając się do niej ze słabym uśmiechem, choć jego przekrwione oczy nie zdradzały pogodnego nastroju. – Dzięki, że mnie zabrałaś. Po prostu jedź przed siebie, jedź.

Isserley szybko przyjrzała mu się od stóp do głów. Garnitur autostopowicza okazał się nie tylko mocno sfatygowany, lecz także pokryty wypadłymi włosami – które zresztą nie należały do niego, były bowiem albo całkiem czarne albo całkiem białe. Było widać, że ostatnio ostrzygł się prawie na łyso, ale głowę porastał mu już świeży meszek. Zauważyła szczeciniasty gąszcz na jego karku, niesforny, kędzierzawy puch na brodzie i wreszcie sierść porastającą właściwie całą jego twarz, od policzków aż po brudny kołnierzyk puloweru.

– No, ale dokąd chcesz jechać? – zapytała z naciskiem Isserley.

– Właściwie wszystko mi jedno – odpowiedział, a w jego monotonnym głosie pojawiło się ostrze irytacji. – Znasz jakieś ciekawe miejsca? Bo ja nie.

Próbowała wsłuchać się w swój instynkt, aby ocenić, czy ze strony tego autostopowicza grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. Było to dziwne, ale nie potrafiła niczego wyczuć. Wskazała mu gestem pas bezpieczeństwa, a wtedy jego muskularne dłonie o czarnych od brudu paznokciach zaczęły nieporadnie szukać sprzączki.

– Zawieź mnie na księżyc, co ty na to? – zaproponował z rozdrażnieniem. – Zabierz mnie do Timbaktu. Albo do Tipperary. Do Tipperary jest podobno daleko[5].

[5] *It's a long way to Tipperary* (ang.) – wers refrenu angielskiej piosenki, napisanej w 1912 roku, a śpiewanej przez brytyjskich żołnierzy na froncie francuskim podczas I wojny światowej. Tipperary – miasto w południowej Irlandii. W przenośni wers ten oznacza: „Daleka jest droga do domu” (przyp. tłum.).

Zaskoczona Isserley odwróciła wzrok. Lało niemiłosiernie.

Włączyła wycieraczki przedniej szyby i kierunkowskaz.

Podczas zapinania pasa autostopowicz myślał, że ciągle może jeszcze zmienić zdanie. Dlaczego, na Boga, znów musi przez to wszystko przechodzić? Dlaczego nie miałby wysiąść, wrócić tam, skąd przyszedł i zachować swój... jad wyłącznie dla siebie? Jest coś niesłychanie obrzydliwego w tym, że powtarza to dzień w dzień, że codziennie wychodzi na drogę i sprytnie łapie jakiegoś nieszczęsnego frajera, który zgadza się go podwieźć. A potem, kiedy dysponuje już zniewoloną, oczarowaną widownią w postaci kierowcy, wyżywa się na nim, jakżeby inaczej, wali go prosto w bebechy albo między oczy – wiecznie to samo. Dlaczego to robi? Dlaczego? Nigdy potem przecież nie czuje się lepiej, a zwykle nawet gorzej. Za to kierowcom, którzy decydują się go podwieźć, robi się potem przykro, co do tego nie ma wątpliwości – o ile oni w ogóle mają jakieś uczucia. Ładnie traktuje ludzi, którzy próbują po prostu wyświadczyć mu grzeczność!

Może dzisiaj zachowa się inaczej, bo ma do czynienia z dziewczyną. Kobiety rzadko zabierają autostopowiczów, szczególnie młode, jak ta. Sprawia wrażenie osoby, która, podobnie jak on, też sporo wycierpiała w swoim krótkim życiu: nie miała lekko, o nie. Błada, siedzi sztywno, usiłując przybrać bohaterską minę. Zna takie kobiety. Za dużo przeszła, jak na swój młody wiek. Wystawia cycki na pokaz, by udowodnić, że jeszcze nie rezygnuje z seksownego wyglądu, ale poza tym jej ciało wygląda na zniszczone i przedwcześnie postarzałe. Czy u rodziców czekają na nią dwa rozwrzeszczane bachory? A może jest narkomanką? Albo prostytutką, która postanowiła poszukać alternatywnych metod wiązania końca z końcem? Skóra na kościstych, mocno zaciśniętych na kierownicy dłoniach dziewczyny jest sucha i pokryta bliznami. Nie widział teraz jej twarzy, ale na pierwszy rzut oka przypomniała mu pobjowisko po gorzkich doświadczeniach życiowych. Boże, gdyby zdołał oszczędzić jej tortur, którym zamierza ją poddać... Może zdobędzie się na nadludzki wysiłek i stłamsi wszystko w

sobie. Ale nic z tego. Wyżyje się na niej, jak na innych kierowcach. Będzie to robił dopóty, dopóki nie stanie się coś, co każe mu przestać. Dopóki to wszystko wreszcie się nie skończy.

Spostrzegł, że dziewczyna pociąga swoim małym noskiem, wystającym zza kurtyny włosów. No, jasne, już go obwąchuje, czuje jego zapach. Jak wszyscy. Już się zaczęło.

– Uchylę okno, chcesz? – zaproponował zmęczonym głosem.

Isserley błysnęła zębami w zakłopotanym uśmiechu, zawstydzona, że dała się przyłapać na gorącym uczynku.

– Nie, nie, przecież leje – zaprotestowała. – Zmokniesz. Ja... Ten zapach mi właściwie nie przeszkadza. Zastanawiałam się tylko, czym tak pachniesz.

– Psem – odpowiedział, patrząc wprost przed siebie.

– Psem?

– Czystą esencją psa, bez żadnych domieszek – potwierdził. – Esencją cocker-spaniela. – Zacisnął pięści, bijąc się po udach i przytupując niespokojnie nogami. Isserley spostrzegła, że autostopowicz nie nosi skarpetek. Postępując co chwila, jak gdyby ktoś dźgał go jakimś ostrym narzędziem, skrzywił się, zwiesiwszy głowę, a potem nagle zapytał: – Jesteś kociarą czy psiarą?

Musiała się zastanowić nad tym pytaniem.

– Chyba ani jednym, ani drugim – powiedziała, wciąż czując się niepewnie w tej dziwacznej rozmowie. Łamała sobie głowę, żeby przywołać z pamięci wszystko, co było jej wiadomo na temat psów i kotów. – Nie wiem, czy umiałabym się opiekować zwierzęciem – przyznała, zauważywszy kolejnego autostopowicza na następnym wzgórzu. Zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła błędu, decydując się na tego wodsela. – Z tego co słyszałam, to dosyć skomplikowane. Czy nie trzeba ciągle spychać psa z łóżka, żeby mu pokazać, kto tu rządzi?

Wodsel znów stęknął, tym razem z bólu, próbował bowiem ze złością założyć nogę na nogę i huknął kolanem o spód deski rozdzielczej.

– Kto ci to powiedział? – zapytał szyderczo.

Isserley postanowiła nie wspominać nic o hodowcy psów, obawiała się bowiem, że może go szukać policja.

– Chyba gdzieś o tym czytałam.

– Ja w ogóle nie śpię na łóżku – powiedział wodseł w wyświechtanym ubraniu, krzyżując ręce na piersiach. Znów zniżył głos i mówił jednostajnie, tonem, w którym słychać było dziwną mieszaninę ciernistej arogancji i niezgłębionej rozpacz.

– Naprawdę? – spytała Isserley. – A na czym śpisz?

– Na materacu w busie – odpowiedział, jak gdyby usiłowała mu to wyperswadować, a jemu zrobiło się nagle wszystko jedno. – Z psem.

Jest bezrobotny, pomyślała. A potem, natychmiast: nieważne. Puść go. To koniec. Amlis wyjechał. Nikt cię nie kocha. Policja wkracza do akcji. Wracaj do domu.

Nie ma jednak domu, do którego mogłaby wrócić, właściwie nie. Chyba że wykona swoje zadanie. Odsuwając na bok defetystyczne myśli, spróbowała podjąć dalszą dyskusję z siedzącym obok wodselem.

– Jeżeli masz busa, to dlaczego wyszedłeś na autostop? – indagowała uprzejmie. – Dlaczego nie jeździsz swoim samochodem?

– Nie stać mnie na benzynę – wymamrotał.

– Czy władze nie dają ci tego... No... Zasiłku?

– Nie.

– Nie?

– Nie.

– Myślałam, że każdy bezrobotny dostaje zasiłek od władz.

– Nie jestem bezrobotny – odparł autostopowicz. – Prowadzę własny interes.

– Ach, tak – kątem oka dostrzegła osobliwą zmianę w wyrazie jego twarzy. Rumieńce wystąpiły mu na policzki, a jego oczy zaśniły pod wpływem gorączkowego entuzjazmu albo może od łez. Wyszczrzył zęby, upstrzone akcentami śmietankowych resztek jedzenia, będących siedliskiem bakterii.

– Sam sobie płacę, rozumiesz? – oznajmił nieoczekiwanie wyraźnie. – Tyle, ile mogę. A do niedawna wypłacałem także pensje swoim pracownikom.

– No... To ilu ludzi zatrudniasz? – spytała, poruszona widokiem rozwartych w szerokim uśmiechu ust wodseła i wyrazem ogromnego skupienia, malującym się na jego twarzy. Wyglądał, jakby coś zbudziło go ze śpiączki. Jak gdyby ożywił go drastycznie mocny koktajl, sporządzony z wściekłości, rozżalenia i rozbawienia.

– No właśnie, to dobre pytanie, to dobre pytanie – powiedział, bębniąc palcami po udach. – Bo widzisz, pewnie nie wszyscy przychodzą już do fabryki. Może zniechęciła ich zamknięta brama. Albo brak prądu. Od kilku tygodni sam się nie pokazuję w fabryce. Leży w Yorkshire, rozumiesz. Trzeba sporo paliwa, żeby dostać się stąd do Yorkshire. A ja mam w banku jakieś trzysta tysięcy funtów długu.

Deszcz ustał nieco, pozwalając Isserley zorientować się w terenie. Może wysadzić go w Alness, jeżeli wodseł straci panowanie nad sobą i dostanie szalu. Nigdy nie spotkała nikogo takiego jak on. Zaczęła się zastanawiać z niepokojem, czy ten wodseł się jej nie podoba.

– Czyli że masz kłopoty? – zapytała, mając na myśli problemy finansowe.

– Kłopoty? Ja? Nie, skąd – powiedział. – Nie jestem w konflikcie z prawem.

– Ale czy nie... Czy nie jesteś osobą zaginioną? Nikt cię nie szuka?

Wysłałem rodzinie pocztówkę – wypalił bez namysłu. I wciąż się uśmiechał, przez cały czas uśmiechał się szeroko, a na jego czole i wąsach błyszczały kropelki potu. – Spokój za cenę znaczka pocztowego. Co więcej, dzięki temu także policja nie marnuje swojego cennego czasu.

Na wspomnienie policji Isserley zeszywniała. Po chwili, gdy nakazała ciało, by się rozluźniło, zaczęła nurtować ją myśl, czy przypadkiem nie pozwoliła zwisnąć swoim ramionom pod

kątem nieosiągalnym dla układu kostno-mięśniowego wodseli. Zerknęła na lewe, bliższe samca ramię. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Ale co to za okropny, piskliwy dźwięk rozlega się przed jej nosem? Ach: to wycieraczki trą o suchą szybę. Wyłączyła je szybko.

Poddaj się, to koniec, pomyślała.

– Jesteś żonaty? – spytała, odetchnąwszy głęboko.

– No właśnie, to dobre pytanie, to dobre pytanie – odparł, aż kipiąc w środku i dosłownie unosząc się z fotela. – Czy jestem żonaty? Czy ja jestem żonaty? Niech pomyślę. – Jego oczy płonęły tak przeraźliwie, że wydawało się, iż zaraz eksplodują. – Tak, chyba miałem żonę – zdecydował wreszcie, jak gdyby przerażająco promiennie godząc się z tym, że ktoś wygrał życie jego kosztem. – Prawdę mówiąc, przez dwadzieścia dwa lata. Aż do zeszłego miesiąca, prawdę mówiąc.

– Więc jesteś już rozwiedziony? – wypytywała dalej Isserley.

– Podobno tak, podobno tak – odpowiedział z mrugnięciem przypominającym gwałtowny tik nerwowy.

– Nie rozumiem – stwierdziła Isserley. Rozboliła ją głowa. Kabinę wypełniał oszałamiający smród psa, radioaktywny blask psychicznej udręki i niespodziany płomień popołudniowego słońca, które świeciło jej teraz prosto w oczy.

– Kochałaś kiedyś kogoś? – zapytał ją prowokacyjnie wodselsel.

– Ja... Nie wiem – odparła. – Chyba nie. – Wkrótce będzie musiała zabrać go na farmę albo puścić wolno. Jej serce zaczynało przyspieszać, a przez żołądek przebiegały skurcze. Z tyłu rozległ się ryk silnika. Spojrzawszy w lusterko, stwierdziła, że wydaje go jadący za nią pojazd – gigantyczny samochód kempingowy, niecierpliwie kiwający się na boki. Zerknęła na szybkościomierz i z przerażeniem skonstatowała, że jedzie zaledwie trzydzieści pięć mil na godzinę, co nawet dla niej było niewielką prędkością, zjechała więc nieco bliżej skraju drogi.

– Bo widzisz, ja kochałem moją żonę – powiedział cuchnący psem wodselsel. – Bardzo ją kochałem. Była całym moim światem. Jak śpiewa Cilla Black[6].

[6] Cilla Black – brytyjska piosenkarka pop, popularna w latach sześćdziesiątych. W latach dziewięćdziesiątych wróciła na listy przebojów (przyp. tłum.).

– Słucham?

Kiedy wóz karawanowy przemknął obok, kładąc się cieniem na samochodzie Isserley, wodsel zaczął śpiewać, głośno i swobodnie.

– *Była moim światem, nocą, dniem, światem i powietrzem, więc jeśli umrze miłość nasza, skończy się mój świat!* – Urwał równie raptownie, jak zaczął, i teraz znów uśmiechał się do niej srogo, a po zarośniętych policzkach spływały mu łzy. – Jarzysz, o co mi chodzi?

Isserley poczuła, że krew pulsuje jej w skroniach, kiedy zjechała płynnie z powrotem na środek szosy.

– Czy jesteś pod wpływem środków odurzających? – zapytała.

– Być może, być może – autostopowicz znów mrugnął do niej porozumiewawczo. – Piłem sfermentowany sok z kartofli, produkcji polskiej. Bezlitosny dla bólu i jego przyczyn, kosztuje zaledwie sześć funtów i czterdzieści dziewięć pensów za butelkę. Niestety, nieco rozczarowuje jako partnerka w łóżku, no i rozmowa z nim jest, moim zdaniem, nieco monotonna.

Trasa A9 była pusta na długości kilkuset jardów z przodu i z tyłu, bo rozpędzony samochód kempingowy pokonał już pół drogi do linii horyzontu. Isserley położyła palec na dźwigni mechanizmu tłoczącego ikpatuę. Serce nie biło jej tak mocno, jak zwykle – zawładnęły nią natomiast mdłości i poczuła, że za chwilę zwymiotuje. Głęboko wciągnęła nasycone psim zapachem powietrze i podjęła trud wyjaśnienia ostatniej niewiadomej.

– Kto opiekuje się psem, kiedy ty wychodzisz na autostop?

– Nikt – skrzywił się wodsel. – Moja suka czeka w samochodzie.

– Przez cały dzień?

Zadała to pytanie bez oskarżycielskiego nacisku w głosie, ale

chyba głęboko go zraniła. Szalona energia wodsela uszła z niego w nagłej erupcji. Ogarnęła go apatia i przygnębienie.

– Nigdy nie zostawiam jej samej na tak długo – odparł, znowu jednostajnym głosem. – Ja też potrzebuję czasem iść na spacer. Ona to rozumie.

Jej palec zadrżał na dźwigni, ale Isserley zawahała się i przełknęła ślinę, żeby powstrzymać napływającą falę mdłości.

– To spory bus – mruknął wodsela tonem usprawiedliwienia.

– Mmmm – zauważyła uspokajająco Isserley, zagryzając wargę.

– Muszę mieć pewność, że pies mi nie ucieknie – powiedział błagalnie.

– Mmmm. – Pot parzył palce jej lewej dłoni. Rozboleł ją nadgarstek. – Przepraszam – szepnęła. – Muszę... Muszę na chwilę stanąć. Źle się... czuję.

Samochód jechał już bardzo powoli. Pozwoliła mu wtoczyć się na najbliższy parking i tam go zatrzymała. Silnik zadrżał i umilkł. Opierając się drżącą pięścią o kierownicę, drugą ręką otworzyła okno.

– Nie obejmuje cię państwowa opieka medyczna, co?

Potrząsnęła przecząco głową. Nie mogła mówić.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a do samochodu wpadało świeże powietrze. Isserley oddychała głęboko, podobnie jak wodsela, który zdawał się toczyć ze sobą wewnętrzną walkę, jak ona.

W końcu powiedział niskim, głuchym głosem, ale bardzo wyraźnie:

– Życie jest chujowe, wiesz?

– Nie wydaje mi się – westchnęła Isserley. – Świat jest bardzo piękny.

Autostopowicz chrząknął pogardliwie.

– Mnie się wydaje, że powinniśmy zostawić go zwierzętom. Zostawić zwierzętom ten cały jebany świat. – Wydawało się, że na tym skończy temat, ale kiedy zobaczył, że Isserley zaczyna płakać, uniósł brudną rękę i wyciągnął ją z pewnym wahaniem,

by dotknąć jej ramienia. Po chwili zreflektował się jednak, splótł dłonie na kolanach, odwrócił głowę i wyjrzał przez boczną szybę.

– Dość mam podróży na dzisiaj – powiedział cicho. – Więc może wysadź mnie po prostu tutaj.

Isserley spojrzała mu prosto w oczy. Lśniły od niewypłakanych łez i odbijała się w nich jej mała postać.

– Rozumiem – powiedziała, włączając dźwignię ikpatuy. Głowa wodsela osunęła się na szybę i znieruchomiła. Kępi siwych włosów, porastających jego szyję, zatrzepotały na wietrze.

Zamknęła okno i nacisnęła guzik, żeby przyciemnić szyby. Kiedy w kabinie zapanowała aura odosobnienia i półmrok, odciągnęła samca od drzwi i odwróciła mu głowę. Miał zamknięte oczy. Na jego twarzy malował się spokój, nie było na niej zdumienia ani przerażenia, jak na obliczach innych wodseli po iniekcji. Sprawiał wrażenie śpiącego kamiennym snem, trwającym tysiąc lat świetlnych, odsypiał wyjątkowo długą podróż ponad swoje siły.

Otworzyła schowek, z którego wyjęła perukę i okulary. Sięgnęła też na tylne siedzenie po skafander. Potem ubrała starannie swojego towarzysza podróży, wygładzając jego matowe, spłowiałe włosy pod czarną, lśniącą czupryną, jaką, być może, kiedyś rzeczywiście miał. Dotknęła jego ciepłego czoła i szczeciniastych brwi otwartymi, pokrytymi bliznami dłońmi.

– Przepraszam – szepnęła. – Przepraszam.

Kiedy wodsela był już gotów do drogi, rozjaśniła szyby i uruchomiła samochód. Przy sprzyjających warunkach na trasie podróż do domu potrwa niecałe dwadzieścia minut.

Na farmie Ensel jak zwykle wyszedł z budynku pierwszy, żeby ją powitać. Zdawało się, że wszystko wróciło do normy.

Otworzyła drzwi od strony pasażera, a Ensel ocenił siedzące na fotelu zwierzę.

– Piękny okaz – skomplementował ją. – Jeden z najlepszych,

jakich tu mieliśmy.

I wtedy Isserley w końcu nie wytrzymała.

– Przestań tak mówić! – wrzasnęła, ile sił w płucach. – Dlaczego zawsze powtarzasz, kurwa, to samo?!

Na tak gwałtowną odpowiedź Ensel cofnął się i objął dzielące ich ciało. Isserley ze swej strony także usiłowała je podtrzymać, kiedy Ensel wyciągał wodsela z samochodu, żeby przekazać go w wyciągnięte ręce swoich czekających już w gotowości pomocników.

– Wcale nie jest najlepszy – wściekała się, ściskając kurczowo palce i wypychając samca z auta. – Nie jest też najgorszy. Po prostu jest... Jest tylko... – Ciało wodsela wyslizgnęło im się z rąk i runęło ciężko na kamienistą ziemię, a wtedy Isserley wykrzyknęła z wściekłością: – Mam was wszystkich w dupie!

Obleśne bestie pomrukiwały i stękały wciąż z wysiłku, kiedy odjeżdżała do domku, wzniecając tuman kurzu.

Dwie godziny później, gdy zaczynała się już uspokajać, znalazła w kieszeni list Esswisa i przeczytała go na nowo, tym razem zmuszając się do odcyfrowania kilku ostatnich linijek. Wynikało z nich, że Korporacja Vessa ma do niej tylko jedną dodatkową prośbę. Firma chciałaby się zorientować, czy Isserley mogłaby dostarczyć im samicę wodsela, najlepiej wraz z nienaruszonym jajeczkiem. Samicy nie trzeba oprawiać. Wystarczy opakować ją starannie i wyprawić w drogę, a Korporacja Vessa zajmie się już resztą.

13.

Bojąc się spać, naga Isserley wędrowała po domu z pokoju do pokoju, w ciemności, godzina za godziną. Chodziła po spirali: zaczynała w sypialni, potem szła przez korytarz do drugiej sypialni, z której nigdy nie korzystała, następnie schodziła na dół do przedpokoju o zbutwiałej podłodze, a stamtąd do głównej sypialni i dalej do salonu pełnego konarów oraz gałęzi drzew, skąd przechodziła do wybebeszonej kuchni i zimnej, wilgotnej łazienki. Spacerowała po każdym z tych pomieszczeń, bez końca wspominając w myślach całe swoje życie i zastanawiając się, co powinna teraz zrobić.

By przetrwać choćby do rana, rozważała, na przykład, możliwość wyburzenia ścianek działowych domku. Ten pomysł wpadł jej do głowy w pokoju na dole, kiedy podniosła nagle spory kij i z całej siły uderzyła nim z rozmachem w ścianę. Efekt dostarczył jej głębokiej satysfakcji: tynk popękał od ciosu, odsłaniając ciemną jamę i żebro nieheblowanego drewna. Gdy uderzyła ponownie, odpadło więcej tynku. Może zamieni ten dom w jeden wielki pokój. A może go w ogóle rozpierdoli.

Chociaż waliła w ścianę mniej więcej dwadzieścia minut, wybiła w niej zaledwie niewielką dziurę, przez którą z trudem mogłaby się przeczołgać. Ponadto machanie kijem przestało sprawiać jej satysfakcję, jaką przyniosło kilka pierwszych ciosów. Blizna po amputowanym szóstym palcu pulsowała z bólu, a wściekle zamachy powodowały rwanie kręgosłupa, dała więc spokój i znów zaczęła chodzić po pokojach. Do jej bosych stóp przywierały rozmaite śmieci i paprochy. Przechodziła z pokoju do pokoju, postukując w ściany paznokciami. Dom trzeszczał i szeleścił. Na zewnątrz, pośród drzew Ablach Farm nawoływały się sowy, krzyczące niczym kobiety podczas orgazmu. Wiatr niósł odgłos fal rozbijających się o brzeg. Gdzieś

w oddali zabrzmiała syrena przeciwmgielna.

Było dobrze po północy, kiedy Isserley wreszcie się położyła, zbyt zmęczona, żeby dłużej rozmyślać. Opracowała fragmentarycznie kilka alternatywnych planów działania na przyszłość i miała nadzieję, że kładzie się spać dość późno, by na pewno obudzić się już po wschodzie słońca.

Spała głęboko i wydawało się jej, że bardzo długo, ale kiedy wynurzyła się znów na powierzchnię jawy, dysząc z przerażenia, wokół panowały wciąż egipskie ciemności. Kołdra, nieco szorstka od ziarenek tynku, kawałków gałązek i brudu, ciasno spowijała jej nogi wilgocią i duchotą. Zaczęła obmacywać się po całym ciele: ramiona i barki miała rozpalone niczym wyjęte wprost z pieca mięso, ale jej nogi były zimne jak kamień. Przebudzenie w tej właśnie fazie snu zawsze wywoływało najbardziej przykre sensacje.

Choć organizm Isserley nie zaczął jeszcze wracać do równowagi, zdołał niemiłosiernie przypomnieć dobrze jej znany koszmarne sen, w którym zostaje pogrzebana żywcem, porzucona w samotności i skazana na śmierć w pozbawionym powietrza więzieniu.

A jednak... Czy rzeczywiście był to ten sam, znajomy sen? Mając go jeszcze przed oczyma, kiedy uchodził już z jej wyobraźni, zdała sobie sprawę, że było w nim coś nowego. Czuła się po nim tak jak zawsze, ale dramat po raz pierwszy osnuty był nie wokół niej, lecz jakiegoś innego stworzenia. Nie na początku, nie: na początku istotą, którą sprowadzano głęboko do wnętrza ziemi, była niewątpliwie Isserley, ale pod koniec przybrała ona inny kształt, wielkość i przynależność gatunkową. Dlatego w ostatnich niespokojnych sekundach tuż przed przebudzeniem nie śniła już o człowieku, ale o psie, zamkniętym w samochodzie na jakimś pustkowiu. Jego pan nie wracał, więc pies został skazany na zagładę.

Kiedy oprzytomniała całkowicie, wyplątała się z kołdry, otuliła zimne nogi ciepłymi ramionami i za pomocą zdroworozsądkowych argumentów usiłowała zmusić się do

odwrotu znad krawędzi paniki.

Oczywiście pies, którego wspominała, należał do spotkanego wczoraj wodsela, nie było jednak powodu, by miała o nim śnić koszarne sny. Zwierzęciu nic się nie stanie. Jego pan z pewnością zostawił choć nieznacznie uchylone okna w busie. A nawet jeśli nie, to przecież samochody nie są zamykane hermetycznie, na zewnątrz panuje zaś chłód. Myśl, że niezależnie od tego pies może zdechnąć z głodu, wydała jej się głupia. Kiedy zgłodnieje, zacznie szczekać, a zirytowani tym jazgotem ludzie zainteresują się w końcu, skąd dochodzi. Ale czy naprawdę obchodzi ją los psa? Psy zdychają codziennie. Widziała wiele ich zmiażdżonych ciał na trasie A9 i osobiście przejeżdżała psie zwłoki, zamiast wymijać je, niebezpiecznie i gwałtownie skręcając koła. Wydają ledwo dosłyszalny, głuchy odgłos pod naciskiem opon. Mają zaledwie rudymenarną świadomość.

Przetarła oczy i uniosła wzrok. W ramach działań, dzięki którym miała nadzieję odzyskać pełną kontrolę nad swoim życiem, włożyła wczoraj nowe baterie do budzika. Zegar wyświetlał 4.09. Może lepiej byłoby nie wiedzieć, ile godzin będzie musiała jeszcze czekać na wschód słońca. Może lepiej byłoby w ogóle się nie obudzić.

Wypełzła z trudem z łóżka, jak zwykle na wpół sparaliżowana. Ach, z jaką rozkoszą zemściłaby się na chirurgach, którzy ją okaleczyli. Nie znała ich twarzy: kiedy zaczęli ją kroić, była pod wpływem środków znieczulających i straciła przytomność. Teraz przechwalają się pewnie w Korporacji Vessa, ile nauczyli się na swoich błędach, twierdząc, że nie ma porównania między cudami, które umieją czynić dzisiaj, a prymitywnymi eksperymentami, jakie przeprowadzili na Isserley i Esswisie. Gdyby istniała sprawiedliwość na świecie, Isserley uzyskałaby przed śmiercią sposobność, żeby przywiązać tych chirurgów do kamiennego stołu i trochę na nich poeksperymentować. Mogliby się przyglądać, jak ich kastruje, kiedy wycięłaby im już języki. A żeby nie robili za

wiele hałasu, wcisnęłyby im do pysków potężne kęsy ich własnych, amputowanych ogonów, które mogliby gryźć z bólu. Odbyty chirurgów zaciskałyby się wokół żelaznych szpikulców, którymi penetrowałyby ich kręgosłupy. A ich oczy płakałyby krwią, kiedy rzeźbiłyby im nowe, wspaniałe twarze.

Włączyła telewizor i zaczęła ćwiczyć.

– Nie potrafię znieść życia bez miłości – szepnęła czyjś głos we wnętrzu jej ciemnej sypialni. Obraz zmaterializował się, przedstawiając czarnobiłą, drobną kobietą, tulącą się do barczystego mężczyzny, który odwrócił od niej wzrok i patrzył w niebo.

– Nie bądź niemądra – strofował ją łagodnie. – Nigdy nie będziesz musiała żyć bez miłości.

Isserley wyciągnęła nogę, żeby zmienić kanał, kiedy smukły samolot odlatywał w dramatyczny mrok, wirując śmigłami.

Ekran wypełniły zmienne, abstrakcyjne formy ciepłych barw. Kamera cofnęła się, ukazując ostry już obraz opalizującego krążka wilgotnego szkła, które ktoś trzymał między olbrzymim kciukiem a palcem wskazującym. Krążek przypominał okularową soczewkę umazaną zupą.

– O takich kulturach można by powiedzieć, że dosłownie hoduszą lek na raka – oznajmił jakiś autorytatywny głos.

Rozpaliła ognisko, przed którym stała teraz, wpatrując się jak zahipnotyzowana w płomienie. Wzniosła z konarów i gałązek o wiele większy stos niż zwykle, a ogień buchał kolorami złota i moreli w promieniach świtu. Z trudem otrząsnęła się z letargu i obeszyła samochód, który wyprowadziła już z szopy i ustawiła przodem do bramy wyjazdowej, nie gasząc silnika. Kuśtykając, ruszyła w stronę głównego budynku, szurając niezgrabnie butami po kamienistej ziemi. W lędźwiowej części kręgosłupa odczuwała jakieś dolegliwości, których ćwiczenia na razie nie zdołały usunąć.

– Isserley – powiedziała do domofonu.

Nikt nie odpowiedział, ale wielkie metalowe drzwi rozsunęły się. Tuż za progiem, czego można było się spodziewać, stała

czarna, plastikowa torba, zawierająca rzeczy osobiste ostatniego wodsela. Chwyła ją i natychmiast wyszła z budynku, obawiała się bowiem, że mężczyzna pełniący tego dnia dyżur mógłby wyjechać z głębi ziemi na małą pogawędkę.

Wróciwszy do ogniska, wyciągnęła z torby buty wodsela, jego pulower i pokryty psią sierścią garnitur, po czym przyjrzała się pozostałym przedmiotom. Nie było ich wiele: wodsel najwyraźniej nie miał pod swetrem nic więcej poza poplamionym podkoszulkiem. Nie nosił także slipów. Kieszenie marynarki były puste, a w kieszeniach jego spodni Isserley nie znalazła nic oprócz kluczyków samochodowych i portfela.

Odłożyła pulower na maskę toyoty, żeby nie rzucać swetra na pokrytą rosą trawę, po czym ochrzczyła benzyną marynarkę, podkoszulek, spodnie i buty, które następnie wrzuciła kolejno do ognia. Na rękach pozostało jej zaskakująco dużo psiego włosia. Nie chciała wycierać dłoni o ubranie. Może zwierzęca sierść zejdzie z jej ubrania samoistnie, w toku codziennych zajęć.

Postępując z bólu, uklękła, by przejrzeć portfel. Był grubszy od tych, które dotąd widziała, ale jego zawartość nie była zbyt różnorodna. Zamiast laminowanych, plastikowych kart oraz rozmaitych urzędowych dokumentów, Isserley znalazła tylko pieniądze i jakiś kartonik, złożony niczym miniaturowa mapa. Portfel wypychały przede wszystkim pieniądze. Obok kilku monet krył gruby plik banknotów, głównie dwudziestofuntowych, choć było wśród nich także kilka dziesięcio – i pięciofuntówek – w sumie trzysta siedemdziesiąt pięć funtów. Isserley nigdy przedtem nie widziała takiej kwoty. Wystarczyłaby na zakup pięciuset trzydziestu pięciu litrów paliwa albo stu dziewięćdziesięciu dwóch butelek niebieskiego szamponu, albo ponad tysiąc nożyków do golenia... Albo... pięćdziesięciu siedmiu butelek sfermentowanego soku z kartofli, o którym wspominał wodsel. Schowała banknoty do kieszeni spodni, dzieląc pieniądze na pół, żeby nie było widać wypukłości.

Kartonik okazał się dużą, wielokrotnie złożoną, kolorową fotografią. Kiedy ją otworzyła i wygładziła, ujrzała młodego wodsela, obejmującego samicę ubraną w przejrzystą jak mgiełka, białą sukienkę. Oboje mieli czarne, lśniące włosy i rumiane policzki. Ich twarze zdobiły półksiężycowate uśmiechy. Wodsel Isserley wyglądał na zdjęciu schludnie, był gładko ogolony i nie miał zmarszczek. Na zębach samca nie było także widać resztek jedzenia, a jego różowe wargi połyskiwały wilgocią. Niewątpliwie pozwalała sobie na ekstrapolację, domyślała się jednak po jego minie, że twarz autostopowicza wyraża autentyczne szczęście. Zaciekało ją, jak się nazywał. W prawym dolnym rogu na marginesie widniał ozdobny napis Pennington Studio, w mniemaniu Isserley, obcojęzyczny, choć wodsel nie mówił z cudzoziemskim akcentem.

Ubranie Penningtona zajęło się ogniem, a ona tymczasem zabawiała się myślą o uratowaniu go. Amlis nie miał problemów z uwolnieniem kilku wodseli, zatem i ona poradziłaby z tym sobie bez kłopotów. Mężczyźni pracujący pod ziemią to imbecyle, a większość z nich zapewne jeszcze śpi.

Ale na ocalenie samca było już, oczywiście, za późno. Penningtonowi wycięto język i jądra wczoraj wieczorem. I tak nie bardzo miał ochotę żyć, więc trudno było przypuszczać, by zmienił teraz zdanie. Lepiej chyba zostawić go w spokoju.

Rozgrzebała ognisko patykiem, zastanawiając się, czemu jest aż tak pedantyczna. Siła przyzwyczajenia. Wrzuciła patyk w płomień i wróciła do samochodu.

Jechała trasą A9, a słońce wznosiło się coraz wyżej nad horyzontem, dochodząc do siebie po nieznanym cierpieniach, jakich doznało w nocy za zwieńczonymi śniegiem wierzchołkami gór. Sunąc swobodnie po bezchmurnym niebie, świeciło intensywnie i gwałtownie, szczerze rozsiewając złocisty blask nad całym Rossshire. Znalazłszy się w odpowiednim miejscu we właściwym czasie, Isserley także stała się częścią pejzażu – albowiem jej zaciśnięte na kierownicy dłonie przybrały złocistą barwę.

Pomyślała, że takie piękne światło warte jest wszystkiego – albo, do cholery, prawie wszystkiego. Jeżeli nie brać pod uwagę powykręcanych kości i blizn na ciele, życie wcale nie jest takie chujowe.

Dotyk swetra Penningtona na jej skórze wywoływał ciągle dziwne sensacje, ale zaczynała się już do niego przyzwyczajać. Podobały jej się ciasno opinające nadgarstki mankiety puloweru i zmatowiałe włókna, które błyszczały w słońcu. Podobało jej się, że spoglądając z góry na swoje piersi, nie widzi odpychającego dekoltu i sztucznej tkanki tłuszczowej, odnosi natomiast wrażenie, że jest pokryta sierścią i do złudzenia przypomina dawną Isserley, w naturalnym stanie.

Niedaleko stał na skraju drogi młody, szczupły autostopowicz. W ręku trzymał zniszczony kartonik z napisem NIGG. Isserley minęła go, nie zwalniając ani na chwilę. Widziała w lusterku wstecznym, jak wodsel pokazuje jej wyprostowany środkowy palec, a potem odwraca się, czekając na następny samochód.

Bez trudu znalazła miejsce, z którego zabrała wczoraj Penningtona. Na ostatnim odcinku jezdni zwięzała się znacznie – dlatego jadące za nią samochody nie mogły jej wtedy wyprzedzić – a poza tym, oczywiście, wypatrywała znaku z literą P. Gdy go zauważyła, zaparkowała dokładnie tam, gdzie poprzedniego dnia, najwyżej kilka stóp bliżej albo dalej. Wsiadła, zamknęła drzwi i ruszyła na poszukiwanie najbliższej polnej ścieżki.

Nie spodziewała się jednak, że z taką łatwością odnajdzie też bus Penningtona. Krył się w miejscu, gdzie sama zaparkowałaby samochód, gdyby chciała się schować na terenie tego gospodarstwa. Pod osłoną szeregu wysokich drzew stał szkielet pozbawionego dachu, zrujnowanego młyna, o którego ściany wspierały się bele siana. Wskutek niesprzyjających warunków atmosferycznych siano zaczęło gnić, zostało więc porzucone na pastwę losu. Kierowcy przejeżdżający drogą A9 widzieli na mgnienie oka jedynie ruiny młyna i siano.

Natomiast patrząc od strony domu mieszkalnego, położonego w odległości pół mili, widziało się jedynie kępę drzew, co oszczędzało farmerowi widoku zbutwiałych płodów rolnych, za których usunięcie musiałby słono zapłacić. Bus Penningtona stał właśnie pomiędzy drzewami a młynem; mógł go zobaczyć jedynie intruz, który wkroczyłby na teren gospodarstwa.

Był to o wiele bardziej luksusowy samochód, niż przypuszczała Isserley. Wyobrażała sobie, że znajdzie jakiś zardzewiały, poobijany wrak, który z trudnością poruszał się po szosie. Myślała, że będzie ciemnoniebieski, z wyblakłym napisem na boku. Okazało się jednak, że bus lśni kremowym lakierem, a detalami wykończenia z polerowanego chromu i nietkniętej czarnej gumy przypomina nowiutkie samochody, wystawiane na sprzedaż na stacji Donny's Garage.

Uwięziony w połyskliwym wnętrzu pies Penningtona skakał z fotela na fotel, ujadając jak oszalały. Isserley widziała, że zwierzę niemal wypluwa płuca z wysiłku, ale dobiegające zza zamkniętych okien szczekanie było głuche i przytłumione – choć z bliska wydawało się, że pies podnosi straszliwy rwetes, wątpiła, by jego głos niósł się daleko, nawet wśród nocnej ciszy.

– Grzeczny chłopiec – powiedziała, wchodząc do samochodu.

Nie przyszło jej do głowy, że powinna się bać, kiedy otwierała boczne drzwi busa kluczami Penningtona. Pies mógł uciec albo rzucić się na nią – zatem albo patrzyłaby bezradnie, jak umyka w dal, albo byłaby zmuszona go zabić. Tak czy inaczej, miałyby czyste sumienie.

Odsunęła drzwi i pies wyskoczył na zewnątrz z impetem strzału w gaźniku. Wylądował na trawie, koziółkując niemal, a potem gwałtownie odwrócił się ku Isserley. Drżał i trzął się na całym ciele. Miał nieskazitelne, czarnobiałe futro i przypominał miniaturkę Amlisa w zwierzęcej formie. Zdezorientowany, patrzył groźnie na Isserley, a mięsista fałda marszczyła puch na jego ciemnym czole.

Zostawiła otwarte drzwi i ruszyła z powrotem, w stronę trasy A9. Nie zdziwiła się właściwie, kiedy pies pobiegł za nią,

obwąchując ściągacz swetra Penningtona, opadającego na uda Isserley niczym sukienka. Spaniel kilka razy trącił ją nosem w biodro. Po chwili poczuła, że liże ją po ręce wilgotnym jęzorem. Z jękiem obrzydzenia uniosła dłonie w górę, jak gdyby poddając się, i przyspieszyła kroku.

Psu Penningtona udało się polizać ją po ręce jeszcze raz, gdy zamykała drzwi, usiłując nie przytrzasnąć mu pyska. Kiedy uruchamiała silnik, spaniel podniósł łeb i patrzył na nią przez szybę, nic nie rozumiejąc.

– Teraz musisz sobie radzić sam, piesku – powiedziała Isserley, oczywiście zdając sobie sprawę, że pies nie włada żadnym językiem, którym mógłby się z nią porozumieć.

A potem odjechała, pozostawiając zwierzę siedzące na skraju drogi.

Wracając do domu, uświadomiła sobie, że myśli o tym, nad czym zastanawiała się nieustannie nocą – a mianowicie, co dalej robić w życiu.

Oczywiście mogła wybrać wiele różnych dróg, w zależności od tego, na co wystarczyłoby jej odwagi i jak długo zdołałaby znosić dolegliwości fizyczne. Każdy plan z osobna zapowiadał własne, słodkie nagrody, ale mógł przynieść również przerażające konsekwencje. Była już jednak zmęczona wazaniem na szali różnych wersji przyszłości – za dużo myślała.

Przyszła pora, żeby zdać się na instynkt. Jej palce zawisną nad dźwignią kierunkowskazu, a jeśli ją nacisną, to... Będzie to, co będzie.

Po kilku minutach zaczęła się zbliżać do znaku z napisem B9175: Portmahomack i Seaboard Villages. Zerknęła w lusterko, a potem na drogę przed siebie: nikt nie nadjeżdżał ani z przodu, ani z tyłu, a zatem nic nie mogło jej powstrzymać lub zmusić do dalszej jazdy. Jej palce zawisły nad przełącznikiem migaczy. Jak sparaliżowana trzymała nogę nieruchomo na pedale gazu. Znak mignął i zniknął, drzewa połknęły zjazd, a Isserley jechała wciąż na północ. Klamka zapadła. Nigdy nie wróci już na Ablach Farm.

Jakiś czas później, jadąc wciąż na północ, skręciła na most Dornoch i zaraz poczuła mdlący uścisk w dołku. Nie był to głód, choć niewątpliwie już go odczuwała, tylko przeczucie. Coś czyha na nią po drugiej stronie mostu.

W połowie drogi na drugi brzeg zjechała na parking widokowy dla turystów. Stał na nim już jeden kierowca, który trzymając w pogotowiu lornetkę, wpatrywał się nad balustradą w migotliwe wody zatoki w poszukiwaniu fok albo delfinów. Isserley zatrzymała się za jego luksusowym domkiem na kółkach i ostrożnie otworzyła drzwi swojego samochodu. Turysta odwrócił się, słysząc nadjeżdżający wóz. Był niski, korpulentny i miał krzywe nogi: zdecydowanie nie nadawał się na mięso.

– Cześć, czołem – pomachał do niej, mrużąc oczy pod słońce.

– Cześć – odpowiedziała jak echo Isserley, stając za swoim autem, które odgradzało ją od niego. Uznawszy, że turysta nie ruszy się z miejsca, odwróciła się od niego i spojrzała wzdłuż mostu ku lądowi. Zasłaniając twarz otwartą dłonią, zdjęła okulary i spoglądała w dal swoimi ogromnymi oczami, obserwując zakorkowane, jak jej się wydawało, rondo, na którym stadko samochodów poruszało się z wahaniem, nie mogąc się zdecydować, czy skręcić na drogę do Clashmore, czy do Dornoch.

Potem zauważyła hełmy policjantów, nurkujących i uwijających się wśród pojazdów.

Wskoczyła z powrotem do wozu i z rykiem silnika ruszyła. Nie podejrzewała się o zręczność i odwagę, z jaką zawróciła na środku mostu – był to bez wątpienia wysoce nieprzepisowy manewr, ale widoczni w oddali maleńcy policjanci nie mieli żadnej możliwości, żeby ją ścigać. Zerknęła przez ramię na stojącego przy balustradzie turystę: spojrzał na nią ze zdumieniem, gdy odjeżdżała, nie patrząc jednak przez lornetkę, a zatem prawdopodobnie nie usiłował wbić sobie w pamięć wyglądu Isserley ani numerów rejestracyjnych jej samochodu.

Pomyślała, że chce wrócić do domu, ale przecież dopiero co

podjęła decyzję: nie ma już domu.

Kilka minut później jechała na południe, mijając Tain i odrzucając pokusę, by zmienić postanowienie. Gdyby zjechała z A9 i przejechała przez centrum na drugą stronę miasta, znalazłaby się na innej drodze, wiodącej do Portmahomack – i dalej, na Ablach Farm. Ale farma jest już dla niej zamknięta. Wiedziała, że Korporacja Vessa przestanie się o nią troszczyć, kiedy ona przestanie dostarczać im towar – nie zapewnią jej schronienia ani nie będą jej karmić wyłącznie z dobroci serca.

Amlis zapowiedział, że wróci... Ale tacy jak on zawsze dużo obiecują, no nie? Jak tamci mężczyźni, którzy przysięgali, że zapewnią jej bezpieczeństwo, kiedy zbliżała się do progu dojrzałości. „Taka piękna dziewczyna jak ty miałaby spędzić życie w Posiadłościach? Niech tylko spróbują, Iss, zaraz pogadam z ojcem”. Zepsuci, mali pozerzy, co do jednego. Pieprzyć ich, pieprzyć ich wszystkich.

Kiedy Amlis dotknął jej ramienia, powiedział, że łatwo byłoby dać się oczarować temu światu, bo jest bardzo, bardzo piękny. Co miał na myśli? Czy chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że i ona jest piękna? No, bo dlaczego dotknął jej ramienia właśnie wtedy? Jego palce... Ale nie, na pewno nie o to mu chodziło. Po raz pierwszy w życiu zobaczył ocean i rozśnieżone niebo, a na siedzeniu obok pociła się zmasakrowana kaleka. Uroki jej pokrytego bliznami ciała nie mogły przecież konkurować z widokiem nowego, obnażonego świata.

Poczuła ból w sercu. Tęskniła już za brzegiem morza w Ablach. Czas, który spędziła wczoraj w nocy, spacerując bez celu po pustych pokojach domku, mogła spędzić tam, wędrując po klifach albo zalanej księżycowym blaskiem plaży. Ale najprawdopodobniej już wtedy wiedziała, że gdyby poszła nad morze, pożegnanie z farmą byłoby jeszcze trudniejsze.

W jednej z nieprawdopodobnych wersji przyszłości, którą projektowała, krążąc tam i z powrotem po pokojach, zamieszkiwała pewną jaskinię nad brzegiem morza w Ablach. Znała tam kilka grot, których nigdy nie spenetrowała z uwagi

na swoją klaustrofobię – i na tym polegał problem, bo właśnie z powodu tej dolegliwości nie mogłaby, oczywiście, zamieszkać nigdy w jaskini.

Na plaży stała też kamienna chata („barak rybacki”, jak nazwał go kiedyś Esswis, robiąc taką minę, jakby był wszechwiedzący). Drzwi domku były zbutwiałe i spróchniałe, więc kołysały się na wietrze niczym zasłony, a jego pozbawione okien wnętrze lepilo się od smoły i gnijących odchodów owczych. Jednak barak nie nadawał się do zasiedlenia, głównie dlatego, że do podłogi przyśrubowano duże, żeliwne urządzenie, mechanizm wielkości krowy, przeznaczony do wciągania łodzi na brzeg. Oczywiście, urządzenia tego nikt już chyba nie używa, ale nie mogła tego wiedzieć na pewno. Gdyby do domku wtargnęła nagle załoga kutra rybackiego, zastając ją wyciągniętą nago w kącie, we śnie, znalazłaby się w poważnych tarapatach.

Zastanawiała się także, czy gdzieś na klifach Ablach nie zbudować sobie małej chatki z gałęzi, desek pozostawionych przez morze na plaży i kilku dużych arkuszy falistej blachy, które, jak zauważyła, woda często wyrzucała na brzeg. Ale Esswis z pewnością spostrzegłby, że na farmie wyrosło nowe domostwo, szczególnie gdyby Isserley zniknęła, a on by jej szukał. Bo kiedy Korporacja Vessa dowiedziałyby się, że Isserley uciekła, na jej poszukiwania kierownictwo firmy wysłałoby niechybnie właśnie Esswisa.

Zmarszczyła brwi, przypominając sobie policjantów. Nie może pozwolić, żeby ją zatrzymali, bo jej samochód zdobią wprawdzie nalepki, będące dowodem zapłaty podatku drogowego, ale od dawna są zdezaktualizowane, ona zaś nie posiada prawa jazdy ani żadnych dokumentów. Musi znaleźć jakąś kryjówkę i na pewien czas zrezygnować z jazdy samochodem. Nie jest to wielkie wyzwanie – ukryje się z łatwością. Ostatecznie nie jest już przypisana do trasy A9 i może jeździć także po ustronnych drogach, na których panuje niewielki ruch i gdzie wokoło rozciąga się dziewiczy las.

Zapadnie między drzewa niczym bażant.

Trzy dni później Isserley przyśniło się seksualne odprężenie i obudziła się, ściskając w dłoniach futro pokrywające kaptur skafandra służącego jej za poduszkę na tylnym siedzeniu wozu. Była tak obolała, a zarazem tak poruszona owym snem o orgazmie, że chciało jej się śmiać.

Samochód stał na skraju jeziora w przytulnej altance z paproci. Czubki gałązek dotykały szyb, a małe ptaszki przeskakiwały wciąż z dachu na drzewo i z powrotem, postukując kruchymi łapkami o blachę. Niewidoczne zwierzęta, być może kaczki albo łabędzie, mąciły z szelestem wodną gładź w pobliżu, szczególnie późnym popołudniem. W górze pokrywa drzew tworzyła tak szczelną zasłonę, że śnieg w ogóle nie opadał na ziemię, a więcej promieni słońca odbijało się od powierzchni jeziora, niż docierało na dół przez gałęzie.

W każdym razie altana stanowiła tak doskonałą kryjówkę, że kiedy Isserley przed dwoma dniami po raz pierwszy wprowadziła do niej swoje auto, zastała w gąszczu paproci jeszcze jeden samochód. Na szczęście niezamieszkały, właściwie był to bowiem szkielet samochodu: wypatroszony wrak bez kół, pokryty rdzą o wszystkich kolorach lasu i porośnięty mchem. Zaparkowała więc obok, wykorzystując ten dodatkowy kamuflaż.

Nie mogła zaprzeczyć, że pierwsza noc była ciężka. Tylne siedzenie okazało się zaledwie o kilka cali za krótkie, by mogła się na nim wygodnie wyciągnąć, ale jej ciało dotkliwie odczuło dyskomfort. Przetrwała jednak do rana, a dwie następne noce nie były już tak męczące.

Nie chciała spać w samochodzie, nie ma jednak wyboru, dopóki nie znajdzie sobie innego schronienia. Myśl o tym, żeby spać pod gwiazdami, zwinąwszy się w kłębek gdzieś w polu, była szalenie romantyczna i prowokująca, ale w głębi duszy Isserley wiedziała, że następnego dnia przypłaci taki nocleg bólem kręgosłupa. Potrzebuje łóżka albo przynajmniej jakiejś miękkiej podściółki, na której mogłaby się położyć. A tylne

siedzenie w samochodzie jest, mimo wszystko, wyściełane i gładkie. Co więcej, gdyby któregoś dnia miała się zbudzić w stanie naprawdę krytycznym, zawsze zdołałaby wstać, chwytając się zagłówków przednich foteli.

Gdyby mogła wybrać dowolne miejsce na świecie, doskonałym miejscem na nocleg, ba, idealnym domem, byłaby dla niej opuszczona latarnia morska. Ale czy opuszczone latarnie morskie w ogóle istnieją? Bardzo pragnęła, by istniały. Stoją na skraju lądu, tuż nad otwartym morzem, a ich wieżyczki sięgają niemal chmur. Wyobrażała sobie, że mieszka na samej górze i sypia na miękkim materacu, otoczona ze wszystkich stron oknami, które wpuszczają do wnętrza słońce natychmiast, kiedy tylko pojawi się na niebie.

Teraz jednak musi się ukrywać i słabnie powoli z głodu. Będzie musiała naprawdę coś dzisiaj zjeść, coś bardziej posilnego niż surowa rzepa, którą ukradła z pola przedwczorajszej nocy.

Kiedy skończyła gimnastykę, weszła na płyciznę do lodowatego jeziora i umyła się. Potem ogoliła całe ciało, trzymając w jednej ręce lustro, a w drugiej nożyk, z którego do lśniącej wody skapywała szamponowa piana. Miała nadzieję, że szampon nie zaszkodzi żyjącym w jeziorze stworzeniom. Kilka kropli wyprodukowanego chemicznie mydła nie może wywołać chyba żadnych poważniejszych skutków w tak ogromnym naturalnym zbiorniku czystości jak jezioro?

Na pierwszy gorący posiłek od chwili, kiedy opuściła farmę, pojechała na stację, gdzie dawniej kupowała benzynę.

Pewnego dnia, być może, przezwycięży obawy i wjedzie po prostu do jakiegoś dużego miasta, zaparkuje pomiędzy setkami innych samochodów, a potem wejdzie do supermarketu, tak jak to robią wodsele, gdy braknie im jedzenia. Ale ten dzień ciągle był jeszcze odległy. Całkiem niedawno przejeżdżała obok gigantycznego supermarketu Tesco, stojącego tuż przy trasie A96, wiodącej do Aberdeen, i zastanawiała się, czy wystarczy jej odwagi, żeby wejść do środka. Sklep stał tak blisko drogi, że

mogła niemal zajrzeć do wnętrza przez drzwi z ciemnego szkła. Ten masywny, betonowy budynek był zapewne pełen wszystkich towarów i produktów, jakie kiedykolwiek widziała w telewizji, a chmara wodseli przebierała wśród nich, rozpychając i miotając się, by zdobyć najlepsze kaski. Nie, na coś takiego nie jest jeszcze gotowa.

Na stacji kupiła paliwo za dwadzieścia funtów. W samoobsługowym barze wybrała też z szafki z metalu i plastiku, ozdobionej napisem HAPPY TUM'S® ROADSIDE DINER, gotowe mięsne danie. Miała trzy posiłki do wyboru: gorące psy, zrazy z kurczaka i hamburgery wołowe, wszystkie zawinięte w biały papier, nie widziała więc ich zawartości. Wybrała zrazy z kurczaka. Słyszała w telewizji, że wołowina może być niebezpieczna – a jej spożycie w niektórych wypadkach grozi nawet śmiercią. Skoro wołowina może zabijać wodsele, nie chciała nawet myśleć, jak mogłoby się dla niej skończyć zjedzenie hamburgera. A co do gorących psów, to, no... Byłoby coś dziwnego w tym, że najpierw zadaje sobie tyle trudu, by ocalić jednego psa od śmierci, a potem, kilka dni później, spożywa drugiego na obiad.

Wzięła papierowe zawiniątko i włożyła je do kuchenki mikrofalowej, po czym, zgodnie z instrukcją, nacisnęła odpowiednie przyciski. Po dalszych czterdziestu pięciu sekundach trzymała już w ręku dymiący z gorąca zraz z kurczaka.

Ale czterdzieści pięć minut później kuliła się w trawie na tyłach parkingu w Saltburn, próbując zwymiotować. Usta miała szeroko otwarte, z czubka języka sączyła się jej ślina, lecz strumień wymiocin wytrysnął w końcu przez nos, przeciskając się w bulgocących rozbryzgach przez jej ściągnięte nozdrza jak gazowany sos. Przez chwilę myślała, że się udusi albo że parzące rzygowiny wypełnią jej kanaliki łzowe i zaczną kapać z oczu. Były to jednak tylko urojenia, powstałe pod wpływem paniki, a skurcze żołądka wkrótce potem ustały.

Kiedy było po wszystkim, drżącymi rękami odkręciła

zakrętkę dużej butelki z napisem Aqua Viva – zawierającej najprawdopodobniej wodę. Kupiła ją razem z kurczakiem, na wypadek gdyby po spożyciu nieznanego mięsa zrobiło się jej niedobrze. Żywiła uzasadnione podejrzenie, że tak się właśnie stanie, ale mimo wszystko zaryzykowała. Zagadki wymagającej odpowiedzi na pytanie, co może bezpiecznie jeść, nie rozwiąże przecież w ciągu jednego dnia, a stosując metodę prób i błędów, przekona się, które potrawy toleruje jej żołądek. Tymczasemssała plastikowy łepiek butelki z wodą, popijając kojący wnętrzości, przezroczysty płyn.

Nie umrze z głodu. Na polach, gdzie leży rozrzucana na karmę dla owiec rzepa, rosną też kartofle, na drzewach zaś jabłka. Wszystkie te rośliny doskonale nadają się do konsumpcji dla ludzi, czego na Ablach Farm mężczyźni dowodzili na co dzień w Jadalni. Kartofle, rzepa i jabłka to nie wszystko, wystarczą jednak, by przeżyć. Z czasem odkryje pokarmy, których na razie nie potrafi sobie nawet wyobrazić, a które przypomną jej smakołyki z dzieciństwa – poczuje się po nich rozmarzona, senna, zadowolona i syta.

Była pewna, że znajdzie je gdzieś w tym świecie.

Kiedy wracała wąską, leśną drogą do altanki nad jeziorem, z przerażeniem zauważyła szaleńczo wymachującego rękami wodsela, który usiłował ją zatrzymać. Nie był funkcjonariuszem policji, lecz autostopowiczem, ale wydawał się bardzo podniecony i niemal tańczył na jezdni. Skręciła, żeby go wyminąć, wodsel jednak wyskoczył jej przed maskę, rozpościerając szeroko ramiona, musiała więc raptownie zahamować.

Był to masywny osobnik, młody i wspaniale umięśniony, co było widać pod skórzaną kurtką, ale na jego twarzy malowało się szaleństwo.

– Bardzo przepraszam! Przepraszam! – zawołał, uderzając otwartymi dłońmi o maskę samochodu i wbijając błagalne spojrzenie w Isserley. – Musioł zech cie zaczymać!

– Proszę zejść z drogi! – krzyknęła Isserley przez szybę,

wciskając pedał gazu z groźnym rykiem silnika. – Nie podwożę autostopowiczów!

– Moja dziewczucha rodzi! – wrzasnął, wymachując muskularnym ramieniem, żeby wskazać jakiś niewidoczny punkt za lasem. – Na litość boskom! Przejechał żem już sto pińcdziesiont mil i jeszcze pińc jebanych mie zostało!

– Nie mogę ci pomóc! – odkrzyknęła Isserley.

– Na rany Chrystusa, kurwa jego mać! – wodsel wykrzywił twarz, uderzając się otwartą dłonią w czoło. – Toż cie palicem nie tknę. Bende grzecznie siedzieć! Zwiunż mie albo kosę mi do grdyki przystaw, mie ta za jedno... Moja dziewczucha rodzi! Oćcem bede!

Było jasne, że autostopowicz nie pozwoli jej odjechać, otworzyła więc drzwi z lewej strony i wpuściła go do środka.

– Dzięki – powiedział bojaźliwie. – Równiacha z ciebie.

Shona, myślał. Trzymaj się, Shona.

Isserley nic nie odpowiedziała. Ruszyła niezdarnie i samochód szarpnął, zgrzytając biegami. Tylko pięć mil i będzie mogła się go pozbyć. A jeśli nie będzie się do niego odzywać, może on także będzie milczał.

– Nie umiem ci pedzieć, co to dla mie znaczy – powiedział chrapliwym głosem po kilku sekundach.

– Nie ma sprawy – odparła Isserley, w skupieniu wpatrując się w drogę. – Pozwól mi tylko prowadzić.

– Tak bardzo ją kocham – powiedział.

– To dobrze – odpowiedziała Isserley.

– Dryndła do mie, kiedy leżałem już w wyrze, znaczy na dziwie, kumasz. „Jimmy, ja rodzę – peda. – O tydzień za wcześniej. Wim, że nie możesz przyjechać. Ale chciałam ci pedzieć”. No, to zyrwał żem się z tyj dziwy jak rakiet!

– To dobrze – powiedziała Isserley.

Na chwilę zapadła cisza. Samochód toczył się, jak zwykle, z prędkością czterdziestu pięciu mil na godzinę. Isserley miała wrażenie, że drzewa po obu stronach drogi migają niewyraźnie w pędzie, chociaż musiała przyznać, że rozciągająca się przed

nią pusta szosa wygląda raczej statycznie.

– Nie mogłabyś jechać ociupinę szybciej? – zapytał wreszcie wodsela.

– Robię, co mogę – odpowiedziała ostrzegawczo Isserley. Mimo to wcisnęła mocniej pedał gazu. Potem, chcąc odwrócić uwagę wodsela od prędkości jazdy, zapytała: – To twoje pierwsze dziecko?

– A jak. A jak – potwierdził entuzjastycznie i odetchnął głęboko. – Nieśmiertelność.

– Słucham?

– Nieśmiertelność. Jezdeśmy nieśmiertelne, kumas? Niskończony sznur ludziów idzie przez historie, no nie? Bo te wszystkie gadki o życiu po śmierci to moim zdaniem lipa. A ty w to wierzysz?

Isserley miała tyle kłopotów z rozszyfrowaniem jego dziwnej wymowy i zrozumieniem niektórych kluczowych słów, że nie pojęła właściwie, o co autostopowicz ją pyta.

– Nie wiem – powiedziała.

Ale już nic nie mogło go powstrzymać. Wodsela poczuł się dotknięty do żywego, choć dotknął przecież sam siebie.

– Nasz Mały Wolny Kościół^[7] peda, że mój dzieciak będzie nielegalny, bo ja i moja dziewczucha nie mamy ślubu – poskarżył się. – O co tu lata? To jakaś jebana pryhistoria, kumas?

^[7] Wee Free Church (ang.) – gwarowa nazwa mniejszości wyznaniowej Wolnego Kościoła Szkocji, która nie połączyła się ze Zjednoczonym Kościołem Prezbiteriańskim, by utworzyć Zjednoczony Wolny Kościół w roku 1900 (przyp. tłum.).

Isserley zastanawiała się przez chwilę nad tym, co powiedział, a potem uśmiechnęła się i potrząsnęła głową z rezygnacją.

– Nic z tego nie rozumiem – przyznała.

– Jakiego wyznania jezdeś? – zapytał natychmiast wodsela.

– Nie wyznaję żadnej religii – powiedziała Isserley.

– A twoi staruszkowie?

Isserley zastanawiała się przez chwilę.

– Tam, skąd pochodzę, religia już... Umarła – odpowiedziała, starannie dobierając słowa.

Wodsel zamruczał coś współczująco pod nosem, a potem na nowo podjął swoje niezrozumiałe kazanie, kiedy wjeżdżali coraz głębiej w las.

– Rynkarnacja bardzo mi się podoba – powiedział, usiłując ukryć poruszenie. – Shona, moja dziewczucha, peda, że to gupi pomysł, ale, moim zdaniem, coś w tym jest. Wszystko ma dusze, a duszy zniszczyć ni można. Poza tym można spróbować jeszcze raz, może drugą razą pódzie lepiej. – Zaśmiał się głośno, na pokaz, jak gdyby ją zachęcał, żeby zaczęła się śmiać razem z nim. – Kto to wi, co? Może wrócę na ziemie jako kobita abo maluśkie żwierzontko!

Wypadli z za zakrętu, zjeżdżając na dużej szybkości w niewielką dolinkę. Isserley delikatnie wcisnęła hamulec, skręcając jednocześnie kierownicę. W tym momencie nieoczekiwanie znów rozległ się znajomy stukot w nadkolu. Zabrzmiał głośniejsz niż przedtem, a cały pojazd przebiegło nagłe drżenie. Ułamek sekundy później samochód osiągnął najniższy punkt zbrocza, a jego zablokowane koła wjechały na szary, śliski pas oblodzonej nawierzchni.

Niemal jak we śnie Isserley poczuła, że auto traci przyczepność i odrywa się kołami od jezdni. Zdawało się, że płynie po powierzchni wody albo szybuje w powietrzu. Potężne dłonie spieszącego jej z pomocą mężczyzny zacisnęły się na rękach Isserley i szarpnęły kierownicę, żeby obrócić ją w przeciwną stronę, ale bez skutku. Samochód wypadł z drogi i uderzył w drzewo z okrutnym trzaskiem.

Straciła przytomność tylko na krótką chwilę, a w każdym razie tak się jej wydawało. Duch wstąpił z powrotem w jej ciało, opadając z dużej wysokości, jak zawsze tuż po użądleniu wodsela. Jedyna różnica polegała na tym, że ten ostatni upadek nastąpił z pozornie mniejszym impetem niż zwykle. Nie oddychała z takim trudem jak zazwyczaj, a serce nie waliło jej

jak młotem. Leśne drzewa rysowały się w jej oczach z niemal nadprzyrodzoną wyrazistością, aż w końcu zrozumiała, że zniknęła zarówno przednia szyba, jak i jej okulary.

Opuściła wzrok ku ziemi. Jej zielone aksamitne spodnie, przesiąknięte ciemną krwią, pokryte były okruchami rozbitego szkła, a w miejscu, gdzie spodziewała się zobaczyć kolana, ujrzała trójkątny kawał pogiętej blachy. Prawie nie czuła bólu i pomyślała, że najprawdopodobniej ma pęknięty kręgosłup. Rogal kierownicy zmiażdżył jej piersi, nie uszkadzając jednak klatki piersiowej. Od lat nie poruszała natomiast szyją z taką swobodą i równie bezboleśnie jak teraz, a kiedy zdała sobie z tego sprawę, załkała z żalu, śmiejąc się histerycznie. Jakaś ciepła, kleista substancja, uwięziona pod bluzką i pulowerem Penningtona, spływała jej na brzuch i dalej, na łono. Przebiegł ją dreszcz obrzydzenia i strachu.

Wodsel już nie siedział obok niej. Siła uderzenia wyrzuciła go przez przednią szybę. Nie widziała jego ciała z fotela kierowcy.

Rozdarta nogawka spodni zaczęła wydawać dziwne odgłosy, jak gdyby trzepocząc albo siorbiąc cichutko. Isserley poczuła przyływ nieprzepartych mdłości, ale udało się jej odwrócić wzrok. Zauważyła wtedy, że z fotela pasażera wystają igły mechanizmu tłoczącego ikpatuę. Widocznie urządzenie zostało uszkodzone. Świadoma absurdalności swojego postępowania, zakrwawioną pięścią bezsilnie uderzyła w bok fotela z nadzieją, że igły cofną się pod tapicerkę. Nic z tego.

Nagle gdzieś z tyłu, z piskiem opon, zatrzymał się jakiś samochód. Potem dał się słyszeć trzask zamykanych drzwi. Czyjeś kroki roztrącały żwir na poboczu.

Działając instynktownie, Isserley sięgnęła do schowka i wyciągnęła pierwsze lepsze okulary, jakie wpadły jej w ręce. Wcisnęła je sobie na nos, chociaż natychmiast okazało się, że niemal nic w nich nie widzi – były to bowiem prawdziwe soczewki lecznicze, nie wykonane ze zwykłego szkła.

Zamajaczyła nad nią jakaś postać, pochylająca się nad

wybitym oknem z prawej strony – była to drobna figurka, której różową szyję, jasnożółte ubranie i aureolę ciemnych włosów widziała jak przez mgłę.

– Nic ci się nie stało? – zapytał drżący kobiecy głos. Isserley parsknęła bezradnym śmiechem i mimo woli strzyknęła z nosa strumyczkiem wilgoci. Wytarła nozdrza przegubem dłoni, wzdrygając się nieco ze zdumienia na widok nieostrego powiększenia własnego ramienia i czując na policzku nieznany jej dotąd dotyk wełny.

– Nie ruszaj się – powiedział kobiecy głos, twardniejąc nagle.
– Wezwę pomoc. Siedź i nie ruszaj się.

Isserley znowu się roześmiała i tym razem nieznajoma zaśmiała się razem z nią, posykując nerwowo.

Niewyraźna plama barw zniknęła jej z oczu. Słyszała, jak leśne poszycie chrzęści pod stopami kobiety przed maską samochodu. Znów rozległ się jej głos, który tym razem brzmiał głośniej, niemal oficjalnie.

– Czy to... Twój mąż? – zawołała, jak można było sądzić, z dość daleka.

– To autostopowicz – powiedziała Isserley. – Nie znam.

– On żyje. Oddycha.

Isserley wsparła głowę o fotel i także odetchnęła głęboko, zastanawiając się, jakie wrażenie zrobiła na niej wiadomość, że wodsel przeżył wypadek.

– Proszę, zabierz go stąd – powiedziała po chwili.

– Nie mogę tego zrobić – odparła kobieta. – Musimy poczekać, aż przyjedzie karetka.

– Zabierz go stąd, proszę. Bardzo proszę – powiedziała Isserley, wypatrując nieznajomej w zielonobrazowej mgiełce zza zmrużonych powiek.

– Naprawdę nie mogę – obstawała przy swoim kobieta, teraz już spokojniej. – Prawdopodobnie odniósł obrażenia kręgosłupa. Potrzebuje specjalistycznej opieki.

– Boję się, że mój samochód może stanąć w ogniu – powiedziała Isserley.

– Nie bój się – odpowiedziała nieznajoma. – Nie wpadaj w panikę, staraj się zachować spokój. Wszystko będzie dobrze.

– Przynajmniej weź jego portfel – prosiła Isserley. – Sprawdź, jak się nazywa.

Poszycie znów zachręściło pod stopami kobiety, a jasne kolory wpłynęły z powrotem w pole widzenia Isserley. Nieznajoma znów pochyliła się nad wybitym oknem. Poczowała na szyi jej ciepłą, drobną dłoń.

– Posłuchaj, muszę cię zostawić na kilka minut, żeby znaleźć telefon. Wrócę, jak tylko zadzwonię po karetkę, dobrze?

– Dziękuję – powiedziała Isserley. Kątem oka zauważyła blade obojczyki i owal dekoltu pod brzoskwiniową bluzką nieznajomej, która pochyliła się nad nią, sięgając na tylne siedzenie.

– Szpital jest niedaleko – kobieta próbowała dodać jej otuchy. – Zaraz po ciebie przyjadą.

Isserley znowu poczuła na sobie ciepłe dłonie nieznajomej i dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak lodowato zimne jest jej własne ciało. Kobieta okryła ją tymczasem skafandrem, delikatnie otulając jej ramiona.

– Wszystko będzie dobrze, tak?

– Tak – skinęła głową Isserley. – Dziękuję.

Kobieta zniknęła, a odgłos jej odjeżdżającego samochodu rozpląnął się w ciszy.

Zdjęła okulary i upuściła je na kolana, gdzie wylądowały, grzechocząc wśród odłamków szkła. Zamrugła powiekami, zastanawiając się, dlaczego wciąż widzi wszystko niewyraźnie. Łzy zaczęły spływać jej po policzkach i wtedy widok za rozbitą przednią szybą stał się nagle ostry.

Przyjrzała się górnej części deski rozdzielczej, gdzie instalując sieć mechanizmu strzykawek z ikpatuą Yns zamontował jeszcze jeden dodatkowy element wyposażenia samochodu: przycisk uruchamiający awiir. W przeciwieństwie do delikatnych, elektrycznych i hydraulicznych łączy ikpatuowych, które najwyraźniej uległy uszkodzeniu podczas

wypadku, przycisk w desce rozdzielczej i cylinder z awiirem łączyła pojedyncza, prosta, mocna rura, do której oleistej zawartości wystarczyło tylko wstrzyknąć obcą ciecz.

Awiiir rozerwie samochód, ją i potężny kawał gruntu na niemal niewyobrażalnie małe kawałeczki, a po eksplozji pozostanie wielki i głęboki krater, niczym po upadku meteorytu.

A ona? Co się z nią stanie?

Atomy, z których jest zbudowana, mieszają się z tlenem i azotem z powietrza. Zamiast spocząć pogrzebana w ziemi, stanie się częścią nieba: powinna spojrzeć na to właśnie w ten sposób. Jej niewidzialne szczątki z czasem połączą się ze wszystkimi cudami tego świata. Stanie się padającym cicho śniegiem i wzniesie się znów do nieba, kiedy śnieg wyparuje. W czasie deszczu będzie częścią widmowego łuku, łączącego zatokę ze stałym lądem. Pomoże stroić pola girlandami mgieł, ale zawsze pozostanie przezroczysta w świetle gwiazd. Będzie żyć wiecznie. Musi tylko zebrać się na odwagę, żeby nacisnąć przycisk, i ufać, że łącze nie zostało uszkodzone.

Wyciągnęła przed siebie drżącą dłoń.

– Już idę – powiedziała.

Spis treści

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.